MIESIĘCZNIK

fantastyka

1(4) styczeń 83 Cena 50 zł



PIERWSZY I NIEUSTAJĄCY KONKURS „FANTASTYKI"

Poszukując talentów w tak szerokiej a specyficznej dziedzinie twórczości, jaką jest science fiction, ogłaszamy nieustający konkurs na

prozę (nowela, powieść) i poezję SF
oraz na
grafikę i malarstwo SF

Prace mogę przesyłać zarówno osoby zajmujące się zawodowo pisarstwem i plastyką, jak i amatorzy – pod adresem naszej redakcji z dopiskiem Konkurs. Nagrodzone prace drukowane będą w „Fantastyce" i honorowane według przyjętych stawek autorskich, wyróżnieniem zaś będzie otrzymanie od redakcji książek z dziedziny SF oraz wymienienie nazwiska osoby wyróżnionej na łamach pisma.
Zastrzegamy sobie drukowanie nagrodzonych prac w całości lub we fragmentach. Powinny być oryginalne i nigdzie dotychczas nie publikowane.
Oczekujemy i zapraszamy. Każda prace będzie skurupulatnie oceniana przez grono specjalistów.

Redakcja.

Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody

Z pewnym opóźnieniem otrzymaliśmy informacje o kolejnych nagrodach przyznanych w ubiegłym roku za dokonania w dziedzinie twórczości fantastyczno-naukowej. Sądzimy jednak, iż wobec dotychczasowego zupełnego braku informacji o nich, nawet spóźnione ich podawanie do wiadomości będzie dla naszych miłośników fantastyki informacją ze wszech miar pożądaną.

Podczas odbywającego się w kwietniu ubiegłego roku w Melbourne w Australii Tschaiconu – konwentu australijskich miłośników i twórców SF – przyznano, równie jak amerykańska nagroda HUGO liczącą się, DITMAR AWARD.



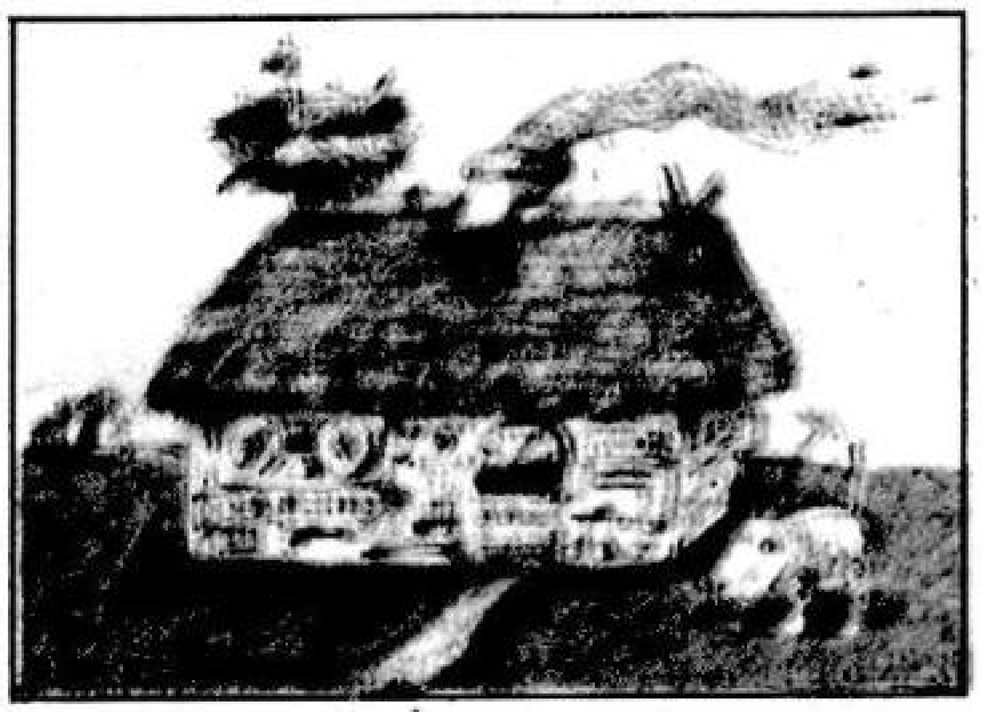
Za najlepszą światową powieść SF australijscy miłośnicy uznali w 1982 roku ***"The Affirmation"*** – utwór angielskiego pisarza młodego pokolenia ***Christophera Prista.***
Nagrodę za najlepszą powieść australijską otrzymała książka ***"The Man Who Lood Morlocks"*** ***Davida Lake'a***
W kategorii opowiadań wyróżniono ***"Where Silence Roles" Keith Taylos***
Najlepszym plastykiem zaś okazała się ***Marilin Pride***

Po zakończeniu VII Europejskiego Kongresu SF w Mönchengladbach obradowało jury przyznające doroczną nagrodę klubu SF w RFN za dokonania minionego roku.
Nagrodą Kurta Lassewitza za rok 1981 wyróżniono:
- w dziedzinie grafiki – ***Thomasa Franke NRD***
- w dziedzinie nowelistyki – ***Ronalda M. Hahna RFN***
- w dziedzinie opowiadań – ***Wolfganga Jeschke RFN***
- w dziedzinie przekładu – ***Horsta Pukalliusa***

Wytypowano też najlepszą niemiecką powieść. Okazała sie nią ***„Der letztetag der Schöpfung" Wolfganga Jeschke.***

Amerykański magazyn SF "Loccus", powszechnie uznawany od kilku lat za najlepsze specjalistyczne pismo SF na świecie, przyznał swoje doroczne nagrody za osiągnięcia w dziedzinie SF w roku 1981.
Laurealami LOCUS AWARD zostali:
w dziedzinie powieści SF
"The Snow Queen" Joan Vigne
w dziedzinie powieści „fantasy"
"Lord Valentine's Castle" Roberta Silverberga
w dziedzinie debiutu powieściowego
"Dragon's Egg" Roberta L. Forwarda
w dziedzinie nowelistyki
"Nightflyers" George'a R.R. Martina
w dziedzinie opowiadań
"The Brave Little Toaster" Thomasa M. Discha
w dziedzinie plastyki
Michael Whelan.

A. Wójcik inf. ESSF i SFCD



...3...2...1...



Ciągle dyskutujemy w redakcji czy potrzebne są komiksy w naszym piśmie. Bardzo nas w tej materii interesuje zdanie czytelników. Pragnęlibyśmy, aby się wypowiedzieli czy w ogóle potrzebny jest komiks SF. Literatura komiksowa stosunkowo mało jest u nas znana, zaś to co się wydaje, znika natychmiast. I nie wiadomo, czy znika dlatego, że niewielkie nakłady, czy – że jest aż tak pożądane. Nasz rynek nie bardzo się nadaje do badań faktycznych zainteresowań. A swoją drogą zaskakuje ilość komiksów we współczesnej zagranicznej praktyce wydawniczej. Pod tym względem Polska stanowi prawdziwy wyjątek.

I rodzi się pytanie: czyżby ludzkość wracała teraz do najpierwotniejszych form porozumiewania się? Zwłaszcza science fiction okazała się szczególnie predysponowana do obrazkowego języka. Nie dzieje się to przypadkowo. Przyczyny zaś nie wydają się znów tak bardzo tajemnicze, jakkolwiek interpretacji można by stworzyć wiele. Żyjemy w ogóle w epoce obrazkowych środków masowego przekazu. W niektórych krajach ich źródła zostały ostatnio mocno wzbogacone, a nas to w bliższej lub dalszej przyszłości na pewno czeka – wideokasety. Biblioteki ruchomych obrazków, wypożyczalnie tych obrazków, zajmują wśród popularnych urządzeń kulturowych coraz więcej miejsca i nabierają coraz większego znaczenia. Czemu wśród nich science fiction lokuje się na czołowym miejscu, dlaczego życie nieznane i nie zaznane, nie zaś autentyczne cieszy się tak dużym powodzeniem?

Powodów jest zapewne sporo. Niebagatelne znaczenie ma czynnik romantycznej niezwykłości, poszukiwanie światów lepszych. Jest też fantastyka swego rodzaju katharsis – uwolnieniem się od strachów przed nieznanym, które nam może zagrażać. Gdy człowiek się nieznanego boi, stara się je zbadać i nazwać. Na tej zasadzie poznawano coraz gruntowniej naszą planetę. Z tych samych pobudek wywodzi się eksploracja Kosmosu. Nie po złote runo – po bogactwa materialne wybierali się i wybierają argonauci, kosmonauci czy astronauci.

Korzyści materialne bywają po prostu jedynym racjonalnym usprawiedliwieniem walki z fobiami, z przerażeniami światem i wszechświatem. A wobec tego mamy już jakby odsłoniętą jedną z tajemnic powodzenia SF. Komiks – pismo obrazkowe, przedstawiające dziwności i ryzyka istnienia, ryzyka przyszłości, bardziej nadąża za wyobraźnią niż wszelkie inne formy wizualne, jakimi człowiek się posługuje w systemie porozumiewania się. Szybko się przyswaja, jest prostszy, łatwiejszy w percepcji.

Narysować da się wszystko. Sfotografować czy sfilmować, nawet z pomocą najbardziej zaawansowanej techniki – wszystkiego nie można, nie uda się po prostu. Narzędzie najstarsze i najprymitywniejsze, jakim jest dłoń artysty, jego własne zręczne palce, wspomagane dość prymitywnymi urządzeniami, doskonalej niż wszelka inna technika współpracują z meandrami człowieczej wyobraźni. A że SF, jak wszelkie śmielsze rozważania o przyszłości – obciążona bywa niepokojem, niepewnością, ryzykiem, stąd i horror w niej, stąd okrucieństwa, stąd ucieczka w erotykę, właściwe także scjentyficznym komiksowym obrazkom.

Podczas zwiedzania targów książki we Frankfurcie z końcem zeszłego roku uderzyły mnie liczne komiksowe oferty w wydawnictwach na całym świecie i to w wyborze dla maluchów, średniaków i osób w każdym wieku. Największe wzięcie miały na targach te obrazki, których autorami byli najznakomitsi rysownicy.

Ale, ale zaczekajmy z wnioskami. Może jedynie oczarowanie zręcznością i przewrotnością mistrzów obrazkowej sztuki każe nam dorabiać pseudofilozoficzne znaczenia do zwyczajnych i w gruncie rzeczy ordynarnych piguł na codzienne kłopoty życiowe, jakimi są SF czy posługujące się fantastyką komiksy? Dyskusja trwa, a przyczynkiem do niej może być to, co zamieściliśmy na kolumnach 57 i 59. Proszę się uważniej przyjrzeć „eksponatom" i zabrać głos w dyskusji „komu i po co komiks", którą niniejszym inicjujemy.

Naszym głosem w dyskusji jest ciągła (może nieco jednak mniejsza niż poprzednio) przewaga tekstów nad ilustracją. A w tych tekstach zwracamy uwagę lubiących operę przestrzeni na dalszy ciąg powieści Mac Appa, na George'a Collonsa błyskotliwe opowiadanie pt. „Krzyżówka" i Baranieckiego „Karlgoro godzina 18". W paradzie wydawnictw pozwalamy sobie zaprezentować w dzisiejszej podróży fantastycznej wydawców bułgarskich i interesującego pisarza z tego kraju Liubena Diłowa w noweli „Ostatni wywiad Adama Susbe".

Proszę także o zapoznanie się z listą bestsellerów i z zamieszczonymi recenzjami z nowych na naszym rynku książek – klasyka Y. G. Ballarda oraz współczesnego polskiego autora – Oramusa. Bardzo prosimy o udział w tworzeniu listy bestsellerów. Jest to bardzo ważny dla nas i dla wydawców sondaż opinii na temat tego, co w ubogiej ofercie naszych oficyn edytorskich naprawdę się podoba, a co nie.

Gorąco zachęcamy do pisania bardzo surowych, szczerych sądów. Tych zaś, którzy interesują się głębiej sprawami SF, znęcą na pewno prace Andrzeja Niewiadowskiego i dra Zdzisława Lekiewicza. Pierwszy dotyka spraw „niewidzialności" w utworach fantastycznych, drugi zastanawia się, jakie cele może spełniać fantastyka unaukowiona.

I jeszcze jedno: ciągle zastanawia ubóstwo naszej fantastyki – ubóstwo edytorskie. Dziedzina, na której się chce zarabiać jest traktowana, jeśli idzie o szatę edytorską, szczególnie po macoszemu. Proszę się przyjrzeć większości naszych książek i porównać je z wydawnictwami, na przykład Bułgarii, pokazujemy właśnie okładki książek bułgarskich. Wystarczy! Jest to zresztą temat do dalszych rozważań. W jednej z następnych podróży.

* * *

P.S. Właśnie nadeszły pierwsze setki listów. Sprawa komiksu zajmuje jedno z czołowych miejsc. Jak widać dla większości Czytelników komiks stanowi integralną cześć publikacji z gatunku SF. Obszerniejsze omówienie korespondencji możliwe będzie dopiero w następnym numerze, już jednak obecnie kładziemy nacisk na pytanie: jeśli komiks to jaki i dla kogo – dla dorosłych albo młodzieży. I jakiego typu: baśniowy, a może z przewagą treści podpartej nauką, czy też przygodowy? Z parą bohaterów lub z bohaterem jednoosobowym – mężczyzną czy kobietą (czemu nie?), dłuższy, czy krótki? Do dyskusji nad komiksem włączyłbym także chętnie rozważania Czytelników na temat sposobu ilustrowania zamieszczanych w Fantastyce odcinków prozy i artykułów.

8-7-6-5-4-3-2-1-1

Adam Hollanek

fantastyka

miesięcznik literatury SF
00-666 Warszawa, ul. Noakowskiego 14
tel. 21 32 46 [illegible]
Redaguje zespół:
Adam Hollanek (red. nacz.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Marek (sekr. red.), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauk.), Krzysztof Szolginia, Andrzej Wolicki (z-ca red. nacz.)
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 96. Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26
Cena prenumeraty: kwart. 150 zł, półr. 300 zł, rocznie 600 zł

Warunki prenumeraty:

● dla zakładów pracy

– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych u listonoszy

● dla prenumeratorów indywidualnych

osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych u listonoszy
osoby zamieszkałe w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych [illegible] na rachunek bankowy [illegible] w Łodzi ul. Kopernika 53 [illegible] NBP I O/M [illegible] 1603

● prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" Warszawa ul. Okopowa 58/72
Druk i oprawa: [illegible] Łódź
Zam. [illegible] N. 150 000 egz.
NR INDEKSU 35839 Z – 109

KRZYŻÓWKA

Nieunikniony problem z telekomunikacją polega na tym, że stosuje się w niej fale ultrakrótkie i niezależnie od tego jak krótkie są promienie i jak doskonale działa aparat, zawsze istnieje ryzyko interferencji. Często zdarza się na przykład, że kiedy oglądamy program a nasz video jest leciutko rozstrojony, możemy odbierać nie tylko C.B.S. z Nowego Jorku na kanale 748, ale równocześnie łapiemy nikły obraz z B.B.C. na kanale 147.

Pewnego dnia w lipcu, zaledwie trzy lata temu, wczesnym popołudniem maciupeńka, doprawdy nieskończenie drobna część wyposażenia Stacji Telekomunikacyjnej NYTS27815 (U.S.A.) na Times Square w Nowym Jorku popsuła się. Była to bardzo mała część i bardzo mała usterka, ale spowodowała ograniczoną interferencję kanałów 27J815 i 27KS815.

Zakłócenia te rozpoczęły się kwadrans po dwunastej i powtarzały się z przerwami do za trzy trzecia, występując tylko wtedy, kiedy obydwa kanały były używane równocześnie, a fale wysyłane w tym samym kierunku. Kiedy stan urządzenia był już na tyle zły, nastąpiło automatyczne usunięcie usterki. W tym czasie jednak młody komiwojażer z Poughskeepie po przybyciu na stację Sunset w Los Angeles spostrzegł, że trzyma w ręku torbę zawierającą 350 000 kart kredytowych wymiany dolar/sterling, podczas gdy Alan B. Schumaker, kurier Chase Manhattan Bank stojąc w sąsiedniej kabinie został uraczony torbą z próbkami kart Armonu zaprogramowanych na rzeczy dla dzieci: pięć gatunków talku o różnych zapachach, dwa rodzaje jednorazowych pieluszek i przenośne łóżeczko. Ponadto 30-letni gerontolog o nazwisku Spivak w drodze z Nowego Jorku na Francuską Riwierę stracił swoje błękitne oczy i został w zamian obdarzony zielonymi ze złotymi błyskami, które przedtem były głównym atutem żigolaka Carlosa wracającego z bardzo niemiłych wakacji ze zgrzybiałą Córą Rewolucji Amerykańskiej do względnego spokoju Promenade des Anglais.

Pomimo drobnych zakłóceń w życiu tych czterech beztroskich ludzi, pomyłki, które do tej pory nastąpiły, miały względnie niegroźne skutki. Ale o 2.51 profesor Irwin J. (Joe) Black, wykładowca literatury XX-go wieku na Uniwersytecie Columbia, lat 35, opalony, ciemnowłosy i przystojny oraz panna Dorothy Simone, szczupła, niezwykle piękna eteryczna blondynka, 26-letnia gwiazda video weszli do kabin 41 i 71 na Stacji Times Square – on sam, ona żegnana przez tłum zachwyconych wielbicieli.

O 2.52 równocześnie nakręcili LO52781 (G.B.). Jedną dziesiątą sekundy później wysoki brunet i szczupła blondynka znaleźli się w kabinach 28 i 42 na Stacji Berkeley Square w Londynie.

Dorota wyszła ze swej kabiny z władczą nonszalancją zrodzoną z doświadczeń słynnej artystki witanej nieraz wybuchami histerii lub innymi kłopotliwymi scenami, ale nie zauważyła nic niepokojącego z wyjątkiem skandalicznej bezczelności niewielkiej grupy osób, które w haniebny sposób ignorowały jej obecność. Wciąż z królewską godnością sunęła wyłożonymi tureckimi dywanami i o ścianach pokrytych lustrami, korytarzami eleganckiej Stacji Telekomunikacyjnej.

Nie tyle próżność ile świadomość swej oszałamiającej urody spowodowała, że opanowała ją wściekłość, kiedy spostrzegła, że idący w jej kierunku bardzo przystojny opalony brunet w brązowym ubraniu nie tylko nie poznał jej, ale co gorsza, zupełnie nie okazał zachwytu.

Dorota była w pewnym sensie znawczynią męskiej urody, ale tym razem jej estetyczne odczucia zostały zatarte przez urazę jakiej doznała jej próżność. Idąc wprost na tego zarozumialca miała zamiar przemówić do niego i byłaby to zrobiła, gdyby nie powstrzymało jej nagłe zdanie sobie sprawy, że w tym właśnie miejscu korytarz skręcał gwałtownie w prawo i że w ciągu ostatnich paru minut szła nie w kierunku młodego mężczyzny, ale swego odbicia w lustrze.

Zderzenie Irwina z rzeczywistością było znacznie gwałtowniejsze. Zostało to częściowo spowodowane tym, że nie był przyzwyczajony do wychodzenia z kabiny TK wprost w objęcia wrzeszczącego tłumu wielbicieli i prasy. Ponadto jego mózg wysyłał polecenia przeznaczone dla stóp obutych w luźne zamszowe buty, a które to polecenia były odbierane przez nogi zakończone delikatną konstrukcją, zrobioną z kilku centymetrów kwadratowych skóry, paseczka i sześciocentymetrowych szpilek.

Ku nieopisanemu zadowoleniu tysiąca istot płci męskiej oraz reporterów ciało subtelnej acz świetnie zbudowanej gwiazdy video, pomimo że zaopatrzone w mózg angielskiego profesora, runęło na podłogę.

Reakcja obojga była jednakowo niezgodna z ich wyglądem. Podróżni korzystający z kabin na pierwszym piętrze Stacji TK Berkeley Square mieli okazję zobaczenia ataku histerii wysokiego mężczyzny o atletycznej budowie, podczas gdy połowa eleganckiego światka Londynu przypatrywała się z zachwytem angielskiej blondynce, z której różanych ust sypały się słowa godne opryszka z przedmieść.

Dorotę opanowało przykre uczucie. Coś było nie tak, ale nie wiedziała co. Zdawała sobie jedynie sprawę, że jest to coś kojarzącego się z mężczyzną. Po prostu, jako niepaląca, nie potrafiła rozpoznać przemijania objawów głodu nikotynowego w ciele zdrowego 30-letniego mężczyzny. Dręczona nieznośnymi uderzeniami, brała niewielki udział w toczącej się rozmowie. Chłodna, spokojna i opanowana siedziała starając się wewnętrznie uspokoić.

Natomiast zakłopotany Irwin wyglądał jak żywe wcielenie niewinności i bezradności. Jego jasne włosy w nieładzie, oczywiście zachwycającym, ogromne fiołkowe oczy, którym łzy dodały jeszcze bardziej oszałamiającego blysku, drżące wargi – urok Doroty Simone jako jednej z najpiękniejszych kobiet świata zawsze bazował na opiekuńczym instynkcie, jaki wyzwala w mężczyznach bezradność.

W tym momencie Dawida Wallece'a, przedstawiciela Zarządu Telekomu (U.S.A.) w Anglii, na widok tak uroczej istoty siedzącej naprzeciw niego, opanowała nieprzeparta chęć wzięcia jej... jego... hm... Irwina w ramiona i zatamowania pocałunkami tych łez. Jedyne co go powstrzymało to świadomość, że on i Irw Black mieszkali jako dzieci w tym samym bloku, bawili się razem, chodzili do tej samej szkoły, wspólnie wkraczali w dorosłe życie za czasów studenckich. Sytuacja była kłopotliwa i szalenie skomplikowana

„No tak, Dawidzie" – powiedział błagalnym tonem Irwin – „łatwo powiedzieć, że jest ci bardzo przykro, ale co zamierzasz zrobić?"

„Proszę się nie martwić panno Si..., to znaczy Irwinie. Zapewniam, że Zarząd Telekomu zapłaci wam odpowiednie odszkodowanie za ten bardzo nieprzyjemny wypadek."

„Co mi przyjdzie z odszkodowania? Ja chcę z powrotem mieć moje ciało. Jak ja się w tym stanie pokażę moim studentom?"

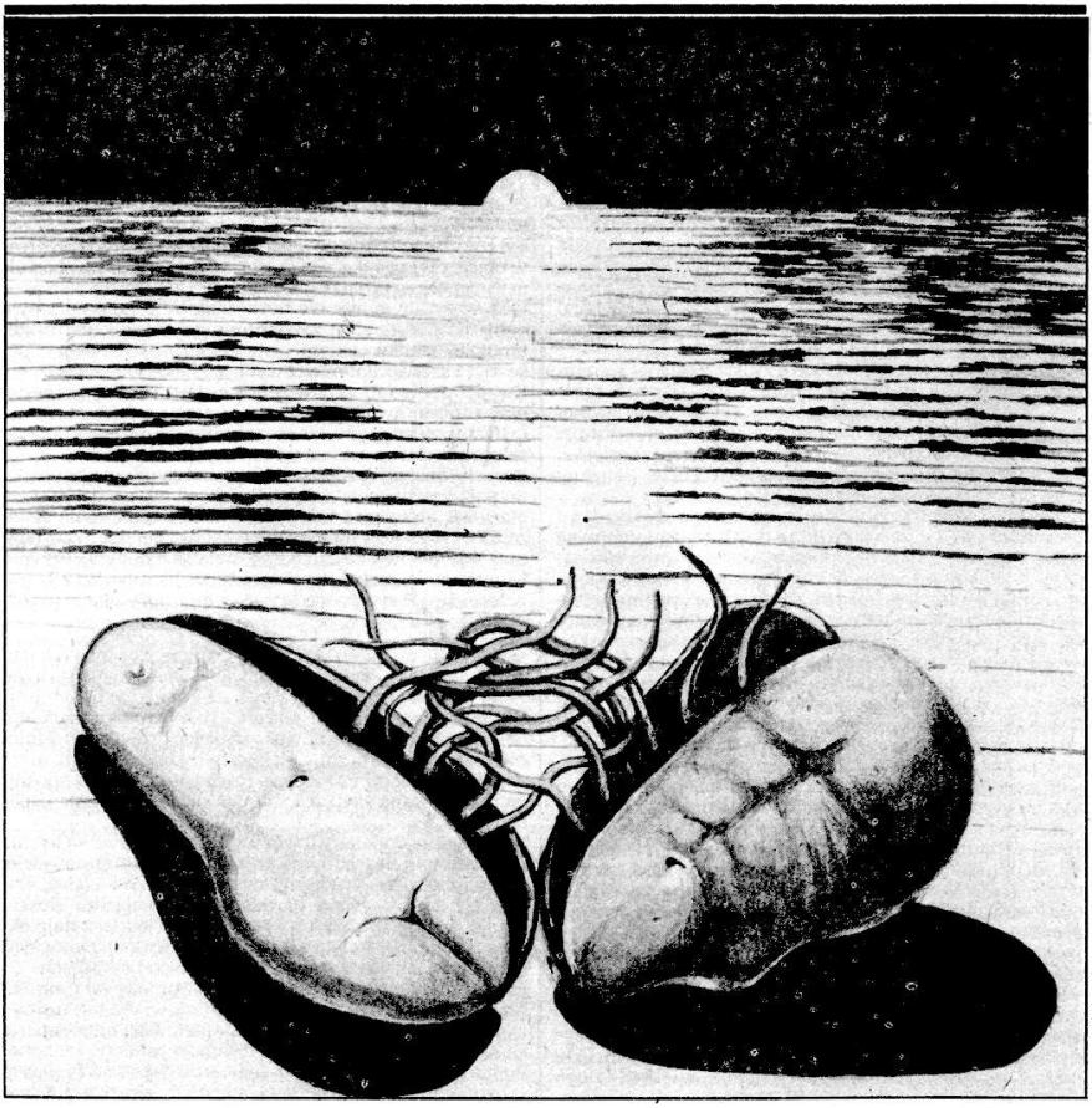
„Ależ świetnie wyglądasz. Czy nie mógłbyś się z tą sytuacją pogodzić? W końcu jesteś teraz bardzo atrakcyjną kobietą. Jestem pewien, że miliony podlotków na całym świecie pragnęłoby wyrosnąć na tak piękną istotę."

„Zapominasz, że nigdy nie byłem podlotkiem i nigdy nie miałem ambicji, by wyrosnąć na cokolwiek innego niż na zupełnie normalnego mężczyznę. I teraz chcę po prostu wrócić do tego oto ciała i sądzę, że panna Simone też marzy o ponownym otrzymaniu tego co do niej należy."

„Cóż, istnieją pewne trudności, ale natychmiast po otrzy-

George Collyn ma 43 lata i mieszka w południowo-zachodniej części Lancashire. Jest kawalerem, obecnie pracuje jako nauczyciel. Roupoczął karierę pisarską w latach sześćdziesiątych, jego opowiadania i artykuły wydawane są w wielu gazetach i czasopismach.

„Krzyżówka" była pierwszym z opublikowanych przez niego opowiadań i zapoczątkowała jego współpracę z czasopismem „New Worlds".



maniu informacji o waszym przypadku poleciliśmy naszej grupie badawczej zająć się tym problemem i istnieje duże prawdopodobieństwo, że za jakieś kilka miesięcy znajdą właściwe rozwiązanie. Nigdy dotąd nie zawiedliśmy się na nich."

„On mówi za kilka miesięcy! A co ja mam w tym czasie zrobić? Jutro mam wykład w University College. Jak sądzisz, co studenci powiedzą, kiedy słodka blondynka o światowej sławie wygłosi wykład na temat Logicznego Pozytywizmu w XX-wiecznej literaturze fantastyczno-naukowej?"

„Proszę nie zapominać o mnie" – wtrąciła Dorota, jeszcze niezupełnie kontrolując swój basowo brzmiący głos – „jutro mam zagrać w sztuce, która będzie transmitowana na cały świat i która mogłaby być punktem zwrotnym w mojej karierze. Wspaniale będę wyglądać teraz w roli 18-letniej dziewczyny."

„Jedyne co mogę zaproponować w tej sytuacji, to to, żebyście spróbowali, tylko przez ten jeden dzień, pełnić nawzajem obowiązki. Oczywiście zapewnimy wam naszą pomoc, na tyle, na ile będziemy w stanie to zrobić. Na początek myślę, że umieścimy was w pokojach hotelu stacji TK Berkeley, żebyście mogli omówić te sprawy."

„W jednym dwuosobowym pokoju" – powiedziała Dorota, z rezygnacją ale stanowczo.

„Nie zgadzam się" – krzyknął Irwin – „nie będę dzielił pokoju z tobą... tym mężczyzną!" Jako hipochondryk Irwin zawsze mocno przeżywał wszystkie sytuacje losowe i choroby, na które narażony jest każdy człowiek, ale do tej pory czuł się bezpieczny przynajmniej jeśli chodzi o jedno. Mógł się pogodzić z ojcostwem, ale jakiż mężczyzna chciałby podjąć ryzyko zostania matką?

„Z całą pewnością dwuosobowy pokój" – nalegała Dorota. – „Może pan myśleć co chce, ale ta twarz i to ciało są moim najcenniejszym dobytkiem. Nie mam najmniejszego zamiaru powierzyć ich temu mężczyźnie."

„Ale" – wyjąkał Irwin.

„Czy czuje się pan skrępowany?" – zapytała Dorota. „Niech pan się zastanowi. Do tej pory żył pan w tym ciele, a ja w tamtym. Powinniśmy zatem wiedzieć jak każde z nas wygląda. Kto może sobie pozwolić na skromność w takiej sytuacji?"

Mimo to Irwin znów tonął we łzach.

Następnego ranka ubranie i przygotowanie Irwina zajęło Dorocie dwie godziny. Musiał oczywiście spróbować ubrać się sam, co udało mu się uczynić dopiero po wygłoszeniu długiej tyrady na temat absurdalnej niepraktyczności damskiej bielizny. Następnie musiał powtórzyć wszystko od początku na skutek zdecydowanego protestu Doroty, która oskarżyła go o zupełny brak smaku w doborze elementów stroju i kolorów. W końcu podjął trzy zakończone równie opłakalnym skutkiem próby umalowania się. Wreszcie przy pomocy Doroty doprowadził się do stanu, w jakim mógł się pokazać światu.

Po tych wszystkich przygotowaniach skrzyżowana para udała się na pierwsze umówione spotkanie. Zarząd Tele-

komu zaopatrzył ich w zminiaturyzowany nadajnik i odbiornik, z których pierwszy ukryty został w naszyjniku z pereł okalającym szyję Irwina, a drugi w uchu Doroty. W ten oto sposób Irwin, pośpiesznie przedstawiony jako dawna przyjaciółka, mógł podpowiedzieć Dorocie nazwiska witających ją osobistości a także zdanie po zdaniu przekazywać jej wykład, który miała wygłosić.
To było świetne.
Nieśmiałemu Irwinowi nikt nie mógł zarzucić braku wiedzy, ale jego sposób mówienia był pośpieszny, monotonny i nudny. Po raz pierwszy opracowany przez niego tekst wygłoszony został przez utalentowaną i doświadczoną aktorkę, która potrafiła go ożywić. W rezultacie po zakończeniu nastąpiły długie brawa i wszyscy wstali by wyrazić swoje uznanie. Dorota jako gwiazda video nigdy przedtem nie miała bezpośrednio do czynienia z publicznością i to nowe przeżycie oszołomiło ją zupełnie. Kłaniała się i machała ręką klaszczącemu zgromadzeniu
Pragnąc podziękować za takie doświadczenie odwróciła się i pocałowała Irwina, co wywołało jeszcze burzliwszy aplauz publiczności. Całe wydarzenie było sensacją.
Sześć godzin później, po próbie, nadajnik wetknięty został w jeden z krawatów Irwina i zawieszony na szyi Doroty, a odbiornik schowany pod starannie ułożonymi jasnymi włosami. Irwin miał zadebiutować jako aktor. Na szczęście była to staroświecka sentymentalna sztuka, w której miał zagrać rolę sentymentalnej głuchoniemej dziewczyny. Musiał po prostu poruszać się zgodnie z instrukcjami Doroty i wyglądać na zaszokowanego i przerażonego, co biorąc pod uwagę skierowaną na niego baterię świateł i kamer video, nie wymagało żadnych zdolności aktorskich.
Jedyny niezręczny moment nastąpił w kulminacyjnym punkcie sztuki, kiedy bohater wziął go w ramiona. Męski instynkt nakazywał mu odsunąć się i strzelić tego faceta w nos, ale chociaż wszystkie jego ośrodki mózgowe były męskie, to reszta systemu nerwowego w 100 procentach należała do kobiety i zwyciężyła osobowość kobiety, tak że automatycznie zareagował we właściwy sposób.

Dot kochanie". – Abe Schultz, agent panny Simone, dzwonił z Hollywood. „Skarbie, byłaś wspaniała. Siedzieliśmy z Al oglądając twoją grę i, kochanie, wzruszyliśmy się do łez. Między nami mówiąc, skarbie, ostatnio trochę martwiliśmy się o ciebie. Zdawało nam się, że tracisz swój dobry ciepły styl – stając się jakby bardziej niezależna, wiesz o co mi chodzi.
Ale dzisiaj odwołuję to co powiedziałem: byłaś po prostu świetna i wszyscy, dosłownie wszyscy są tego samego zdania. Zasypały nas nowe propozycje i mam coś specjalnie dla ciebie. Ma to być nowa wersja starego filmu pod tytułem „Zamiana", faceta, który nazywa się Thorne Smith. Historia jednego gościa i jego żony, którzy zostają zamienieni na siebie nawzajem, bo narazili się czarodziejskiemu posągowi. Wiem, że nie sposób wyobrazić sobie jak można by z ciebie zrobić mężczyznę, ale jak wszystko się uda, to jakoś się ciebie ucharakteryzuje, bo to byłoby coś wspaniałego, że dałabyś sobie radę."

Black" – mówił przez visifon z Nowego Jorku rektor Lockweiler – „wszyscy z naszego wydziału uznaliśmy, że należy zadzwonić do ciebie, by poinformować cię o naszym zadowoleniu z wiadomości o tym jak przyjęty został twój wykład w Londynie. Muszę wyznać, że ostatnio słyszałem krytyczne uwagi pod twoim adresem.
Według słusznej czy też niesłusznej opinii większości, niezależnie od twojej wiedzy i zalet umysłu, powinieneś zwracać większą uwagę na umiejętność przekazywania swojej wiedzy szerszym kręgom słuchaczy.
Do tej pory nie najlepiej ci to wychodziło. Ale po wczorajszym sukcesie mogę z całą szczerością powiedzieć, że sądzimy, iż osiągniesz wiele i że mamy wobec ciebie wspaniałe plany."

No cóż" – powiedział Dave Wallace – „trudno wyrazić jak jest mi przykro, że trwało to tak długo, ale z pewnością rozumiecie, że musieliśmy się uporać z poważnymi technicznymi trudnościami i właściwie w stosunku do stopnia trudności sześć miesięcy to i tak niewiele czasu. Zresztą wystarczy już tych przeprosin, jestem pewien, że o wiele bardziej interesuje was rezultat naszej pracy."
Przerwał, obserwując uważnie ich reakcję. I musiał przyznać, że zdziwiła go mocno i zaintrygowała. Pomimo wcześniejszych usilnych nalegań by błąd firmy został szybko naprawiony, teraz zdawali się przyjmować wiadomość o rychłym rozwiązaniu problemu z zaskakującą obojętnością. Ponadto, o ile przedtem byli do siebie raczej wrogo nastawieni, teraz wyglądali na szczerze zaprzyjaźnionych. Mówił jednak dalej:
„Wszystko wskazuje na to, że na skutek interferencji między dwoma równoległymi promieniami wasze mózgi zostały zamienione bez jakiegokolwiek innego oddziaływania na wasz stan fizyczny. Wprawdzie powtórzenie tego procesu nie dałoby żadnej pewności sukcesu, ale przygotowaliśmy aparat telekomunikacyjny, który może rozłożyć i przetransportować wasze ośrodki pamięci – innymi słowy przenieść sumę doświadczeń tworzących wasze osobowości i świadomość z jednego ciała do drugiego."
Uśmiechnął się do nich triumfalnie. Dorota-ex-Irwin odpowiedziała mu z nieśmiałym uśmiechem: „Jest mi doprawdy bardzo przykro, że podjęliście cały ten trud nadaremnie, ale widzisz, myślę że wszystko to będzie wcale niepotrzebne" przerwała/przerwał i spojrzała na swego/swoją partnera/partnerkę. „Irwin i ja przekonaliśmy się jak bardzo nam z tym dobrze. Oboje odnosiliśmy przedtem sukcesy w naszym życiu zawodowym, ale zupełnie nie układało nam się życie osobiste, co zaczynało już wpływać negatywnie na naszą pracę. Wydaje się niemalże, że wypadek ten wydarzył się specjalnie po to, by uczynić z nas lepszych, bardziej wartościowych i szczęśliwszych ludzi. Tak więc wasza maszyna nie będzie nam wcale potrzebna."
„Poza tym" – wtrącił Irwin-ex-Dorota, ślicznie się rumieniąc, „w zeszłym tygodniu poprosiłem Dorotę o rękę i zgodziła się".

Zdarzyło się to niewiele ponad dwa lata temu i mimo że panna Simone znana była z niepowodzeń małżeńskich, wszystko wskazuje na to, że jest to trwały związek i zawsze takim pozostanie. W końcu najbardziej kocha się samego siebie. Wyobraźcie sobie jak to musi być, jeśli uda się oddzielić od siebie swoje własne „ja" i je poślubić. Pomyślcie tylko: miłość może pokonać wszelkie trudności, a co dopiero taka ego-centryczna miłość.
Dorota-ex-Irwin pracowała jeszcze przez jakiś czas, lecz później porzuciła swoją obiecującą karierę aktorską, by zająć się edukacją Irwina i uczynić z niego równy sobie autorytet w dziedzinie literatury angielskiej. Udało jej się to znakomicie, gdyż brak inteligencji dawnej panny Simone był jedynie pozą ze względu na jej karierę aktorską. Są obecnie najmocniejszą parą na uniwersytecie, a może nawet we wszystkich 50 stanach.
Odejście Doroty ze sceny zostało przyspieszone przez pojawienie się na świecie Irwina juniora, do którego kilka miesięcy temu dołączyła Dorota jr. Jest to urocza para dzieciaków i duma rodziców. Przede wszystkim jednak, najważniejsze jest dla państwa Black zajęcie, polegające na udzielaniu porad osobom, które znalazły się w takiej samej jak oni sytuacji.
W końcu trudno byłoby oczekiwać od firmy, że odstawi do lamusa skomplikowane urządzenie, którego skonstruowanie zajęło sześć miesięcy. Tak więc Aparat do Transferu Osobowości, znany pod nazwą ATOS, znalazł swoje zastosowanie. Na świecie istnieje mnóstwo światłych i niezwykłych umysłów skazanych na pogrzebanie w nieuleczalnie chorych lub zestarzałych ciałach.
Równocześnie istnieje wiele zdrowych ciał z chorymi umysłami – nieuleczalnie obłąkanych, psychopatów, morderców. Jak wiele może transfer dać ludzkości w takich przypadkach. Często zdarza się jednak, że ciało i umysł nie są zgodne: występują różnice płci, wieku i rasy. W przystosowaniu się do życia takim właśnie ludziom pomagają państwo Black. Ponadto, mniej znanym faktem jest, że ATOS jest również używany w poradnictwie matrymonialnym. Daje możliwość dwutygodniowego wglądu w psychikę żony lub męża... Osiągnięto wspaniałe rezultaty.
Kończąc chciałbym tylko jeszcze zwrócić uwagę na to, że być może otaczające was osoby nie są wcale tymi samymi, którymi były wczoraj lub będą jutro.

Przełożyła Anna Miklińska

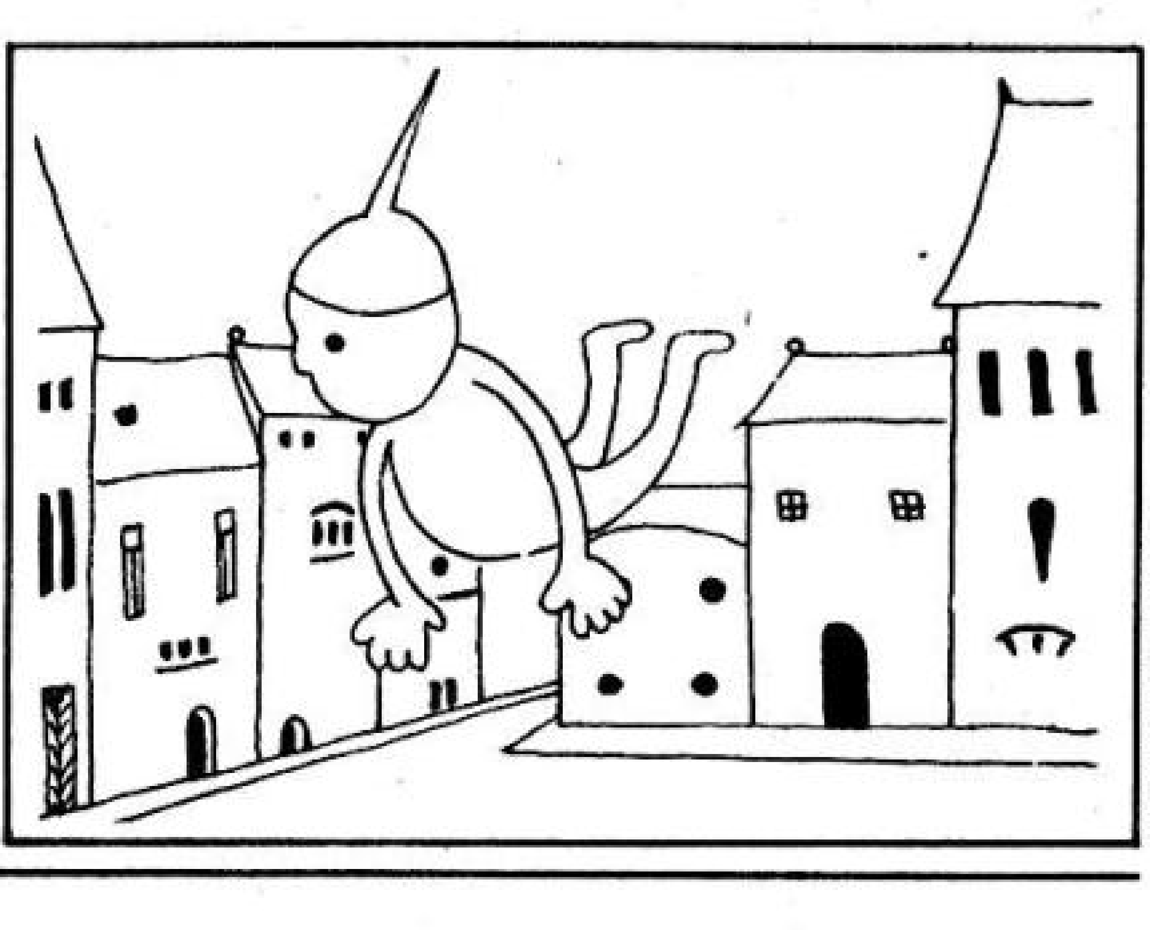
To jeszcze nie koniec

Zielonkawe światło działało w metalowym sześcianie deprymująco. Bladotrupia skóra istoty siedzącej przy tablicy rozdzielczej wydzielała jak gdyby zielonkawy blask. Jedyne oko tej istoty, umieszczone pośrodku czoła obserwowało uważnie siedem zegarów. Czyniło to bez przerwy, od chwili opuszczenia przez statek Xandoru. Rasa, do której należał Kar 388 nie znała snu. Nie znała też litości. Wystarczyło przyjrzeć się twardym, wyostrzonym rysom poniżej oka, by mieć co do tego pewność.
Na zegarach 4 i 7 wskazówki wskazywały, że sześcian zatrzymał się w przestrzeni przed swoim najbliższym celem. Kar pochylił się do przodu i prawą, górną ręką popchnął uchwyt stabilizatora. Uczyniwszy to wstał i przeciągnął się.
Następnie zwrócił się do swego towarzysza, istoty takiej samej, jak on.
– No więc oto pierwszy etap naszej podróży, Gwiazda Z-56 89. Gwiazda ta posiada dziewięć planet, z których jedna tylko, trzecia jest zamieszkała. Mam nadzieję, że znajdziemy tu istoty, które będziemy mogli wykorzystać w charakterze niewolników.
Lal 16b, który przez cały czas podróży siedział nieruchomo, wstał i również przeciągnął się.
– Zawsze musimy żywić podobną nadzieję – powiedział. – Gdyby tak było, wrócilibyśmy na Xantor w glorii sławy, a nasza flotylla przybyłaby tutaj po niewolników. Ale nie cieszmy się zawczasu. Gdyby się nam to udało za pierwszym razem, byłby to prawdziwy cud. Prawdopodobniejsze jest to, że będziemy musieli zbadać przynajmniej z tysiąc takich planet...
– No to zbadamy ich tysiące – rzekł Kar wzruszając ramionami. – Lunakowie już prawie całkowicie wyginęli i jeśli nie znajdziemy rasy niewolników, którzy mogliby ich zastąpić, nie będziemy w stanie eksploatować naszych kopalń. Usiadł ponownie przy tablicy rozdzielczej i nacisnąwszy guzik uruchomił monitor zbliżenia.
– Znajdujemy się pod połową planety pokrytą ciemnościami nocy – rzekł spoglądając w monitor. – Dużo tu chmur, które utrudniają widoczność. Przejdę do ręcznego kierowania statkiem.
Nacisnął kilka guzików.
– Spójrz Lal – powiedział. – Regularnie mieszczone światła. Jakieś miasto! Ta planeta jest naprawdę zamieszkała! Lal usiadł ponownie przed tablicą i również spojrzał w monitor.
– Nie mamy potrzeby obawiania się czegokolwiek – zauważył. – Nawet śladu pola sił wokół miasta. Wiedza naukowa tych istot musi być szczątkowa. Gdybyśmy byli zaatakowani, można by zniszczyć to miasto jedną salwą.
– Słusznie – rzekł Kar. – Tylko przypominam ci, że celem naszej misji nie jest zniszczenie. Przynajmniej tym razem. Potrzeba nam na razie kilka próbek. jeśli próbki okażą się zadowalające, nasza flotylla zabierze stąd tysiące niewolników – tyle, ile nam potrzeba. Dopiero później będziemy mogli dokonać dzieła zniszczenia. I, mój drogi, zniszczymy nie miasto, ale całą planetę, bo cywilizacja, która ją zamieszkuje rozwija się i kto wie, czy jej mieszkańcy nie mogliby pewnego dnia próbować zemsty...
– Dobra, już dobra – powiedział Lal, sprawdzając potencjometr. – Włączę megrapole i będziemy niewidoczni. Chyba, że te istoty posiadają oczy zdolne widzieć promienie ultrafioletowe – w co wątpię znając widmo ich promienia słonecznego.
Sześcian zniżał się, podczas gdy światło, które rzucał przechodziło z zieleni w kolor fioletowy, nastepnie przekroczyło długość tej fali. Pojazd zatrzymał się cicho, a Kar uruchomił mechanizm włazu.
Wysiadł, a za nim Lal.
– Zobacz – powiedział Kar – dwie istoty dwunożne. Dwoje rąk, dwoje oczu... Podobni są do Lunaków. Chyba trochę mniejsi. Oto dwie próbki, jakich nam potrzeba.
Uniósł swą lewą, dolną rękę, której trzy palce dzierżyły cienki pręt ze splecionych drucików miedzianych. Dotknął prętem najpierw jedną, później drugą z istot. Z prętu nie wydobył się żaden promień, ale obydwie istoty znieruchomiały, jak dwa posągi.
– Nie są zbyt wielcy – zauważył Lal. Zaniosę ich na statek, a badania dokonamy już w kosmosie.
– Masz rację. Dwie takie istoty wystarczą w zupełności. Tym bardziej,że jedna jest samcem, a druga samicą.
W chwilę później sześcian uniósł się w powietrze. Gdy tylko statek znalazł się poza atmosferą, Kar włączył stabilizator i zbliżył się do Lala, który tymczasem rozpoczął badania obydwu próbek.
– To są ssaki – powiedział Lal. – Pięć palców, ręce nadające się do wykonywania precyzyjniejszych prac. Oczywiście dla nas nie ręce mają znaczenie, lecz inteligencja. Kar wyciągnął z szuflady dwie pary kasków. Lal jeden kask nałożył sobie na głowę, a drugi na głowę istoty, którą badał. Kar uczynił z drugą istotą to samo.
Po kilku minutach spojrzeli na siebie rozczarowani.
– Siedem punktów poniżej normy – powiedział Kar. – Nie ma mowy, by ich wyuczyć najzwyklejszych prac w naszych kopalniach. Nie zrozumieliby najprostszych rozkazów. Najwyżej sprowadzimy je do naszego muzeum...
– No to co? Niszczymy planetę?
– Chyba nie warto. Za jakieś milion lat, o ile nasza rasa będzie jeszcze do tego czasu istniała, istoty te będą wystarczająco rozwinięte, aby je wykorzystać w charakterze niewolników. Trudno. Trzeba będzie szukać w innym systemie słonecznym i na innych planetach...

* * *

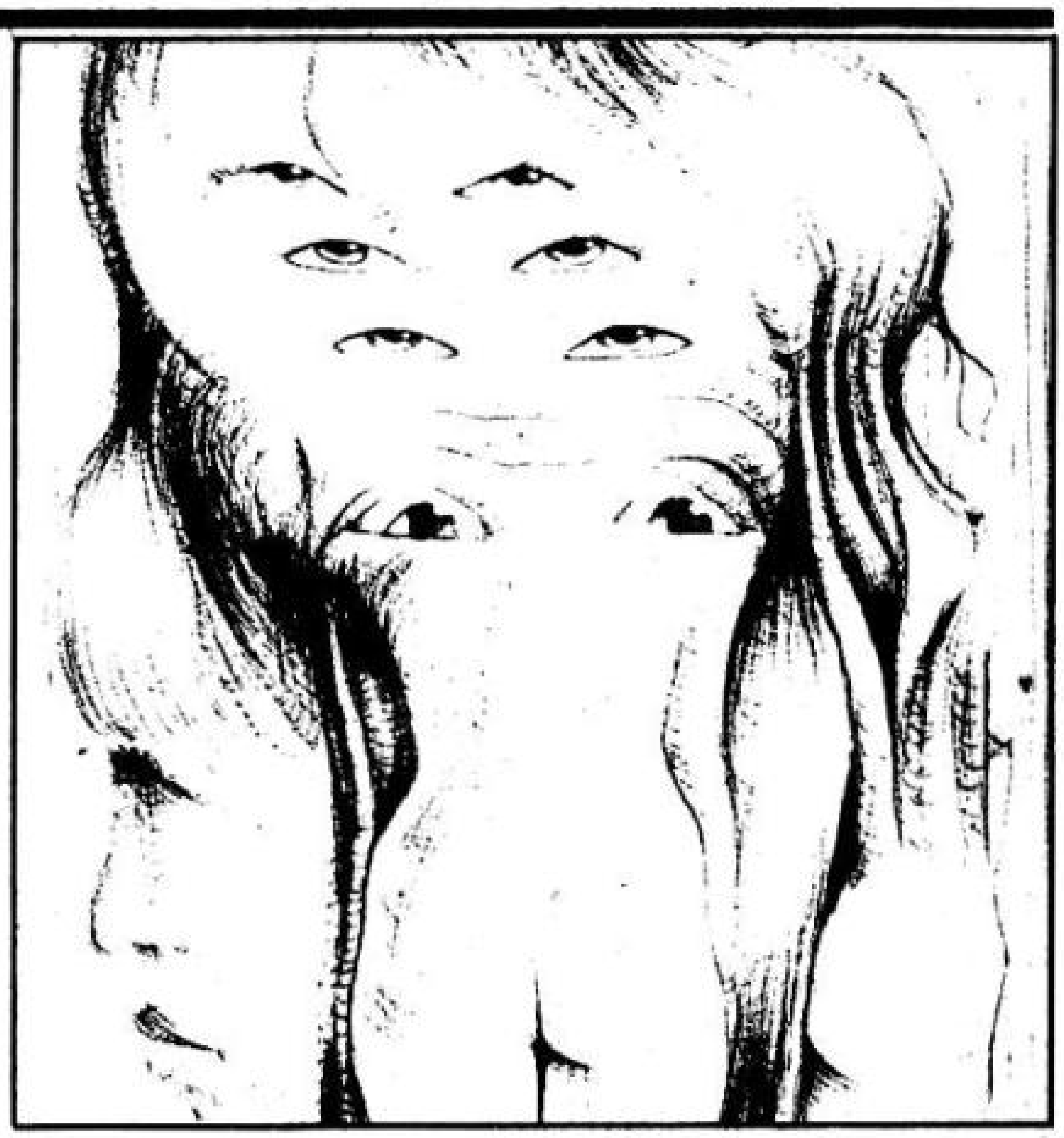
Sekretarz Redakcji „Milwakue Star" siedział nad makietą i kończył właśnie kolumnę miejską. Jenkins, metrampaż pokazał mu wolne miejsce na końcu strony.
– Mam tu dziurę na ósmej kolumnie – powiedział – zmieszczę tu dziesięć wierszy z tytułem. A tu są dwie wiadomostki w sam raz.
Sekretarz redakcji rzucił okiem na skład. Umiał go odczytać w odwrotnym kierunku.
– Ta jedna jest o zebraniu kółka rolniczego, a druga o jakieś historii, która wydarzyła się w ogrodzie zoologicznym. Weź lepiej tę notatkę o kółku rolniczym, bo kogo to właściwie może zainteresować, że dyrektor ZOO sygnalizuje niewytłumaczone zniknięcie dwóch małp?

Przełożył A.M.


Katarzyna Raczkowska

Przełożył Adam Pietrasiewicz

Dowódca

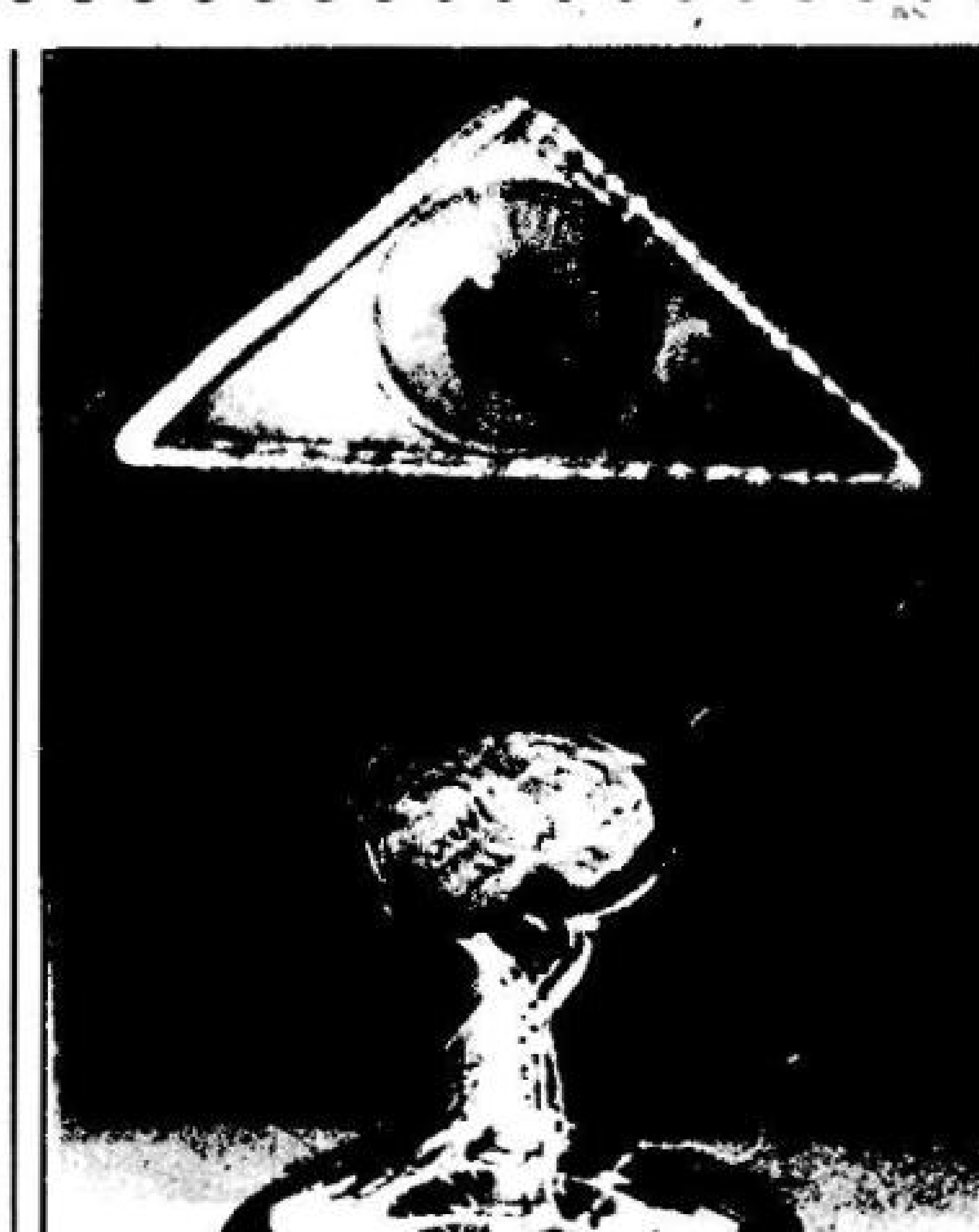


Ryszard Wojtyński

– Pierwsza wyprawa na Marsa – mówił profesor historii – ta, która poprzedziła wstępną eksplorację przez statki rozpoznawcze, przysporzyła wielu problemów. Miała być początkiem dla stałej kolonii na tej planecie, a w jej skład wszedł tylko jeden mężczyzna.
Podstawowym problemem było pytanie: ile kobiet i ilu mężczyzn powinno wejść w skład ekspedycji składającej się z trzydziestu osób.
Starły się trzy teorie.
Wedle pierwszej statek kosmiczny powinien zabrać piętnastu mężczyzn i piętnaście kobiet, spośród których większość znajdzie sobie partnerów i w ten sposób w szybkim czasie powstanie kolonia.
Druga teoria zakładała wysłanie dwudziestu pięciu mężczyzn i pięciu kobiet (wszyscy mieli być uprzednio zobowiązani do zrzeczenia się roszczeń do monogamii), a to ze względu na to, że pięć kobiet może łatwo usatysfakcjonować dwudziestu pięciu mężczyzn, zaś tyluż mężczyzn tym bardziej zadowoli pięć kobiet.
W końcu zwolennicy trzeciej propozycji twierdzili, że ekspedycja powinna się składać z trzydziestu mężczyzn, ponieważ będą oni mogli lepiej się skupić na pracy bez obecności kobiet. Ponadto dodawali, że ponieważ w ciągu roku miał przylecieć następny statek międzyplanetarny, będzie on mógł dowieźć kobiety. Rok abstynencji nie może być uznany za zbyt wielkie obciążenie dla mężczyzn, którzy nawykli do poświęceń, jako że szkoły kadetów, męska i żeńska, skrupulatnie przestrzegały rozdziału płci i celibatu.
Dyrektor Biura Wypraw Międzyplanetarnych rozstrzygnął problem w sposób prosty. Postanowił... Tak, słucham panią, panno Ambrose?
Dziewczyna wstała z miejsca.– Panie profesorze, czy mówi pan o ekspedycji kierowanej przez kapitana Maxona? Tego, którego nazwano Maxon Champion? Czy może nam pan opowiedzieć, skąd się wziął ten przydomek?
– Zaraz do tego dojdę, panno Ambrose. W młodszych klasach opowiadano wam oczywiście historię tej wyprawy, ale nie całą historię. Jesteście teraz wystarczająco dorośli, by ją usłyszeć w całości.
Dyrektor Biura Wypraw Międzyplanetarnych zakończył spór zapowiadając, że członkowie wyprawy zostaną wybrani drogą losowania bez brania pod uwagę płci, spomiędzy wszystkich uczniów ostatnich klas obu szkół kadetów. Jasne było, że dyrektor był zwolennikiem drugiej teorii – ostatecznie klasy szkoły męskiej liczyły pięciuset kadetów, zaś żeńskiej stu. Rachunek prawdopodobieństwa powinien doprowadzić do wyniku – dwudziestu pięciu mężczyzn i pięć kobiet.
Tyle że rachunek prawdopodobieństwa nie ma zastosowania przy krótkich seriach. I zdarzyło się, że w losowaniu dwadzieścia dziewięć kobiet wyciągnęło los. Mężczyzna tylko jeden.
Wszyscy, oprócz oczywiście szczęśliwych zwyciężczyń, zaprotestowali, ale dyrektor był uparty i odmówił wprowadzenia zmian na liście załogi. Jedynym ustępstwem było przychylenie się do żądań męskiej części opinii publicznej, by Maxon został dowódcą. Statek odleciał, podróż przebiegała bez zakłóceń.
Kiedy wylądowała druga ekspedycja, kolonia na Marsie była dwukrotnie większa, dokładnie dwukrotnie. Każda z kobiet miała dziecko, jedna dwojaczki, co razem daje trzydzieścioro dzieci.
Tak, tak panno Ambose, widzę, że podnosi pani rękę, ale proszę pozwolić mi kontynuować. To prawda, nie ma nic sensacyjnego w tym co wam opowiedziałem do tej chwili. Być może niektórzy powiedzą, że to nie wypada, ale twierdzę, że nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że mężczyzna mający czas spowodował ciążę u dwudziestu dziewięciu kobiet.
Przydomek kapitana Maxona pochodzi stąd, że prace przy statku drugiej ekspedycji trwały krócej niż przewidywano i że przybyła ona nie po roku, a po dziewięciu miesiącach i dwóch dniach od wyruszenia pierwszej.
Czy wystarczy pani taka odpowiedź na zadane pytanie, panno Ambrose?

■

Odpowiedź



Maryna Wiśniewska

Dwar Ev uczciwie użył złota przy ostatnim lutowaniu. Obiektywy dwunastu kamer telewizji obserwowały jego każdy ruch, a fale radiowe niosły przez wszechświat utysiąckrotniony obraz tego co właśnie dokonywało się.
Podniósł się, dał znak Dwar Reynowi, a następnie przesunął się do dźwigni, która uruchomiłaby wszystko. Dźwigni, która połączyłaby wszystkie ogromne komputery z wszystkich zamieszkanych planet wszechświata – a było ich dziewięćdziesiąt sześć bilionów – jednym wielkim obwodem. W ten sposób wszystkie te wspaniałe sztuczne mózgi stałyby się monstrualną maszyną cybernetyczną oplatającą i zawierającą wiedzę wszystkich galaktyk.
Dwar Reyn powiedział kilka krótkich słów do trylionów widzów przy odbiornikach. Następnie, po chwili ciszy powiedział:
– Teraz, Dwar Evie.
Dwar Ev przesunął dźwignię. Dał się słyszeć silny hałas. To łączyły się prądy dziewięćdziesięciu sześciu bilionów planet. Zabłysły światła, potem znikły.
– Zaszczyt zadania pierwszego pytania przypada tobie, Dwar Reynie.
– Dziękuję ci – odpowiedział Dwar Reyn – to będzie pytanie, na które nie odpowiedziała jeszcze żadna maszyna cybernetyczna.
Odwrócił się do konsolety.
– Czy istnieje Bóg?
Ogłuszający głos odpowiedział bez wahania, bez jednego mrugnięcia światełka.
– Tak, teraz już istnieje Bóg.
Skurcz przerażenia błysnął na twarzy Dwar Eva. Skoczył, by cofnąć dźwignię. Ale w tym momencie niebo rozbłysło gwałtowną błyskawicą, która zmiotła Dwar Eva i zablokowała na wieki dźwignię, którą wcześniej sam przesunął.

Pierre Marlson należy do francuskich pisarzy parających się political fiction. Poniższe opowiadanie może służyć za przykład francuskiej twórczości SF kontestującej współczesne społeczeństwo kapitalistyczne. Należy ono do cyklu opowiadań pod wspólnym tytułem „Zwiedzający Miasto". Tytułowy Sługa jest w nich uosobieniem tęsknot społeczeństw Zachodu za jakąś trzecią siłą kontrolującą wybuchy ludu i korupcję władz. Fabuła opowiadania nawiązuje bezpośrednio do paryskiego Maja 1968 brutalnie stłumionego przez policję. Jak pisał jeden z krytyków francuskich: „Sługa Miasta pokazuje z makiaweliczną zręcznością, w jaki sposób tzw. wolne społeczeństwa kierują z ukrycia (...) swoimi zrywami rewolucyjnymi: nie istnieją przecież niewinni męczennicy". Ale autor pozostawia czytelnikom rąbek nadziei na przyszłość. Może nie bez racji, bo przecież w 1978 r. ówczesny Prezydent Francji Valery Giscard d'Estaing powiedział: „Maj 1968 we Francji, a szczególnie ruch kalifornijski w USA wytyczyły początek rozwoju nowych wartości kulturowych: jakości życia, szacunku dla środowiska naturalnego, ekologii (...). Przez szczególny przypadek jasnowidzenia społecznego te nowe wartości wyprzedziły braki surowców i energii, które naznaczyły połowę lat siedemdziesiątych..." Tak więc nie ma również daremnych męczenników.

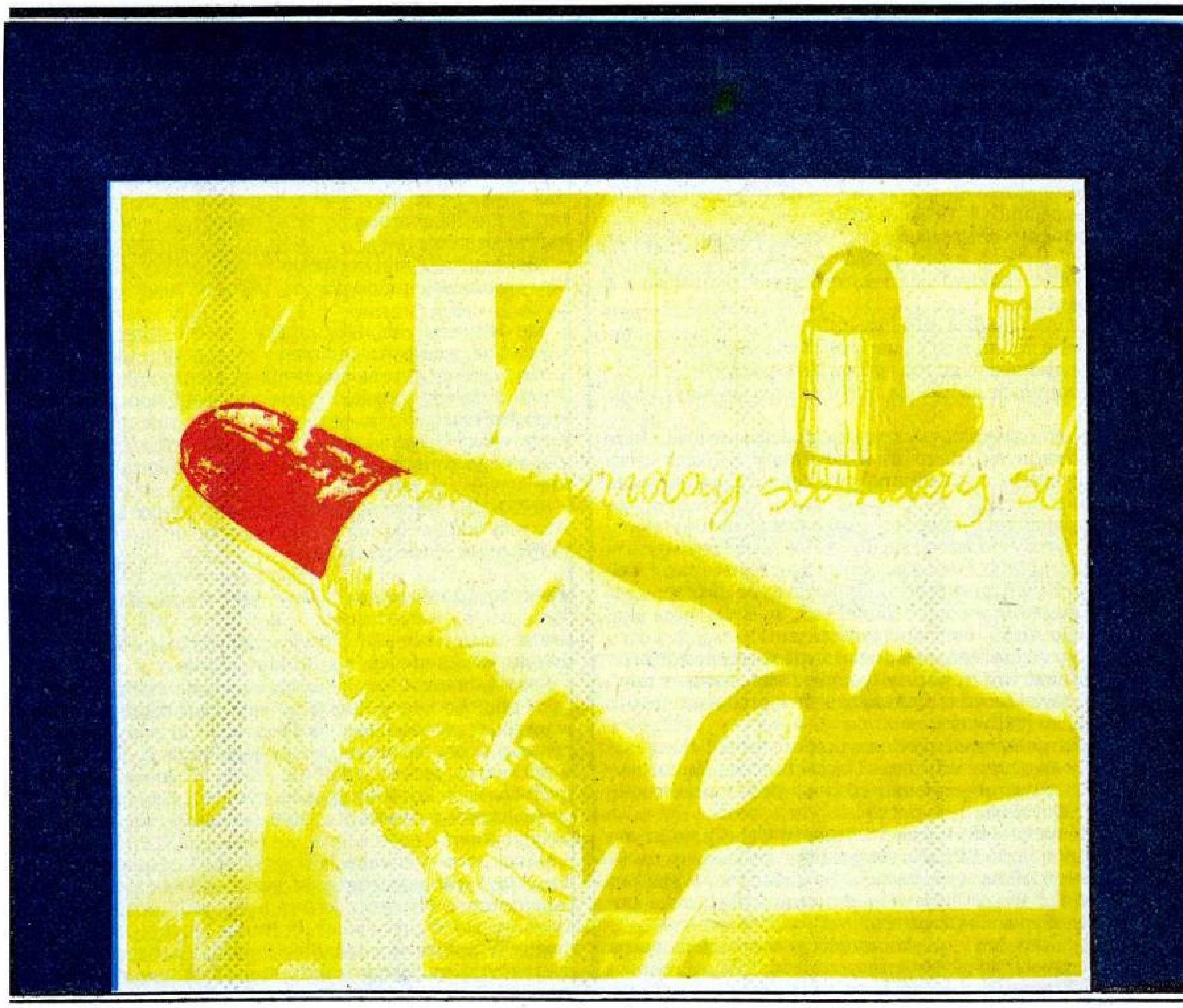
SŁUGA MIASTA

Jor obudź się... Obudź się kochany!
Zawraca mu głowę. Otworzył jedno oko i zaraz je zamknął. Od rana świeciło ostre słońce. Znów będzie upał. Jak wczoraj.
– Po diabła mnie budzisz, Frugia?
– Policja, Jor! Zaczęli wyrzucać ludzi z trzech domów na Południowej Wyspie. Rozdali ostemplowane papiery, że niby nie zapłacono podatków, źle wypełniono deklaracje blokowe i coś tam jeszcze. Ekipy rozbiórkowe wysadzą domy przed południem.
Jor założył spodnie i na bosaka, rozczochrany zbiegł po schodach. Nie zwalniając zjadał kanapkę, którą mu Frugia wcisnęła do ręki.

Cofnijcie się! przebywanie na tym obszarze jest zabronione z powodu niebezpieczeństwa rozpadnięcia się domów. Cofnijcie się!
– To niemożliwe! Nie ma jeszcze miesiąca, jak nasza służba urbanistyczna złożyła Gubernatorowi zaświadczenie o bezpieczeństwie tych budynków. Proszę. Tu jest dowód złożenia.
– Sfałszowany. Dosyć tego! Cofnijcie się!
Jor wykazał tyle refleksu, żeby odwrócić głowę. Ten gest oszczędził mu złamania nosa, ale cios i tak trafił w kość policzkową. Upadł do tyłu z rozkrzyżowanymi ramionami. Tysiące ogników pojawiły mu się przed oczyma, kiedy uderzał głową o bruk. Widział tylko kręcące się wokół niego cienie, które przeniosły go na trawnik. Czuł ręce Frugii na swojej twarzy, kiedy przemywała mu ranę mokrą chusteczką. Z potwornym wysiłkiem udało mu się otworzyć oczy i dostrzec coś spoza tych cieni. Spróbował się uśmiechnąć:
– Dostaniemy ich jeszcze.
– Możesz chodzić?
Ktoś pomógł mu wstać. Frugia patrzyła na niego błagalnie.
– Tak – stwierdził. – Jakoś się dowlokę.

Co to wszystko znaczy? To była Policja Miejska, a nie Dzielnicowa. Co najmniej cztery lata nie widziałem tych typów.
Narada odbywała się w holu przed wejściem do kina. Główni odpowiedzialni byli w komplecie: May, Lisbeth, Ken, Rudy. Opodal zebrał się tłum mieszkańców – młodzi zmieszani ze starymi.
– Trzeba zaraz zwołać zebranie generalne – stwierdziła Frugia.
– Jest to zabronione zarządzeniem Gubernatora – zauważył Ken. – Prywatny doradca Gubernatora Maklunda ma wystąpić na konferencji prasowej celem uspokojenia ludności.
– Świnie! – przerwał mu Jor. – Najpierw uderzają, potem uspokajają. Stara metoda.
– Maklund to stary lis.
– Nasza dzielnica jest skazana.
– Nie pozwólmy się wyrzucić.
– Rozwalmy gliniarzy. Potem będzie za późno.
Jor z trudem podniósł się z podłogi, na której siedzieli. Niezbyt dobrze widział i wciąż jeszcze huczało mu w głowie. Mimo to był zadowolony. Odgłosy tłumu z zewnątrz upewniły go o tym, że mieszkańcy dzielnicy Slooboro postanowili nie pozwolić wyrzucić się siłą ze swoich domów. Opierając się plecami o mur stanął i dał tłumowi znak ręką. Ci, którzy to zauważyli, uciszyli innych.
– Przyjaciele! Wybaczcie, że jestem jeszcze trochę stuknięty – mówił w zapadłej ciszy, obmacując ręką obolały policzek. – Postaram się zebrać trochę informacji. Spotkamy się wieczorem na Placu Niepodległości. Przekażcie tę wiadomość innym! Do tego czasu wracajcie do siebie. Nie dajcie się sprowokować, ale pamiętajcie, że musicie pokazać wszystkim, że tu mieszkacie. Niech policjanci i ekipy rozbiórkowe czują waszą wrogość, OK?
Tłum się zgadza. Wiwatuje. Wreszcie wypływa na ulicę. Spocona, ale jeszcze radosna masa ludzi w oślepiających promieniach gorącego już o tej porze słońca.
Jor zatrzymuje na chwilę Kena, Lisbeth i Rudego.
– Zróbcie z tego zgromadzenia milczący protest! – mówi. – W tym czasie ja z Frugią spróbujemy skontaktować się ze stroną rządową. Mamy tam jeszcze kilku przyjaciół.
– Myślisz o kimś konkretnie? – zapytał Ken.
– O doktor Sytii Leryn z Okręgowej Prokuratury
– Jeżeli uda ci się do niej dotrzeć – zauważyła Lisbeth. – Pałac Prokuratora musi być strzeżony równie silnie, co i Gubernatora. Może lepiej będzie zawiadomić prasę. Na przykład tego Kaala. Jest siostrzeńcem jakiegoś przemysłowca.
– Zobaczymy – stwierdziła Frugia. – Zresztą masz rację. Way Kaal zna dobrze doktor Leryn.
– Dobra. Trzymajcie się! – rzucił May na pożegnanie.
– Sądzisz, że dasz sobie radę? – zapytała Frugia, biorąc pod ramię Jora.
– Nie jestem aż tak poturbowany, jak wyglądałem.
W jasnych oczach dziewczyny zabłysły radosne ogniki szczęścia.
– Chodź kochany! – powiedziała. – Włożę spódniczkę w kolorze malwy i najbardziej przezroczystą z opasek na piersi.
– A ja ubiorę złoty strój – dodał Jor z uśmiechem. – Tak przebrani będziemy wyglądali na autentycznych burżujów.

Niewielka winda bezszelestnie zatrzymała się na piętrze. Dziennikarz dał znak, żeby szli za nim. Ubrany był w jednoczęściowy kombinezon z dużą liczbą suwaków. Szyję zdobił mu olbrzymi, sztywny od krochmalu kołnierz. Jego nerwowa twarz była spięta w nieudolnej próbie nadania jej wyrazu spokoju, spod którego przebijał cień strachu.



Tomasz Marek Wiśniewski

– Postaram się zaprowadzić was do doktor Leryn – powiedział niepewnym głosem. – Ale ostrzegam, że to może być niebezpieczne.
– Dlaczego? – zapytała Frugia, ale Way Kaal nie udzielił im dalszych wyjaśnień pozostawiając to doktor Leryn.
Podążali za nim w istnym labiryncie korytarzy, holi i małych przejść Pałacu Sprawiedliwości. Po przetrzymaniu kilku generacji urzędników, po przemeblowaniach z polecenia poszczególnych szefów pionów, chaos ten był nie do uniknięcia... a zresztą stanowił jeszcze jeden sposób oszołomienia nie wtajemniczonych gości... Ponury strażnik w obcisłym, brązowym mundurze zastąpił im drogę na którymś z korytarzy. Kaal szepnął mu coś do ucha i strażnik kiwnął głową przyzwalająco, otwierając ciemne drzwi, obite z drugiej strony jasno żółtą skórą.
Biuro było puste i ozdobione surowo. Na białych ścianach wisiały dwa obrazy neoabstrakcjonistów i jakieś ryciny. Wideofon, biurko i trzy krzesła z ciemnego drewna odbijającego światło padające z przezroczystego sufitu dopełniły wystroju. Frugia i dziennikarz zatrzymali się przed biurkiem. Jor obejrzał ryciny i usiadł na krześle. W tym pomieszczeniu bez okien słychać było tylko szum urządzeń klimatyzujących.
– „Dziennik Warboonu" nie dowiedział się naprawdę niczego o eksmisjach i wysadzaniu domów w Slooboro? – zapytała Frugia.
– Już wam mówiłem. A zresztą, jeżeli doktor Leryn zezwoli, to jestem zdecydowany towarzyszyć wam wraz z ekipą dziennika.
– Uważam, że jesteś zbyt uległy wobec cenzury Prokuratury – zauważył Jor, coraz bardziej niespokojny. Jeżeli jakikolwiek policjant z Warboon dowie się o wizycie dwóch osób odpowiedzialnych za Slooboro, to nawet doktor Leryn nie będzie w stanie zagwarantować im bezpieczeństwa.
– Doktor Leryn prywatnie głosi raczej rewolucyjne poglądy – odparł Kaal. – Nie mylcie jej rad z cenzurą Prokuratury.
– Być może, chociaż...
Jor nie dokończył zdania, bo do gabinetu weszła doktor Leryn. Uśmiechała się do nich przyjemnie. Ubrana była w różowy płaszcz kąpielowy bez rękawów, tak krótki, iż pozwalał bez trudu domyślać się blond włosów wzgórza łonowego. Pocałowała Frugię w usta, a obu mężczyznom podała rękę na przywitanie.
– Witajcie, przyjaciele. Przyszliście rozmawiać na temat eksmisji mieszkańców ze Slooboro?
– Tak – potwierdził Jor, zadowolony, że młoda urzędniczka jest tak dokładnie poinformowana. – Chcielibyśmy dowiedzieć się motywów waszej ofensywy. Fakt istnienia naszej... hm... zawszonej dzielnicy jest zagwarantowany przez organizację Val Atlagera, jak pani zapewne wiadomo.
– Właśnie – twarz Sytii stała się w mgnieniu oka nadzwyczaj poważna, choć w jej spojrzeniu wciąż błyszczała jakaś dziwna radość – Atlager nie żyje.
Jor poczuł uścisk w gardle. Odejście Atlagera oznaczało zerwanie kruchej równowagi sił panującej w Warboon, która do tej pory była jedynym gwarantem istnienia formalnej przynajmniej demokracji. Jeżeli to Ohelesseci, pierwszy adiutant zmarłego, był przyczyną tej śmierci, to należało obawiać się, że zaoferuje Slooboro Gubernatorowi, jako wyraz dobrej woli w zamian za neutralność. Ich dzielnica stanowiła idealną wprost monetę przetargową. Sam Atlager nie widział w łazęgach ze Slooboro niczego innego niż zwykły wrzód na zdrowym ciele. Jego ochrona nie obejmowała dzielnicy w sensie rzeczywistym. Po prostu zawsze zajęty był czym innym. Przejmując imperium po Atlagerze, Ohe niczym nie ryzykował, pozostawiając Slooboro chciwości lokalowej Maklunda.
– Co z Ohelessecim? – wybełkotała zdumiona Frugia.
Sytia usiadła na brzegu biurka, odsłaniając tym ruchem

rozporki u dołu szlafroka opinające jej błyszczące uda. Przyglądała się w milczeniu każdemu z nich po kolei.
– Ercole Ohe również nie żyje – oznajmiła.
– Co!!!? – trójka gości wydała ten okrzyk zdziwienia jednocześnie.
– Przestaniecie się zapewne dziwić temu, że dwa wypadki o tak małym prawdopodobieństwie zdarzyły się właściwie jednocześnie, kiedy dowiecie się, że do Warboon przybył w misji specjalnej SŁUGA MIASTA.
– Niemożliwe! – zaperzył się Jor, poczerwieniały nagle ze złości.
– Naprawdę? – zdziwił się trzeci zastępca Prokuratora. – A to dlaczego?
– Bo SŁUDZY MIASTA NIE ISTNIEJĄ!
– Naprawdę tak myślisz? – zapytała Sytia słodkim tonem – a co byś powiedział, gdybyś go spotkał osobiście?
W tym momencie drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem.
– Są tutaj. Nie ruszać się! – krzyczał policjant w mundurze formacji rządowej. Hełm miał odsunięty na kark, oczy przymrużone. W ręku trzymał pistolet o długiej chromowanej lufie.
– Zatrzymajcie mi tę dwójkę! – rozkazał swoim ludziom.
– Pani wybaczy! – zwrócił się do Sytii. – Ale tych dwoje jest prowodyrami tych łazęg z Sooboro. To groźni anarchiści.
– To niemożliwe, poruczniku – odparła Sytia, prostując się na całą wysokość swojej drobnej talii, nieświadoma skąpości swego stroju. Policjanci tymczasem nie tracili z oczu najmniejszego szczegółu jej anatomii. Dyżurka Komisariatu Centralnego będzie dziś wieczór rozbrzmiewała z pewnością opowieściami o zaletach ciała blond eminencji z Pałacu Sprawiedliwości.
– Moi informatorzy są zgodni – upierał się policjant. – A zresztą sprawdzenie tożsamości nigdy nikomu nie zaszkodziło. Zwłaszcza obywatelom respektującym prawo. Zabrać mi tych dwoje.
Policjanci obezwładnili Jora i Frugię, zatrzaskując im na dłoniach kajdanki. Frugia z trudem powstrzymywała przekleństwa cisnące się jej na usta. Tuż przed wyjściem niemal zabiła wzrokiem swego dawnego przyjaciela. Dowódca zatrzymał się na progu.
– W przypadku, gdybym się pomylił, przeproszę panią na piśmie – powiedział. – Moje uszanowanie, Pani Prokurator.

Uruchomiłeś ciekawe wydarzenia, Sługo – stwierdziła Sytia szyderczym tonem.
Wpadła jak burza do pokoju Erwina Rom Zarke i pośpiesznie zakładała niebieską sukienkę.
– Moja akcja spotkała się z reakcją. Być może nawet z reakcją łańcuchową.
Erwin leżał bezwładnie na sofie obitej ciemnym welurem w angielskim salonie swego apartamentu. Z tego pokoju wchodziło się wprost do sypialni. Tej samej, w której królowało łoże opuszczone przed kilkoma zaledwie minutami przez doktor Leryn.
– Co się dzieje? Wyglądasz na podnieconą. Co zrobiłaś z tym dziennikarzem i jego przyjaciółmi?
– Zastanawiam się, czy się nie zgrywasz? – stwierdziła niepewnie Sytia. – Właśnie aresztowano oboje gości z Slooboro w moim własnym biurze... znaczy tym, które oddałam do twojej dyspozycji.
Wyjaśniła pośpiesznie szczególną sytuację tej dzielnicy. Erwin słuchał jej w skupieniu. Uśmiechał się widząc, jak dziewczyna rozpala się coraz bardziej, broniąc swego punktu widzenia. Zrozumiał, że te „łazęgi" są jej szczególnie bliskie.
– Jaką rolę w tym wszystkim odgrywa nasz przyjaciel Way Kaal? – zapytał. – Twoje poręczenie nie przeszkodziło aresztowaniu?
Sytia podniosła gwałtownie głowę, wprawiając tym samym swoje blond włosy w tak charakterystyczny dla niej ruch. Jej oczy płonęły oburzeniem. Erwin zaczynał lubić te mniej lub bardziej udawane napady wściekłości pięknej pani prokurator.
– Way również darzy wielką sympatią mieszkańców Slooboro – powiedziała. – Postara się dostać z redakcji ten temat na reportaż. Co do mnie, to powiadomiłam o wszystkim swojego szefa. Mimo wszystko jest to uczciwy człowiek. Walczy z despotyzmem policji, no i ...
– Pomyślałaś o mnie. Aktualnym supermocarstwie w tym mieście.
– Nie. Chciałam po prostu ci o tym opowiedzieć. Jako przyjacielowi.
– Potężnemu przyjacielowi. Albo nawet, czemu to ukrywać, jako mordercy.
– Sługo, zaczynasz mnie naprawdę denerwować – stwierdziła Sytia z naciskiem. – Czy interesujesz się moimi przyjaciółmi z Slooboro, czy nie? Powiedz prawdę! Przełknę wszystko.
– Nie denerwuj się, kochanie! – Erwin przytulił ją do siebie, pieszcząc jej udo. – Zgoda. Uwolnię twoich podopiecznych.
– Ale ostrzegam cię, Sługo Miasta: w ten sposób otwarcie wystąpisz przeciwko Gubernatorowi Maklundowi.
– Kto wie? Drogi przeznaczenia są nieprzeniknione...
Puścił z żalem trzeciego zastępcę Prokuratora i wstał z westchnieniam. Sytia pomogła założyć mu marynarkę i poprawiła pelerynę na ramionach. Na wielkich schodach oficjalnego wejścia, w świetle potężnych lamp, nabierała ona krwawych odcieni.
– SŁUGA!!! – krzyczeli strażnicy, urzędnicy i policjanci. Wszyscy oddawali honory, kłaniając się do samej ziemi, by ukryć przerażone twarze.

Czyżbyście się potknęli, Obywatelu? – zapytał policjant i zaraz się przedstawił. – Porucznik Mik Connor, do usług – zaśmiał się rechotliwie, odsuwając jeszcze bardziej do tyłu swój kapelusz z szerokim rondem.
– Nazywają mnie Jor – powiedział więzień. Mimo skutych rąk i obolałej twarzy przyjmował bez mrugnięcia okiem wszystkie docinki. Rzeczywiste znaczenie tego cynicznego grubasa znacznie przekraczało jego stopień. Jor i Frugia skuci razem, przetrzymali już kilka godzin na niewygodnych ławkach korytarza, na którym wszyscy przechodzący policjanci i cywile uważali za stosowne potrącić ich przypadkiem.
– Siadaj, Jorze Venvalt! Pani również! – odezwał się Connor. – Nie ma potrzeby zaprzeczać, że należycie do tych zapaleńców z Slooboro. Jestem lepiej poinformowany niż mogłoby się wam wydawać. Teraz słuchaj. Masz dwie możliwości. Albo kolaborujesz z nami i natychmiast kończysz rozruchy. Wtedy zatrzymamy jako gwaranta twoją przyjaciółkę – mówiąc to obmacał Frugię po udach i piersiach. – Albo zatrzymam was aż do zaprowadzenia spokoju w dzielnicy. W tym czasie doprowadzę do tego, że będziecie żałować braku elastycznego podejścia do sprawy.
Wstał ociężale i przeszedł koło Jora nie zauważając go. Zatrzymał się przed Frugią. Dotknął ręką opaskę zasłaniającą jej piersi. Powoli zgniótł delikatny materiał i zerwał go gwałtownym szarpnięciem. Na lewej skroni zaczęła mu pulsować nabrzmiała żyła. Jor przyglądał się tej żyle i czuł jak rośnie w nim szaleńcza wściekłość. Connor rzucił opaskę na dywan i popchnął Frugię w głąb fotela, ściskając jednocześnie obie jej piersi.
– Siedzieć!!! – krzyknął.
Obracał się właśnie, pragnąc ocenić efekt swoich poczynań, kiedy trafił go kant kajdanek Jora. W okolicy lewego oka pojawiła się rana o nieprawdopodobnej głębokości. Więzień przyglądał się jej przez długą chwilę, zanim porucznik runął na podłogę nieprzytomny.
– Jor! Coś ty zrobił? – krzyknęła Frugia starając się niezgrabnie przytulić do niego mimo kajdanek. Nie odpowiedział, bo nie mógł mówić. Oddychał gwałtownie. Przepełniony był zwierzęcą radością.
– Świnia! – zaczął od szeptu. – Świnia! ŚWINIA!!!
Na twarzy porucznika pojawiła się krew.
– Mam nadzieję, że go zabiłem – powiedział Jor. Ujął Frugię za rękę i pociągnął w stronę niskiego, zaledwie metrowego parapetu prowadzącego na prywatny taras. Właśnie zamierzał wyjść na zewnątrz, kiedy w pokoju zabrzmiał suchy rozkaz:
– Ani kroku dalej Venvalt, bo zacznę strzelać.
Porucznik groził im pistoletem, opierając się o framugę drzwi. Jor poczuł, że opadają mu ramiona.
– Zbliżcie się – wysapał Connor.
– Nie!
To było wszystko. Taras zaroił się od policjantów. Czyjeś ręce złapały Jora pod pachami. Setki ciosów spadały na jego plecy, pośladki i głowę. Został wrzucony do biura.

Frugia podzieliła jego los w tych samych okolicznościach.
Porucznik Connor umiał się pozbierać. Stanął teraz między powalonymi więźniami i zdjął pas. Spokojnie, trzy razy uderzył nim po nagich piersiach Frugii, która próbowała zasłonić się nieudolnie rękoma. Pasek trafił ją wtedy w twarz. Całe czoło i policzki dziewczyny pokryły się ciemnymi plamami. Nie wytrzymała i podniosła ręce do twarzy. Pasek trafiał ją znów w piersi. Jorowi udało się uklęknąć. Napiął mięśnie. Sądził, że uda mu się skoczyć. W tej samej chwili cały świat wybuchł mu przed oczyma. Poczuł jeszcze potworny ból z tyłu głowy i wydawało mu się, że dostrzega czarne włosie dywanu. Odczuł jeszcze kopnięcie w nerki i stracił przytomność do końca.
Na krótko. Podniósł się lekko na rękach (leżał na brzuchu) i zobaczył Frugię w szponach czterech facetów w czarnych mundurach sekcji specjalnej Policji Rządowej. Rozłożyli ją na oparciu fotela. Jeden z nich wykręcał jej ramiona do tyłu, drugą ręką obmacując boleśnie piersi. Dwaj inni trzymali w rozkroku nogi i uda, podczas gdy ostatni zajmował się jej szeroko otwartym łonem. Frugia cichutko jęczała. Miała zamknięte oczy. Wielkie siniaki pokrywały oba policzki.
Jor spuścił głowę. Poczuł, że słabnie. Czerwone kręgi na dywanie przed jego twarzą rosły nieprzerwanie. Krew.
– Uważajcie! Żadnych śladów! – przypomniał głośno Connor.
Podniósł głowę Jora za włosy.
– Słuchaj mnie, ty śmieszna kupo gnoju i łajna! – powiedział. – Widowisko dopiero się zaczyna. Twoja ukochana nie wie nawet, co jeszcze ją spotka, a ty tym bardziej nie masz o tym pojęcia. A przecież ten spektakl można powstrzymać. Nie jestem sadystą, a po prostu świadomym funkcjonariuszem.
– Nie daj się kupić, Jor! – krzyknęła Frugia.
Na szczęście Jor znów zemdlał. Ocknął się na odgłos niewyraźnej kłótni. Rozpoznał nagle głos Sytii.
– Nie do przyjęcia. Sporządzę raport...
– SŁUGA MIASTA – wymówił z niespotykanym respektem głos porucznika.
Jor otworzył oczy.
Doktor Leryn, trzeci zastępca Prokuratora Warboonu, pomagała słaniającej się Frugii założyć spódnicę. Jakiś metaliczny głos warknął nagle z niesamowitym autorytetem:
– Uwolnijcie tego mężczyznę i kobietę! Natychmiast!
Jor powoli podniósł wzrok. Przed nim stał uśmiechnięty blondyn o bladej twarzy i rasowej sylwetce przykrytej szkarłatną peleryną, spod której wystawały tylko długie nogi. Odkrył przed sobą SŁUGĘ MIASTA.

Kiedy tylko znaleźli się w apartamencie Erwina, Frugia runęła z rozkoszą na łóżko.
– Jesteście teraz pod ochroną Sługi – powiedziała Sytia. – Nikt już nie będzie próbował was zatrzymać.
– Tutejsza policja jest rzeczywiście nerwowa – stwierdził Erwin, który razem z Sytią i Jorem siedział w małym saloniku. Przez uchylone drzwi do sypialni widać było wystające spod kołdry prawie białe włosy Frugii. Zmęczenie nie przeszkadzało jej słuchać i patrzyć. Jej głowa spoczywała na poduszce tuż pod wyhaftowanym monogramem SM.
Jor walczył z drżeniem kolan. Wstał, ale całe ciało też drżało. Wściekłość ogarniała go na myśl o tym, co zrobiono z jego towarzyszką.
– Nie żartuj, przebierańcu – mruknął niecierpliwym tonem. – Twoje przebranie wybawiło nas z kłopotów. Jak długo jednak możesz zwodzić facetów typu Connora?
– Jor nie wierzy w istnienie Sług – wyjaśniła Sytia.
– Będę musiał... – mruknął Erwin. – A zresztą nie. Jestem SŁUGĄ i mam zamiar wam pomóc.
– W takim razie pozwól mi skontaktować się z przyjaciółmi. Szykujemy się do odparcia ataku ze strony...
– Znam wasze problemy – przerwał mu Erwin. – Doktor Leryn wszystko mi opowiedziała.
– W tym czasie o mało nie zamordowała nas wasza policja.
– Musiałem mieć czas na zebranie informacji. Czego chcesz?
– Czy ten wideofon jest podłączony na zewnątrz? – spytał Jor i na widok niemej zgody Sytii nakręcił numer.
– Ken? Tu Jor – przez kilka sekund słuchał swojego rozmówcy.
– Znaleźliśmy pomoc. Przyjeżdżam. Będę za jakieś pół godziny. Cześć.
Odwrócił się do reszty i poinformował ich:
– Nasi są na Południowej Wyspie. Jak dotąd uniemożliwili wysadzenie budynków, a nawet odzyskali kilka ładunków. To ostatnie chyba rozwścieczyło policję. Bez przerwy wysyłają posiłki złożone z oddziałów specjalnych. Ale jednocześnie przyłączyli się do nas studenci z uniwersytetu. Wiele stoczni również przerwało pracę i robotnicy łączą się z nami. Lada chwila wybuchną rozruchy. Czy mogę odzyskać samochód Kaala i powierzyć Frugię waszej opiece?
– Kaal musi być teraz gdzieś w Slooboro – odparła Sytia. – Ale mam służbowy samochód na poziomie szosy numer trzy. Jedź windą 7B! A tu masz kartę służbową stwierdzającą, że jesteś zaprzysiężonym współpracownikiem Pałacu Sprawiedliwości. Tylko nie daj się z tym złapać twoim narwańcom.
– Idę z tobą – stwierdziła Frugia i oparła się o jego ramię.
– Niebezpieczne. Lepiej będzie, jak sobie pośpisz tutaj.
– Wcale nie. Mam wzmacniacze – Frugia wrzuciła do ust trzy tabletki. – Idziesz z nami SŁUGO? – spytała przedrzeźniając Erwina.
– Trochę później – odparł zapytany. – Muszę przedtem porozmawiać w waszej sprawie z Gubernatorem i Szefem Policji.

Ciągnięci, popychani, czasami miażdżeni o mury i bramy, z trudem torowali sobie drogę. Ulice były ciemne od ludzi. Krwawe słońce oświetlało jeszcze część miasta. Resztę mroku rozwiewały płonące tu i ówdzie samochody policyjne. Mieszkańcy powoli odnajdywali w sobie dosyć siły, aby walczyć z policją.
– Sługa miasta... Gdyby to była prawda – myślał Jor. – On naprawdę istnieje i naprawdę obiecał im pomóc. Ale to niemożliwe. To tylko legenda, ersatz religii, iluzja rzucona masom przez oficjalną propagandę. Wiara w możliwość takiej interwencji służy po prostu panowaniu terroru i niesprawiedliwości, bo w ten sposób wmawia się ludziom, że niedoskonałość szczegółów służy sprawie Ostatecznej Perfekcji całości. Wiara w pomoc sługi jest mrzonką, z którą trzeba walczyć. A zresztą. Co może zrobić ten za młody mężczyzna, za grzeczny, za drobny i za pewny siebie? Mierny aktor bez pracy. Nawet gdyby naprawdę był Sługą rzeczywistej Potęgi, to czy wmieszałby się w tłum manifestantów dziś wieczorem? POWIEDZIAŁ, że przyjdzie.
– Hej tam. Stać!
W zamyśleniu Jor wpakował się na opuszczone skrzyżowanie, co wykorzystali gliniarze dla zrobienia kontroli. Z wrodzoną zresztą odwagą – dwudziestu na dwoje. Na szczęście karta Pałacu Sprawiedliwości zdziałała cuda.
– Powodzenia, inspektorze! – krzyknął sierżant, trzaskając obcasami.
Ciągnąc za sobą Frugię, Jor wciąż pchał się do swoich. Dotarli wreszcie na ulicę Mac Loerba. Budynki przeznaczone do wysadzenia znajdowały się na drugim jej końcu. Była to prosta, długa i dość szeroka ulica. Maklund wybrał ją specjalnie z tego powodu. W tym samym momencie zaczęła się szarża policji. Tłum młodych dziewcząt i chłopców, kilku dorosłych, wszyscy uciekali gonieni przez wóz pancerny otoczony zwartym szeregiem policjantów ubranych na czarno.
– Spieprzaj kolego! – krzyknął jakiś młodzieniec ściskający w ręku butelkę z benzyną.
Jor zabrał ją i podpalił od innej.
Butelka wylądowała idealnie pod gąsienicą wozu pancernego i wybuchła z głuchym hukiem. Wóz zatrzymał się. Czarne mundury zaczynają się palić. Wyjące sylwetki biegają na oślep ścigane przez demonstrantów uzbrojonych w pałki i kamienie. Ogień ogarnia cały pojazd, z którego pospiesznie wyskakuje załoga.
– Jor! Frugia?!
To Ken i May. Są cali czarni od prochu, benzyny i kurzu, ale twarze mają uśmiechnięte. Tłum wraca. Jor biegnie w stronę ciężarówki policyjnej zaparkowanej w pobliżu. Jakiś policjant próbuje bezskutecznie zlikwidować zacięcie swojego pistoletu maszynowego. Skok. Trafiony w splot słoneczny czarny mundur osuwa się na ziemię, Frugia, która biegła za nim kończy dzieło kopnięciem między nogi. Potem jeszcze wyżywa się na twarzy tamtego.

Jor wskakuje do kabiny i zapala silnik. Jedynka i już jest na ulicy Mac Loerba. Demonstranci robią mu drogę w swych szeregach. Policjanci, którzy dotąd wycofywali się we wzorowym porządku teraz zaczynają się wahać. Jor wdusza z wściekłością gaz do oporu. Zderzak trafia na pierwszą pierś policyjną.
– Śmiało Jor! Śmiało! – krzyczą Frugia i Ken, którzy wdrapali się do środka nie wiedzieć kiedy.
Ruch kierownicy w lewo i w prawo, w prawo i w lewo. Szalona ciężarówka zmiata ciemne mundury z całej szerokości ulicy. Jor ma wrażenie, że stopił się w jedność ze swoją maszyną, że to on sam mści się za każdą sekundę tortur Frugii.
– Zawracaj Jor! Zawracaj! Jedziesz za daleko!
Czy słyszy ostrzeżenie? Jedzie wciąż prosto na zaporę policyjną, za którą stoją w błyszczących hełmach strażacy, a za nimi saperzy z ekip rozbiórkowych w żółtych kombinezonach. Znowu wstrząs i krzyki.
Smugi świateł. Kule ciężkiego karabinu maszynowego trafiają w karoserie. Jor próbuje się ratować i skręca w maleńką uliczkę w prawo. Zbyt szybko. Ciężarówka wpada w poślizg i trafia całym pędem w wystawę najbliższego sklepu. Przednia szyba rozpada się w kawałki. Jor czuje, jak coś go podnosi z siedzenia. Potem wszystko niknie.

Frugia krwawi z ramienia, ale trzyma się wciąż prosto z arogancją. Ken ma złamaną nogę. Jor czuje tylko potworną migrenę.
Każdy z nich podtrzymywany jest przez dwóch policjantów. Na szyjach mają założone pętle, których końce przeciągnięte są przez ramię ogromnej koparki, której czerpak podniesiony jest do połowy.
Cały plac skąpany jest w jasnym świetle. Panuje śmiertelna cisza. Demonstranci sprzed kilku minut stoją teraz trzydzieści metrów dalej. Jor przygląda się zakrwawionym twarzom, popalonym włosom, które mówią o zaciętości walk.
– Wolni Obywatele Slooboro – krzyczą megafony. – Nie idźcie śladem tych prowodyrów szukających pod płaszczykiem haseł walki o wolność jedynie sławy i korzyści osobistych. Dwa walące się domy mają zostać rozebrane. I zostaną rozebrane. W żadnym wypadku nie chodzi o zburzenie waszej dzielnicy. Daję wam na to moje słowo. Tu mówi Radca Herb Fhoon. Mówię w imieniu naszego wspólnie wybranego Gubernatora wszystkich mieszkańców Warboonu: Jego Ekselencji Ericsona E. Maklunda. Weźcie udział w ukaraniu tych kryminalistów, a potem rozejdźcie się do domów!
Silnik koparki zaczyna chrobotać i powoli podnoszą czerpak.
– Naprzód towarzysze! – krzyczy Jor.
Lina jednak już się naprężyła nad głowami wszystkich skazanych.
Bariery porządkowe zostają nagle zerwane przez morze ludzi. Coś ściska okropnie szyję Jora. Napina maksymalnie mięśnie szyi.
Tłum ogarnia policjantów, strażaków i saperów. Silnik koparki wciąż warczy. Czarno ubrane postaci zaczynają uciekać skąpane we krwi.
Czerwone plamy zaczynają skakać Jorowi przed oczyma. Coś trzeszczy mu w kręgach szyi. Ciało Frugii ciśnie się do niego, a potem odpływa. Z drugiej strony potrąca go ciało Kena. Jor chciałby krzyknąć, ale język puchnie mu w ustach.
Nagle dzielnica Slooboro znika. Wszystko znika.

Z pokładu helicara Warboon przypomina ogromną, kolorową zabawkę błyszczącą wśród nocy. Tylko Slooboro jest ciemne.
– Chciałbym przelecieć nad tym gorącym punktem Slooboro, który Maklund zamierza wysadzić – mówi Erwin. – Możesz mnie tam poprowadzić?
Sytia wskazała mu drogę do dzielnicy łazęgów, której obskurne domy sąsiadują z luksusowymi rezydencjami przemysłowców i dygnitarzy. Wkrótce dostrzegli długą linię będącą ulicą Mac Loerba.
– Czy górny taras tego wielkiego szarego budynku jest według ciebie solidny? – zapytał Erwin.
Skinęła głową. W ostatniej chwili, bo już zostali ostrzelani przez jakiegoś snajpera.
Pochyleni na parapecie tarasu obserowali gwałtowny kontratak mieszkańców. Wóz pancerny Policji zaczął nagle płonąć. Grupa oddziałów specjalnych wycofywała się w nieładzie. Demonstranci opanowali jakąś ciężarówkę policyjną i w szaleńczej szarży zaatakowali swoich przeciwników, którzy wpadli w zupełną panikę. Ciężki pojazd dojechał aż do końca ulicy, zgarniając po drodze niewiarygodną ilość czarnych sylwetek. Wreszcie rozbił się o mur.
– Dzielne chłopaki! – krzyknęła Sytia klepiąc go po ramieniu. – Pomożesz im? Prawda? Erwin! Erwin, tym razem udało się. TO REWOLUCJA! I JA TEGO DOCZEKAŁAM!!!
Rzuciła mu się w ramiona płacząc z radości.
– Spokojnie! Rewolucja? Może jeszcze nie teraz. Ale z pewnością fakt, który utrwali się w annałach tego miasta.

Ruszył do helicara. Sytia złapała go za rękaw.
– Wrócimy tam, prawda? – powiedziała błagalnie. – Helicar! Wspaniale. Ty będziesz prowadził, a ja będę strzelała z twojego pistoletu.
Kiedy nabrali wysokości, Erwin pokazał jej długie kolumny ciężkiego sprzętu zdążające w stronę Slooboro.
– Nie mają nawet jednej szansy na tysiąc na opanowanie dzielnicy. Przykro mi, że cię muszę rozczarować, ale taka jest rzeczywistość. Żałuję, że pozwoliłem tym dwojgu wrócić do siebie. Mam nadzieję, że uda im się na czas uciec i zamelinować we własnym domu.
– Co?! Przecież oni są już straceni – jęknęła Sytia, już bez cienia poprzedniej egzaltacji. – Życie jest niesprawiedliwe. Prawi są ciągle niszczeni, bo z reguły są zbyt biedni, żeby zdobyć wystarczającą ilość środków do opierania się złym ludziom.
– Twoje wykształcenie historyczne nie przesłoniło ci, mam nadzieję, tej oczywistości – stwierdził zimno Sługa Miasta.
– Czy ty masz lód w sercu? – huknęła Sytia i skoczyła na niego, bijąc go pięściami po piersi.
– Chyba udowodniłem ci coś przeciwnego – powiedział Erwin, uśmiechając się smutno. – Pragnę tylko, żeby twoi przyjaciele wyszli cało z tego tam na dole. Mówiłaś mi, że są wyznawcami biernego oporu?
Sytia zamilkła, przyparta do muru. Erwin skierował helicar w stronę Pałacu Sprawiedliwości. Dziewczyna natomiast starała pokrzepić się na duchu, przypominając sobie rozmowę, która poprzedziła ich wylot. Radca Herb Fhoon przyszedł do Sługi wyrazić niezadowolenie Gubernatora Maklunda. Sługa Miasta nie spodobał się Gubernatorowi, podważając autorytet Connora przed jego podwładnymi i lekkomyślnie uwalniając niebezpiecznych prowodyrów.
– Panie Polityku – odparł Erwin mierząc rozmówcę zimnym wzrokiem. – Czy mam panu przypomnieć, że jestem tutaj na wyraźne życzenie waszego własnego tyrana? Moje zadanie polega właśnie na tym, żeby w jakiś sposób mogły się wyrazić tendencje ludowe. Ma to pomóc właśnie temu, czemu udaje, że służy wasz Gubernator. Myślę o demokracji, żebyśmy uniknęli nieporozumień.

Następnego ranka, kiedy Erwin mył się w łazience, lokaj powiadomił go, że Gubernator czeka w poczekalni i prosi o audiencję.
– Proszę wprowadzić Gubernatora do salonu i poprosić, żeby zaczekał kilka chwil.
Powoli skończył się golić i starannie dobierał szczegóły ubioru. Ubranie odgrywa wielką rolę w kontaktach z wielkimi tego świata. Erwin Rom Zarke dobrze pamiętał jaką wagę przywiązywano do tego tematu w Instytucie Arno Euska. Na razie niezbyt wyraźnie widział jak się skończy cała ta sprawa Warboonu. Od czasu jego przyjazdu nic się nie zmieniło w tutejszym układzie sił, a jeśli już, to na gorsze. A mimo to miał dziwne przeczucie, że przesilenie nastąpi lada moment.
Tęsknił za spokojem swojej kwatery głównej w Nengarai. Nawet pobłażliwa kordialność jego szefów wydawała mu się oazą spokoju po tym, co tu zobaczył. Władza niszczy – to wszyscy przyjmowali za pewnik, ale Erwin dopiero teraz zrozumiał przyczynę częstych tendencji paranoidalnych u wielkich tego świata. Wkrótce jednak miał zrzucić z siebie ten ciężar.
Włożył obcisłe spodnie w kolorze beżowym, brązowe buty, kurtkę w stylu myśliwskim w kolorze szarym z czerwonymi wyłogami i białym szamerunkiem. Starannie ułożył fałdy niepokalanie białej peleryny ozdobionej jedynie szkarłatnymi galonami i postawił jej kołnierz na karku.
– Proszę podać śniadanie do salonu, w którym czeka Gu-

bernator i zaanonsować moje przyjście! – polecił lokajowi.
Starannie przybrał na twarzy nonszlancki uśmiech pogardy i ruszył na spotkanie Maklunda.
– Nie weźmiecie mi za złe, Gubernatorze, że wykorzystam te kilka chwil naszego spotkania na zjedzenie śniadania!
W ciężkim stroju oddziałów specjalnych, E. E. Maklund wyglądał na jeszcze grubszego niż był w rzeczywistości. Palił z radosną miną olbrzymie cygaro o kosztownym aromacie.
– Sługo! – zaczął jowialnie. – Chciałbym najmocniej przeprosić za niezręczność wykazaną wczoraj przez Herba Fhoona.
– Proszę mi wybaczyć, Gubernatorze! – przerwał mu Erwin. – Ale mógłby Pan zgasić tę okropną rzecz?
– Oczywiście – wykrzyknął Maklund przepraszającym tonem. – Chciałbym panu podziękować za to wczorajsze genialne posunięcie. Co do reszty, to oczywiście muszę kryć swoich współpracowników... no i ich sposoby...
– Sadystyczne? – Erwin żuł w zamyśleniu parówkę.
– Wszystkie przesłuchania doprowadzają oficerów wcześniej czy później do złego traktowania podejrzanych.
– Doceniam pana eufemizm. Proszę mówić dalej!
– Dziękuję! – na ciężkich rysach twarzy Gubernatora można było dostrzec ślady pewnego niepokoju. – Chciałbym przede wszystkim wyrazić wdzięczność za Pana jasnowidzenie. Prowokatorzy wypuszczeni przez pana doprowadzili do zamieszek i dostarczyli pretekstu do masowej interwencji policji. Ludność naszego miasta w przeważającej większości popiera nieugiętość rządu. Wszyscy Słudzy mają jakiś dar wychwytywania w ciemno tego typu niuansów. I pomyśleć, że dotąd uważałem się za dobrego polityka.
– Lepiej jest okazać się zręcznym politykiem. Krótko mówiąc, jestem szczęśliwy, że pan jest zadowolony – odparł Erwin z kamienną twarzą. – Czym jeszcze mogę służyć?
– Ależ... nic... sądziłem, że...
– Naprawdę pan sądzi, że potrzebuję pana uznania?
– Oczywiście, że nie, Sługo – wybełkotał kompletnie rozłożony Maklund.
– W takim razie proszę pozwolić mi skończyć śniadanie i opuścić ten salon.
Tego było za wiele dla władcy Warboonu. Jego twarz zaczęła się robić czerwona z wściekłości. Pięści zaczęły się zaciskać. Z trudem przełknął ślinę i otworzył usta.
W tym momencie drzwi za jego fotelem otworzyły się z hukiem. Erwin zobaczył Sytię wpadającą do salonu w krańcowej furii. Podbite oko, twarz zlana potem i pokryta sadzą. Lewy policzek zdobiła duża blizna pokryta zakrzepłą krwią. Sukienka była porwana w strzępy, spod których wydostawały się w rytmicznych podrygach gołe piersi. W prawej dłoni ściskała olbrzymi pistolet kalibru 45 mm. Zrobiła jeszcze trzy kroki do przodu ustawiając na linii strzału Gubernatora i kontrolując Sługę. Potem zaczęła strzelać.
Niezdecydowanie, zdumienie i obawa zastąpiły złość na twarzy Gubernatora Maklunda. Każdy strzał odrzucał rękę Sytii, która z wężą zręcznością natychmiast przywracała jej poprzednią pozycję i ponownie naciskała spust. Pierwsze trzy pociski trafiły Gubernatora w brzuch. Maklund był jednak zbyt silny. Upadł na kolana, ale nie stracił przytomności.
– Dlaczego? – szepnął.
Ale Sytia już celowała w głowę. Ostatni wystrzał wydał się Erwinowi najgłośniejszy. Czaszka ofiary rozpadła się po nim na kawałki, a ciało zostało odrzucone do tyłu. Mieszanina krwi i mózgu spryskała ściany. Zanim jeszcze przestało mu szumieć w uszach od nagle zapadłej ciszy, Erwin skoczył na Sytię i wyrwał jej broń z ręki.
Ktoś zapukał do drzwi. Erwin popchnął kobietę do przodu.
– Szybko! Do łazienki! Umyj się i przebierz! I nie pokazuj się pod żadnym pretekstem!
Bezmyślnie wykonała jego polecenie. Erwin odprowadził ją pod prysznic i wrócił otworzyć drzwi. Ukazała się w nich twarz przestraszonego Herba Fhoona.
– Proszę przyprowadzić do mnie najwyższego rangą oficera Policji – rozkazał Sługa, wymachując wielkim pistoletem. – Przed chwilą zabiłem Gubernatora Maklunda.

Prokurator Graham Waellaby nerwowo kręcił się w fotelu. Do pasji doprowadzało go najwyraźniej, że został wezwany przez winnego morderstwa. Ale Erwin Rom Zarke nie był zwyczajnym mordercą. Był SŁUGĄ MIASTA.
– Moje zadanie dobiega końca, panie Prokuratorze – stwierdził na wstępie. – Powrócę teraz do swojej bazy. Sytuacja bez wyjścia, w jakiej znajdowało się wasze miasto przed moim przyjazdem, uległa wyjaśnieniu. Wszystkie główne frakcje, łącznie z grupą Maklunda, znajdują się ponownie w stanie równowagi politycznej. Każda została pozbawiona swojego przywódcy. Rozruchy w dzielnicy Slooboro przyhamują na pewien czas apetyty ewentualnych następców. Wiem, że jest pan opanowany i mam nadzieję, że wystarczająco zdolny do wybrania spośród urzędników rządowych tych, którzy wykazują najdyskretniej swoje ciągoty do sprzeniewierstwa. W imieniu miasta obdarzam pana moim zaufaniem. Może pan zaraz zwołać posiedzenie obu izb parlamentu i ogłosić nowe wybory – Sługa podniósł się na znak, że skończył i wyciągnął rękę na pożegnanie.
Niepewny, ale kompletnie przerośnięty przez wydarzenia Prokurator opuścił pospiesznie salon. W znowu zapadłej ciszy Erwin usłyszał tym razem zdecydowane kroki.
– Erwin! Mówili mi, że odjeżdżasz – powiedziała Sytia tuląc się w jego ramionach. – Dziękuję, żeś mnie wyciągnął z tego bagna.
– Dlaczego? – zapytał Erwin.
– Och! Erwin! – Łzy obficie moczyły pobrużdżoną twarz Sytii. Sługa zaprowadził ją na sofę.
– Jor, Frugia i jeszcze jeden ich przyjaciel, którego też znałam. To oni byli w tej ciężarówce, która zmasakrowała wczoraj policjantów, kiedy oglądaliśmy Slooboro z tarasu. To straszne. Zostali schwytani i... powieszeni. Na miejscu. Gdybyśmy poczekali jeszcze kilka minut moglibyśmy ich uratować.
– To rzeczywiście okropne – Erwin przyciskał dziewczynę do siebie. – Ale nie umarli na próżno.
– Jak to?
– Dramat takich ruchów polega na tym, że na ogół przyjmują politykę biernego oporu, bez użycia siły. To nigdy nie prowadzi do rozwiązań politycznych. Oni zginęli, bo wczoraj po raz pierwszy odrzucili koncepcję niestosowania siły. Ale zginęli również po to, żeby przyspieszyć tę rewolucję, o której śnisz po nocach.
Sytia wyzwoliła się z uścisku Erwina i wyciągnęła oskarżająco palec.
– Jeżeli pozwoliłeś im wyjść w takim stanie psychicznym w jakim znajdowali się wczoraj, to nie stało się to przypadkiem!
– Nie. Spodziewałem się, że wyzwolą oni nowe siły – Erwin uśmiechnął się smutno.
– Ależ... zabiłeś ich!
– Nie. Po prostu zginęli. Ale nie na darmo. Widzisz Sytio. Łazęgi ze Slooboro i ich naturalni sprzymierzeńcy, wszyscy niezadowoleni, ludzie marginesu społecznego, wszyscy wyzyskiwani dostali teraz w posiadanie nieobliczalne bogactwo.
– Jakie?!
– Męczenników.
– Och. Erwin. Więc na tym polega ta osławiona polityka długoterminowa, ta ostateczna sprawiedliwość miasta?
– Właśnie na tym: doskonałość całości opiera się na niedoskonałości i na tragediach jednostek. Pocałuj mnie Sytio!
– Nie!
– Pocałuj mnie! Odchodzę. Kocham cię i odchodzę.
– Nie! Nieee!
Runęli sobie w ramiona i długo trwali w uścisku bez słowa. Erwin odsunął się wreszcie, podziwiając wibrujące piękno Sytii i wyraz zdecydowania widoczny na jej twarzy. Czuł, że serce ściskają mu wyrzuty sumienia, wątpliwości i żal.
– Żegnaj, Sytio. Kocham cię. Nigdy o tobie nie zapomnę.
– Żegnaj Sługo. Ja też cię kocham.

Przełożył Tadeusz Markowski

OSTATNI WYWIAD ADAMA SUSBE

Ljuben Diłow

Ubiegły rok – „Rok Mężczyzny” – wprowadził na scenę historyczną nową postać. Był nią Adam Susbe, który zyskał popularność jako autor filmowego traktatu „Kim jestem ja – kim ona jest”. Dalszy rozgłos zapewniły mu jego propagandowe wojaże, które okazały się nieoczekiwanym bodźcem dla anemicznego ruchu emancypacji mężczyzn.
Nasza redaktorka Sazi Wad wpadła na znakomity pomysł towarzyszenia mu podczas ostatniego tournée. Mogła też wykorzystać – znakomitą dla każdej dziennikarki – okazję do przeprowadzenia z nim ostatniej rozmowy.
Jak już informowaliśmy w porannym wydaniu, wczoraj w nocy Adam Susbe został zamordowany przez swojego sobowtóra – również Adama Susbe – studenta filozofii. Podczas wstępnych przesłuchań zabójca zeznał, że zamordowany zniesławił jego dobre imię i godność jego płci poprzez prowadzone próby przywracania mężczyzn do istniejącego przed tysiącem lat nienaturalnego sposobu życia.

Sazi Wad: Czy uważa pan, że „Rok Mężczyzny” przyniósł społeczeństwu jakieś korzyści?
A. Susbe: Kiedy rok 2980 ogłoszono „Rokiem Mężczyzny”, Rada Planetarna, której skład w 85% stanowią kobiety, zareagowała w istocie na już istniejącą walkę o prawa mężczyzny. Według mnie motywy, którymi się kierowała, nie były ani zbyt mądre, ani dostatecznie humanitarne. Tym sposobem Rada dała wzburzonym mężczyznom po jednym kwaśnosłodkim cukiereczku mając nadzieję, że nareszcie w społeczeństwie zapanuje spokój. Ale mimo wszystko rok ten okazał się pożyteczny z dwóch powodów. Po pierwsze – proklamowanie „Roku Mężczyzny” stanowi oficjalne potwierdzenie istnienia męskiego problemu. Dotychczasowe trudności mężczyzn polegały na tym, że ich krzywdy nie wypływały na światło dzienne. Z tego też powodu większość mężczyzn poddała się tyranii, co zrodziło u nich masowe nerwice, a ich bunt wciąż pozostawał indywidualny i chaotyczny. Po drugie – w większości krain Planety-Matki rok ten był obchodzony z zadziwiającym cynizmem. W istocie nie był to „Rok Mężczyzny”, lecz kpiny pod jego adresem. Kobiety znakomicie wykorzystały ten okres jako okazję do swawoli i zabawy. To też można uważać za korzystne.
S.W.Cha, cha, cha! Pan także umie ironizować. I oczywiście czuje się pan osobiście dotknięty. W roku tym środki masowego przekazu chętnie zajmowały się pańską osobą, choć – muszę przyznać – w niezbyt łaskawy sposób.
A.S. Wciąż mnie opluwały i obrzucały błotem. To nawet mnie nie dziwiło, ale mimo wszystko oburzało. Spodziewałem się, że przynajmniej te poważniejsze nie będą się rzucały na moją osobę w tak irracjonalny sposób, zajmując się nią tylko od pasa w dół. Nazywały mnie, analogicznie do psychopaty – „emancypatą” i osobnikiem „stukniętym, krzykliwym, oziębłym, sfrustrowanym, brzydkim i histerycznym”. Zrobiły ze mnie wzorzec, którym określały każdego, kto w sposób zorganizowany postanowił walczyć o prawa mężczyzn. Wszystko to zaczęło się od projekcji mojego filmu. Pomyślałem wtedy: „Jak można tak bezwstydnie mówić i pisać o mnie?” Czułem się zgwałcony. Czasem krzyczałem z bólu, deptałem gazety, rozbiłem nawet ekran mojego holowizora. Potem przywykłem. Powiedziałem sobie: „Nie mogło być inaczej, skoro wszystkie przekaźniki informacji znajdują się w rękach kobiet”. Taka ich reakcja wyznacza tylko jeden aspekt mojego położenia. Drugi – to tysiące listów, które otrzymuję od tych mężczyzn, z którymi przy pomocy moich książek i filmu nawiązałem serdeczny kontakt. Czasami na ulicy nieznajomi mężczyźni ściskają potajemnie moją rękę, szepczą z nadzieją i noszącą znamiona lęku wiarą: „Trzymaj się, stary”. Te drobiazgi tysiąckrotnie wynagradzają mi wasze przekleństwa.
S.W. Środki masowego przekazu komentują w takim stylu nie tylko pańską działalność, ale i cały ruch walki o wyzwolenie mężczyzn. Traktuje się go jak zabawne stowarzyszenie dziwaków. Czy stan ten nie wynika z faktu, że nie potrafi pan bronić swoich interesów?
A.S.: Nie sądzę. W naszym pozornie demokratycznym społeczeństwie można na palcach policzyć te instytucje propagandowe, w których mężczyźni-dziennikarze mogą o czymkolwiek decydować. Zarówno prasa i holowizja jak i większość instytucji nadrzędnych są zdominowane przez kobiety. A każda kobieta – jakkolwiek by nie była wykształcona i tolerancyjna – w pewnym zakątku swojej świadomości jest dyktatorką. W tej sytuacji oczywiste jest, że nie mogą one reagować w inny sposób. Muszę także przyznać, że wielu mężczyzn, którzy w takiej czy innej formie przyłączyli się do ruchu, swoją postawą dostarczają powodów do lekkomyślnego traktowania ich przez kobiety przyzwyczajone do luksusowego i „cukierkowego” matriarchatu. Na razie mężczyźni nie uświadamiają sobie istoty walki o swoje prawa i nie są zdolni pojąć jej filozofii. Ich protest ma charakter egoistyczny, anarchistyczny, skierowany przeciw matriarchalnej instytucji. Włączając się do walki nie widzą jeszcze przed sobą właściwego wroga, lecz jedynie własną żonę. Na niej chcą się mścić, co z wielu mężczyzn czyni krzykaczy i sfrustrowanych histeryków. Dlatego też na razie nasz ruch ma charakter edukacyjny. A to, co uda się nam na tym polu osiągnąć, będzie taką małą wygraną bitwą, która przygotuje nam przyszłe zwycięstwo. „Rok Mężczyzny” był tego pierwszym przykładem.
S.W.: Jakiej zmiany dzisiejszej sytuacji mężczyzn oczekuje pan przede wszystkim?
A.S.: Przy odrobinie obiektywizmu i dobrej woli pani sama może odpowiedzieć na swoje pytanie. Wiadomo, że większość mężczyzn uparcie trwa przy panujących poglądach. Uważa się, że natura predysponowała mężczyznę do robienia dwóch rzeczy: tworzenia dzieci i polowań, które zapewniają zdobycie żywności. W pierwotnym matriarchacie – jeżeli można wierzyć nauce – rzeczywiście istniały takie układy, które mężowi wyznaczały rolę myśliwego, pozostawiając żonie funkcję zarządzania we własnej jaskini i w plemieniu. A jaka sytuacja panuje dzisiaj, w 2980 roku? Już od kołyski wbija się wszystkim do głów, że mężczyźni powinni pozostać wierni swojej naturze.
Kobiety zaś decydują o podziale bogactw i kształcie ludzkiego współżycia. Przypuszczam nawet, że z tym radzą sobie nie gorzej, niż my byśmy potrafili, ale cóż pozostaje dla nas? Automaty wytwarzają wszelkie dobra. Roboty chodzą po zakupy, sprzątają mieszkania, karmią i wychowują dzieci, które w większości wypadków nie są nasze. Przeszczepiony system kontrolowanego rozmnażania i dobór dziedzicznej masy wywołały silne wrażenie śmieszności przezwiska „ojciec”. Mężczyzna stał się tylko prymitywnym instrumentem służącym rozrywce kobiety w rodzinnej sypialni, a i tam często bywa zastępowany przez niewyczerpanego i wszechobecnego robota. Swoją męskość udowadnia na stadionach w walce ze sztucznymi niedźwiedziami i tygrysami oraz w strzelaniu z łuku do automatycznych zajączków. W najlepszym przypadku atawistyczne macierzyńskie uczucia każą kobietom traktować mężczyzn jak wieczne niemowlęta, które ciągle muszą być pouczane i kierowane.
Spójrzmy raz jeszcze na wasze ośrodki informacji! Tam mężczyzna jest niczym więcej niż twórcą w jakiejś ulubionej przez kobiety dziedzinie lub fotomodelem. W każdym filmie czy rewii traktuje się go jako określone kilogramy ciała o pewnych proporcjach. Zwyczaj ten od dawna nie ma już nic wspólnego z dawnym kultem piękna ludzkiego ciała i ma jedynie pornograficzny charakter. Dlaczego na przykład reklama dowolnego kosmetyku nowej marki znajduje swoje opar-

Ljuben DIŁOW, pisarz bułgarski, urodził się w roku 1927, debiutował w roku 1958 fantastyczną powieścią „Atomnijat čovek”. Po stosunkowo długiej przerwie wydał fantastyczno-naukową powieść „U stracha mnogo imen” (1967). Od tej pory mniej więcej co dwa lata ukazują się jego kolejne książki. Diłow jest też autorem 15 książek nie zaliczających się do fantastyki naukowej i współpracownikiem serii „Galaktika” w warneńskim wydawnictwie G. Bakałow. Opracował antologie fantastyki: bułgarskiej (1976), latynoamerykańskiej (1979), radzieckiej (1980) oraz niemieckojęzycznej z RFN, Austrii i Szwajcarii (1981). Na Zachodzie uważa się Diłowa za jednego z bardziej znanych pisarzy SF południowo-wschodniej Europy.

cie w ilustracjach przedstawiających nagich mężczyzn? To prawda, że ciało męskie jest piękniejsze od kobiecego, ale taki stosunek rujnuje naszą godność.
Proszę również zajrzeć do urzędów, w których żaden średnio zbudowany mężczyzna nie może znaleźć przyzwoitej pracy. Chcę przez to powiedzieć, że mężczyzna korumpuje się, spełniając rolę służącego swojej kierowniczki. Urzędy i instytucje pełne są mężczyzn, którzy całymi dniami piją kawę, paplają na tematy mody czy sportu i gniją w letargu choćby dlatego, że każdy z nich należy do zarządzających nimi kobiet.
S.W.: Używa pan mocnych słów, ale – o ile mi wiadomo – wasz ruch zdobył sobie wśród mężczyzn na razie niewielu zwolenników, podczas gdy przeciwników jest tysiąckrotnie więcej.



A.S.: Rzeczywiście. Nie należy jednak zapominać o historycznym rozwoju. Osiemset lat matriarchatu zostawiło w wielu umysłach stałe piętno, którego nie da się w żaden sposób wymazać. Zresztą dla leni i konformistów nawet niewolnictwo miałoby swoje pozytywne aspekty i wiele uroku. Pośród naszych przeciwników najliczniejszą grupę stanowią mężczyźni niedorozwinięci, którzy w skrytości ducha chcą być kobietami i żyć tak jak one, by dostać się do grona rządzącej elity. Inna grupa rekrutuje się z takich mężczyzn, którzy jeszcze nie potrafią otrząsnąć się ze swojej politycznej apa...
S.W.: W tym momencie nasza rozmowa została na zawsze przerwana bezgłośnym strzałem laserowego pistoletu, którym niezwykle piękny i męski (23 lata, blondyn o czarnych oczach, wzrost 188 cm, obwód klatki piersiowej 163 cm, pasa 95 cm, bioder 82 cm) wspaniały łowca, uniwersytecki mistrz rozszarpywania lwów i kontynentalny champion w strzelaniu lianowym miotaczem, student filozofii Adam Susbe pokonał przywódcę emancypatów. Szczegóły zajścia podawałyśmy już w wydaniu porannym.

UWAGI REDAKTORKI DYŻURNEJ:

W chwili, gdy nakład był już przygotowany do druku, otrzymałyśmy wiadomość, że zabity nie tylko nie był prawdziwym mężczyzną, lecz nawet nie był człowiekiem. Ekspertyza wykazała, że był to zaginiony w niewyjaśnionych okolicznościach przed pięcioma laty w kolonii Plutonia psychorobot AS z pierwszego układu gwiezdnego. Ten popsuty psychorobot, dezerter, który uciekł od swojego obowiązku poznawania przestrzeni kosmicznej dla dobra ludzkości przybył na Planetę-Matkę w celu wzniecenia niepokojącego buntu.
W tej sytuacji wystąpiła konieczność sprawdzenia czy inni aktywiści walki o prawa mężczyzn nie są jedynie podobnego typu psychorobotami, które złamały czwarte prawo robotyki głoszące, że robotowi nie wolno ukrywać, czym jest w istocie.
Dalsze szczegóły przyniesie jutrzejsze wydanie. Na razie redakcja wzywa wszystkich swoich czytelników bez względu na płeć w szeregi wyznawców i propagatorów sprawiedliwego hasła „Wolność dla człowieka! Wolność dla Adama Susbe!"

Przełożyli **Danuta Strong i Rosen Stefanow**



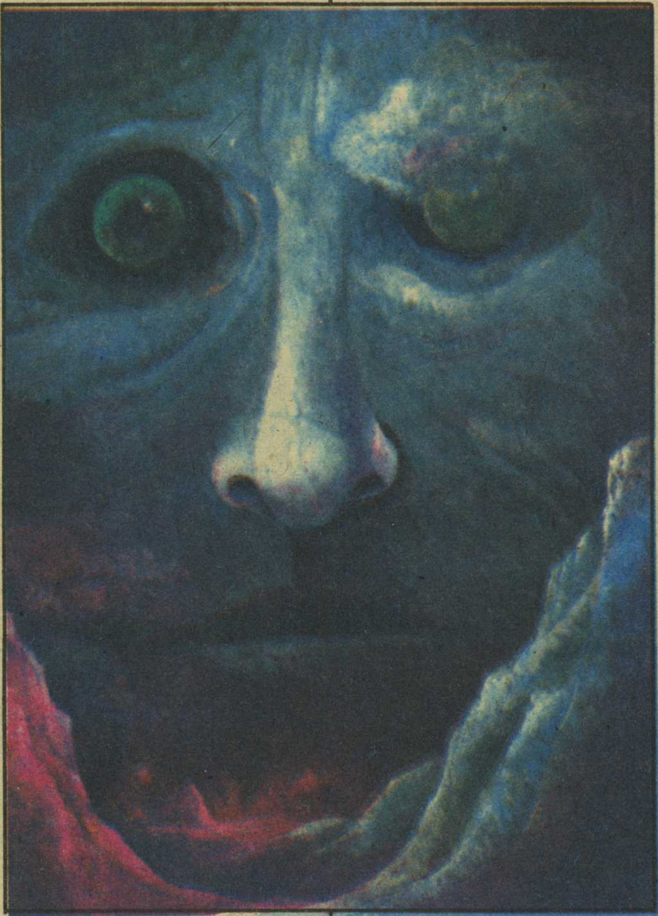
a. brzezicki

Karlgoro, godzina 18.00

Pułkownika Williama Trainera, stałego Przedstawiciela Prezydenta przy Misji, wyciągnięto z łóżka o 2.16. O 2.18 jeszcze w stanie sennego odurzenia, zaciskając pasy zbiegł po schodach do czekającego na podjeździe Lądownika. Sadowiąc się na tylnym siedzeniu wiedział już, że czeka go trudny dzień. Dwaj kapitanowie i cywil, znał ich z widzenia, siedzieli sztywno trzymając okładki z godłem państwowym. Pułkownik przetarł oczy i spojrzał na konsolę sterowniczą: „Lot balistyczny, cel zastrzeżony, czas miejscowy 15.04". Cywil o młodej, lecz zniszczonej twarzy odwrócił się z przedniego siedzenia:

– Jestem Henry Hunt z gabinetu prasowego i mam panu towarzyszyć do Centrum Nasłuchu Galaktycznego. Choć moim zdaniem jest to przesadna ostrożność, mam obowiązek nie dopuścić do prób nawiązania z panem łączności. Chodzi o środki przekazu. Panowie kapitanowie tylko mi towarzyszą. Czy ma pan pytania?

Wiedział już, skąd zna tę twarz. Widział ją nieraz w otoczeniu Prezydenta i raz nawet spotkał się z Huntem na rządowym bankiecie. Wiedział też, że niczego więcej teraz odeń nie wyciągnie. Skinął głową Huntowi na znak, że przyjął wyjaśnienia do wiadomości i nie ma pytań. Ten podał mu okładki ze stroną druku i odwrócił się na siedzeniu.



Dokładnie po 30 minutach, w świetle późnego popołudnia Lądownik zatrzymał się na końcu pasa przylegającego do wąskiej drogi. Trawa tu ciepła, pachnąca skoszoną trawą jesień. Wóz Centrum zabrał ich aleją ognistoczerwonych kasztanów aż do potężnej bramy z betonu, z dużym tłoczonym w niklu napisem „Centrum Nasłuchu Galaktycznego w Karlgoro".

– Jeżeli to awaria systemu nasłuchu to pojedziemy w prawo, jeżeli nowe dane, to prosto aż po obelisk – myślał Trainer. Westchnął głębiej i dłońmi od głowy do kolan zebrał nie dotykając ciała, igiełki zmęczenia. Po magnetycznym masażu poczuł równowagę odu. Pojechali prosto. Za Pomnikiem Cichych Bohaterów skręcili przed główny budynek Ośrodka. Na podjeździe powitał go dyżurny sierżant.

– Sierżant Daniel Savetski, dyżurny sekcji. Jest pan oczekiwany, panie pułkowniku. Proszę korytarzem w prawo do dźwigu nr 17.

Sierżant cofnął się oddając honory i Trainer wszedł do wnętrza.

W momencie przekraczania przejścia poczuł Obecność i dzięki niej wiedział już, gdzie ma się stawić. Czuł, że ona go oczekuje. Przed dźwigiem nr 17 oddał oficerowi inspekcyjnemu wszystkie drobiazgi i otrzymał stalowy pasek z magnetyczną ścieżką.

– To jest pana sympatyzer na piętro, na którym zatrzyma się dźwig i do wszystkich urządzeń sieci informatycznej. Na piętrze będzie pana oczekiwał pułkownik Anderson – powiedział oficer wręczając mu magnetyczny klucz i uśmiechnął się służbowo. Pułkownik Anderson czekał kilka kroków od drzwi dźwigu. Nie miał na sobie munduru. Był w luźnym stroju relaksyjnym, używanym podczas medytacji w Sekcji Mentalistyki.

– Mamy ciężki przypadek, William – rozpoczął – pozwól ze mną, zapoznam cię ze szczegółami.

Ruszyli korytarzem. Anderson kontynuował:

– Półtorej godziny temu powiadomiliśmy sekretariat Prezydenta o sytuacji i zyskaliśmy uprawnienia do prowadzenia akcji w trybie utajnionym. Zagrożony jest skład osobowy załogi kosmolotu Europa II. Ze względu na wagę tej informacji nie przekazano ci jej w czasie lotu. Oficjalnie zostałeś tu ściągnięty do jednego z programistów zranionego podczas remontu Sekcji Mocy Geopatycznej. Zapamiętaj na wszelki wypadek: ranny jest porucznik Roger Rostow z Sekcji Analizy Echa. Jego stan nie budzi obaw. Tej informacji nie zwolniono jeszcze do rozpowszechnienia.

Minęli korytarz prowadzący do głównej sali medytacyjnej, wejścia do wojskowych kaplic anglikańskiej i prawosławnej. W pierwszym pomieszczeniu Sekcji Przetwarzania Danych znajdował się tylko stolik wizyjny, ekran ścienny i trzy foteliki. Usiedli. Anderson włożył swój sympatyzer do gniazda końcówki systemu informatycznego i odwrócił się do Trainera. Na jego twarzy widać było napięcie.

– Według sprawdzonych informacji, na statku Europa II około godziny 8.07 naszego czasu uległ ciężkiemu wypadkowi Główny Mentalista Misji – Roy Holmsen. W trakcie energetyzowania kapsuły badawczej wybiło część energii z ujęć magnetycznych. Nie nadaliśmy biegu procedurze po pierwszym doniesieniu jasnowidzącego J 6A. Rozkład szumów jego kory mózgowej podczas transu dyżurnego dawał 84 procent prawdopodobieństwa wizji. Komentarz J 6A do widzenia przekazał jednoznaczny: Całkowita, subiektywna pewność wypadku. Drugie zgłoszenie nadeszło w 7 minut po pierwszym. Widzenie o tym samym efekcie miał J 9A. Z tych dwóch widzeń zsyntetyzowaliśmy komputerowo obraz obrażeń Holmsena. Wtedy nadaliśmy bieg sprawie i wyszły nowe dane. Przetestowaliśmy możliwości medyczne Europy; okazało się, że on nie powinien żyć. Do teraz nie wiemy jak oni utrzymują go przy życiu. Spójrz na zapis.

Na ekranie, którego płaskość ustąpiła wizji przestrzennej, rozegrała się dramatyczna sekwencja. W rozmazanym, bajecznie kolorowym tle zawirowało coś ciemnego o wyraźnych konturach i zamarło w dolnej części ekranu. Potem obraz przeskoczył na bliższy plan. Tło pozostało bez zmian, zbliżeniu uległ ciemny przedmiot drgający niesamowitym ruchem. Trainer wiedział co to jest. Z trudem doszukał się kończyn.

– Na tym się kończy wizyjny zapis widzenia zdjęty z kory mózgowej J. 6A – podjął Anderson – resztę informacji J 6A odebrał poza widzeniem korowym. Jak wiesz innych wizji nie potrafimy zarejestrować. J 6A twierdzi, że ta unikalna wizja przedstawia moment wybuchu odrzucającego Holmsena pod ścianę korytarza w punkcie konstrukcyjnym 07490713 24 CC 70 X. Spójrz na analizę porównawczą. Kilkoma przyciskami uruchomił znów ekran. Na syntetyczny obraz korytarza z komputerowej pamięci nałożył się obraz z wizji jasnowidzącego. Potem przetransformował się w obraz uszczegółowiony z numerami charakterystycznych punktów konstrukcyjnych.

– Dzięki drugiemu widzeniu J 9A – mówił Anderson – uzyskaliśmy dane o uszkodzeniu ciała. Niestety bez rejestracji wizyjnej. J 9A nie wyraża na nią zgody. Obrażenia opisane przez niego dotyczą kończyn, przedniej części tułowia i lewej strony głowy. Jakimś cudem ocalała strona prawa. Zresztą nie ma to znaczenia; z medycznego punktu widzenia obrażenia kwalifikują się jako poparzenia trzeciego stopnia z głębokimi ubytkami.

Zapanowała chwila ciszy.

– Znałem go, pamiętasz? – przerwał milczenie Trainer – byliśmy wtedy mali. Ja miałem 7 lat. Był idolem wszystkich małych mężczyzn. Pamiętasz jak z nami rozmawiał. Nikt tak ze mną później nie rozmawiał. Bez słów. Mamy jedną biofalę.
Przerwał znów i zmienił temat.
– Dlaczego dowództwo tak długo czekało z informacją dla mnie i dlaczego zerwali mnie dopiero w nocy?
Anderson chrząknął.
– To nie dowództwo zwlekało, to my. Widzisz, nie mamy... nie mam osobiście pełnej jasności, za mało dowodów... Nie wyobrażam sobie zresztą jak można by dowieść... tego co wyłoniło się z naszych analiz. No i rozbieżności interpretacyjne... Zbudzono w pierwszym rzędzie Prezydenta. Nie wiem jeszcze jak przebiegała rozmowa. Trwała 53 minuty. Zdajesz sobie sprawę co to oznacza. Prezydent dokładnie wypytywał o wszystkie konsekwencje naszych wniosków. Po tej rozmowie dostaliśmy nakaz przyjęcia do Ośrodka trzech największych mediów i bioenergetyka Eismontowa. Nasi bioenergetycy byli i są zdania, że... należy zastosować przekaz energii biologicznej na Europę II. Uważają, że przy takich mediach odległość 7 lat świetlnych dzielących statek od Ziemi jest do pokonania. Na zebraniu przygotowawczym opracowaliśmy schemat łańcucha dawców energii. Eismontow ma być dawcą głównym narzucającym biofalę prowadzącą... Jego pole jest 220 razy silniejsze od pola Roya Holmsena. Zdajesz sobie sprawę jaka to potęga? W ubiegłym miesiącu napromieniował z odległości 8000 km grupę 16000 ludzi i ma 94 procent odwróceń procesów chorobowych. Centrum medycyny kosmicznej odebrało cztery osoby o cechach eterycznych spolaryzowanych z jego parametrami. Nie mogliśmy w pierwszych godzinach dobrać Prowadzącego, który by tę energię przetransformował i kosztem pozostałych dawców przekazał na Europę II. Dopiero na 20 minut przed twoim przybyciem powitaliśmy... tak to się odbyło, powitaliśmy Jiddu Swami Sanhramurti. On ma tytuł Światłość Światłości. Zdaniem naszej sieci informacyjnej jego stosunek do naszej rzeczywistości jest dla tej operacji najbardziej odpowiedni.
Przerwał i odwrócił się do obrazu trwającego w niemej projekcji. Wiszące w przestrzeni cyfry opisujące elementy konstrukcyjne, wśród których tkwił w nienaturalnej pozycji ludzki strzęp, rzucały wyzwanie.
Anderson pochylił się nad pulpitem i przełączył obraz. Ujrzeli wiszący w przestrzeni anatomiczny model ciała ludzkiego o przezroczystej strukturze wewnętrznych układów. Plamka wskazująca zaczęła wolno kreślić na powierzchni modelu nierówne płaszczyzny o postrzępionej fakturze.
– To jest prawdopodobna symulacja obrażeń. Zapamiętaj je dokładnie do seansu bioenergetycznego. Wszystkie wnioski Komputera Medycznego wyglądają tak samo. Na pytanie dlaczego z takimi obrażeniami ranny żyje, wyświetla: „Przypadek hipotetyczny. Ze względu na sprzeczność danych nie kwalifikuje się do analizy". Jednocześnie wyklucza możliwość hibernacji. Jedyne posunięcia jakie proponuje, to hel w temperaturze 293 K, pod ciśnieniem 1 Atm. Na Europie II najprawdopodobniej właśnie to zrobili; Jiddu dał do zrozumienia, że wie dlaczego on żyje, ale swoimi myślami się nie dzieli.
Plamka dobiegła końca drogi zostawiając obraz bardziej wstrząsający od poprzedniego. W dolnym prawym rogu zawisł fioletowy napis „zejście – Roy Holmsen A SCX 7440 3172".
– Jest w tym jakaś tajemnica – kontynuował Anderson – ciągle odnosimy takie wrażenie. Podzieliliśmy się wynikami burzy mózgów z Departamentem Polityki Zagranicznej i oni odesłali nas do Prezydenta. Pomogli nam też nakłaniając Jiddu do przybycia. Wiesz jakie to trudne w wypadku prawdziwych medytujących. Tymczasem on wiedział, że go poproszą i natychmiast wyraził zgodę.
– Wiem – powiedział Trainer – przy wejściu odebrałem wewnętrzny przekaz. To on mi się przedstawił, chociaż wtedy nie wiedziałem, że to on. Wiem też, że on ma możliwość Prowadzenia. Wydaje mi się, że odczułem co was niepokoi. Czułem też, że uzyskam odpowiedzi na wszystkie pytania, ale dopiero w trakcie przekazu. Bo rozwiązanie leży poza granicą technicznych i naukowych możliwości. Ono jest strukturalnie inne. Widząc zdumienie Andersona dodał:
– Otrzymałem polecenie uczestniczenia we wszystkich waszych działaniach i miałbym kłopoty, gdyby Jiddu mnie nie zaakceptował. Za 8 miesięcy kończy się kadencja i staremu potrzebne są atuty. Takie akcje, w dodatku udane, na tym etapie przedwyborczym nieźle mu zrobią.
Anderson spojrzał na czasomierz i wykonał gest ponaglenia:
– Zanim pójdziemy na salę musisz się przebrać. Osoby, z którymi będziemy pracować, dekoncentrują się na widok munduru.
Trainer skinął głową.
– Przekaz rozpoczniemy za 40 minut, do tego czasu zapoznasz się z najświeższym przekazem radiowym, jaki dotarł do nas wczoraj z Europy II. Pochodzi sprzed 7 lat, nie ma więc związku ze sprawą, ale będziesz miał materiał do serwisów informacyjnych. Gdzie się przebierzesz?
– Tutaj.
Anderson wcisnął przycisk.
– Mundur relaksyjny dla pułkownika Trainera... Zostawię cię na pół godziny – dodał.
Syk drzwi wyjściowych zlał się z pstryknięciem stacyjki transportera pneumatycznego. Trainer wyciągnął z pojemnika pakiet odzieżowy i strzepnął go rozwijając w dwuwarstwowy lekki kombinezon bez wojskowych emblematów. Przebrał się nie odrywając oczu od ekranu, przedstawiającego nadal symulowane ciało o nie wykształconych rysach twarzy. Przez dozownik zamówił posiłek i otrzymał kubek metnego płynu. Usiadł przed pulpitem. Przyjęto zamówienie na określone danie, ale rola Trainera w ośrodku była zakodowana, więc nadjechała potrawa nie zawierająca substancji mogących zakłócić przepływ bioenergii. Przed zakłóceniami zewnętrznymi chroniły ulokowane na najniższej kondygnacji stabilizatory pól geopatycznych, obejmujące swoim zasięgiem cały kompleks budynków Centrum. W promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie było więzień, szpitali psychiatrycznych, linii wysokiego napięcia. Niczego, co mogłoby zakłócić funkcjonowanie ludzi o wybitnych cechach psychotronicznych, zatrudnionych w ośrodku. Marzenia więźniów o wolności, stresy chorych psychicznie – wysłane w eter, przenikając wszystko co materialne, pojawiać by się mogły w postaci wizji mediom nastawionym na odbiór myślowych przekazów ze statków lecących w przestrzeni. Błądzące myśli i wizje o niezwykłych natężeniach znajdować by mogły przypadkowych odbiorców w osobach jasnowidzących i mogłyby być wprowadzane przez odczyty ich pól mózgowych do systemów przetwarzania, a linie energetyczne dokoncentrowałyby medytujących pracowników służb nasłuchu. Do Centrum Nasłuchu Galaktycznego nie miał dostępu Prezydent; jego ambicje i żądze naruszyłyby równowagę eteru mentalnego. Z tych samych względów nie mogli tam przebywać inni politycy, nie przeszkoleni wojskowi, aktorzy, sportowcy przed ważnymi imprezami. Wszyscy pracownicy Centrum wybierani byli po ciężkich testach. Warunkiem pracy w Służbie była pełna stabilizacja życiowa i psychiczna. Komfort emocjonalny decydował o pracy w sekcjach technicznych. Bezwzględna umiejętność jego zachowania, niezależnie od warunków zewnętrznych, pozwalała ubiegać się o stanowisko czynnego funkcjonariusza Nasłuchu. Testowe parametry emocjonalne liczyły się po równo z wykształceniem i wymogami zawodowymi.
William Trainer, absolwent Wojskowej Akademii Lotów Pozaukładowych, robił błyskawiczną karierę naukową a potem służbową, bez konieczności stymulowania swoich działań napięciami psychicznymi. Dzięki tym psychofizycznym predyspozycjom zajął szybko uprzywilejowane stanowisko przy Pałacu Prezydenckim. Uczestniczył już w dwóch akcjach specjalnych w pierścieniach Saturna. Ale dopiero tu na Ziemi, w środku jednej z głównych baz naziemnych Floty Galaktycznej, czuł zbliżające się zderzenie z Nieznanym.
W gnieździe czytnika tkwił sympatyzer Andersona, a pod nim jarzył się napis: „Otwarcie pamięci łącznie z kluczem nr 4 po sprawdzeniu". Włożył w gniazdo swój klucz „Znowu taka ostrożność z wyjściem informacji – pomyślał Trainer. – Gabinet Prezydenta będzie miał kolejny powód do skargi na stosunek do prezydenckiej służby".
30 minut obserwował sekwencje z wnętrza Europy II. Krótkie wypowiedzi członków załogi, ujęcia nowo narodzonych dzieci. Oceny sytuacji wśród załogi. Funkcjonowanie systemów kosmicznego miasta. Obraz był płaski i czarno-biały, przecinany zakłóceniami, toteż Trainer nie od razu poznał Holmsena. Cofnął ujęcie i zatrzymał je. To był Holmsen sprzed 7 lat. Niemal taki, jakim go pamiętał. Wyrazistość kamiennej z pozoru twarzy, oczy patrzące daleko poza obserwowany obiekt wzrokiem, któremu nie wystarcza dojrzenie i poznanie. Kiedy ich oczy spotkały się, oczy siedmiolatka i

MAREK BARANIECKI (ur. 16.06.54) – mieszkający i pracujący w Gliwicach, inż. inżynierii środowiska. Od 1976 roku dziennikarz studencki. Były kierownik Gliwickiego Oddziału Tygodnika Studenckiego „Politechnik". Publikuje artykuły prasowe w TSP, w Tygodniku Społeczno-Kulturalnym KATOLIK. Miłośnik fantastyki, wychowany na Lemie i całej fantastycznej prozie światowej, jaką udostępnili nam tłumacze – najbardziej chyba uwielbia opowiadania Ballarda. Nowy głos polskiej SF brzmiący nieoczekiwanie mocno i czysto, jeśli się zważy, że drukowane dziś opowiadanie jest jego debiutem literackim

óczy czterdziestodwuletniego mężczyzny o światowej sławie – poznał w nich siebie w swojej dziecięcej perspektywie, i swoją przynależność do przyszłości. Takie samo wrażenie odnieśli wszyscy ze szkolnej grupy jego rówieśników. Z każdym z nich Holmsen rozmawiał 3 lub 4 minuty. Rozmową bez wstępu i zakończenia. Rozmową o samym sensie każdego z nich. W 8 miesięcy później Holmsen jako jeden z ostatniej grupy lecących dołączył do wyprowadzonej już na orbitę okołosłoneczną Europy II. Z owej grupy dzieci trzydzieści osiem zostało mentalistami. Między innymi Anderson i Trainer.

Włączył odtwarzanie. Holmsen mówił o stanie socjoczynnika zwartości grupowej i relacjach indywidualnych ciekawych z punktu widzenia socjotroniki. Potem przeszedł na temat badań przestrzeni wokół Europy II. Kiedy po raz kolejny zmienił temat, Trainer odruchowo wyostrzył uwagę. Kiedy zapis się skończył, cofnął go i odtworzył powtórnie. Potem zrobił to po raz trzeci. Skupił uwagę na słowach wypowiadanych wolno, stanowczym tonem.

-...„Narastanie atmosfery niepokoju obserwowałem już kilkakrotnie. Jest to zjawisko o tyle nietypowe, że nie ma źródeł w obiektywnej sytuacji grupy. Proces konsolidacji naszego mikrospołeczeństwa przebiega bez napięć. Udało nam się stworzyć więzi i systemy zachowań daleko już odbiegające od przyjętych na Ziemi, ale w naszej sytuacji poczucia odrębności te zmiany przebiegają dla grupy korzystnie. Przewidywania programowe i prognozy mikrosocjologiczne sprawdzają się nadal, przy czym obserwuję dominację potrzeb wyższych. Zbiorowe medytacje relaksacyjne odbywają się obecnie w każdą niedzielę, a kreatywne w środy i piątki i są głównymi punktami dnia roboczego. Jak już wspomniałem w poprzedniej transmisji podział światopoglądowy na dobro i zło jako wartości kreatywne ustabilizował się w optymalnym składzie załogi. Otóż ów niepokój odbierany jest właśnie w tej konwencji. Wypadkowa opinia na jego temat i obraz są takie... Zacytuję wspólnie opracowany i uzgodniony tekst. „Czujemy napór psychiczny o odcieniu lekkiego zagrożenia. Występuje on w odstępach kilkutygodniowych. Ma związek z sytuacjami konfliktowymi, ale wyczuwamy go dopiero po udanych operacjach załagodzenia konfliktów. Jego nasilenie jest małe lecz wyraźne. W odczuciu 12 procent załogi wystąpiło to też po zapobieżeniu dwu awariom systemów energetycznych opisanych pod numerami S 701 03 i 06 w tej transmisji. Odczucia te są natury podprogowej i nie mają cech reakcji na stresy. Jednocześnie nie są czynnikiem istotnym w stabilności nastrojów. Panuje powszechne przekonanie, że ich źródło jest obiektywne, zewnętrzne i nie związane z naturalnymi reakcjami psychobiologicznymi". Dział mentalistyki ma pełną kontrolę nad sytuacją i nie obserwujemy żadnych zjawisk negatywnych. Zapis dla sekcji socjotechnicznej opracowany został zgodnie z programem Ziemi procedura nr A 7 349. Następna transmisja za 280 dni o godzinie 10.30 czasu pokładowego".

Obraz na ekranie zmienił się na wizyjny sygnał wywoławczy Europy II. To był koniec odtwarzania. Trainer siedział w bezruchu starając się zrozumieć, co go tak mocno zaintrygowało w wypowiedzi Holmsena. Czuł, że punkt ciężkości tkwi w końcówce. „Panuje powszechne przekonanie, że ich źródło jest obiektywne, zewnętrzne i nie związane z naturalnymi reakcjami psychobiologicznymi". Intuicja podpowiadała mu istnienie jakiegoś związku między faktami odległymi od siebie o siedem lat. Ale kiedy zadawał sobie konkretne pytania, całe wrażenie znikało. Powoli, ociągając się, Trainer połączył się z sekcją konstrukcyjną Ośrodka. Zgłosił się młody rudowłosy porucznik.

– Jakie jest prawdopodobieństwo wycieku energii na Europie? – zapytał.

– W tym wypadku?

– Tak.

– Wyświetlam – zameldował porucznik i zakodował pytanie. Na ekranie pojawiła się liczba 0,000000003, a pod nią uwaga: „W czasie lotu podniesiono stopień zabezpieczenia w stosunku do pierwotnego".

– Czy ma pan dalsze pytania?

Trainer odpowiedział przecząco i połączenie się skończyło. Wydruk świetlny nadal wisiał w przestrzeni ekranu przecząc tlącym się jeszcze w świadomości podejrzeniom o technicznej przyczynie awarii. Wiedział teraz jak znikome było prawdopodobieństwo wybuchu w momencie, kiedy znajdował się tam Holmsen. Jego obecność nie była wymagana w tym punkcie statku ani regulaminem, ani zakresem obowiązków.

W 10 minut później zatrzymał się już w towarzystwie Andersona przed drzwiami sali, w której znajdowali się wszyscy uczestnicy Przekazu. Trainer czuł podniecenie pomimo samokontroli jaką prowadził od chwili zapoznania się z Zadaniem. Anderson, jakby czytając w jego myślach, odezwał się półgłosem.

– Czuję się uczniem przed egzaminem. Nie wykonywałem zadania w takiej sytuacji. Odnoszę wrażenie, że nie ja nim kieruję, lecz jestem pionkiem.

– Jaki on jest? – zapytał Trainer.

– Wykształcony. Trzy fakultety, jedenaście języków. Ma 31 lat, jeżeli ma jakikolwiek sens – odpowiedział Anderson i dodał spoglądając na czasomierz: – godzina 16.56. Pamiętaj o rytuale.

Uruchomił drzwi i weszli do wnętrza. Bezcieniowe oświetlenie o żółtym odcieniu pozwalało dostrzec siedzących półokręgiem na niskich stołeczkach. Ściany, podłoga i strop pokryte były modrzewiową mozaiką kryjącą pod sobą ekrany akustyczne i rejestratory systemów komputerowych. Na tej sali zapisywano obrazy widziane przez medytujących. Na jednej ze ścian znajdowało się duże przestrzenne zdjęcie nagiej postaci Holmsena. Po przeciwnej stronie wejścia w półokręgu były dwa wolne miejsca. Siedzący trwali w całkowitym bezruchu i ciszy, odwróceni do drzwi plecami. Trainer wiedząc, że Anderson już widział się z Jiddu, zrobił dwa kroki przed Andersona, ukląkł i pokłonił się siedzącemu tyłem mężczyźnie. Zrobił to w całkowitej ciszy i nikt z obecnych nie wykonał żadnego ruchu. Smagły mężczyzna, którego Trainer przywitał, trwał w bezruchu i milczeniu. Klęcząc nadal, Trainer przebiegł wzrokiem po pozostałych. Dwaj z nich, widoczni z profilu, byli ciemnowłosymi mężczyznami w nieokreślonym wieku, o cerze kredowobiałej, wpadającej w lekko cytrynowy odcień. Ręce czyniące wrażenie gipsowych odlewów, poprzez swój bezruch – kontrastowały z barwą czerwonorudych luźnych ubiorów. Z prawej strony siedział mężczyzna o silnej budowie ciała i wyrazistym kanciastym profilu. To był Eismontow. Jako ostatnia po prawej stronie siedziała kobieta w średnim wieku o bardzo przeciętnej urodzie i pospolitej postaci. Była jednym z najlepszych na Ziemi mediów.

Trainer przeniósł wzrok na plecy okryte szarym suknem. Jiddu wciąż siedzący bez najmniejszego ruchu, odezwał się cichym głosem.

– Otworzyliście techniką niebo, ale nie umiecie otworzyć drzwi do swych ciał. Pragniecie poznać siebie, a szukacie poza sobą. Kiedy jest za późno drżycie o braci, a kiedy jest czas, zapominacie jak dzieci o tym, że wasze działania są pyłem wobec nieskończoności.

Umilkł i znów zapanowała zupełna cisza. Po chwili równie cicho Jiddu powiedział:

– Słucham twoich słów.

– Pozwól mistrzu, abym doznał łaski powitania ciebie – odpowiedział Trainer.

– Witaj – padło w odpowiedzi.

– Pozwól mi też złożyć podziękowanie za twoją obecność i przywitanie mnie u progu budynku. Pragnę, aby twoja droga stała się dla mnie światłem wiodącym do doskonałości. Pragnę twojej nauki.

Odpowiedzią było milczenie. Trainer odebrał je jako aprobatę.

– Oczywiście wiesz – ciągnął – że pragnę cię jeszcze raz we własnym imieniu prosić, abyś użył swojej mocy i chciał przywrócić życie ciału Roya Holmsena. Spraw swoją siłą, która jest ponad materialne i czasowe więzy, aby wrócił do pełnego zdrowia bliski nam wszystkim człowiek. Przyłączam się do prośby, z jaką przybyli do ciebie przedstawiciele naszego Ośrodka.

Znów zapanowała chwila ciszy, zanim Jiddu odpowiedział.

– Zgodziłem się na to, bo prosicie o to nie tylko wy. Nakaz życia w jego duszy silniejszy jest od nakazu dalszej wędrówki. Zajmij miejsce.

Trainer wstał z kolan i obaj z Andersonem usiedli na wolnych stołeczkach. Część wstępna była skończona.

– Przed waszym przybyciem – powiedział mężczyzna siedzący po prawej stronie Jiddu – miałem widzenie ze statku. Nie mogłem mimo starań dojrzeć rannego. Widziałem natomiast, że wśród załogi panuje determinacja, ale też i rozładowanie napięcia emocjonalnego. Praca przebiega normalnie. Od chwili wypadku wszyscy oczekują jakiegoś wydarzenia. Nie potrafiłem określić jakiego. Wiem, że nie jest oczekiwane jako dobre. Nie umiem tego wytłumaczyć. Miało nastąpić w ciągu godziny po wypadku, ale nie nastąpiło.

– Czasu jest mało – powiedział Jiddu przerywając mówiącemu. Musimy się wszyscy przygotować, aby zdążyć z pomocą. Musicie przygotować wasze ciała i waszego ducha do przyjęcia Prawdy. Tylko przez nią będę mógł zapanować nad życiem człowieka poza Ziemią. Od waszego poddania się Prawdzie zależeć będzie życie ciała i ponowne nałożenie więzów duchowi. Czy jesteście gotowi?

W ciągu kilku minut wszyscy odpowiedzieli myślą twierdząco. W chwili ostatniej odpowiedzi Trainer poczuł, że już nie jest sam w sobie. Nagle otworzyło się jego zamknięcie i wiedział, że nie będzie już więcej słów. Był pod działaniem jakiejś siły, która otworzyła zamknięte kanały zmysłów. Czuł jak znikają wszelkie więzy kieru-

jące fizycznym działaniem. Był lekki i jasny. Mógł wiedzieć wszystko czego zapragnął. Doznał nagłego olśnienia, że ten stan to było Wyzwolenie, jakie osiągnąć mógł do tej pory po wielu dniach medytacji. To przyszło nagle i było niemożliwe do zakłócenia przez zewnętrzne bodźce. Wiedział, że znajduje się w stanie wywołanym przez Mistrza. Czuł, że nastąpi zaraz to, co znał ze swojego doświadczenia. A potem nastąpi tylko Nieznane.

Pierwszy zaczął gasnąć słuch. Z ciszy wyłoniły się szelesty. Jego mózg odbierał coraz odleglejsze szumy pracy Centrum. Mimo ekranów rejestrował drgania ziemi pod spadającymi z drzew liśćmi. Wiedział, że gdyby teraz w pomieszczeniu zabrzęczała mucha, zginąłby od eksplozji huku jej skrzydeł. Nic takiego nie nastąpiło i faza nadsłyszenia ustąpiła, a słuch został wyłączony. Po nim zgasł wzrok, ale zanim to się stało, zrozumiał, że nie odbiera już wrażeń ciepła i smaku. Bez trudności przeszedł ostatnią barierę, jaką napotykał w początkach sztuki medytacji. Barierę lęku. Podświadomość opanowana do perfekcji poddała się jego woli i nie zareagowała, kiedy świat jego zmysłów przestał istnieć wraz z zewnętrznymi atrybutami życia. Wtedy zapragnął widzieć i otworzył mu się obraz, ale już niezależny od oczu. Zapragnął słyszeć i zaczął słyszeć, ale nie zmysłem. Potem zapragnął kontaktu z tym, który go otworzył i zlał się z nim w jedno. Zaraz za nim rozszerzył się o wszy-Wszystko to odbywało się bez jego działania. Wystarczyło jego pozwolenie. Zbliżał się do Prawdy. Jego własna potęga była teraz tak wielka, że nie czuł jej granic. Mógł wszystko. Wystarczyło pobudzenie Woli.

I wtedy rozpoczął się Dialog.
Nie było w nim słów ani pojęć. Dialog toczył się w nim samym. Dialog o wszystko. Od pierwszego atomu Wszechświata do ostatniej jego chwili istnienia. Ten dialog był jego atakiem na więzy indywidualności. Choć wiedział, że nie jest sam, jego obecność otaczała psychiczna nieprzepuszczalna błona uprzedzeń, ignorancji, egoizmu. Z zewnątrz naciskało ją Dobro tego, który go prowadził... Ta siła łagodnie i stanowczo żądała wyzbycia się ziemskich przywar. Ustępował wolno, bardzo wolno... I nie nastąpiło to czego się obawiał. Podświadomy opór, że się zatraci, kiedy odrzuci więzy łączące go z przejawami fizycznego życia, nie miał już podstaw. Był w stanie pełnej świadomości celu, w jakim poddał się fizycznemu wyłączeniu a jego fizyczna odrębność zatraciła się. Czuł, że jest Energią wysublimowaną z siedmiu osobowości. Każda z nich miała teraz ten sam cel co jego. Gdzieś za granicą poznania była gasnąca życiowa energia mentalisty Holmsena nie mogąca przeciwstawić się chaosowi materii Wszechświata, choć za wszelką cenę trzymająca się ciała. Gdzieś w głębi wypłynęło pytanie, które nurtowało Świadomość. Pytanie nie sformułowane żadnymi umownymi znakami. Było zdziwieniem, jak to się stało, że nastąpił wypadek. Jak to się dzieje, że ciało nie chce się poddać. Zamiast odpowiedzi zaczął odczuwać wolno napływające Zrozumienie. Przychodziła Wszechwiedza. A kiedy go wypełniła, zrozumiał Nieubłaganą Wrogość Chaosu, na który podniósł rękę człowiek wraz ze swoim Uporządkowaniem. Człowiek pragnący dowieść, że wszystko i wszędzie ma swoją Przyczynę i Skutek. Że Chaos jest zbiorem nieskończonym perfekcyjnych praw Natury. Ten Chaos atakował od praczasów wszystkie poczynania istot ożywionych i najwyższą ich formę na Ziemi – Homo Sapiens. Człowiek wdarł się w międzygwiezdną próżnię, która nie była dla niego przeznaczona. We wrażeniu bezosobowego teraz Trainera i zjednoczonych w medytacji dawców bioenergii, ten Chaos stał się synonimem i uosobieniem Zła. Siły przeciwstawnej Życiu. Ale nie materii, bo jej właśnie uporządkowanie było Złem. Prawo do przenikania rozumem stało się przez superpozycję Dobrem. Społeczność Europy II wdarła się w Chaos. Nastąpiła nieunikniona samoobrona żywiołu, w życiu ludzi zwana przypadkiem. Mikrospołeczność przez wiele lat pokładowych broniła się zbiorową organizacją, wyszkoleniem, naprawami, umiejętnością gaszenia wybuchających tu i ówdzie konfliktów międzyludzkich, będących niczym innym jak najwyższym przejawem Entropii. Prawo Entropii wybierało zawsze i tutaj wybrało punkt najsłabszy w ogniwie zabezpieczeń. Połączyło awarię systemu z obecnością człowieka będącego głównym elementem spajającym załogę. Był nim mentalista Roy Holmsen.

Kiedy wspólna Świadomość medytujących ogarnęła to zrozumieniem, Jiddu wydał jedyne czytelne, myślowe polecenie, które świadomość Trainera wykonała natychmiast. Arthana czandatakrija – łatwość działania zgodnego z wolą. W tym momencie spełniło się oczekiwanie. Zapragnął znaleźć się w sali medycznej Europy II. I był w niej. Przed nim w dole, pod półprzejrzystą pokrywą stołu medycznego leżało okaleczone ciało. Trainer znajdował się w odległości 7 lat świetlnych od Ziemi i od swego ciała. Wyraził wolę uzdrowienia tego człowieka i poczuł napływającą jak trans Energię i Moc. Czuł, podchodzi ona z sześciu miejsc i zespala się z jego. Zogniskował się w niej i wszedł w ciało leżącego. Masa zniszczonych komórek zablokowała pierwsze wtargnięcie bioenergii i życia. Nieopisane, niemal namacalne uderzenie hamujące! Nie ustąpił jednak i po chwili poczuł jak ta energia z niego wypływa w kierunku wszystkich chorych komórek ciała leżącego. Trwało to ułamek sekundy... a może wieczność. Nie wiedział. Miarą czasu stał się tylko opór organizmu przyjmującego. Kiedy opór ten zniknął całkowicie, poczuł że jego obecność się kończy. Ogarnął Wszechwidzeniem w ułamkach chwili cały statek. Napędy, systemy, pomieszczenia, ludzi, pamięć systemów informacyjnych, zwierzęta i rośliny, zewnętrzne instalacje Europy II. Zapamiętał jednocześnie wszystko, zarejestrował sytuację i podziękował prowadzącemu, bo to on dał mu ten moment. Zapadł się w ciemność i pustkę. I czuł, że wraca.

Po długiej chwili czasu, który już odczuwał, otworzył oczy. Zamiast obrazu sali miał przed oczami bajecznie kolorowe plamy wolno rozpływające się na boki. Do uszu docierały ciche pojedyncze, niezrozumiałe słowa. Czuł się strasznie zmęczony – jak nigdy dotąd przez całe życie. Dźwięk słów zaczął przybierać składne formy. Mówił mężczyzna o niskiej barwie głosu:



Ryszard Wojtyński

–...w historii Centrum. Pełny zapis analizujemy właśnie w Sekcji Przetwarzania... Pułkownik przytomnieje. Dajcie jeszcze trochę energii na głowę, ręce niżej, teraz dobrze.
Obraz wyostrzył się. Przed nim na jednym kolanie klęczał lekarz Centrum w błękitnym kombinezonie i trzymając dłonie nad jego głową uważnie mu się przyglądał. Twarz miał skupioną i uważną. Po chwili lekko się uśmiechnął.
– Panie pułkowniku, jak się pan czuje?
Trainer spojrzał w górę na kilkanaście rąk nad sobą, a potem zobaczył mokre plamy wokół siebie. Cały kombinezon był mokry, jakby Trainer właśnie wyszedł w nim z wody.– Wydaje mi się, że już dobrze – zawahał się – czy było źle?
– Oddał pan bardzo dużo energii, ale jest już w porządku – odpowiedział lekarz – wie pan, że przekaz trwał 18 godzin.
Trainer odruchowo dotknął rękami swojego korpusu jakby sprawdzając czy istnieje. Wywołało to śmiech zebranych. Ręce zaczęły opadać.
– Wszyscy po tej informacji zareagowali tak samo – skomentował lekarz – oprócz Jiddu.
– Gdzie on jest? – zapytał Trainer.
– Wyjechał dwie godziny temu – odpowiedział siedzący z tyłu Anderson – tak jak pozostali.
– Jeżeli czuje się pan na siłach, to może pan już skorzystać z natrysku – dodał lekarz – to była najszybsza kuracja odchudzająca jaką ostatnio widziałem. Schudł pan podobnie jak pułkownik Anderson o cztery i pół kilograma.

Następne dwie godziny upłynęły Trainerowi na zdawaniu sprawozdania. Anderson robił to samo w sąsiednim pomieszczeniu. Kiedy skończył wydało mu się nagle, że jest wielkim oszustem. Mówił o stanie statku, załodze, Holmsenie, sobie i przebiegu akcji, ale w części „wnioski" podał tylko argumenty za rozwojem psychotronicznych metod łączności ze statkami w odległościach pozaradiowych. Wnioski sformułowane były błyskotliwie; mogło to mieć znaczenie przy awansie na wyższe stanowisko. Ale pod zawodową maską Trainer z trudem powstrzymywał tłoczące się myśli.

– Wiesz dlaczego Holmsen chciał żyć? – zagadnął Andersona w połowie milczącego obiadu i nie czekając na odpowiedź, którą Anderson musiał znać, ciągnął. – Do życia mogło go ciągnąć przywiązanie, potrzeba kontynuowania wyprawy, chęć zakończenia Misji... Ale to nie był powód.

– Nie – potwierdził Anderson.

– On wiedział od siedmiu lat co najmniej, to, co my wiemy teraz – kontynuował Trainer – on wiedział co się z nim stanie, gdy znajdzie się w tym miejscu korytarza. Wiedział na długo przedtem, że To musi nastąpić.

Anderson drgnął zdziwiony.

– Mam podobne odczucie, ale dlaczego on się poddał?

– Myślę, że to nie było poddanie – Trainer odsunął talerz i wytarł usta.

– Nie rozumiem...

– Nie odniosłeś wrażenia, że to nie powinno się było w ogóle zdarzyć? 60 tego typu urządzeń i 17 kilometrów korytarzy, z których 3 kilometry przylegają do identycznych miejsc, jakie zostało objęte wybuchem. I on jeden. To była ta tajemnica, o którą wszyscy się ocieraliśmy przy analizie.

– Co masz na myśli?

– Sądzę, że on dużo wcześniej od nas zdał sobie sprawę, że żadna doskonałość nie jest i nie może pozostać bezkarna. Może to zabrzmi irracjonalnie, ale teraz nie mam już dawnych wątpliwości. Ta Misja to obelga dla Najwyższego Ładu Natury. Każdy skuteczny krok w kosmos to naruszenie prawa Chaosu. Każda udana próba założenia przyczółka cywilizacji to Wyzwanie. Dlatego w historii obowiązuje prawo cykliczności wojen i pokojów. Rozkwitu i stagnacji; po epokach rozwitu cywilizacji kulturowych – ich upadek. Tłumaczenie to opisowymi prawami rozwiązywało sprawę na etapie mechanizmów działania kryzysów. Wiedziano jak i kiedy, ale nie wiedziano dlaczego. Nigdy nie zdawano sobie sprawy z tego, co wie już nasze pokolenie dzięki mentalistyce. Tu działa najbardziej niepojęte dla człowieka prawo – prawo entropii i uporządkowania.

– I nieważne czy to nazwaliśmy walką dobra ze złem w kategoriach religii. Trendów rozwoju i stagnacji w kategoriach ekonomicznych uzasadnień wojen i pokojów. Dobrą lub złą passą w życiu poszczególnych ludzi. Całe pokolenia wiedziały, że jeżeli człowiekowi się długo wiedzie, to należało się spodziewać, że zbliża się jakiś dramat. Zjawisko znane jako feralność i budzące instynktowny lęk. Szczególnie silny, jeżeli człowiek się jawnie i beztrosko z tego cieszył. Ale te pokolenia tylko wiedziały na podstawie doświadczenia. Bez odpowiedzi na pytanie: dlaczego? Ta wyprawa też była, upraszczając sprawę, kontynuacją takiego „radosnego pasma powodzeń". Statek jest praktycznie niezniszczalny. Dzięki mentalistyce i technikom psychospołecznym załoga jako mechanizm też nie miała szans się „zepsuć", ulec entropii, zniszczeniu. To właśnie było naruszeniem Prawa, że przypadek jako wykonawca Chaosu został na Europie II praktycznie wykluczony na 30 lat. Prawdopodobieństwo niewystąpienia żadnej awarii stało się w tym okresie, z punktu widzenia Entropii, niemal równe zeru. Jakaś katastrofa musiała nastąpić.

– Były dwie awarie, opisane w ostatniej radiotransmisji, którą wczoraj przejrzałeś. Choć z matematycznego punktu widzenia ich prawdopodobieństwo było praktycznie zerowe – powiedział Anderson.

– Właśnie – podjął Trainer – w transie zobaczyłem, że innych awarii w czasie następnych siedmiu lat nie było. Po prostu rozbudowano systemy zabezpieczeń wewnętrznych i zewnętrznych.

Przerwał i dłuższą chwilę milczał.

– Już siedem lat temu załoga odczuwała stany niepokoju, jakie poprzedzają nieszczęśliwe wypadki. My to nazywamy przeczuciem, które jest może oznaką reakcji jakiegoś najwyższego zmysłu na Entropię. Ale oni tam nie dali szans spełnienia się tego przeczucia. Stąd niepokoje, właśnie po udanych akcjach zapobieżenia napięciom międzyludzkim i awariom technicznym.

Znów przerwał, jakby się nie mógł zdecydować dokończyć.

– Myślę, że Holmsen rzucił największe wyzwanie naturze, na jakie człowiek do tej pory się zdobył. On wiedział, że musi sam zasymulować wyładowanie. Zasymulować, bo zamierzał przeżyć swoją śmierć. On wiedział, że kanonów Praw Natury nie można obejść wprost, bo być może w tej sytuacji w pewnym momencie bez żadnego powodu Europa II na przykład uległaby nagłemu rozpadowi. A my uznalibyśmy to zdarzenie za fakt o nieskończenie małym prawdopodobieństwie i czulibyśmy się zwolnieni z obowiązku rozwiązania zagadki. Holmsen rzucił wyzwanie Entropii. Tuż po zakończeniu Przekazu bioenergii, w transie wejrzałem w system zabezpieczeń. Ten układ energizacji kapsuły badawczej, który puścił, miał siedem obwodów zabezpieczeń, podczas gdy wszystkie pozostałe – osiem. Ten jeden został zdjęty na 12 godzin przed wypadkiem, a jak wiesz z teorii zabezpieczeń pełne matematyczne bezpieczeństwo daje w tego typu urządzeniach system trzyobwodowy. System podwójnego dublowania. Pozostałe pięć założono po opisanych w transmisji dwóch awariach. Roy Holmsen wiedział, że Entropia z tej szansy skorzysta!

– Ostrożnie William, jeszcze trochę i ją spersonifikujesz. Przecież to tylko Prawo Natury.

– Powiedziałem to w przenośni, choć taki wyłania się sens. Nie wiem jednak, dlaczego w medytacjach Nieznane nie ma cech suchych praw. Dlaczego cała historia mentalistyki i ludzkości w paranormalnych stanach poznania odkrywa nie wzory i zależności dynamiczne, czasoprzestrzenne i logiczne opisy materii, ale stany dobra i zła, miłości i pustki. I nimi opisuje świat tworząc techniki działania, z których my korzystamy ponad techniką materialną.

– Myślę, że Roy Holmsen zdjął tę blokadę i tylko tę jedną, jakby wymierzając tym jednym obwodem policzek wszechmocy Przyrody. Również tylko raz poszedł w to miejsce. Kiedy byliśmy w czasie transu w nim, jego żołądek był pusty od dwóch dni. Nie zawierał żadnej substancji odżywczej, która przy tego rodzaju obrażeniach mogłaby przyśpieszyć śmierć. Dlaczego? Jak to wytłumaczysz?

– Nie wiemy również, dlaczego przyjechał do nas Jiddu – kontynuował Trainer. On wiedział, jak sam mówiłeś, o wszystkim zanim go poproszono o pomoc. A przecież on nigdy nigdzie nie jeździ.

– Myślisz że... – zaczął Anderson i przerwał.

– Myślę, że to podstawienie się wypadkowi było celowe. Jestem też pewien, że Holmsen liczył na naszą pomoc, właśnie taką, jakiej mu udzieliliśmy. Wliczył tę pomoc w akcję. Myślę, że zrobił to nie po to, by rozładować nieuchronność. Oczywiście upraszczam sprawę językowo. Nie wiem tylko dlaczego? Wydaje mi się to najbardziej pokerową rozgrywką, jaką jestem w stanie sobie wyobrazić. I szczerze mówiąc nie czuję się dobrze, kiedy zaczynam rozumieć skutki udanej akcji Holmsena.

– Czy dlatego, że pomoc odebrał z Ziemi a nie od członków załogi, która była na miejscu? – zapytał Anderson.

– Tak – Trainer powiedział to bardzo cicho – tylko że Ziemia nie ma wielokrotnych zabezpieczeń wszystkiego.

Anderson wstał z miejsca i wrzucając naczynia do wrzutu odpadków powiedział: – A zatem czekamy na raport z dyżurnych transów naszych mediów.

Pożegnali się przed drzwiami dźwigu numer 17. Na poziomie wyjścia z Centrum na otwartą przestrzeń parku Trainer odebrał mundur i drobiazgi. Na placyku podjazdu przystanął i z przyjemnością wciągnął w nozdrza cudowny zapach jesieni. Aleja wysadzana złotymi grzywami kasztanów zachęcała do spacerów. Wrzucił mundur do czekającego służbowego wozu i ruszył pieszo z lądowiska. Nie uszedł jednak kilometra, kiedy z jadącego za nim wozu wychylił się dyżurny oficer.

– Panie pułkowniku, połączenie z Centrum. Pułkownik Anderson na linii.

Zawrócił na pięcie i wsiadł na tylne siedzenie. W ekranie trójwymiarowego monitora wbudowanego w tył przedniego fotela czekała pomniejszona postać Andersona.

– Mamy pierwszy z widzenia J 12A. Organizm Holmsena jest zregenerowany w 96 procentach. Proces odnowy tkanek na skutek pobudzenia bioenergetycznego w czasie Przekazu przebiegł kompleksowo. W czasie najbliższej godziny przewidywane jest odtworzenie się całej powierzchni skóry i zanik śladów. J 12A zrelacjonował kolejne etapy biologicznego odtworzenia. Holmsen jest przytomny i nie ma nawet szoku pourazowego. To jest prawdziwy sukces, pułkowniku Trainer. Prezydent będzie z pana dumny.

– Tak, to jest sukces, pierwszy prawdziwy sukces naszego Ośrodka, również dzięki panu, pułkowniku Anderson, dziękuję za współpracę – odpowiedział oficjalnym tonem Trainer.

Kiedy ekran zgasł, spojrzał na czasomierz, ale nie było go w rękawie bluzy.

– Która godzina, poruczniku – rzucił w kierunku oficera za konsoletą sterowniczą.

– W Karlgoro?

– Tak.

– Za minutę osiemnasta – padła odpowiedź.

Skinął głową i wóz ruszył z dużą szybkością aleją w stronę lądowiska, na którym kołował wojskowy Lądownik, którym tu przybył.

Vez leciutko dygotał z emocji. - Czy to układ, Johnie Braysen?

- Układ! Ręczę, że nikt z moich ludzi się nie sprzeciwi. A gdyby nawet... to i tak będzie za późno.

XIX

Nieuzbrojony, transportowy statek Hohd typu małego krążownika (łatwo dający się rozpoznać dzięki wklęsłym końcom ukształtowanym tak, aby mieściły się w nich osłony grav specjalnego rodzaju) wynurzył się z null między czterema parami podwójnych gwiazd. Szybkie spojrzenie na kulę detektora masy upewniło Johna, że zgodnie z programem Luna przybyła tu przed nimi, aby uprzedzić Barta o wizycie hohdańskiego statku. Potem spojrzał na Vez Do Hana. - No cóż - uczynił dłonią szeroki gest. - Oto on!

Vez prawdopodobnie nie usłyszał z tego ani jednego słowa. Stał sztywno wyprostowany, z oczyma wlepionymi w ogromny statek widoczny na ekranie. Jego wargi poruszały się bez wydawania dźwięku, oddech miał krótki i urywany. Ocknął się, zwrócił do Johna: - Na przestrzeń! Jest taki jak go opisywałeś, kolego. Ale żaden opis nie potrafi oddać wszystkiego. Na to, mimo wszystko, nie byłem przygotowany.

- Jest imponujący, prawda? Żałuję, że nie było pana z nami, kiedy wyłaniał się spod powierzchni planety! Cóż, chyba się przesiądziemy na jego pokład? - John pochylił się w stronę mikrofonu. Nie zdążył wywołać kodu, a już zniecierpliwiony głos Barta rozbrzmiewał w słuchawce: - John? Jesteś tam na pokładzie? Hej, John!

- Jestem, Bart. Razem ze mną jest Vez i czterej hohdańscy specjaliści.

- John! Coś się wydarzyło! Pełny Samiec przysłał tu jeden z naszych statków z wiadomością. Raf Cole powiedział, że Chelki o mało go nie uderzył, kiedy Ralf odmówił mu parametrów tej kryjówki. W końcu jednak dogadali się i Ralf obiecał, że do ciebie dotrze bez względu na okoliczności. Omniarch miał kłopoty. Vul dowiedzieli się o nim i jego zabiegach. Teraz ścigają go lub próbują ścigać. Na razie ukrywa się na planecie, z której wydobyliśmy Bertę. Vul nie wiedzą, że on tam jest, ale wiedzą, że był przedtem. Dlatego obserwują na wypadek, gdyby się tam znowu pojawił. Nie ma statku ani możliwości przeżycia, jeżeli szybko nie przyjdziemy mu z pomocą. Pełny Samiec z Akielu nie sądzi, że w tamtym regionie mogą znajdować się duże siły Vul. Mówi też, że zna sposób porozumienia się z tobą, jeżeli tam dotrzesz i zdołasz przepędzić Vul. A Cole od siebie mówi, że Pełny Samiec i reszta kolonii na Akielu zachowują się jak rój oszalałych z wściekłości szerszeni; powiada, że nigdy nie przypuszczał, aby Chelki mogli zachowywać się w ten sposób.

Rozdrażniony Humbert Daal umiał ciskać obelgi i słowa bardziej kąśliwe niż najostrzejsze sztylety. Umiał jednak być także i najmilszym, najsympatyczniejszym kolegą. Teraz był właśnie w swoim drugim, łagodnym wcieleniu.

- Naprawdę nie wiem, jak cię przepraszać, Johny. Doskonale rozumiem, jak bardzo musisz gardzić takim upodleniem, jak używanie narkotyku.

John poczuł na swojej twarzy słaby rumieniec, choć zdołał się już częściowo uodpornić na takie słowa. Zresztą w tej chwili bardziej niepokoiła go nieodparta chęć spoglądania raz po raz na parę lśniących, filigranowych zwierząt, skulonych czujnie w najdalszym kącie pokoju.

Daal nie wyglądał źle. Utył szokująco, jeśli przypomniało się jego tygrysią zwinność i szczupłość sprzed ośmiu lat. Jego uda, kiedy w lnianej piżamie opadł na wielką, pokrytą poduchami kanapę, były dwukrotnie grubsze od nóg Omniarcha Chelki. Brzuch wyglądał jak rozedrgany, miękki balon. Mimo to skórę miał gładką i świeżą, miał te same co dawniej, niewinne, bladoniebieskie oczy. Białka oczu nie były zaczerwienione, źrenice wcale nie rozszerzone, powieki nie podpuchnięte. Skutki działania dronu - przynajmniej w początkowym stadium, dawały się dość łatwo neutralizować przez ludzki organizm.

Słaby ruch w kącie pokoju przykuł uwagę Johna. Jedna z dwóch skulonych tam istotek odważyła się poruszyć, wydała miękki, cichy dźwięk, przypominający miauczenie. Jej brązowe, przejrzyste oczy były wpatrzone w Johna i pełne nieopisanego strachu.

Humbert uśmiechnął się i powiedział łagodnie:

- Podejdź tu moja droga. On - podbródkiem wskazał Johna - nie zrobi ci nic złego.

Stworzonko wahało się parę sekund, po czym szybko podbiegło do kanapy, przylgnęło mocno do Daala ukrywając twarz i mrucząc coś ze strachu. Chwilę później, jakby przerażone nagłym osamotnieniem, drugie stworzenie dołączyło do pierwszego.

John dopiero teraz zorientował się, że zna przecież takie istoty. To były prawie humanoidalne zwierzęta zamieszkujące lasy Jessy. Zauważył również, że obie istotki były rodzaju żeńskiego. I naprawdę piękne - o niezwykle pięknym i gładkim futerku. Ich jasnokremowa sierść miała jedynie ciemniejsze cienie wzdłuż kręgosłupa i na czubku głowy. Ich skóra - widoczna na dłoniach i stopach - miała matowy róż skóry niemowlęcia. Ale ich kształty bynajmniej nie były kształtami dzieci. Braysen zastanowił się, czy widoczna w ich zachowaniu zmysłowość jest ich cechą wrodzoną, czy raczej skutkiem trafienia między ludzi. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę ze swojego podniecenia, co wprawiło go w złość i w zakłopotanie.

Daal zachichotał złośliwie: - Zawsze byłeś zbyt świętoszkowaty, jak na żołnierza. Tak, Johny. To są moje małe, kochane bestyjki - i co w tym strasznego? Zdaje się, że trochę mocniejsze wypaczenia trafiały się ludziom, którymi dowodziłeś. Jeszcze zanim w ogóle mogli mieć jakiekolwiek preteksty. Powiedz sam, Komandorze Braysen, jakie to wypaczenie skłoniło ludzi do powierzenia obowiązków walki tylko osobnikom jednej płci? Przecież kobiety nieraz uczestniczyły, i to czynnie, w najbardziej morderczych wojnach na Ziemi. Czy nie byłoby ci teraz przyjemniej, gdyby wśród nas znalazło się bodaj kilkanaście pań w stopniu podporucznika czy sierżanta?

Daal przerwał, spoglądając na Johna swoimi niewinnie uśmiechniętymi, błękitnymi oczkami. Podjął

po chwili:
– Nie sądzisz, że był to jakiś idiotyczny rodzaj pruderii? A może jakiś męski kompleks niższości, do którego tak niechętnie się nawet wobec siebie przyznajemy? Czy to nie za to zostaliśmy przez naturę ukarani wyrokiem zagłady?
– Ty przeklęty, cholerny sybaryto! – John nie mógł już zapanować nad gniewem. – Doskonale wiesz, że były kobiety na statkach. A jeżeli już o tym mowa, to gdybyś się zbyt szybko nie przestraszył, nie poszukał sobie tej zakłamanej ideologii niewalczenia, zobaczyłbyś, że wśród humanoidów z reguły zadanie walki powierza się osobnikom rodzaju męskiego. To nie pruderia, ale próba ochrony kobiet, całego gatunku przed wyniszczeniem. Na przykład Hohdańczycy...
– Ach tak, John! Hohdańczycy! Już dawno się zorientowałem, że nawet najbardziej krwiożerczy spośród nas, a przyznaję, że ty do nich przecież nie należysz, mieli już serdecznie dość tych wszystkich morderstw i opuścili armię Hohdanu.
John nabrał w płuca powietrza, żeby wykrzyknąć jakąś ostrą ripostę, lecz pohamował się. Nie było sensu wdawać się w awantury.
– Hohdańczycy – powiedział spokojnie – nie są potworami. I ty o tym wiesz, Humbercie. Walczą, przyjmują wyzwania i przecież udaje im się przetrwać. Od nas oczekiwali swego rodzaju rehabilitacji...
– Rehabilitacja – zachichotał Daal, delikatnie pogłaskał swoje zwierzątka, które od jakiegoś czasu przestały już zwracać uwagę na Johna. Teraz pieszczota Daala sprawiła, że poruszyły się zmysłowo i zaczęły mruczeć śpiewnie. Przysunęły się tak, by móc lizać tłusty policzek Daala różowymi języczkami.
– Patrz, John. Przecież w nich nie ma nic zwierzęcego. Można je nauczyć rozumieć mowę ludzką i nawet używania kilku słów. Moim zdaniem, ich inteligencja jest bliższa ludzkiej niż inteligencja małp. I są tak delikatne... W przeciwieństwie do nas. Nie ma w nich złośliwości ani zjadliwości. Patrz. Ich zęby nie są zębami mięsożerców. I są takie czyste... Takie słodkie, pachnące i czyste...
Początkowe podniecenie Johna ustąpiło mdłościom. Opanował się jednak, mruknął: – Dziękuję za wykład. Ale... – zawahał się, czy powiedzieć Daalowi o wszystkim – ... przybyłem tu z innego powodu.
– Domyślam się. – Uśmiech Humberta stał się kpiąco przyjacielski. – Czy sądziłeś, że można cały sektor Galaktyki przetrząsnąć w poszukiwaniu ocalałych ludzi aż tak dyskretnie, żeby plotki nie dotarły do mnie? Trochę mnie to dziwi, John, że znów dałeś się nabrać na te stare opowiastki.
– Tym razem nie ma żadnego oszustwa, Daal – John potrząsnął głową. Mówił cicho. – Widziałem dosyć dowodów na to, aby zostać przekonanym.
Daal westchnął z komiczną przesadą: – Nie za prędko się starzejesz, John?
– Nie martw się o moją starość. Pomyśl o swojej. I po prostu porządnie zastanów się nad całą sprawą. Gdybyś uwierzył, że jest jakaś, nawet mała, szansa? Czy nie przyłączyłbyś się do nas? Nie przekonałbyś swoich towarzyszy, aby poszli z tobą?
Jedna z istotek wydała cichy, żałosny okrzyk bólu – John zauważył, że tłusta dłoń zamyślonego Daala była mocno zaciśnięta na miękkim ciele zwierzątka. Niewiarygodna myśl przyszła Johnowi do głowy. Pochylił się mocno ku Daalowi, zapytał z naciskiem: – No, jak? Zrobiłbyś to?
Grubas roześmiał się nieoczekiwanie.
– Zabawne pytanie, Komandorze. Jasne, że tak. Ale musiałbym mieć pewność. Nigdy nie dam się namówić na pogoń za nierealnymi mrzonkami. Taak – powtórzył z namysłem. – Musiałbyś mi pokazać naprawdę mocne dowody.

Don Cameron w swojej Mineoli poleciał nad górskie jezioro odległe o sto kilometrów od osady Daala. Spodziewano się tam odnaleźć innych mężczyzn z grupy Humberta. Razem z Donem poleciał Fred Coulter, który teraz właśnie mówił przez radio:
– Komandorze! Nigdy bym nie uwierzył, że kiedykolwiek zechcę opuścić tę planetę, ale teraz jestem tak podniecony...
John niemal go nie słyszał – całą jego uwagę pochłaniało ukradkowe obserwowanie Humberta Daala i

podrzucać jedną ręką. Patrzył na Johna przez chwilę. – Jak pan wie, stary towarzyszu broni. Imperium Hohd ma wiele zalet demokracji i ... cierpi na jej wady. W efekcie moi zwierzchnicy mają teraz drobne kłopoty. Mimo że najwyżsi urzędnicy swego czasu zgodzili się na tę małą akcję mającą na celu powstrzymanie ekspansji Bizh, teraz zaczynają skłaniać się ku innemu punktowi widzenia. Otrzymałem rozkaz zaprzestania walk. A szczególnie mam ograniczyć swoje kontakty z ludźmi i innymi najemnikami.
– To dość zbieżne z moim raportem. Ludzie uważają, że wywiązali się z umowy. Mam nadzieję, iż pańskie rozkazy nie zabraniają panu dotrzymania punktu, w którym jest mowa o przyznaniu ludziom planety, na której mogliby osiąść?
– Rozkazy może to ujmują – Vez lekceważąco machnął dłonią, – ale są sposoby, żeby rozkazy interpretować tak, jak trzeba. Ja osobiście nie zamierzam was zmuszać do opuszczenia tamtej planety, ale nie powinniście zbytnio liczyć na poparcie moich zwierzchników gdyby was tam odnaleziono. W tym wypadku doradzam wam jak najściślejszą dyskrecję.
Prawość Vez Do Hana wywołała ukłucie winy w sercu Johna. Był zmuszony grać fałszywymi kartami ze swoim prawdziwym przyjacielem... – Doceniam pańską przychylność i uczciwość, Vez. Ale to może pana postawić w bardzo niezręcznej sytuacji.
Do Han przybrał pogardliwą minę. – Nie dbam o to. A ta afera i nagonka przeciw najemnikom zapewne nie potrwa długo. Wiadomo, że w każdym imperium muszą stale być rozgrywane jakieś intrygi. Nie wykluczam, że dojdzie na przykład do współpracy Vul i Bizh.
Siedzieli w milczeniu dość długo, nim Vez przerwał tę pełną skrępowania ciszę. – Kolego – choć nasze kontakty z Bizh są słabe i nie bezpośrednie, to jednak istnieją. Przez jednego ze szpiegów dotarł do nas dziwny raport...
Nogi ugięły się pod Johnem. A potem nieoczekiwanie John Braysen uśmiechnął się!
Vez mówił dalej: Wiem, że jest pan istotą uczciwą, Johnie Braysen. Rozumiem też, że najwięcej uczciwości i najwięcej starań winien jest pan swojemu gatunkowi... – przerwał. Wyglądał na podnieconego, lecz mówił bardzo łagodnie: – Raport jest opowieścią o ogromnym statku, którego z całą pewnością nie dałoby się zbudować w oparciu o znane materiały i technologie. Parametry czasu i przestrzeni podane w raporcie szpiega, dość nieoczekiwanie zgadzają się z tym, co pan pisał w swoich sprawozdaniach... – głęboko wciągnął powietrze. – Ja również jestem lojalny wobec swojej rasy. A wszystko, o co pana proszę teraz, to poszukanie jakiegoś sposobu (o ile widzi pan taką możliwość) aby pańska lojalność i moja mogły się ze sobą pogodzić. Proszę zastanowić się nad zastosowaniem tego sposobu.
John roześmiał się na głos. – Tak, kolego Do Han – powiedział. – Ogromny statek. Oczywiście, łatwo może pan odgadnąć, skąd go wziąłem, jak i to, że został on zbudowany przez Klee. Wspomniał pan, że jestem winien lojalność wobec swego gatunku. I zapewne ma pan na myśli bezpieczeństwo tych kilkudziesięciu niedobitków towarzyszących mi obecnie. Ale jednak jest coś jeszcze... – przerwał opanowując własne uczucie. – Mój gatunek – ściszył głos – nie jest skazany na wymarcie. Rozumiesz, Vez? W bezpiecznej kryjówce żyje pewna ilość naszych kobiet. Zdolnych do rodzenia dzieci.
Obserwował zmiany na twarzy Hohdańczyka: przerażenie, osłupienie, podniecenie i w końcu rozbawienie. Temu ostatniemu towarzyszył głośny wybuch śmiechu: – Proszę nie mówić reszty, Johnie! Proszę mi pozwolić odgadnąć! Oczywiście, jedynie Omnarch wie, gdzie wasze kobiety są, czy tak? Więc to właśnie on wyciągnął pana z Drongail i z nałogu, dlatego obiecał statki i pomagał zebrać resztę ludzi. Trzeba przyznać, że piekielnie sprytnie to wymyślił. – Vez Do Han nagle spoważniał. – Teraz rozumiem jak małe miał pan możliwości wyboru, lecz mimo tego zrozumienia nadal jestem lojalnym Hohdańczykiem. Proszę mi powiedzieć, na przestrzeń! Jak możemy pogodzić nasze zobowiązania.
John odetchnął głęboko. – Wydaje mi się, że sposób się znajdzie. Kiedy już zbierzemy te kobiety z miejsca, w którym ukrył je ten czworonożny intrygant, i kiedy zapewnimy im bezpieczeństwo po osiedleniu się z dala od Vul, wtedy będziecie mogli zabrać ten przeklęty statek. Przedtem może pan polecieć, tym razem ze mną i nauczyć się nim kierować. Mój gatunek i tak jest teraz zbyt nieliczny i dostał zbyt bolesną nauczkę, aby nawet za sto lat chciał mieć cokolwiek do czynienia z przestrzenią. Potrzeba nam wygodnej planety w jakimś cichym kącie galaktyki. I myślę, że będziemy szczęśliwi nawet wtedy, kiedy przyjdzie nam wrócić do podróżowania zwierzęcymi zaprzęgami.

XVIII

Niosący Johna statek klasy Uzbrojony Zwiadowca wyłonił się z null w pobliżu Akielu, wysłał radiową odpowiedź na hasło i wylądował. Oficer dowodzący pozostawionym tu kontyngentem ludzi zameldował najpierw: - Komandorze! Są kłopoty. Vul zrobili nieoczekiwany nalot na Jessę.

John spojrzał na niego ze znużeniem, mruknął: - To fatalnie. Chociaż było do przewidzenia. Kiedy się dowiedziałeś?

- Kilka dni temu. Jeden z tych statków Bizh, które reperowaliśmy, wyskoczył na planetę oddaną nam przez Hohdan. Już jest gotowy do użytku. Właśnie tam ludzie dowiedzieli się od Hohdańczyków - patrzył na Johna z przygnębieniem. - Sir, czy to może znaczyć, że Vul będą nas szukać i tutaj?

- Nie widzę powodu, dla którego mieliby tu trafić. Nikogo nie informowaliśmy o położeniu Akielu. A co z ludźmi na Jessie? Zostali schwytani?

- Tego Hohdańczycy nie wiedzieli. Dowiedzieli się o tym nalocie za pośrednictwem jakiegoś statku handlowego z sojuszniczego imperium, który zatrzymał się na Jessie aby zabrać ładunek lnu. Vul od razu uderzyli w zbiorowisko ludzi, inne rasy pozostawili w spokoju. Kiedy odlecieli ktoś poszedł sprawdzić, co się stało. Podobno były ślady walki, ale nie znaleziono ani żywych ludzi, ani żadnych zwłok. Tubylcy byli zdezorientowani. Nikt nie był w stanie powiedzieć nic logicznego.

John pogrążył się w zadumie. Cóż, to wydarzenie nic nie zmieniało. Nadal najpilniejszą sprawą było zobaczenie się z Omniarchem. Spytał jeszcze: - Postawiłeś wszystkich ludzi tutaj w stan gotowości?

- Tak jest, komandorze. Oczywiście powiedziałem o tym także Pełnemu Samcowi. Powiedział, że natychmiast zawiadomi o wszystkim Omniarcha.

- W porządku, poruczniku. Idę osobiście pogadać z Pełnym Samcem.

Odnalezienie Pełnego Samca zajęło Johnowi resztę dnia i część następnego. Spotkał go wreszcie i Chelki - wysłuchawszy w milczeniu żądania Johna - odpowiedział:

- Komandorze. Od ośmiu dni nie mam żadnych wiadomości od mojego przodka. Chciałem się z nim skomunikować w zupełnie innej sprawie i oczekiwałem odpowiedzi już dwa lub trzy dni temu. Ten fakt oraz nowina o najeździe Vul na Jessę sprawia, że zaczynam obawiać się, czy mój przodek również nie ma jakichś kłopotów.

John z irytacją wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo, głośno rzekł: - Proszę mimo wszystko próbować. Muszę się z nim spotkać w bardzo ważnej sprawie i to jak najszybciej.

- Uczynię to, Johnie Braysen. Ale weź pod uwagę, że jeżeli mój przodek ma kłopoty, to łańcuch porozumienia między nim a mną w każdej chwili może być przerwany, o ile się tak już nie stało. A wtedy ja sam będę musiał pomyśleć o bezpieczeństwie tej planety.

- Czy to ma znaczyć - sapnął John - że zamierza pan nałożyć na nas jakieś ograniczenia?

- Nie, Johnie Braysen. Tego nie mogę uczynić. Ale proszę was przede wszystkim o dyskrecję.

John starał się opanować zawiedzenie i gniew. Mówił cicho i spokojnie: - Oczywiście będziemy dyskretni. Ale... sądzę, że dotrzymaliśmy słowa i zakończyliśmy pierwszą fazę planu Omniarcha.

- Wyślę tę wiadomość jedyną drogą, jaką znam. Czy zaczeka pan na Akielu na ewentualną odpowiedź?

- Nie. Muszę jeszcze spotkać się z dowódcą Hohd. Jak pan wie, jest ustalone miejsce, w którym już uprzednio spotykaliśmy się z Omniarchem. Będę tam trzymał kogoś przez cały czas na obserwacji.

- Ta wiadomość również zostanie przekazana, Komandorze.

Vez Do Han zmarszczył brwi w zamyśleniu. - Nie. Nie mam pojęcia, gdzie Omniarch może się ukrywać. Jest fizycznie bardzo odporny, więc mógł sobie urządzić kryjówkę na prawie każdej planecie chlorofilowo-białkowej. A skoro przez tyle lat udało mu się uniknąć odkrycia myślę, że jest bardzo rozsądnym i uważnym zbiegiem. Na przykład - Vez Do Han uśmiechnął się leciutko - nigdy nie powiedział mi, gdzie leży Akiel, choć mogę to w pewnym stopniu odgadnąć.

- W każdym razie dziękuję - westchnął John. - Czy miał pan czas przeczytać raport, który panu wysłałem po dokonaniu nalotów w pobliżu odległego krańca Bizh?

- Tak - Vez podniósł mały model statku kosmicznego leżący na biurku jako przycisk i zaczął go

stojących w pobliżu czterech mężczyzn. Daal uśmiechał się, gawędząc pogodnie o jakimś innym świecie, w którym kiedyś przebywał. Był spokojny, wręcz emanował łagodną dobrocią. Ale wszystkie słowa wymawiał odrobinę niewyraźnie, uśmiech znikał i pojawiał się na jego ustach zbyt łatwo - John poznał te objawy. Daal najprawdopodobniej zażył małą dawkę dronu, by uspokoić swoje nerwy. Mężczyźni obok Humberta (każdy z nich, i to nie pod wpływem Daala, wyśmiał możliwość istnienia żywych kobiet) byli podejrzanie cisi, lecz mimo to John dostrzegł ich starannie maskowane napięcie. Dwóch czy trzech z nich ukradkiem dotknęło swoich obszernych bluz, utkanych z jesseńskiego lnu.

Braysen dyskretnie zerknął w stronę Council Bluffs . Był co najmniej trzydzieści metrów od statku. Daal i jego towarzysze stali nieco z boku, ale za to bliżej, mogli więc widzieć wnętrze kosmolotu przez otwarty luk.

Luis Damiano stał wraz z grupą mężczyzn około sześćdziesięciu metrów dalej. Nie był uzbrojony, ale wyglądało na to, że żaden ze stojących obok niego ludzi nie ma żadnej broni.

W kieszeni wewnętrznej John miał pistolet - broń wyrzucającą cienkie pociski. Zapinany na suwak żakiet jego munduru był dość dopasowany, ale z rozciągliwego materiału, więc John mógł włożyć pod mundur rękę i do wewnętrznej kieszeni spodni sięgnąć dosyć szybko. - To chyba głupie - pomyślał - podejrzewać, że Daal spróbuje opanować statek. Ale mimo to wygląda, że coś knuje. I dlaczego akurat tam stanęli?

Mówiący coś do Johna Sears ucichł i patrzył na niego z ciekawością. I nagle nowa, niejasna myśl przewinęła się przez głowę Braysena - było to coś w rodzaju przeczucia, które czyniło z niego tak dobrego taktyka. Ze słów Louisa Damiano, Camerona, Bunstila i jego własnych, Daal mógł sobie już ułożyć jakiś, bodaj fragmentaryczny, obraz planowanej kampanii. Mógł domyślić się, że Hohd zamierza podejrzenia rzucić na Vulmot. A Vul z kolei bardzo łatwo mogą dowiedzieć się o pobycie ludzi na Jessie. Z punktu widzenia Daala następstwem mógł być odwet Vul. Mściwy najazd na Jessę. W tym ułamku sekundy John zadecydował, co robić. Powiedział cicho do Searsa:

- Zachowaj spokój i nie okazuj zdziwienia. Idź powoli w kierunku Damiano, ale kiedy krzyknę, zacznij biec.

Przerażone spojrzenie Searsa zirytowało go. - Do diabła, człowieku! Opanuj się. I rób, co mówię. Pociski mogą zacząć latać lada chwila!

Sears zamrugał oczami. Potem z niedbałym wyrazem twarzy obrócił się i nie patrząc na Daala poszedł powoli. Ledwie Sears zdołał się oddalić o kilkanaście metrów (Braysen zmusił go do odejścia, aby trudniej było w niego trafić) John zrobił na pięcie połowę obrotu. Zrobił dwa kroki i w tym momencie Daal rzucił ostro: - Stój spokojnie, Braysen!

John zwrócił twarz w jego stronę, udając zdziwienie. Stał w tej chwili tak, by ukryć kieszeń z bronią przed spojrzeniem Daala. Udawał przy tym, że ze zdumieniem i strachem patrzy na trzymany przez tamtego pistolet. Pozostali czterej mężczyźni również sięgnęli po broń - niezgrabne pociskowce średniego kalibru. John omalże się uśmiechnął - byli oddaleni o co najmniej dwadzieścia metrów. Daal lekko zamroczony dronem, a tamci wyraźnie zdenerwowani - lepszych warunków nie mógł sobie nawet wymarzyć. Nieznacznie sięgnął pod bluzę, jego dłoń spoczęła na pistolecie, wyciągniętą broń wycelował w napastników. Dwaj z nich strzelili na chybił trafił, Daal był wyraźnie zaskoczony.

John nie strzelał, aby zabić, ale też nie strzelał na postrach. Daal na swoje nieszczęście lekko poruszył ramieniem przygotowując się do strzału. Na strzał zabrakło jednak czasu. W pierwszej chwili John nie patrzył, gdzie trafił Daala - był zajęty unieszkodliwianiem jego towarzyszy. Czterech ludzi - każdy trafiony w ramię - osunęło się na ziemię wypuszczając broń. John przestał na nich patrzeć, obrócił się dokładnie w tej chwili, w której Daal padał - igłowa kula z pistoletu Braysena przeszła przez pachę aż do klatki piersiowej i zatrzymała się w sercu Humberta. Na gładkiej, tłustej twarzy Daala przez parę sekund malowało się niepomierne zdziwienie. Potem jego oczy zamknęły się, dłonie opadły, ciężkie ciało głucho uderzyło o ziemię.

John poczuł, że robi mu się słabo. Zabijał już. Ale nie z tak bliska. I jeszcze nigdy nie musiał strzelać do ludzi.

Szedł powoli w stronę leżących. Damiano, Sears i pozostali podbiegli. - Zabezpieczcie statek - powiedział do nich matowym, martwym głosem. - I uzbrójcie się.

Council Bluffs po wykonaniu skoku zawisła w radarowej odległości od Luny i pozostałych statków, czekających na dokonanie skoku korekcyjnego Mineoli i jej dołączenie do grupy.

Fred Coulter siedział wraz z Johnem w pomieszczeniu kontroli. - Nigdy bym nie podejrzewał - powiedział - że Daal napadnie na was.

John wzruszył ramionami. - Myślę, że uznał swoją egzystencję za zagrożoną.

- Być może - zgodził się Coulter. - Nie chcieliśmy tego wiedzieć, ale z jego głową ostatnio rzeczywiście było coś nie w porządku. Po tej ostatniej dużej dawce dronu, zanim poszedł spać, wydawało mu się, że jest na Ziemi. Chyba na chwilę musiał zapomnieć o tym, co się naprawdę stało. I właśnie wtedy napisał wiersz, który zrobił na mnie wrażenie zdecydowanie dziwnego - może dlatego, że trudno nam było oceniać stopień, w jakim Daal odszedł od rzeczywistości. Zresztą - wiedział nawet, ile ma lat. Właśnie ten wiersz zatytułował „Nie proszony wiersz w 37. roku życia". Jego ostatni wiersz. A on pisząc nie wiedział nawet, gdzie przebywa.

- Mam nadzieję, że ten wiersz został gdzieś zachowany.

- Tak. W swoim bagażu mam wszystko, co Daal napisał. A co do tego ostatniego...

- Co?

- Nie sądzę, żebym ten wiersz zapomniał nawet wtedy, gdyby nie był nigdzie zapisany. - Coulter zapatrzył się w bok, gdzieś między ekrany, i zaczął mówić ze smutną zadumą:

„Miłość mojego życia ma czarne włosy i oczy - nie!
Równie dobrze niech będzie blondynką. Rudą.
Ale na pewno moja miłość jest piękna.
Nie biegnę. Trzeba zasiać owies.
Wygrać wojny.
Jeżeli czasem wydaje się, że wszystko trwa za długo...
Nie ma pośpiechu - jeszcze.
Jeszcze jestem silny i niemłody.
Malowane manekiny wirują dookoła
coraz prędzej.
Ich uśmiechy drewniane
coraz bardziej.
Malowane pory roku uciekają
coraz szybciej.
Boję się, mój Boże, mój..."

John milczał długo, potem powiedział: - Myślę, że każdy z nas miał taki dzień, w którym chciał odrzucić prawdę i realność tego, co nas wszystkich spotkało.

John również miał kilka takich wspomnień, które pragnął wyrzucić z myśli na zawsze. Jednym z nich było zdziwienie na twarzy umierającego Daala. Drugim - rozdzierające, żałosne szlochanie zwierzątek Humberta.

Coulter poruszył się niespokojnie na krześle, potem niezdecydowanie spojrzał na Johna.

- Komandorze, jest coś, co powinienem zrobić natychmiast, jeżeli w ogóle mam to zrobić. Proszę...

- Co to jest?

- Nie umiem tego wyrzucić. Znam zresztą wypadki, kiedy to uratowało paru ludzi od całkowitego załamania. To równie silne... - Coulter rozwijał jakąś szmatkę - ... jak andyna czy morfina. Ale wolałbym nie mieć tego przy sobie.

John poczuł gwałtowną suchość w ustach - na dłoni Coultera leżał półprzejrzysty kawałek wydrążonej łodygi drongalskiej rośliny. Nie musiał patrzeć do środka, by wiedzieć, że jest tam osiem kulek wielkości ziarnka grochu. Osiem porcji spokoju i zapomnienia, osiem niebiańskich, kolorowych snów.

Wyciągnął dłoń, mając nadzieję, że Coulter nie dostrzeże leciutkiego drżenia jego palców.

- Ja... - starał się jak najciszej przełknąć ślinę - ja zamknę to natychmiast - schował pudełeczko w skrytce na broń ręczną pod pulpitem kontrolnym, wrzucił do kieszeni magnetyczny klucz. Marzył teraz

dowództwa? Nieoficjalnie może się pan posłużyć w tym celu moją rangą i nazwiskiem. Chciałbym doprowadzić do konfrontacji obustronnych podejrzeń.

Oficer aż zamrugał oczyma. - Sir, nie jestem pewien, jak takie porozumienie „pod stołem" może być przyjęte przez główne dowództwo Bizh. Ale przedstawię tę możliwość swojemu współpracownikowi. Czy miałby pan jakąś konkretną wiadomość?

- Tak - odparł Bulvenorg. - Ale teraz chciałbym jeszcze usłyszeć parę słów o innych sprawach, o których ma pan opowiedzieć.

- Tak jest, sir. Odnaleźliśmy w archiwach wszystkie materiały dotyczące straconych w boju bądź zaginionych vulmotańskich statków typu Uzbrojonych Zwiadowców. Dane z okresu ostatnich dziesięciu megashegs. Analizy szczegółowe każdego przypadku wykazały, iż w sześćdziesięciu procentach wszystkich zaginięć załogę stanowili przede wszystkim Chelki.

Bulvenorg aż podskoczył na krześle. - Sześćdziesiąt procent!? - wykrzyknął. - To niesamowite! - spojrzał na oficera. - A w ciągu ostatniego megasheg?

- Pięćdziesiąt osiem procent, sir.

Bulvenorg opadł powoli na siedzenie, westchnął: - Nie sądzę, aby przypadkiem znał pan dokładnie ilość wszystkich podróży w głęboką przestrzeń i zaginięć Uzbrojonych Zwiadowców, na których pokładzie znajdowali się Chelki.

Oficer uśmiechnął się lekko. - Zaginięcia połączone z obecnością Chelki w głębokiej przestrzeni sięgają dwudziestu dwu procent wszystkich przypadków.

Bulvenorg pomału przeniósł wzrok na Gustena, tamten z poważną twarzą uczynił palcami znak przeczenia.

Bulvenorg zadał następne pytanie: - A co z większymi statkami klasy nave?

- Klasy nave, sir? Cztery stracone i nigdy więcej nie widziane w ciągu ostatniego megasheg. Tylko jeden z nich ważył czterdzieści tysięcy lohm. To był nowy statek, sir. Na próbnym locie. Na jego pokładzie byli technicy Chelki...

Bulvenorg wstał, przespacerował się po pokoju. Zatrzymał się patrząc gdzieś w przestrzeń, potem wrócił do swojego krzesła i ciężko usiadł.

- Proszę sporządzić to całe zestawienie na piśmie. Najszybciej jak tylko pan może. A sprawa buntów Chelki? To miał pan sprawdzić też. Czy znowu będą to fakty równie wstrząsające?

- Obawiam się, że tak, sir. Jak pan wie, od czasu do czasu znika zarówno pewna ilość Chelki, jak i Vulmoti. Lecz zaginięcia Chelki podczas dalekich podróży handlowych są nieproporcjonalnie częstsze niż zaginięcia Vulmoti. W trakcie analizy prawdopodobieństw i po podstawieniu faktów uzyskaliśmy model organizacji zbiegów, zajmującej się fałszowaniem zapisów w celu ukrycia znikania Chelkich. Wymaga to zamieszania w całą sprawę co najmniej jednego Pełnego Samca, który mógłby również być zaangażowany w kradzieże statków.

Bulvenorg na chwilę zamknął oczy. Bardzo niepokojący obraz sytuacji zaczął się powoli kształtować pod jego szeroką czaszką. Otworzył oczy, westchnął, spojrzał na oficera wywiadu. Potem zapytał cicho: - A co, Drugi Główny, sądzi pan o możliwości zebrania się gdzieś razem sporej części zbiegłych Chelki? Że może istnieć jakaś tajna kolonia działająca przeciwko nam?

- To jest tylko przypuszczenie, sir. Niestety. Wykryty na podstawie modelu Pełny Samiec Chelki zabił się zanim udało się nam go wypytać. Wie pan, że Pełne Samce mogą sterować poziomem i rodzajem hormonów wewnątrz swojego organizmu. Ale biorąc wszystko pod uwagę powiedziałbym, że taka możliwość istnieje. Bez formułowania tego na piśmie gotów byłbym uznać ją nawet za bardzo prawdopodobną.

Bulvenorg przestał zadawać pytania, siedział zamyślony. Potem uczynił znak potwierdzenia, uśmiechnął się ponuro do obu podwładnych i mruknął: - To powinno być przekazane do wiadomości rządu. Ale trzeba dokonać tego jak najbardziej dyskretnie.

krótszym niż cztery minuty.

– Taak – Bulvenorg siegnął po szklankę z napojem. – Ten świadek ocenił długość statku na trzy i pół tysiąca pezras?

– Tak. Przyznaje jednak, że na skutek uszkodzenia jego odległościomierza i aparaty fotograficzne nie zdołały zarejestrować tego statku.

Bulvenorg uśmiechnął się do Gustena: – Obliczenie długości trzy i pół tysiąca pezras dla statku mającego „zaledwie" dwa tysiące dziewięćset. Widzę, że Bizh wcale nie są aż tak pozbawieni wyobraźni, jak niektórzy z nas myśleli – ponownie skierował wzrok na oficera wywiadu. – A co pański szpieg miał do powiedzenia na temat mniejszych statków? Jego oddział walczył z nimi przed pojawieniem się wielkiego.

– Jego relacja odpowiada wcześniejszym, sir. Jeden layl naszych Uzbrojonych Zwiadowców oraz duży statek 40 tysięcy lohm, klasy nave.

– I nie znaleziono – spytał Bulvenorg – żadnego ciała w szczątkach postrzelonego statku? Można je byłoby zidentyfikować na tyle, by określić gatunek?

– Niestety nie, sir. Aby opisać substancje białkowe, które zebrali, użył słowa oznaczającego mięso posiekane na małe kawałki i już ugotowane.

– Z tego też można było wyciągnąć wnioski...

– Nie, sir. Zbyt wiele humanoidów zawiera w sobie te same związki chemiczne w zbliżonych proporcjach.

– A jakieś osobiste rzeczy załogi?

– Jego zdaniem mogły należeć do jakiegokolwiek humanoida.

– Taak – Bulvenorg wypił łyk napoju zastanawiając się, czy powinien wypowiadać swoje myśli. Uznał, że tak. – Uderzyło mnie, że z takim powodzeniem przekonał pan dowódcę Bizh, by udzielił panu informacji. Do tej pory nie było to takie łatwe.

Oficer wyglądał na nieco zakłopotanego. – Muszę wyznać, sir, że ów osobnik Bizh bez wątpienia uważa swoje działanie na naszą korzyść za coś więcej niż zwykłe szpiegostwo.

Bulvenorg wyprostował się na krześle, Gusten wydał dźwięk, który mógł wyrażać rozbawienie.

– Czy ma pan na myśli – Bulvenorg mówił powoli – że dał pan oficerowi Bizh do zrozumienia, że Imperium Vulmot zaakceptowało go jako dyplomatę? Bez listów uwierzytelniających?

– Ująłbym to mniej dosłownie – oficer zarumienił się lekko. – Ale obawiam się, że on właśnie coś w tym rodzaju sobie myśli. Zapewniam jednak, że nie udawałem oficjalnego reprezentanta naszego Imperium. Zwierzyłem mu w tajemnicy, iż statki dokonujące ataków na bazy Bizh nie miały załogi złożonej z Vul ani najemników Vulmotu. I że moim celem jest (choć z określonych względów zadanie realizuję w tajemnicy) uniknięcie nieporozumienia pomiędzy naszymi imperiami.

Bulvenorg parsknął śmiechem: – To doskonałe. Nie mógł pan znaleźć lepszej obrony swojego postępowania. A tak w zaufaniu... Proszę powiedzieć, czy ów oficer nie jest przypadkiem pracownikiem wywiadu Bizh? Zapewne zdarzyło się wam wymieniać wzajemnie użyteczne informacje już wcześniej.

Oficer zarumienił się jeszcze bardziej, ale uśmiechnął się przy tym. – Tak, sir. Mam nadzieję, iż pan to doskonale rozumie. Aby nawiązać kontakt z tak odmienną formą życia, musimy akceptować wszystko, co się trafi. A dzięki temu mogę prowadzić negocjacje z moim odpowiednikiem, turgiem pracującym w takiej samej dziedzinie i wszystko odbywa się o wiele dyskretniej niż gdyby on zajmował się czymkolwiek innym.

Teraz i Gusten roześmiał się głośno, natomiast Bulvenorg stłumił śmiech. – To – powiedział – Drugi Oficerze, jest dość interesujące. Zawsze miałem nikłą nadzieję, że jakiś układ tego typu mógłby przynieść ciekawe rezultaty. Widzi pan. Choć ja osobiście jestem prawie pewien, że ataki na Bizh nie są organizowane przez jakąś podstępną grupę naszych wojskowych, nie mogę oficjalnie zapewnić o tym rządu, dopóki nie będę miał niezbitych dowodów, że jest to działanie istot z zewnątrz. W tej sytuacji, choć istnieje konieczność porozumienia z Bizh na stopie dyplomatycznej, nie mogę z podobnym wnioskiem występować na drodze urzędowej. – Przez chwilę przyglądał się Drugiemu Głównemu Oficerowi Działu Wywiadu. – Czy ten pański „odpowiednik" nie mógłby czasem dotrzeć po cichu do ich wyższego

o wyjściu Coultera – gdzieś powinno się na statku znaleźć trochę etanolu. – Zmieszać to z niewielką ilością wody... myślał. – Nie zabije to pragnienia, ale chociażby zmniejszy je trochę...

VI

John pochylił się nad głównym pulpitem w sterowni Luny i powiedział do mikrofonu: – 30 sekund do wyjścia!

Jego oczy śledziły skaczącą wskazówkę pokładowego chronometru. 20 sekund. 15...

Ręce miał spocone – to zawsze było pewne ryzyko, kiedy grupa statków w określonym szyku przebywa wielkie dystanse w hipersferze. Drobna niedokładność wskazań podanych na wejście komputera lub słaba stabilizacja zasilania mogły w efekcie spowodować wyjście dwóch lub więcej statków w tym samym punkcie normalnej przestrzeni. A trzeba było przy tym uwzględniać także drobne anomalie w nie do końca poznanej naturze hipersfery. Dwa ciała mogą zajmować to samo miejsce w przestrzeni przez jedną nanosekundę, potem ulegają gwałtownemu rozpadowi. Była to wprawdzie już czwarta wspólna podróż całej floty i trzy poprzednie wyjścia były udane, lecz wziąwszy pod uwagę ostateczny cel...

Dręczyła go niepewność – czy w jakiejś naprawdę trudnej sytuacji, w której trzeba podejmować decyzje zanim jeszcze oczy zdążą odczytać wskazania przyrządów, zanim zdoła spojrzeniem ogarnąć ekrany, będzie umiał stanąć tak jak dawniej na wysokości zadania? Czuł, że jego umysł nie jest już tak sprawny, jak kiedyś.

Na początku udawało im się wszystko dzięki dobremu planowaniu i brakowi pecha. W czasie pierwszego wypadu nie stracili nikogo. W drugim stracili czterech ludzi, a czterech leżało w łóżkach na Akielu. Podczas trzeciego lotu stracili jeden z Uzbrojonych Statków Zwiadowczych z Donem Bunstilem i sześcioma innymi ludźmi.

Udało im się zdobyć dwa statki Bizh (klasy średniego krążownika), ale teraz znajdowały się one na Akielu, gdzie reperowano je i dostosowywano do potrzeb humanoidów. Z tym, że wszystkie prace miały potrwać jeszcze co najmniej tysiąc godzin.

4 sekundy do wyjścia...

Krótkie, przenikliwe buczenie klaksonu.

John poczuł chwilową dezorientację, potem pola gwiezdne wykwitły na ekranach. Teraz rozpocznie się przede wszystkim wymiana informacji międzykomputerowej – trzeba całą flotę ustawić we właściwym szyku. Na razie wszystko jeszcze było w porządku. Przeniósł wzrok z ekranu na wizjer i na detektor masy, aby upewnić się, że manewr przebiega prawidłowo.

Znów zawył klakson.

– Wyrzutnie w pogotowiu! – krzyknął zanim jeszcze zdążył zrozumieć, że to co widzi jest nieprzyjacielską formacją. Zerknął szybko na dwu poruczników po swoich bokach, którzy programowali przygotowanie pocisków i zgrupowanie statków w zasięgu kontroli Luny przez połączenie sensorów.

Klakson ścichł.

John jednym uchem chwytał niewyraźne rozmowy w obwodzie ogólnym: nikt nie wydawał się podniecony, nie było raportów o złym przygotowaniu czy o nieprzygotowaniu. Jednocześnie wpatrywał się uważnie w niewyraźną plamę na ekranie radaru. To był co najmniej tuzin dużych statków! Jakim cudem udało im się tak dokładnie trafić między napastników a wybrany przez nich cel?

John zaklął pod nosem – to była jego wina. Zbyt logiczne były jego poprzednie zmyłki, uniki w jedną, potem w drugą stronę podczas ostatnich wypadów. A potem jeszcze ta próba zaatakowania stanowiska dowodzenia Bizh...

Za jakieś dwie minuty będą mogli ponownie uciec w hipersferę. Zwyczajnie odlecieć, nie marnując nawet jednej salwy, która i tak zostałaby z całą pewnością przez Bizh przechwycona. Lecz John zbyt wiele pracy włożył w przygotowanie tego ataku – znowu zaczął myśleć spokojnie, zimno analizować szanse i możliwości. Tymczasem formacja nieprzyjaciół powiększała się z chwili na chwilę w miarę zbliżania się do celu – Bazy Bizh.

Mieli tak żałośnie małą siłę uderzenia...

Mimo tej świadomości John zdecydowanie nacisnął guziki.

– Hipersfera za 80 sekund – warknął do mikrofonu. – Najpierw przeskok na drugą stronę, potem rozejść się na boki jak tylko osiągniemy gotowość do ponownej ucieczki w hiper. Pociski tylko w czasie pierwszego wyjścia. Podczas drugiego uderzać salwami laserów ile się da. Zapomnijcie o celu! Potem spotkanie D. Wariant „Duch"!

Wskazówka chronometru sunęła po tarczy w drobnych skokach. Program był ustalony. Szyprowie małych statków nie będą teraz mieli nic do roboty aż do chwili, w której dojdzie dko drugiego skoku. Potem, o ile wszystko się powiedzie, będą za to mieli cholernie dużo roboty. Braysen uśmiechnął się zaciśniętymi, suchymi wargami, kiedy wskazówka przebiegała ostatnie sekundy. Jeśli los obróci się przeciw nim... Niektóre z ich pocisków mogą przedostać się przez obronne zapory wroga i trafić w ludzkie statki...

Hipersfera! Wyjście! – czas tak krótkiego skoku nie daje się zmierzyć.

John przebiegł oczyma przyrządy i ekrany – flota Bizh przestała być rozmazaną plamą, stała się olbrzymim skupiskiem wielokolorowych błysków. Tym razem już w zasięgu pocisków i laserów. Gdyby Bizh zaryzykowali – John mocno wciągnął powietrze w płuca – to przy zużyciu maksimum energii mogliby już użyć wyrzutni przeciw napastnikom. A przecież mieli energii wystarczająco dużo! John zdołał już naliczyć 15 jasnoczerwonych punktów, oznaczających wielkie krążowniki.

Na długie sekundy wstrzymał oddech, kiedy jego flota zwykłym grav sunęła w kierunku planety-celu, a wraz z nią pędziła nieprzyjacielska formacja. Po chwili wróg uczynił właśnie to, czego John oczekiwał – Bizh weszli do hipersfery, aby ponownie ustawić się między napastnikami a swoją bazą. Po kilku sekundach pojawili się ponownie, ale tym razem poza zasięgiem wyrzutni. John wcisnął kilka klawiszy, programując kilkusekundowe zmyłki na napędzie grav, aby nie pozwolić Bizh na zbyt długie myślenie. Oczywiście wcale jednak nie miał zamiaru przemykać się obok nich. Zdawał sobie sprawę ze zdziwionych spojrzeń poruczników. – Spójrzcie – mruknął. – Dzięki ich manewrom osiągniemy gotowość do przejścia w hiperprzestrzeń o 18 lub 20 sekund przed nimi. Kiedy teraz znikniemy, będą się zastanawiać, czy ruszymy prosto na cel, czy też pojawimy się w jakimś innym miejscu. A kiedy zamiast tego zobaczą nas dookoła siebie, dojdzie do zamieszania. Będą musieli rozważyć, czy nie mamy przypadkiem drugiej floty, gotowej do uderzenia na Bazę z drugiej strony. Kiedy oni będą się zastanawiali, my będziemy strzelać. Odpowiedzą nam, rzecz jasna, ale po czasie. Z ich strzałami damy sobie radę aż do ponownej gotowości ucieczki w hipersferę. A potem, po prostu, znikniemy, nie mówiąc „do widzenia".

Porucznicy uśmiechnęli się z powątpiewaniem. John czekał, starając się zapomnieć o dręczącym go pragnieniu. Najpierw na jednym z ekranów pojawił się króciutki błysk, po chwili wszystko wróciło do normy. To był jedynie pocisk Bizh wysłany w stronę Luny może jako próba zmyłki, a może jako wyzwanie i przechwycony przez pola ochronne. Znów spojrzenie na tarczę chronometru – minuta. Potężna siła wroga mogła teraz ruszyć na nich z napędem grav, ale w takiego berka można się było bawić. Obie floty osiągały przecież taką samą prędkość maksymalną.

30 sekund do null.

Twarze poruczników były pełne przejęcia – John zerknął na nich z ukosa. Zastanawiał się, czy oni zdają sobie sprawę, że nawet w tej chwili zyskują, wziąwszy pod uwagę prosty fakt, że Bizh mogli sobie ludzką flotę obejrzeć jak na wystawie. Nawet jeśli do tej pory o tym nie wiedzieli, teraz musieli zobaczyć, że statki napastników należą do typu produkowanego przez Vul. Cylindry szersze niż budowane w stoczniach innych ras, wszystkie wyrzutnie i lasery umieszczone na wypukłych bokach, charakterystyczny dla vulmotańskich statków rodzaj osłon grav.

Mimo to tracili wiele. Albo mogli stracić za kilka sekund. Bizh wiedzieli już, że napastnicy nie ograniczają się do uderzenia na bazy. Tym samym tracił jakąkolwiek szansę zdobycia większej liczby statków.

15 sekund do null.

Czuł się doskonale, cudownie odprężony, jeśli pominąć to uczucie cholernego pragnienia. Jednak talent i szczęście nie opuściły go! Pozwolił swojej dłoni zawisnąć nad pulpitem, wybrać guzik z napisem

były zbyt wielkie w normalnej przestrzeni. Marszcząc brwi zaprogramował pytanie do komputera i niemal natychmiast na ekranie danych pojawiła się odpowiedź: „Obiekt pokazany na detektorze masy nie jest obiektem radarowym".

John długo zastanawiał się nad sensem tej odpowiedzi. Może po prostu komputer przystosowany do potrzeb innej rasy nie może bezbłędnie operować językiem angielskim? Obrócił się, rzucił do mikrofonu: – Damiano! Zostań tam, gdzie jesteś jeszcze przez jakiś czas.

Potem zadał komputerowi następne pytanie: Czym jest błysk, o który pytałem?

Odpowiedź była zdecydowana: „Błysk nie jest. Błysk znajduje się w pozycji markera".

Wyraz „marker" stanowczo pochodził z angielskiego słownictwa wprowadzonego do pamięci komputera. John spytał znowu:

– Czy marker jest dziełem Klee?

– Tak.

John odetchnął z ulgą. – Damiano! Słyszałeś?

– Tak, Komandorze. Czy mam polecieć, aby obejrzeć to z bliska?

– Zgoda. Ale bądź ostrożny, Louis.

– Tak jest, sir.

Damiano musiał być bardzo ostrożny, bo upłynęło prawie pół godziny, zanim jego głos znowu dobiegł z głośnika:

– Komandorze! Tu nie ma nic! Nic na optycznej, nic na radarze, żadnych błysków w detektorze masy.

– W porządku, Louis. Wracaj.

Do powrotu Damiano John i Bart przełączyli system detektorów w Bercie na zasięg w normalnej przestrzeni. Dalsze wypytywanie komputera nic nie wyjaśniło. Komputer przypominał genialnego idiotę, który zaakceptował istnienie błysku, objaśnił, że błysk znajduje się w pozycji markera i... zgodził się, że na tym miejscu nie ma nic materialnego!

W końcu Bart wzruszył ramionami. – Nie ma innego wyjaśnienia oprócz tego, że musi to być jakiś znak umowny czy symbol zrozumiały jedynie dla Klee i ich urządzeń. Chyba możemy przestać zawracać sobie tym głowę. Ale zastanawiało go to i martwiło jeszcze w ciągu całej wielogodzinnej podróży powrotnej do regionu Hohd.

XVII

Bulvenorg i Gusten siedzieli w Dziale Wywiadu słuchając raportu oficera, który dopiero co otrzymał awans. Bulvenorg spostrzegł, że młody oficer wykazuje dużą bystrość umysłu.

Tamten tymczasem podsunął przełożonym szkic czegoś, co najprawdopodobniej było statkiem kosmicznym pięcio- czy sześciokrotnie dłuższym od swojej grubości. Proste koło przedstawiało jego przekrój. Kadłub był zaokrąglony na końcach i pokryty okrągłymi znakami ułożonymi w pierścienie.

– To, panowie, jest narysowane na podstawie opisu świadka. Powiedział on, że wokół statku było około dwudziestu pierścieni kół. Używam tu słowa „pierścienie", choć sądzę, że właściwe znaczenie tego słowa Bizh należałoby tłumaczyć jako pasy lub obręcze ułożone szeregowo i zawierające po kilkadziesiąt kół (być może zamiast kół są to okręgi, jako że Bizh nie znają takiego rozgraniczenia). Kręgi nie stykają się, oddzielone są o co najmniej odpowiednik ich średnicy. Te koła są ciemniejsze od kadłuba, który wydaje się być gładki i jednolity, za wyjątkiem owych kół. Świadek nie dostrzegł zewnętrznych sensorów. Oczywiście proszę zrozumieć, że z tak dużej odległości od statku nie mógł zobaczyć przedmiotów czy znaków o średnicy mniejszej niż podwójna wysokość przeciętnego Vul. A ustaliłem, że Bizh mają wzrok nieco lepszy niż my – przerwał, dając przełożonym czas na obejrzenie szkiców. – To zeznanie pozwala nam wierzyć, że statek miał trzysta lub więcej luków, z których część lub wszystkie mogły być miejscami na broń. Świadek twierdzi, że nie więcej niż trzydzieści z nich otworzyło się, by odsłonić działa. Były typowe: wyrzutnie pocisków, miotacze i lasery. Przyspieszenie statku było mniej więcej takie same, jak przyspieszenie jego własnego statku. Bizh twierdził (niestety, nie jestem w stanie sprawdzić wiarygodności tego problemu), że olbrzymi statek zdawał się uzyskiwać gotowość do null w czasie

i zakładać podsłuch radiowy, użyjemy systemów Berty, aby określić położenie skupisk statków Bizh i systemów planetarnych, na których mogą mieć bazy. O takie informacje Vezowi chodzi. A przecież on wcale nie musi wiedzieć, jak je zdobyliśmy.

Bart miał kwaśną minę, spytał cierpko: – Ile czasu to może zająć? Już od cholernie długiego czasu nie postawiliśmy stopy na żadnej porządnej planecie.

– Kilka dodatkowych godzin – w głosie Johna brzmiało lekkie zniecierpliwienie. Możemy to wytrzymać.

Z trudem przełknął ślinę i pomyślał, czy rzeczywiście to się uda.

W rzeczywistości samo rozpoznanie sił Bizh zajęło im mniej czasu. Natomiast daleko w Pustych Regionach natknęli się na pewną zagadkę, która opóźniła ich powrót „do domu" o ponad dwadzieścia godzin. Daleko za posterunkami Vul, a niemal na granicy wpływów Bizh na detektorze masy w Bercie pojawił się bardzo intensywny błysk. Dostrzegli go z null zanim jeszcze zatrzymali się po raz pierwszy, aby obejrzeć jakieś skupisko statków. Był to niewielki układ gwiazda-planeta. Wykonali jego mapę nawet nie wyłaniając się z null. A kiedy ruszyli dalej, właśnie wtedy pojawił się ów zagadkowy błysk. Był purpurowo-niebieski i dość intensywny, aby oznaczać bardzo dużą gwiazdę. Nigdy przedtem nie widzieli jednak takiego koloru oznaczenia.

– Cokolwiek to jest – mruknął Bart, bawiąc się gałkami – nadal jesteśmy od tego oddaleni o czterysta dziesięć lat świetlnych, o ile udało mi się to względnie dokładnie obliczyć.

John podszedł bliżej. – Może to jakaś szczególna gwiazda? – mruknął. – Przecież na dobrą sprawę nawet nie wiemy, jak to nasze urządzenie działa. Może Klee w ten sposób oznaczali gwiazdy mające w najbliższym czasie przejść w stadium „novej"? A może chodzi o zasygnalizowanie jakiegoś wyjątkowego niebezpieczeństwa?

Bart wzruszył ramionami. Zapytał: – Może jednak powinniśmy się temu lepiej przypatrzeć, skoro już tu i tak jesteśmy?

John zastanowił się. Z niecierpliwością taką samą jak pozostali członkowie załogi pragnął powrotu do „domu". Ale z drugiej strony – żadne niezrozumiałe zjawisko nie powinno być ignorowane.

– Myślę, że tak – powiedział. – Nigdzie w pobliżu nie widzieliśmy tej floty przeszukującej pogranicze Vul. Więc możemy się wynurzyć, powiedzmy, o jakieś półtora roku świetlnego od tego dziwa i popatrzeć. Jeśli to nawet początkowe stadium „novej", to i tak będziemy w bezpiecznej odległości.

Okazało się jednak, że wcale nie była to „nova" we wstępnej fazie wybuchu. To nawet nie była gwiazda. Tam nie było nic. Nawet kiedy wynurzyli się z null i widzieli na detektorach Klee owo purpurowo-niebieskie światełko, przez teleskopy nie ujrzeli nic. Zbliżyli się czterema ostrożnymi skokami. Byli już – według obliczeń Barta – poniżej granicy jednego roku światła. I nadal nic nie widzieli!

Po następnym skoku teleskopy wciąż pokazywały pustkę. Z tej odległości zwykły detektor masy powinien pokazać bryłę materii, choćby ona była tak mała jak wanna. Lecz światełko wyraźnie drwiło sobie ze wszystkich ludzkich przyrządów i starań. John zmarszczył brwi, przez długą chwilę stał przed tablicą. Potem usiadł w swoim fotelu i zaczął wystukiwać program. Potem schylił się nad interkomem: – Damiano?

– Tak, Komandorze!

– Widzimy jakiś błysk około jednej czwartej miliona mil od Berty. Weź załogę na pokład numeru Siedem i poszukaj tego obiektu. Na swoim detektorze nie zobaczysz nic, więc będziemy was prowadzić.

– Tak jest, Komandorze!

John czekał aż do chwili, w której przyrządy poinformowały go, że ubrana w skafandry załoga weszła na pokład Uzbrojonego Zwiadowcy, stojącego w pozbawionej powietrza ładowni. Kiedy pokrywa jednego z luków odskoczyła i mały statek opuścił wnętrze Berty, Damiano zameldował: – Jesteśmy na zewnątrz, Komandorze!

John naciśnięciem guzika spowodował przekazanie danych o kierunku lotu do komputera małego statku. Po minucie mimo uprzedzenia Damiano zameldował zdziwiony: – Nie mamy żadnego błysku, sir.

John odruchowo zerknął na ekran radaru, lecz oczywiście nic na nim nie było – odległości małe w null

„null".

Hiperprzestrzeń! Wyjście!

Sekundy minęły, zanim nieprzyjaciel w ogóle zareagował. Potem zbiór punktów na ekranach radarów rozproszył się, jakby gwałtownie eksplodował. Niebezpiecznie blisko Luny przemknęła laserowa salwa. John uśmiechnął się do przerażonych poruczników: – Nie możemy tracić mocy na przeciwdziałanie każdemu małemu wstrząsowi. Musimy wszystko przeznaczyć na przygotowanie statku do skoku w hipersferę. Spojrzał na zegar: zostały jeszcze trzy minuty.

Ekrany zaczęły migotać, kiedy niektóre z ich pocisków dotarły do nieprzyjacielskich okrętów i były przez Bizh przechwytywane i niszczone. Potem intensywny błysk, kiedy jeden z pocisków przedarł się przez bariery ochrony.

– Trafiliśmy duży!

Znowu seria mikrobłysków na ekranach, kiedy zderzały się pociski ludzi z przeciwpociskami wysłanymi przez Bizh. Po chwili na ekranach zajaśniał nowy, jasny blask! Ekrany oślepły na moment, lecz po chwili wszystko wróciło do normy. Któryś z poruczników klął prawie histerycznie, bo mikrobłyski zaczęły się pojawiać coraz bliżej. John poczuł zimny pot na plecach, kiedy uświadomił sobie całe ryzyko takiego sposobu walki. W tej samej chwili cały statek zadrżał. John napiął mięśnie w oczekiwaniu – zostali trafieni? Nie. To tylko artyleria użyła wyrzutni, by odeprzeć salwy nieprzyjaciela. Dookoła Luny robiło się coraz goręcej, a do możliwości ucieczki w null zostało jeszcze całe 55 sekund. I to tylko wtedy, kiedy zapotrzebowanie na moc do obrony nie zwiększy się nad miarę. John spojrzał na dane, przemykające po ekranie, na zegar...

44 sekundy. 41... – oddychał coraz ciężej. Jeśli błędnie ocenił sytuację...

Szybko pochylił się nad mikrofonem: – Artyleria!

– Tak, sir.

– Ile jeszcze mamy najcięższych pocisków?

– 19, sir. Ale oni są już tak rozproszeni, że nie ma dobrych celów.

– Wyślijcie je bez głowic w ścisłym pęku i powoli w kierunku tego miejsca, skąd do nas strzelają.

Podstęp uratował ich tylko na chwilę – po paru sekundach nie pozostał ani jeden z dziewiętnastu pocisków. Od tej pory mogli tylko siedzieć, próbując nie kurczyć się ze strachu, podczas gdy wskazówka sekundnika niemożliwie długo posuwała się ku czerwonej linii. John nie musiał patrzeć w ekrany, aby wiedzieć, że cała furia wroga skupi się teraz na Lunie. Pozostałe, o wiele mniejsze statki, nie były ani w części tak doskonałym celem dla zdalnych pocisków.

6 sekund... – wszystkie rodzaje barier uaktywnione, wszystkie sekcje obrony walczą rozpaczliwie, by uchronić Lunę przed salwami nieprzyjaciela...

Zero!

Zlany potem John nie miał siły wstać z fotela. W tym piekle nuklearnych bomb i snopów energii, w które przed chwilą uciekli, nie sposób było komunikować się z pozostałymi statkami. Więc aż do wyjścia na spotkanie „D" nikt na Lunie nie będzie wiedział, czy małe statki wydostały się z matni, czy też nadmierna wojowniczość Komandora kosztowała Załogę jeszcze kilka ludzkich istnień.

John mocno, gwałtownie zapragnął choć pół łyka dronu.

VII

Liza Duval, Szósta Najstarsza (a – jak pomyślała ze smutkiem – być może od paru chwil już Piąta Najstarsza) dotarła do ostatniej kępy dzwoniących krzewów i powędrowała w stronę obozowiska. Czuła pod bosymi stopami miękką i wilgotną trawę. W jednej ręce niosła dwudziestocalowy łuk z gałęzi i dwie strzały. W drugiej ściskała upolowaną zdobycz – dwufuntowe stworzenie podobne do bardzo tłustej jaszczurki o pięknym, puszystym, brązowym futerku.

Jedna z młodszych dziewcząt zobaczyła nadchodzącą i krzyknęła piskliwym, cienkim głosikiem dorastającej dziewczynki:

– Liza wróciła! Liza wróciła!

Kucharka – kobieta prawie o rok młodsza od Lizy podeszła leniwie do wyjścia kuchennego szałasu,

żeby zobaczyć, co za zwierzę Liza przyniosła. Na jej twarzy najpierw pojawiło się rozczarowanie, potem uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

Liza, oddychając ciężko, zatrzymała się i wręczyła krink kucharce. - Gdzie Najstarsza? -spytała.

Kucharka zobaczywszy, że coś dzieje się nie tak jak trzeba, przez chwilę mrugała oczami na znak zmartwienia, potem odrzekła: - Myślę, że jest tam, w dole strumienia i pomaga zbierać kukurydzę cukrową. A dlaczego pytasz? Co się stało?

- Wydaje mi się, że Ruby Weiss zginęła - Liza ominęła gapiącą się kobietę i pobiegła w dół strumienia.

Jane Ferris - Najstarsza od półtora roku - usłyszała wołanie i wyszła Lizie naprzeciw, niosąc ciężką torbę pełną ziaren wielkości żołędzi.

- Co się stało, kochanie?

Liza z trudem łapała oddech. - Spotkałam jedną z klanu pyzatych. Tam, w górze strumienia. Ona mówiła, że jakaś kobieta z opuszczoną głową przeszła tamtędy ostatniej nocy. Nie miała torby ani łuku, ani nawet kija...

Twarz Jane zmieniła się tak nagle, jakby się gwałtownie postarzała.

- Obawiałam się tego, kiedy Ruby nie pokazała się przy śniadaniu.

Liza powiedziała z niedowierzaniem: - Ale przecież ona wcale nie jest taka stara. Wczoraj widziałam ją ze trzy czy cztery razy i zupełnie nie wyglądała na przygnębioną. I ona nigdy... Nikt nic nie mówił, że...

Jane łagodnie wzięła Lizę pod ramię, łagodności przeczył jej zdecydowany głos:

- Musimy poprowadzić razem cały oddział! Mogła się gdzieś zatrzymać, zanim dotarła do dziury!

Liza przyspieszyła, żeby dotrzymać Jane kroku.

- Ale czy naprawdę myślisz, że... - zaczęła.

- Tak, kochanie. Myślę. Starzała się o wiele szybciej niż większość z nas. Widziałam wyraźne oznaki, ale starałam się nikomu o tym nie wspominać. Kiedy ktoś przeszedł przez tamto...

- Ale... - Liza przerwała Najstarszej zdziwiona swoją irytacją - mnie jeszcze do tego daleko. Jeszcze 17 lub 18 lat, jeżeli jestem przeciętna.

- Oczywiście - Jane uśmiechnęła się lekko. - A kiedy to już przyjdzie, nie będziesz należeć do tych, które się załamują. Bo to wcale nie znaczy, że kobieta naprawdę staje się stara. To tylko przejściowe kłopoty, kiedy chemia twojego ciała się zmienia, ale jeśli tylko umiesz się mocno trzymać, bardzo szybko znowu czujesz się tak, jak poprzednio.

Biegły między dzwoniącymi krzewami o barwie szafranu, których kruche liście ocierając się o siebie na leciutkim wietrzyku wydawały cichy, miły dźwięk. Po chwili Jane i Liza dotarły do miejsca, skąd już widać było cały obóz. Kobiety i dziewczęta mełły ziarno pod szałasami. Na wszystkich twarzach malowało się przerażenie.

- No, już! - krzyknęła ostro Najstarsza. - Przestańcie się zachowywać jak banda rozhisteryzowanych pyzatych! Musimy przyprowadzić Ruby z powrotem, i to wszystko. Freda, Mary, Eloisa! Weźcie swoje kije i długie łuki. Zapakujcie zapas kukurydzy i suszonego mięsa na kilka dni! Nancy! - zwróciła się do kucharki, która parę minut temu rozmawiała z Lizą. - Ty zajmiesz miejsce Fredy. Na czas naszej nieobecności zaopiekujesz się młodszymi dziewczętami. Trzymajcie się wszystkie razem i bez żadnych histerii, słyszycie?

Kilka kobiet powoli skinęło głowami. Jedna z najmłodszych - zaledwie ośmioletnia dziewczynka - płakała. Jane podeszła do niej, objęła chude ramionka.

- No, kochanie, przestań już. Wszystko będzie dobrze. Będziesz dzielna, prawda?

Dziecko starało się powstrzymać łzy. Potem, nie otwierając zaciśniętych powiek, skinęło główką.

Pyzaci to raczej nocne stworzenia, ale kilku z nich zawsze biegało po terenach ich klanu także i za dnia. Liza - kiedy pojmano ją z tysiącem kobiet przed zagładą Ziemi - była już podlotkiem. Sporo zapamiętała, dlatego pyzaci zawsze kojarzyli jej się z rodzajem bardzo dużych i rozwiniętych bobrów, chociaż, oczywiście, z jakiejś planety odległej od systemu słonecznego. Bardzo tłustych bobrów.

Atak przebiegł tak gładko, jak został zaplanowany.

To był suchy, piaszczysty świat o średnicy około siedmiu tysięcy mil i (jak wykazały instrumenty) o dużym jądrze z żelaza. Na powierzchni biegły długie pasy piachu pofałdowanego uderzeniami wichrów, niewysokie i łyse góry swoim czerwonawym kolorem przywodziły na myśl kopce tlenku żelazowego. Oceany były maleńkie, rzek niewiele, nikła roślinność miała brzydki oliwkowo-brązowy kolor. Ciśnienie atmosferyczne na poziomie zero wynosiło mniej niż dziesięć funtów na cal kwadratowy, tlenu w powietrzu niewiele ponad osiem procent. Budynki - jak można było wywnioskować ze zdjęć - wyposażone były w regulatory ciśnienia. Nie wyglądało na to, aby żyły tam jakieś rodzime zwierzęta, brakowało również typowo cywilnej zabudowy charakterystycznej dla miasteczek Bizh. John jak zwykle prowadzący atak na Lunie, cieszył się z tego. Bo naprawdę zniszczyli na tej planecie wszystko.

Wynurzyli się poniżej czterech tysięcy stóp nad największym skupiskiem budowli. Było to niżej niż John zaplanował. Momentalnie wzrosło ryzyko, że wydłuży się czas ponownego naładowania osłon do null. Powierzchnia planety niemal zafalowała od uderzenia falą dźwięku. Natychmiast też wystrzelili salwę pocisków - w interkomie słychać było przekleństwa kanonierów, którzy starali się swoje ograniczone ludzkie możliwości dostosować do szybkości działania wyrzutni i laserów. Obrazy na ekranach zmieniały się zbyt szybko, by John mógł za nimi nadążyć wzrokiem, lecz z tego, co zdążył zauważyć, wiedział, że na powierzchni planety rozpętało się prawdziwe piekło. Na powierzchni dziesięciu mil kwadratowych wokół głównej bazy stało osiemnaście czy dwadzieścia statków. Wszystkie zostały rozwalone na kawałki albo poważnie uszkodzone. Hangary zostały zrównane z ziemią. W ciągu siedemdziesięciu sekund atak zakończono i statki napastników umknęły, oddalając się od planety poza zasięg wszelkiej broni.

Johnowi, przeglądającemu filmowy raport z przebiegu całej akcji, zrobiło się niedobrze. Oprócz statków zniszczono ponad osiemdziesiąt procent tamtejszych budynków. Inne były tylko uszkodzone, ale i to wystarczało. Czy nieliczni ocaleli Bizh mogli oddychać mizernym powietrzem tej planety? Miał cichą nadzieję, że tak.

W interkomie panowała dziwna cisza, jakby cała załoga czuła dokładnie to samo co on. Walka była walką. Ale taka rzeź to zupełnie co innego. Może był to widok dobry dla Vul, ale nie dla ludzi. John z trudem przełknął ślinę. Cóż, mimo wszystko gatunek Bizh nie był zagrożony. Żyło ich wielu poza bazami militarnymi. Właściwie John był zadowolony, że na planecie stało tak niewiele statków. Dowódcy Bizh musieli mieć porządnego stracha i pewnie około dziewięciu dziesiątych swoich flot wysłali z naziemnych kryjówek. Wyobrażał sobie nawet załogi Bizh narzekające na konieczność spędzania tak długiego czasu w przestrzeni. Cóż, powinni się tylko cieszyć, że nie byli na miejscu.

John ponownie przełknął ślinę i spojrzał na chronometr. Zostało im jeszcze mniej niż dwie minuty do null. Potem upłynęła kolejna minuta, kiedy wiele błysków nagle pojawiło się na detektorze masy. Zgodnie z przewidywaniami Johna pościg zbliżał się do planety, kiedy flota napastników uciekała w stronę gwiazdy. Bizh wystrzelili za nimi salwę, ale to jedynie ze złości, a następnie zawrócili, aby pójść na ratunek zniszczonej bazie.

John nadal przełykał ślinę. - To przecież tylko jedna baza - tłumaczył sobie uparcie. - Zaledwie mała cząstka całego garnizonu rozlokowanego na tej planecie, a oni mają jeszcze tyle innych planet...

Mimo to, gdyby znalazł na pokładzie choć jedną muzhee dronu, natychmiast by go zażył. Nie potrafił nie kojarzyć tej planety z tym, co widział na martwej Ziemi. Może dlatego upił się jeszcze przed wyruszeniem na umówione spotkanie.

Na sferach detektorów Berty znów pojawiły się błyski wynurzające się z null do normalnej przestrzeni, aby po paru minutach wrócić w null. John z irytacją wyciągnął rękę do klawiatury na głównym pulpicie. Bart przez chwilę obserwował go w milczeniu, potem zapytał: - Czy możemy już wracać w kierunku Hohd?

John spojrzał na niego nieprzytomnie, potem powiedział:

- Nie od razu. Niech mnie diabli porwą, jeżeli zrobimy jeszcze choć jeden nalot na zlecenie Hohd. Ale obiecałem Vezowi, że rozejrzymy się trochę w tym rejonie przed odejściem. Tyle, że nie zrobimy tego tak, jak on się spodziewał. Zamiast wynurzać się w teleskopowej odległości od poszczególnych obiektów

to mniej niż rok od dowolnej bazy znajduje się jakaś flota gotowa bazie przybyć z pomocą w każdej chwili. Zaledwie wynurzamy się z hipersfery, baza wysyła wiadomość do posterunków. Dysponując dokładnymi danymi flota bardzo szybko trafia na pole walki.

– Taak – Bart lekko uniósł brwi. – To logiczne. Ale co to ma wspólnego z systemem wykrywania na Bercie?

– To przede wszystkim daje możliwość dokładnego wyliczenia czasu. Wszystkie trzy zasadzki, w które się do tej pory wpakowaliśmy, miały pewną wspólną cechę. Od naszego pojawienia się do wyjścia z null floty wroga upływało za każdym razem około dziesięciu minut. Po kolei: czas na zaprogramowanie wiadomości i wysłanie informacji, czas na przekazanie danych przez posterunki, czas podróży floty w okolice bazy...

– To wydaje się interesujące.

– Nasz minimalny czas ataku wynosi około czterech i pół minuty. Wynurzamy się, wyrzucamy wszystko, ładujemy osłony do null i znikamy. Użycie wszystkich dział, promienników i wyrzutni oczywiście musi zabierać tyle energii, że naładowanie z czterech minut wzrasta o co najmniej pół minuty.

Bart skinął głową.

– Dysponując danymi o położeniu wroga – ciągnął John – moglibyśmy wybrać optymalne miejsce wynurzenia. Załóżmy, że logicznie biorąc flota przyczajona w zasadzce ma kryjówkę po przeciwnej stronie planety, na której jest baza. Muszą wtedy przejść przez planetę lub obok i wynurzyć się z prędkością skierowaną od planety. Muszą stanąć i zawrócić. W skali całej floty to wymaga czasu. Jeśli skądś przybywają, ale z tej samej strony, po której jest baza, również muszą wyhamować. W obydwu przypadkach muszą być tym zajęci przez co najmniej kilka sekund.

– Lecz – wtrącił Bart – jeżeli będą przebywać po stycznej do powierzchni planety? Wtedy będą mogli zachować pewną prędkość. A my z kolei będziemy przecież wiedzieli, z której strony lecą, możemy przewidzieć ich kierunek poruszania się po wynurzeniu! – wstał, przeszedł po sali, popatrzył na tablicę na sprężynach. – Więc możemy określić ich położenie, kiedy jeszcze sami będziemy w null. Przy uderzeniu z bliska, a możemy to uczynić dzięki temu urządzeniu – leciutko przesunął palcami po brzegu tablicy – możemy się następnie oddalać w kierunku przeciwnym do tego, w którym oni podążą po wynurzeniu. Nie będą mogli nawet rozpocząć pościgu, póki nie wyhamują!

John ponownie się uśmiechnął: – Nie w przeciwną stronę. To by mogło doprowadzić do zderzenia. Zawsze znajdziemy sobie jakiś optymalny tor lub nawet kilka torów. Jeśli uderzymy na bazę natychmiast po wynurzeniu, a potem wejdziemy na ten tor, to nigdy nas nie dogonią.

Bart również się uśmiechał, mówiąc: – Mimo wszystko nie powinniśmy chyba ryzykować tego już przy tym uderzeniu. Mogą się okazać na tyle sprytni, żeby minimalnie opóźnić wysłanie danych aż do sprawdzenia, w którym kierunku uciekamy.

– Zawsze możemy skręcić dwa razy – odparł John. – A to i tak ma przecież być nasz ostatni atak. Jest tylko jeden problem...

– Jaki?

– Flota-zasadzka w null może się poruszać z prędkością ośmiu lat świetlnych na minutę, więc może w czasie tych czterech minut potrzebnych nam na atak znajdować się nawet w odległości trzydziestu paru lat świetlnych. Oczywiście przy założeniu, że przesłanie wiadomości nie wymaga czasu. Myślę, że śmiało możemy podzielić tę odległość na pół. To daje szesnaście lat. Jeśli uwzględnimy jeszcze te parę sekund na nie przewidziane straty, możemy przyjąć, że posterunek nieprzyjaciela najprawdopodobniej jest gdzieś w odległości dwunastu lat świetlnych od bazy. Nie sądzę, aby to cudowne urządzenie Berty miało aż tak wielki zasięg.

– Ja też – odparł Bart – liczyłem na rok świetlny lub dwa co najwyżej.

– Taak. Zdążyłyby nam wyrosnąć długie brody, zanim byśmy ich zlokalizowali na takiej przestrzeni o promieniu dwunastu lat świetlnych. Ale jest jeszcze jedno: nie będą ryzykowali przechodzenia przez planetę, o ile nie zmusi ich do tego konieczność. To zawsze przecież te pięć czy sześć procent ryzyka wyrzucenia z ram przestrzeni przez zniekształcenia w null. Jeżeli po uderzeniu rozpoczniemy ucieczkę w stronę słońca, to najprawdopodobniej unikniemy kolizyjnych torów. A teraz, o ile dane Vez Do Hana nie są całkowicie błędne...

Dorosły pyzaty męskiego rodzaju może ważyć około sześćdziesięciu funtów w tym regionie, w którym przyciąganie było mniej więcej równe ziemskiemu. Każdy pyzaty miał szare futro i wystające zęby typowe dla ziemskich gryzoni. Inteligencja pyzatych niemal dorównywała swym poziomem ludzkiej, choć, oczywiście, były to różne typy inteligencji.

Klan zajmował niskie wzgórze na lewym brzegu Własnego Dopływu. Wloty wszystkich jam przykryte były baldachimami ze splecionych pnączy, mającymi osłaniać wnętrza przed deszczem. Pod kilkoma okapami siedzieli pyzaci, w milczeniu przyglądając się kobietom biegnącym szlakiem wzdłuż rzeki. Po chwili na skraju dużej kępy dzwoniących krzewów spotkały starą pyzatą, najlepiej mówiącą po angielsku. Zbliżyła się nieśmiało, kiedy wszystkie na moment przystanęły.

– Proszę, kobiety. Czy ja dać prawdę?

Jane szepnęła, że właściwie mogą chwilę odpocząć, więc Liza z rozkoszą osunęła się na chłodną trawę. Ręka Jane i łapka pyzatej spotkały się w ceremonii przyjaźni.

– Dziękuję ci, dobra sąsiadko – powiedziała Jane.

Pyzata samica przykucnęła, zmieniając się w futrzaną kulkę i jednocześnie mówiąc dość płynnie:

– Być może przykro, wysokie sąsiadki, że jedna z was odeszła. Mąż mój widział ją mało czasu przed dniem. On wysłał dwóch młodych samców dla dania jej pomocy, jeśli Wielkie Zwierzęta pokażą kły. Ale ona im powiedziała: „idźcie do domu".

– Jak daleko za nią doszli?

– Pół drogi do Wielkiej Ściany.

– Wzdłuż brzegu rzeki?

– Przez małą drogę, nie więcej. Ona przeszła rzekę i wybrała iść pół do strony za zakrętem, a pół do Wielkiej Ściany. Mąż mój myśleć: „Ona idzie do dziury jak chodzić inne chore kobiety".

Jane westchnęła i wstała. – Dziękuję, dobra sąsiadko. Czy widziano Wielkie Zwierzęta w okolicy rzeki ostatnio?

– Jeden widzieć Wielkie Zwierzęta mniej niż dwanaście dni z tyłu. Ale my nie chodzą więcej nad pół drogi do Wielkiej Ściany.

– Dziękuję – powtórzyła Jane i cała grupa ruszyła znowu lekkiem, zwinnym truchtem wytrwałych łowczyń. Wkrótce odnalazły ślad Ruby, przeszły przez rzekę i skręciły w bok biegnąc cały czas tropem. Żadna nie mówiła nic aż do następnego odpoczynku. Dopiero wtedy Mary mruknęła ponuro: – A więc już siedem z nas odeszło.

Jane zmarszczyła brwi. – Jeszcze nie. Dogonimy Ruby!

Freda, która do tej pory nie powiedziała ani słowa, wybuchnęła prawie histerycznie: – Czy ktoś wrócił kiedyś z okolic otworu? Cztery tam poszły. Cztery! Znalazłyśmy jedynie ich ciała na wpół zżarte przez zwierzęta. Powinnyśmy zapchać czymś tę piekielną dziurę!

– Może kiedyś uda nam się to uczynić – powiedziała Jane. – Ale nie krzycz tak. Przyznam, że kiedy Jenny poszła, myślałam, iż ona będzie ostatnia. – Milczała przez chwilę. – A co będzie, kiedy zatkamy dziurę? Te z nas, które się załamią, mogłyby wtedy po prostu odejść na dzikie tereny. Dlatego powinnyśmy wymyślić coś innego. Musimy prowadzić takie rozmowy, które pomogą wszystkim czującym się źle. – Spojrzała na Lizę. Na jedyną wśród łowczyń jeszcze zdolną do rodzenia dzieci.

Mary powiedziała posępnie: – I jakie to ma znaczenie? Dlaczego wszystkie po prostu nie przejdziemy przez otwór albo nie umrzemy w jakiś inny sposób. Byle tylko mieć to już za sobą. Jakie będzie życie młodszych dziewcząt, kiedy my jedna po drugiej odejdziemy i nikt już nie będzie pamiętał ziemskiego nieba czy chociażby tego, że niektóre drzewa na Ziemi miały do trzystu stóp wysokości. I... I tego, jak wyglądał mężczyzna. A kiedy zostaną tylko najmłodsze? One też się kiedyś zestarzeją. Wyobraźcie sobie cztery czy pięć staruszek usiłujących zdobyć jedzenie i obronić się przed drapieżnikami przełażącymi przez dziurę. Wyobraźcie sobie tę ostatnią. Zupełnie samą!

Jane powiedziała z pogardą: – Myślę, Mary, że właściwie mogłybyśmy teraz spokojnie zjeść kolację. Jedzenie zawsze poprawiało twój humor.

Kiedy już siedziały przy ognisku, Jane mimo wszystko podjęła przerwaną rozmowę:

– Widzisz, Mary, te ostatnie mają prawo same podjąć odpowiednią ich zdaniem decyzję. Ale do tego zostało jeszcze dużo czasu. Jeszcze stanowimy silną grupę. I umiemy być szczęśliwe prawie cały czas,

prawda? Chyba widziałyście dziś rano dziewczynki bawiące się w berka na brzegu rzeki. Roześmiane i wesołe jak zwykle dzieci na Ziemi. Czy to światło nie jest równie przyjemne jak światło prawdziwego słońca? Czy jedzenie smakuje tutaj gorzej?

Mary roześmiała się głośno, oczy jest napotkały pełne potępienia spojrzenie Lizy. Wybuchnęła: - Patrzcie, ona jest jeszcze dziewicą! - zwróciła się wprost do Lizy: - Ty jeszcze możesz wierzyć, że jakiś cud sprawi twoje zajście w ciążę, że jeszcze będziesz mogła zrobić właściwy użytek z tych twoich wdzięcznych, twardych piersi. Ale kiedy przejdziesz zmiany, kiedy piersi sflaczeją ci tak samo jak moje, wtedy przestaniesz marzyć. Bo nawet jeżeli jakiś mężczyzna...

Eloiza i Freda zaczęły szlochać rozpaczliwie. Jane zerwała się, pochyliła nad Fredą, uderzyła ją w twarz raz i drugi. - Zamknij się! - krzyknęła. Kiedy kobiety uspokoiły się trochę, Jane powiedziała szorstko: - Lepiej być pół żywym niż całkiem umarłym. A mężczyźni byli czasem zbyt denerwujący. I czy to, co nazywano miłością, nie było w dziewięćdziesięciu procentach iluzją? Parę momentów rozkoszy od czasu do czasu, a za to długie godziny bezsilnej złości z powodu bezmyślności czy okrucieństwa jakiegoś gbura. Myślę, że dopóki żyjemy, powinnyśmy zachować resztki godności. I tak już pyzaci muszą myśleć, że jesteśmy bandą wariatek snujących się gdzie oczy poniosą i lamentujących z byle powodu. I jeszcze od czasu do czasu któraś z nas lezie umierać jak... jak jakiś chory gryzoń! - gestem ręki kazała im wstać. - Przejdziemy jeszcze ze dwie mile przed odpoczynkiem.

Liza leżała na plecach, wpatrując się w przeciwległy łuk segmentu. Po tej stronie było teraz dosyć ciemno, ale krąg ognisk trzymał drapieżne zwierzęta z daleka. Za godzinę grupa kobiet znów zacznie wędrówkę, niosąc latarki, by uchronić się przed napaścią.

Jakże mało wiedziały o tym całkowicie obcym miejscu, w którym mieszkały.

Kształt i rozmiar tego segmentu łatwo było objąć spojrzeniem. Był to po prostu fragment cylindra. Jego rozmiary wymierzyły krokami (już w pierwszym roku pobytu czy niewoli kilka starszych kobiet wyznaczyło szlaki). Od ściany do ściany było trochę ponad trzydzieści siedem mil. Te ściany były płaskie i równoległe. Natomiast przekrój cylindra od jednego łuku do drugiego wynosił około osiemdziesięciu pięciu mil. Źródłem dziennego światła i ciepła było koło, wyglądające z poziomu jak cienki, rozżarzony pręt. Rozpostarte było od ściany do ściany wzdłuż osi cylindra. Światło świeciło po kolei z każdej strony, zmieniając się powoli, jakby koło obracało się na tej osi w ciągu około dziewiętnastu godzin. Dawało to złudzenie dnia i nocy, choć ta ostatnia nigdy nie była tak naprawdę czarna ze względu na odblask dziennego oświetlenia padający od przeciwległego łuku. Pory roku zmieniały się przez przechodzenie najjaśniejszej części koła od końca do końca.

Niektóre kobiety, wychowane i wykształcone jeszcze na Ziemi, sądziły, że grawitacja wywołana była gwałtownym, choć niewykrywalnym obracaniem się całego segmentu. Lecz jeśli to miało być prawdą, to dlaczego góry zgrupowane były wzdłuż obydwu ścian, z nizinnymi dolinami i miniaturowym „oceanem" pośrodku, do którego spływały rzeki z obydwu końców? Bez wątpienia - myślała Liza - była to sztuczna grawitacja, choć nikt tutaj nie mógł oświadczyć, że wie coś o tym więcej niż wiedzą pozostali.

Chmury, jeśli się pojawiały, wisiały nie wyżej niż milę czy dwie nad pofałdowanym lądem. To było oczywiste, bo kiedy po jednej stronie było jasno, a po drugiej pochmurno, górny pułap chmur wydawał się tak samo odległy jak powierzchnia, nad którą już chmur nie było. Porządnie pochmurne noce bywały tu przerażająco ciemne, strachu nie łagodził słabiutki blask dochodzący z przeciwległej strony. Oczywiście, jeżeli pamiętało się, że przywiozło je tutaj kilka małych statków kosmicznych pilotowanych przez dziwne stworzenia zwane Chelki, wydawało się najzupełniej oczywiste, że jest to tylko pewien rodzaj zagrody czy rezerwatu. A to z kolei nie pozwalało zapomnieć, że Chelki albo rządzące nimi humanoidy zwane Vulmoti mogły wrócić tu po kobiety w każdej chwili. Lecz że Chelki jak i Vulmoti kojarzyli się z jakimś bliżej nieokreślonym uczuciem paraliżującego przerażenia, zazwyczaj nie mówiło się o nich, a w szczególności w obecności młodszych i najmłodszych dziewcząt.

Niektóre z kobiet nazywały segment więzieniem, ale Liza myślała o nim jako o miejscu w miarę znośnym i dającym uczucie stosunkowo dużej niezależności. Oczywiście, musiała istnieć cyrkulacja

John na moment zacisnął powieki. Inny głos krzyknął: - Sześć trafiony. Niech to diabli. Oni...

John rzucił przez zęby: - W porządku. Damiano! Opanuj się!

Zmusił się do ponownego spojrzenia na ekrany - wróg przeszedł teraz całkowicie na pozycje obronne. Dzięki temu John bez większego trudu okrążył ich i szybko zbliżył się do Berty. Wrogowie - gdyby o tym wiedzieli - z pewnością mieli więcej broni niż Berta, Luna i wszystkie małe statki razem wzięte, lecz John nie dziwił się ich ucieczce. Zareagowałby podobnie, gdyby przypadkiem w trakcie walki spotkał się oko w oko z tak niemożliwie wielkim przeciwnikiem i jego eskortą. A skąd Bizh mieliby wiedzieć, czy jeszcze dwadzieścia lub sto takich potworów nie wyłoni się z null lada moment?

Zerknął na chronometr. Luna od dawna już mogła uciec w hiperprzestrzeń, zaś Berta będzie do tego gotowa za niespełna dwadzieścia sekund. Ale to już nie miało znaczenia, skoro flota i baza wroga znajdowały się już daleko poza zasięgiem dział. Nikt nie mówił nic na ogólnej fali, aż wreszcie John powiedział do mikrofonu: - Bart! Zbierz na pokładzie wszystkie małe statki i leć z nimi na miejsce spotkania.

Bart był nie tylko zmartwiony śmiercią załogi Camerona, ale i podenerwowany czymś, co zobaczył na hipersferycznym detektorze Berty.

- Słuchaj, John! Widzę grupę statków w odległości kilku bilionów mil. Mniej więcej co jedną dwudziestą roku świetlnego. Wychodzą do normalnej przestrzeni i znowu wchodzą w null. Właśnie dlatego spóźniłem się trochę. Straciłem około minuty na obserwację. Wygląda na to, że czegoś szukają.

- To prawdopodobnie Vul - powiedział John obojętnie - chociaż równie dobrze mogą to być Bizh. Vul częściej działają w Pustych Regionach.

Było mu właściwie obojętne, kto i czego szuka. Znaczenie miało przede wszystkim to, że zginął Cameron i jego siedmiu ludzi. W takim razie zostało ich stu osiemdziesięciu trzech. Boże... - gwałtownie przełknął ślinę - gdyby miał w tej chwili choć jedną muzhee dronu... Opanował tę pokusę całym wysiłkiem woli, zmusił się do myślenia o czym innym. - Musimy wykonać jeszcze co najmniej jeden nalot. Powtórzył tę myśl głośno, dodając: - powinno to być gdzieś dalej wzdłuż tej strony ramienia. Zróbmy to zaraz i wreszcie będzie koniec. A teraz zmykajmy stąd, jeżeli rzeczywiście jest oddział przeszukujący przestrzeń. Spotkamy się w pobliżu miejsca, które mamy zaatakować.

Twarz Barta nie wyrażała nic, kiedy pytał: - W Pustych Regionach czy wewnątrz ramienia poza zasięgiem Bizh?

- Lepiej w Pustych Regionach. Nie mamy na tyle dokładnych map, żeby wałęsać się wewnątrz ramienia. Powiedzmy godzinny skok... Nie! To byłby czas, o jakim mogą pomyśleć Vul, jeżeli już nas podejrzewają. A więc siedemdziesiąt dziewięć minut. To bardzo ładnie da się przeliczyć na shega, stosowane przez Vul. Wynurzymy się i rozejrzymy. - John ze znużeniem wystukiwał program lotu na pulpicie pilota. Potem wstał i poszedł do laboratorium chemicznego, które założyli. Powinno tam być wystarczająco dużo etanolu. Można to zmieszać z wodą i odrobiną gliceryny na przykład. Skoro nie ma dronu, jedynym lekarstwem na to cholerne pragnienie może być porządne spicie się i wyspanie. Ostatecznie załoga również potrzebowała tych ośmiu czy dziesięciu godzin przed następnym - i jak zaplanował - ostatnim uderzeniem. A przez czas jego snu Bart doskonale będzie się mógł wszystkim zająć.

John czuł się jeszcze nieco ogłupiały, ale wypita przez niego ilość alkoholu zmniejszyła głód dronu do znośnego poziomu. Tępym wzrokiem wodził po sali Centralnego Sterowania na statku Klee. Potem spojrzał na Barta i mruknął:

- Zastanawiałem się, w jaki sposób Bizh zorganizowali tę zasadzkę. I jak dzięki systemowi detektorów tego statku można by ich było przechytrzyć. - Przerwał, patrząc na przyrządy. - Wnioskuję, że muszą trzymać co najmniej dwa oddziały w pogotowiu każdej bazy w stanie pełnej gotowości.

Bart zainteresował się: - Dlaczego więcej niż jeden?

- Bo przecież żaden statek nie może trwać w gotowości null przez więcej niż pięć do sześciu godzin bez uniknięcia samorozładowania. A stan gotowości powinien być utrzymywany przez cały czas. Więc muszą mieć bliźniacze oddziały.

Bart zarumienił się: - Oczywiście - mruknął. - Głupie pytanie.

- W porządku, stary. Do rzeczy. Zawsze gdzieś w odległości kilku lat świetlnych, a może nawet będzie

Odłączcie się! - rzucił przez zęby. - Zajmijcie bezpieczną pozycję poza mną i pilotujcie sami. Na ręcznym!

- Zrozumiałem - John poznał głos Jima Camerona.

Na ekranie pojawiły się nowe błyski - to była salwa pocisków typu „planeta-przestrzeń". John uśmiechnął się. Z układu salw mógł wywnioskować, że tutejszy Oficer Artylerii dokładnie przestudiował raporty o wcześniejszych atakach i przyjął, że ten atak również będzie przebiegał tak samo. Cóż, to założenie będzie kosztowało obronę Bizh jedną straconą salwę. Przez chwilę wzrok Johna spoczywał na ekranie danych ponad główną klawiaturą - liczby przesuwały się obrazując playback zaprogramowanego manewru, który za chwilę miał być wykonany. Prawie nie słyszał buczenia rozlegającego się w czasie wystrzeliwania z Luny kolejnych pocisków, ale liczby doskonale mówiły mu, co się dzieje. Ta seria wystrzałów była ukończona. Precyzyjnie wyregulowane napędy i sztuczne ciążenie umożliwiły jego flocie raptowne zatrzymanie się i natychmiastowy skręt. Rzucił okiem na ekran, by sprawdzić, czy Cameron robi to samo, co oni. Tak.

Maleńka flota umknęła do tyłu jak zając robiący rozpaczliwy unik przed rozwartym psim pyskiem. I dobrze, że zdążyli, bo mrowie błysków wypełniło w tej chwili przestrzeń detektora masy, kiedy pociski „P - P" wściekle gnały w ich stronę. Oficerowie i załogi jego statków klęły, wciskając klawisze komputerów przy wykonywaniu manewrów obronnych. Statki wirowały i skakały w szalonym tańcu, aby stanowić jak najgorsze cele dla potężnych strumieni energii strzelających z planety. Tarcze instrumentów pokazywały, że lasery statków plują potwornym ogniem na cele naziemne. Nawet jeżeli niektóre promienie chybiły, i tak zniszczeń będzie wystarczająco wiele, by dowódca bazy zawył z wściekłości. O ile Bizh potrafią wyć.

Zadźwięczał klakson. John zerknął na detektor masy i mocno wciągnął powietrze. To była wroga flota wyłaniająca się z null prawie na polu walki! Może nie było to zbyt groźne, bo na dobrą sprawę byli już prawie gotowi do null, ale...

Nagle wydał krótki okrzyk, rzucił do interkomu: - Sześć! Cameron! Zbliż się do nas!

- Idę, John - głos Camerona był spokojny.

John mimo to przeklinał siebie za gapiostwo. W czasie uników Cameron nie odważył się trzymać zbyt blisko reszty. Ale teraz, w odległości kilkunastu mil od grupy, bez osłony małych pocisków stał się idealnym celem. Głupie kilka chwil rozluźnienia uwagi mogło wręcz krytycznie zmienić całą sytuację.

Klakson, wyłączany automatycznie, odezwał się znowu, zmusił Johna do przebiegnięcia wzrokiem po ekranach dla upewnienia się, że ten alarm był przez niego oczekiwany i przewidziany. Odetchnął z ulgą - ekran danych pokazywał odległość, kierunek i wielkość obiektu, które mogły należeć jedynie do Berty. A więc Lange nareszcie był na miejscu! Albo prawie na miejscu. Musi jeszcze upłynąć parę długich ułamków sekundy, zanim wielki statek dołączy do grupy, zanim Luna i Uzbrojone Zwiadowce będą mogły uciec w hipersferę. A i tak nie miał przecież zamiaru uciekać w bezpieczne miejsce zostawiając Bertę walczącą samotnie przez całe trzy minuty i dwadzieścia sekund, potrzebne jej do ucieczki w null.

W efekcie John ruszył naprzód czyniąc uniki, kołując, wydając przy tym krótkie dyspozycje wskazujące statkom floty najwłaściwsze cele dla laserów. Wroga flota leciała zwartą grupą odskakując sprawnie w różne strony i dzięki tym unikom usiłowała stanąć mu na drodze. Ekrany migotały obrazami i automatycznie ciemniały, kiedy jasność wybuchów stawała się zbyt wielka. To naprawdę była ostra walka!

Powoli mijały sekundy, John nadal wciskał klawisze, wymyślając najbardziej nieprawdopodobne manewry i czyniąc wszystko, aby stać się tak nieuchwytnym, jak tylko było to możliwe i dawało się połączyć z równoczesnym oddaleniem od floty Bizh. Na szczęście - za wyjątkiem statku Camerona - wszystkie komputery floty współpracowały doskonale. Sam Cameron trzymał się w tej chwili tak blisko Luny, jak tylko było to dopuszczalne.

Pierwsze pociski z Berty dotarły do wroga i prawie jednocześnie John zyskał większą swobodę manewru. Teraz przede wszystkim starał się wyprzedzać uniki wroga, lecz tak, by przesunąć całą flotę w bok. Wolał pozostać poza zasięgiem laserów Berty. A potem ekrany oślepiająco pojaśniały, ściemniały, w tej samej chwili z głośnika rozległ się niewyraźny krzyk, przygłuszony potwornym łoskotem uderzenia.

powietrza inna niż ta, spowodowana dniem, nocą i porami roku. Musiały więc istnieć gdzieś otwory - może właśnie w tym głównym kole emitującym światło? Musi również być jakaś „dziura" pod oceanem, przez którą odpływa nadmiar wody - bo przecież samo parowanie nie mogło pochłaniać więcej niż ułamek mały całej wody z deszczów i ze strumieni wybiegających spomiędzy gór.

Żadna z kobiet nie wiedziała jednak, którędy dostały się do segmentu. W każdym razie było zupełnie pewne, że segment powinien być połączony z jakimiś innymi segmentami - przynajmniej nie poprzez ściany. Zaś dziura, ku której poszła Ruby, musiała powstać przypadkowo. Coś - niewykluczone, że był to meteoryt - uderzyło i przebiło ścianę dokładnie w najwyższym miejscu góry. Wysokość ta zmieniała się wprawdzie od czasu do czasu - były wyraźne objawy działania erozji - ale jednocześnie jakaś siła stale wypychała góry od spodu. Dziura początkowo zakryta była brudem - przynajmniej po tej stronie ściany - ale stopniowo brud był zmywany przez deszcze. Ślady tego procesu widoczne były szczególnie na ścianach wąwozu, biegnącego od dziury w dół. A kiedy dziura została otwarta, deszcze zaczęły zmywać resztki brudu do sąsiedniego segmentu, będącego jakimś dziwnym miejscem o mroczniejszych, dłuższych i kolorystycznie odmiennych dniach. W końcu cały otwór został odkryty. Była to nieduża dziesięciostopowa wyrwa w metalowej ścianie. Niezbyt regularny owal o postrzępionych krawędziach, jak gdyby metal przeżarty został przez rdzę na wylot, choć ściana była przecież z nie korodującego i dużo niż stal wytrzymalszego metalu.

Wielkie zwierzęta przychodziły właśnie przez tę dziurę. Na szczęście nie rozpanoszyły się w całym segmencie, zamieszkiwanym przez pyzatych i kobiety - prawdopodobnie dlatego, że powietrze pachniało tu inaczej. Stały, łagodny powiew przynosił inne zapachy z otworu. Wyglądało na to, że zwierzęta dochodzą tylko tak daleko, jak daleko wyczuwalny był zapach ich segmentu. Pyzaci twierdzili, że dziura otworzyła się zaledwie kilka generacji temu, ale i tak było to na wiele lat przed odnalezieniem dziury przez kobiety. Żadna z nich nie umiałaby powiedzieć, jak powstał zwyczaj przechodzenia przez dziurę w poszukiwaniu śmierci. Ale zwyczaj przyjął się i teraz Ruby była już piątą z kolei.

Głos Jane wyrwał Lizę z zadumy: - Czas ruszać, dziewczęta!

Jar wypłukany przez deszcze prowadził w tym miejscu wprost do szczytu - mniej niż dwadzieścia jardów do ściany - a następnie w dół do postrzępionej dziury w warstwie metalu. Na szarym kurzu ledwie dostrzegły słabe ślady Ruby. Zatrzymały się, patrząc przez dziurę - w drugim segmencie również panowała noc, ale ponieważ nigdy tam nie było chmur, czerwonawy półmrok umożliwiał zejście po stoku w głąb obcego segmentu. Słaby wiatr wiejący w ich twarze miał ostry, gorzki zapach i cuchnął padliną. Mary spytała cicho: - Dlaczego nie zabrałyśmy latarek?

- Bo nie mamy trzech rąk - odrzekła Jane.

Wszystkie trzymały lekko napięte łuki, szły jedna za drugą. Nagi stok składał się najwyraźniej z brudu i z ziemi, zmytej przez deszcze z ich segmentu. U góry był jeszcze wilgotny, ale kilka jardów niżej powietrze obcego segmentu wyssało z ziemi resztki wilgoci. Grunt był sypki i nieprzyjemnie śliski. Około pięćdziesięciu jardów przed kobietami znajdował się naturalny wierzchołek tych wzgórz. Widniały tam w półmroku sękate, powykręcane, szeroko rozpostarte drzewa.

Kobiety wolno i z trudem schodziły po stoku - śliskość gruntu zmusiła je do użycia kijów jako oparcia. Na skraju lasu Jane wyszeptała: - Pozwólmy naszym oczom przywyknąć do tego światła. Liza spojrzała przed siebie - daleki poblask był niepokojący i sprawiał, że ich twarze wyglądały jakoś dziwnie. Odruchowo sprawdziła łuk, upewniając się, że strzała leży dobrze na cięciwie. Zaczęły schodzić w dół. Liza miała ochotę obejrzeć się w stronę dziury, zasłoniętej przez drzewa, lecz nie zrobiła tego. Nagle idąca przodem Jane zatrzymała się - coś poruszyło się niedaleko nich, w najgłębszym mroku, potem rozległo się niskie, chrapliwe gulgotanie. Od tego momentu wszystko działo się tak szybko, że Liza później nie umiała sobie tego dokładnie przypomnieć. Tuzin albo więcej czegoś przypominającego latające koce rzuciło się na kobiety. Mniejsze niż Wielkie Zwierzęta, bardziej płaskie i szybkie, nadleciały nisko olbrzymimi żeglującymi skokami.

Liza gorączkowo napięła łuk, wypuściła jedyną strzałę i odrzuciła bezużyteczną broń. Rozpaczliwie machnęła kijem, aby obronić się przed stworem znajdującym się już prawie nad jej głową. W czerwonym półmroku dostrzegła cztery nogi rozpostarte na boki i naprężające lotne błony, płaskie ciało, dra-

pieżne szpony wyciągnięte w jej stronę, spiczasty pysk i małe, ale ostre kły w otwartej paszczy, oczy małe jak paciorki. Stwór był mniejszy niż, na przykład, owczarek alzacki, ale o wiele zwinniejszy i ruchliwszy niż jakikolwiek pies. Nieopodal rozlegały się okrzyki zaatakowanych kobiet. Próbując uniknąć szponów Liza upadła do tyłu, ześlizgnęła się ze stoku, usiłując wysunąć kij przed siebie. Poczuła, że rozpędzona masa stworzenia nieomalże wytrąciła broń z jej ręki, potem stwór ciężko opadł na ziemię. Poderwała się z rykiem bólu i skoczyła w dół stoku. Liza znowu usłyszała krzyk Fredy. Z trudem podniosła się, uklękła i zobaczyła Jane walczącą z co najmniej dwoma stworami, które ją napadły. Rzuciła się w tamtą stronę, mocno pchnęła jedno z nich kijem. Zwierzę wrzasnęło i skoczyło w dół. Spostrzegła jeszcze jedno skaczące na nią z boku - ledwie zdążyła obrócić się, skierować koniec kija w stronę bestii i oprzeć grubszy koniec o ziemię. Zwierzę wbiło się na kij. Skoczyła ku Jane leżącej na plecach, rozpaczliwie bijącej pięściami i drapiącej kilka stworów nad sobą. Liza chwyciła któregoś zwierzaka, po prostu podniosła i mocno rzuciła o ziemię. Zwierzę upadło z głuchym łoskotem, wrzasnęło i wijąc się uciekło. Liza złapała jeszcze jedno, nadal przyczepione do Jane, ale ono nagle zdecydowało się dołączyć się do swych uciekających towarzyszy i wyszarpnęło się Lizie z dłoni. Freda płacząc leżała twarzą do ziemi, ale Mary jeszcze klęczała trzymając mocno kij przed sobą. Dwa martwe stwory leżały obok niej, oprócz tego nadzianego i już nieruchomego na kiju Lizy. Eloiza stała trzymając kij w pogotowiu. Wyglądała na oszołomioną.

Atak bestii stanowczo był odparty. Kobiety zebrały się wokół Jane. Najstarsza była pokryta okropnymi, głębokimi ranami, leżała cicho na plecach z twarzą zwróconą do góry i szeroko otwartymi oczami. Oddychała ciężko. Po chwili Liza spostrzegła krew tryskającą z lewego uda Jane - od razu przyklękła, drąc własną bluzkę na bandaże. Lecz Jane słabo poruszyła głową mówiąc chrapliwie: - Nie, Liza. Nie dotykaj mnie. Pozwól mi po prostu leżeć spokojnie. Mój... mój brzuch jest także rozerwany.

Mary wybuchnęła szlochem: - Jane!

Jane wzruszyła ramionami, przymknęła oczy z bólu, otworzyła je znowu. Wydawało się, że nic nie widzi. Szepnęła:

- Liza...

- Tak, kochanie. Jestem tutaj.

- Liza. Jesteś... Teraz ty musisz być Najstarszą.

W pierwszej chwili Liza nie zrozumiała, potem krzyknęła:

- Nie, Jane! Ty... Ty wyzdrowiejesz! I przecież Mary jest starsza!

Jane westchnęła i znów zacisnęła powieki.

- Nie, Lizo. Ty masz potrzebne cechy. Chce, żebyś... Żebyście wszystkie trzy...

I to były jej ostatnie słowa.

Cztery kobiety długo milczały patrząc na siebie. Liza z trudem powstrzymywała łkanie. - Ja nie... - bąknęła cicho - ja nie jestem dosyć dorosła.

Mary mocno objęła ją ramieniem. - Ależ tak, Lizo, jesteś! Jesteś właśnie taka, jak powiedziała Jane. To prawda, że reszta z nas tutaj jest sporo starsza, ale z nami, rzeczywiście, coś jest już nie w porządku. No, uspokój się. Tak właśnie powinno być. Pomogę ci... Wszystkie ci pomożemy. Spokój!

Od tej chwili żaden szloch Lizy nie mógłby zmienić zdania Mary, Fredy ani Eloizy.

Wszystkie cztery odniosły lekkie rany, ale żadna na szczęście nie miała poważniejszych obrażeń. Opatrzyły skaleczenia, a potem, używając kijów, wykopały grób dla Jane. Nieco niżej na zboczu było wystarczająco dużo kamieni do zrobienia kopca. Z początku Eloiza wprawdzie protestowała upierając się, że powinny zabrać ciało Jane do obozu, lecz Mary znalazła przeciw temu nieodparty argument: - Nie. Im mniej grobów wokół nas będą widziały młodsze dziewczęta, tym lepiej.

Przy znoszeniu kamieni kobiety odnalazły także ciało Ruby pokryte chmarą pożerających je stworów. Freda i Eloiza zwymiotowały. Mary wyglądała tak, jakby tylko upór powstrzymywał ją od tego samego, Lizie również z trudem udało się zapanować nad własnym żołądkiem.

Odpędziły stwory i pogrzebały to, co zostało z Ruby, w grobie obok Jane, zrobiły dwa krzyże z kija i łuku Jane, wyszeptały te modlitwy, które wydały im się najlepiej pasujące do okoliczności. Potem wyruszyły do „domu".

kiem zastukał w rejon otoczony nieregularnym owalem. - Miejsce akcji - mruknął. - Mogłoby być użyte do uzupełnienia paliwa i posiłków przed jakimś dalszym wypadem za Puste Regiony. Chodzi o to, by zaatakować dwie lub trzy bazy i wyłączyć je z działań na jakiś czas - rozpylić radioaktywne substancje, zniszczyć budynki, sprzęt i statki.

Lange mruknął ponuro: - I Bizh też.

John przez długą chwilę patrzył na niego w milczeniu. Potem zaśmiał się sucho: - I to mówi Bart. Bart Lange, który osobiście wyciągnął mnie z Dronagil na spotkanie z Omniarchem.

- Nie mówię - zirytowany Lange machnął ręką - że powinniśmy się wycofać. Ale nie muszę lubić zabijania, prawda? Czy nie możemy przyczaić się gdzieś i zapolować na ich statki, kiedy tylko wynurzą się z hiperprzestrzeni?

- Musimy myśleć realistycznie. W ciągu kilkuset godzin Bizh i Vul spotkają się tak czy inaczej. Zanim podejmą totalną wojnę, będą usiłowali całą sprawę wyjaśnić, może zawrą jakiś formalny rozejm, który obie strony za wszelką cenę będą chciały utrzymać. Chyba nie powinniśmy przeciągać sprawy przez nadmierną ostrożność. Im wcześniej dojdzie do spotkania Bizh i Vul, tym prędzej skończy się nasze zadanie. A wtedy będziemy mogli otwarcie pogadać z Omniarchem.

- Chyba masz rację - westchnął Lange. - Ale nie mogę zapomnieć, że jest nas teraz mniej niż dwustu... No, cóż. Jakie to mają być ataki? Długie naloty z użyciem wszystkiego?

- Nie. Stracilibyśmy wtedy zbyt wiele małych pocisków, potrzebnych przede wszystkim do obrony. Nie podejdziemy aż tak blisko, żeby używać miotaczy. Wejdziemy w hiper na Lunie w osiem Uzbrojonych Zwiadowców około jednej dwudziestej roku świetlnego od celu (według Vez Do Hana Bizh nie mają żadnych statków na warcie aż tak daleko) i wyłonimy się luźną grupą na dziesięć mil od ich głównej bazy. Po salwie ciężkich pocisków zaprogramowanych na tor błędny wyślemy średnią osłonę z lekkich, aby zniszczyć obronę. Potem tylko te lasery, które nie będą niezbędne przy zwalczaniu osłony, skierujemy na cele naziemne. A po naładowaniu uciekniemy w null.

Lange wyglądał na lekko znudzonego - ten plan nie różnił się zbytnio od wszystkich poprzednich.

- Przynajmniej - powiedział - większość Bizh zdąży się schronić, skoro nie użyjemy laserów od razu.

John wolał nie przyznawać się, że myślał o tym samym. Ostatecznie nadmierna wrażliwość nigdy nie była uważana za zaletę słynnych generałów. A on właśnie musiał grać rolę ostatniego generała-człowieka.

Bart odezwał się znowu: - A co z Bertą i pozostałymi Zwiadowcami?

John rzucił mu szybkie spojrzenie: - Berta?

W uśmiechu Barta było znużenie. - Przecież musimy jakoś nazwać tego kolosa.

John wzruszył ramionami. - To będzie oddział ratowniczy. Jeśli nie pokaże się nic niepokojącego, zostaniesz tam z resztą małych statków. Możesz użyć tego superdetektora masy i obserwować, czy obok nas nie pojawia się jakaś flota szykująca zasadzkę. Jeśli ją spostrzeżesz, a będzie jeszcze za wcześnie na naszą ucieczkę w null, możesz podejść i uderzyć w nich wszystkim, co masz. Ale to w ostateczności.

- Wcale mi się nie podoba - Lange zmarszczył brwi - to ciągłe siedzenie na uboczu.

- Bart. W czasie walki muszę mieć w odwodzie kogoś, na kim mogę bez reszty polegać. Gdybyśmy i przedtem działali w ten sposób, prawdopodobnie teraz byłoby nas więcej.

- Być może...

John obserwował wskazówkę chronometru, mierzącego czas dzielący Lunę od momentu wyjścia z hipersfery. Pięć sekund. Wziął błęboki wdech, stłumił napięcie mięśni, tak by nie sparaliżowało jego rąk i czekał.

Wyjście!

Ekrany błysnęły nagłymi obrazami, na kuli detektora masy zalśniły świetlne punkciki. Krótkim spojrzeniem upewnił się, że wszystkie punkty przedstawiają jego statki i przesunął palcami po klawiaturze komputera. Strzeliły przekaźniki, zabrzęczały transformatory, obrazy na ekranach urosły jak po wybuchu. Nagle z interkomu dobiegło go: - Tu Szósty! Główna sterownia źle działa!

To było zdecydowanie źle. Jeden z jego małych statków znalazł się nieoczekiwanie w środku formacji.

- Możemy - westchnienie Gustena było wyjątkowo ciężkie. - Ale to mi się wcale nie podoba...

- Ani mnie. Cóż, stary przyjacielu? Żyliśmy jak turgowie, więc nie mamy ochoty umierać jak mianci. Ale może zajmijmy się teraz naszymi pozostałymi przypuszczeniami. Podejrzewaliśmy, że najeźdźcy mogą następnie uderzyć na odległe krańce imperium Bizh. Powinniśmy więc Puste Regiony między nami a Bizh wziąć pod jak najściślejszą obserwację. I ostrzeżmy Bizh na dowód naszej niewinności. Ponadto musimy wzmocnić nasz wywiad u Bizh i w Hold, tak jak tylko to będzie możliwe.

XV

Na kimś, kto z jakiegoś powodu zakładał skafander i wychodził na zewnątrz statku, galaktyka oglądana z Pustych Regionów czyniła przytłaczające swym ogromem wrażenie.

Okazja taka przytrafiła się Johnowi - musiał dokonać inspekcji jednej z wnęk, w której zamontowano jeden z laserów. W czasie próby zbyt odchylony promień trafił w krawędź pancerza. Na szczęście w wyniku oględzin okazało się, że nie ma żadnych szkód. John popatrzył w przestrzeń.

Na zewnątrz znajdowała się długa, rozproszona krzywa ramienia galaktyki, zajmowanego przez Imperium Vulmot. Na przedłużeniu tego ramienia spirali razem ze swymi gwiezdnymi sąsiadami wędrował Układ Słoneczny. Lecz ten fragment zasłonięty już był przez rufę statku. Nawet w najbliższej części ramienia tylko kilka jasnych gwiazd wyróżniało się z mglistego blasku. Najjaśniejsze znajdowały się wzdłuż zewnętrznej krawędzi ramienia. Natomiast jasny, kulisty zbiór wyznaczał położenie świata Vul, odległego od zbioru o około 50 lat świetlnych. W centrum tego skupiska skupione były największe siły militarne Vulmotu dla ochrony wydobywanych tam metali i surowców. Gdyby Bizh zaatakowało właśnie w tym kierunku...

Siły Bizh, chociaż mniej skoncentrowane, były rozłożone po wewnętrznej stronie ramienia spirali i jedynie o kilkaset lat świetlnych od rejonu Hohd. W rezultacie oba te imperia niemal przylegały do siebie (oczywiście w kategoriach odległości w null).

Drongail, gdzie kiedyś spodziewał się zakończyć swoje życie, znajdowała się u podstawy ramienia Bizh-Hohd. Tam właśnie „na pogranicze" trafiła większość ludzi po pierwszym okresie pracy dla Hohd. John rozumiał to niemal instynktowne zachowanie - ludzie unikali ramienia spirali, w którym martwa Ziemia okrążała swoje słońce. A zarazem mieli cały ogrom imperium Hohd między sobą a Vulmotem. Daal i jego towarzysze byli wyjątkami, którzy pozostali w starym ramieniu spirali pomimo niebezpiecznej bliskości Vul. Być może podświadomie pragnęli jak najszybszej śmierci?

John przechylił głowę, spojrzał w głęboką pustkę, w której jedynie kilka wędrownych gwiazd lśniło na tle czerni. A między tymi samotnymi gwiazdkami można było dostrzec małe owalne kształty. Inne galaktyki. Czy tam również istnieje życie? Tego nikt się nie dowie. I mało prawdopodobne, żeby dowiedział się o tym ktokolwiek z mieszkańców galaktyki nawet za dziesięć bilionów lat.

John na parę chwil wyłączył radio, by wyciszyć szmer ludzkich głosów w słuchawkach. W zupełnej ciszy, mąconej jedynie biciem jego serca, długo patrzył w nieznane. Potem opuścił głowę i spojrzał na centrum galaktyki.

Znajdował się gdzieś w pobliżu środka Pustych Regionów pomiędzy ramionami spirali, widział więc doskonale drżący blask rozproszonego światła, podobny do gęstej mgły. Może rzeczywiście było to właśnie coś w rodzaju mgły? Tego nikt nie wiedział, jeśli pochodził spoza owego sektora. Istoty żyjące na obszarach ramion mgły w głąb centrum mogły dotrzeć najwyżej za dwanaście tysięcy lat świetlnych. Promieniowanie i „gaz" naładowanych cząstek były zbyt intensywne, powodowały spięcia w obwodach elektrycznych niezależnie od rodzaju używanych izolacji, przenikały przez najgrubsze warstwy najwytrzymalszych stopów.

John spostrzegł, że ekipa, która wraz z nim wyszła na zewnątrz, zbliżyła się do niego. Włączył radio.

- No i co? Jak to według was wygląda?

- W porządku, Komandorze. Czy przesuwamy się dalej?

- Nie, Coulter. Wracamy.

John i Bart ślęczeli nad rodzajem konturowej mapy Imperium Bizh. Komandor hohdańskim ołów-

VIII

John przez kilka dni ponuro patrzył na mikrofon, po czym wyciągnął rękę dotykając jakiegoś przycisku na pulpicie.

- Centrala! - dobiegło z głośnika.

- Damiano! - odezwał się John. - Daj połączenie radiowe ze wszystkimi statkami falą mocną na tyle, żeby dotrzeć do nich akurat bez przejścia zbyt daleko. Nie wiadomo kto lub co może być w zasięgu fal. Możesz to zrobić?

- Oczywiście, Komandorze. Ale zajmie to trochę czasu, o ile na początku mamy wszystkich zlokalizować teleskopem. Może być nawet pół godziny.

- Zaczynaj. - John westchnął. - Nie sądzę, że możemy ryzykować używając radaru. A jeśli już przy tym jesteśmy, skieruj teleskop znowu na Numer Cztery. Jeśli ktoś tam został żywy na pokładzie, powinien do tej pory wymyślić jakiś widoczny sygnał.

- Już to zrobiliśmy, sir. Właśnie miałem do pana zadzwonić. Nie widać nawet najsłabszego światełka.

- Taak! - John nerwowo zerwał się z fotela, z nieoczekiwanym rozdrażnieniem spojrzał na obu poruczników obserwujących go w posępnej ciszy i opuścił pokój kontroli. Wprawdzie dział „kontrola zniszczeń" oświadczył, że wszystkie zewnętrzne reperacje dokonywane na powierzchni Luny są w toku, ale wolał iść do działu technicznego, żeby całość operacji zobaczyć na specjalnych, zamontowanych tam ekranach.

Potem zrobił krótką rundę po statku. Porozmawiał z działem artylerii (tam nie było problemów poza jednym - kończyły się pociski wszystkich klas) i zaszedł do magazynu, gdzie powiedziano mu, że nie będzie żadnych problemów z wyżywieniem załogi, jeżeli dotrą na Akiel czy gdziekolwiek indziej przed upływem co najwyżej trzystu godzin. Następnie komandor wrócił do pokoju kontroli, żeby porozmawiać z małą flotą.

- Tu Braysen. Obawiam się, że musimy załogę numeru Czwartego uznać za nieżywą. Wprawdzie weszli w hipersferę, ale od tego czasu nie porozumiewali się z nikim. Właśnie zbliżamy się do nich. Jeżeli nie będzie niebezpiecznej radioaktywności, wejdziemy na pokład. Jeżeli ktoś z ekipy będzie miał kłopoty, niech zaczeka, aż będziemy w zwartej grupie i będziemy mogli przesyłać szczegółowe informacje. Na detektorach u niektórych z was mogą być widoczne obiekty czy grupy obiektów w kierunku 28 na 31 w odległości około 1/3 miliona mil. My również mamy taki ślad na swoich ekranach. Prawdopodobnie jest to jedynie zabłąkana kometa lub niewielki rój skalny, ale nie możemy ryzykować. Jeżeli chcecie, zbliżcie się do Luny.

Dziesięć godzin później okaleczone zwłoki ludzi z numeru Czwartego znajdowały się w szpitalu na statku flagowym, a załoga Luny łatała kadłub numeru Czwartego.

Dziura była niewiarygodnie mała, zrobiona przez jakiś odłamek, który rykoszetując przeleciał przez środek statku dokonując całkowitej rzezi. Nie było żadnej radioaktywności, śladów wstrząsu po wybuchu ani po udarze cieplnym. Po prostu, niosący śmierć kawałek stali, mający jedną na dziesięć tysięcy szansę przedarcia się do statku. I oto następnych ośmiu mężczyzn zginęło.

Odległy obiekt dostrzeżony przez Johna okazał się typowym dla obszaru między ramionami galaktyki skalnym złomowiskiem, ale to wcale nie poprawiło humoru komandora. Następnych ośmiu mężczyzn zginęło! A Vez Do Han może przecież chcieć, aby ludzie dokonali jeszcze kilku ataków na Bizh. A tego nikt nie dowie się przed następnym spotkaniem z Hohdańczykiem.

Poczucie winy i zwątpienie w siebie paliło Johnowi wnętrzności. Czuł się przedtem taki pewny siebie, taki był zadufany, kiedy pomysł akcji okrążeniowej przyszedł mu do głowy. Czy w rzeczywistości nie było to jedynie zbrodniczą nieroztropnością? Wstał z koi, na której przesiedział ponad godzinę gapiąc się bezmyślnie na metalowe ściany i poszedł do swojego biura - jego wzrok bezwolnie powędrował w stronę zamkniętego sejfu. - Nie! - mruknął wściekle i gwałtownie przełknął ślinę, co i tak nie uwolniło go od dziwnego pragnienia. Dlaczego od razu po powrocie z Council Bluffs zamknął to małe pudełeczko z dronem właśnie tu, a nie zaniósł go do szpitala pokładowego Luny, aby trzymał je lekarz?

John oparł się o brzeg luku - zakręciło mu się w głowie. Przez moment myślał, że zwymiotuje. - Do

diabła! – krzyknął. – Przecież nie mogłem przewidzieć tego cholernego odłamka!

Przed tym wszystkim czuł się przecież świetnie – ale każdy nieudolny kretyn czuje się równie doskonale przed popełnieniem najgłupszych błędów. Czy nie powinien był uciec w hipersferę natychmiast, by całkowicie uniknąć ryzykownego starcia? Ostatecznie bitwy ani nawet utarczki z całymi flotami Bizh nie były objęte umową z Vez Do Hanem.

A efekt? Dwudziestu ludzi straconych w zaledwie czterech, tak nieudolnie poprowadzonych atakach. To był nie tylko zatrważająco duży procent wszystkich żyjących ludzi. To przede wszystkim byli ludzie, których znał. Towarzysze broni. Już lepiej byłoby, gdyby Bart Lange zostawił go na Drongail!

John uderzył pięścią w stalową ścianę, z trudem przełknął ślinę. A potem drżąc i przeklinając siebie obrócił się z rezygnacją i powoli, krok za krokiem, podszedł do sejfu.

John leniwie poruszył się na koi – co to był za dźwięk? Przypomniał sobie jak przez mgłę, że powinien coś zrobić. Tak... To interkom... Obrócił twarz w stronę głośnika.

– Halo... Kto mówi?

– Techniczny, sir. Niezbędne naprawy we wszystkich statkach zostały ukończone.

– A tak... To... Dobrze...

Przerwa. Potem zdziwiony głos technicznego:

– Czy niedługo odlatujemy, sir?

– Odlatujemy? – John zastanowił się. Oczywiście, mogli odlecieć, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. To on przecież dowodzi flotą, czy nie tak? Zachichotał, potem ziewnął.

– Nie. Nie sądzę, żebyśmy się stąd na razie ruszyli. Nie ma pośpiechu. Powiedz wszystkim, żeby sobie odpoczęli, dobrze?

Znowu cisza. Potem głos pełen niedowierzania i wątpliwości:

– Tak, sir. Czy...

John obrócił się na drugi bok, ułożył wygodnie i ponownie pogrążył się w drzemce. Czuł się prawie doskonale. Gdzieś tam głęboko nadal tkwiło coś, co go gnębiło, jakiś słaby niepokój związany z podjętymi przez niego decyzjami, które kosztowały życie kilku ludzi. To niedobrze, ale każdy musi wcześniej czy później umrzeć, prawda? A umrzeć bohatersko, w walce, szybko i bez cierpienia, to przecież wcale nie tak źle. Miał nadzieję, że sam umrze w taki sposób, kiedy nadejdzie jego czas. O ile, oczywiście, nie uda mu się zorganizować tego tak, by mógł po prostu spać i odejść nie zdając sobie z tego sprawy.

Czuł się wspaniale! Dlaczego tak uparcie odmawiał sobie dronu przez tyle długich godzin i dni? Był bardzo, bardzo niemądry...

John! Hej, John! Obudź się!

John przewrócił się na plecy, z trudem otworzył ociężałe powieki i nieprzytomnie popatrzył na kogoś, kto nim potrząsał.

– Och, Bart... Jak się masz?

Bart patrzył na niego z zaciśniętymi ustami.

– Więc to... Eech! Ile wziąłeś i jak dawno temu?

John usiadł, ziewnął. – Muszę wziąć prysznic, a potem coś zjeść. Aha, pytałeś, ile wziąłem? Jedną muzhee. Taką kuleczkę... – usiłował pokazać drżącymi palcami... wielkości ziarenka grochu. O ile jeszcze gdzieś jest groch – zachichotał. – Przestań patrzeć na mnie jak sumienie ludzkości. Czuję się doskonale. No, sprawdzaj! Zapytaj o coś z tabliczki mnożenia. Albo o dziesiętny logarytm z trzech. A może listę floty? Proszę: Aaron, Anders, Baker, Bunstill... – przerwał. – Och, straciliśmy Bunstilla...

Lange zaklął głośno. – Tak, do diabła. Bunstilla i jeszcze dziewiętnastu innych! Ale przynajmniej ostatnim razem daliśmy flocie Bizh porządny wycisk! Wypełniliśmy albo już wszystkie, albo przynajmniej sporą część zobowiązań wobec Hohd. I znowu jesteśmy jednostką wojenną! Jest nas jeszcze niemal dwustu i mamy jeszcze coś do zrobienia, John! A ty może masz zamiar stchórzyć i wrócić do tego leku dla gówniarzy!?

John lekko zmarszczył brwi. – Nie rozumiesz dronu, Bart... – westchnął. – Ale dość. Podejrzewam, że najwyższy czas ruszyć w hipersferę na spotkanie z Vezem. Bart, czy wracasz zaraz na swój statek? Bo

rejestratora?

– Tak, sir.

– A czy promieniowanie było tam silniejsze czy innego rodzaju niż w pobliżu innych przyrządó...

Oficer znowu się zarumienił. – Wszystkie były zrzucone na spadochronach. Może ten padł tak n... szczęśliwie...

– To dziwne. Dziwne, że źle zadziałał tylko ten jeden raz. Przedtem działał idealnie. Potem też. Ob... wiam się, wiceadmirale, że pan po prostu jest idiotą. Pańskim obowiązkiem było natychmiastowe lą... wanie! Czy byłoby to zbyt uciążliwe zadanie, wziąwszy pod uwagę znaczenie tamtej ekspedycji?

Oficer zaczął tracić pewność siebie. Ja... chyba powinienem... Na pewno powinienem był lądow... Gdybyśmy przywieźli przyrząd ze sobą, można byłoby zademonstrować jego defekt.

Bulvenorg westchnął ciężko. – Admirale! Jeżeli jeszcze raz wspomni pan o uszkodzeniu rejestrato... wstanę z tego krzesła i rozwalę je na pańskiej głowie.

– Ależ statek o długości trzech tysięcy pezras...

– Poprzednio mówił pan o dwóch tysiącach dziewięciuset. Może nie przesadzajmy z tą wielkoś... Sam oglądałem taśmę z informacją o zapisie tego przyrządu, którą pan dostarczył. Jest tam wyra... podejście, obniżenie lotu, zawiśnięcie na jakiś czas, poderwanie się i nullowanie, a następnie pow... tego statku. Oglądał pan ten fragment z zapisem powrotu?

Oficer był ciemnopąsowy. – Ależ sir – wybąkał. – Mój inżynier elektronik...

– ... opisał to panu wystarczająco dokładnie, czy tak? Ale powiedział pan, że był to jedynie rod... elektronicznego echa. I to uznał pan za dowód wady przyrządu... – Bulvenorg pochylił się w str... oficera. – Przyznaję, że i mnie trudno jest uwierzyć w istnienie tak gigantycznego statku. Mamy tu j... nak do czynienia z dwoma rzeczami, w które jeszcze trudniej uwierzyć. Jedną z nich jest aż tak dziw... zbieg okoliczności, że złe funkcjonowanie instrumentu mogło w rezultacie dać tak jasny i przekonyw... jący zapis. A druga, że pan, doświadczony oficer w stopniu Dowódcy, mógł zobaczyć taki zapis i zig... rować go.

Admirał zrezygnował z obrony. Wstał i z martwą twarzą powiedział: – Sir. Przyznaję, że nie obejr... łem całego zapisu. Ponadto mogę jedynie stwierdzić, iż w tym wypadku żaden z moich podwładnych... zawinił. Proszę o osąd Rady i wyrażam zgodę na karę, która zostanie na mnie nałożona.

Bulvenorg uśmiechnął się. – Decyzja w tej sprawie nie należy do mojej Rady. W każdym razie od t... chwili przestaje pan należeć do Obwodu Obrony. Przykro mi, ale nie będę mógł zatuszować tego ni... prawdopodobnego incydentu. Myślę, że powinien pan poprosić o natychmiastową emeryturę. Ja pop... pańską prośbę. A więc... do widzenia.

Po wyjściu oficera Bulvenorg przesiedział na krześle całe dwadzieścia pięć centishegów nim wycią... nął rękę w stronę mikrofonu. – Gusten! – rzucił.

– Tak, sir.

– Czy może pan przyjść do mnie na chwilę? Z butelką. Moja jest już niemal pusta, a chyba będzie nam potrzebna więcej niż na jeden łyk.

Guten zjawił się niebawem. Wysłuchał opowieści Pierwszego Zastępcy, potem dość długo siedział ni... tykając napoju. W końcu spytał: – Czy przesłuchał pan ten zapis?

– Tak. Czy pan chce to także uczynić?

Gusten pokręcił głową. – Może później – mruknął. – Skoro jest pan pewien...

– Chciałbym nie być. Aha! Czy słyszał pan ostatnio coś ciekawego na temat metali o dużej wytrzym... łości?

– Nie. A przecież każdy taki postęp technologii momentalnie stałby się galaktyczną sensacją.

– Więc spróbujmy na moment zapomnieć, że jesteśmy rozsądnymi, logicznie myślącymi istotam... Załóżmy, że taki statek rzeczywiście istnieje. Kto mógłby go zbudować?

Gusten patrzył na niego mrugając oczyma, potem wydał urywane westchnienie: – Klee, oczywiście. Wziął swoją szklankę i jednym łykiem opróżnił ją do dna. – Sądzi pan, że koszmarny sen mianta zacz... na się spełniać?

– Właśnie tego się obawiam. A czy możemy teraz pojawienie się tego giganta w okolicach Ziemi po... czyć z hipotetycznym zamieszaniem Ziemian w intrygę przeciwko nam i Bizh?

- Jeśli będziemy zmuszeni, aby się kiedykolwiek pokazać. Myślę, że tego unikniemy. A co do celów, Vez Do Han ma na ten temat dokładniejsze informacje. Może uda się wyłudzić od niego jeszcze parę pocisków nie budząc zbytnich podejrzeń?

XIV

Bulvenorg spod przymrużonych powiek zerkał na nerwowego oficera siedzącego na gościnnym krześle po drugiej stronie biurka. Splótł grube palce i mocno zacisnął, potem położył dłonie płasko na metaloplastycznej powierzchni biurka.

- Nie mogę uwierzyć - powiedział ze stłumioną pasją - że po odbyciu całej tej długiej drogi do Systemu Słonecznego w celu prowadzenia obserwacji, mógł pan przejść do porządku nad anomalią w działaniu instrumentów. A przecież po to został pan tam wysłany!

Twarz oficera pociemniała pod rumieńcem.

- Ależ sir! - wybuchnął. - To, co pokazały umieszczone na Ziemi instrumenty, jest po prostu niemożliwe!

Bulvenorg uśmiechnął się groźnie.

- Niemożliwe? Nie wiedziałem, że jest pan fizykiem-teoretykiem, specjalistą elektroniki i teologiem w jednej osobie. Ale skoro tak, niech mnie pan oświeci. Dlaczego i w jaki sposób niemożliwe?

Podwładny z trudem powstrzymywał się od opryskliwej odpowiedzi, opanował głos: - Statek o długości dwóch tysięcy dziewięciuset pezras? Wejście w hiperprzestrzeń z wysokości, na której jest wystarczająco wiele atmosfery, by niemal natychmiast rozładować i odprowadzić całą energię? Z pewnością, sir. To jest najzupełniej możliwe. Ale ja - przełknął ślinę - mam oświadczenie producenta tamtego przyrządu, że radioaktywność tej mocy co na Ziemi mogła spowodować wadliwe funkcjonowanie rejestratora. To chyba jasne, że cały zapis okaże się nałożeniem kilku zapisów z równoczesnym błędem odczytu.

Bulvenorg westchnął gniewnie.

- A więc - rzekł po chwili nieoczekiwanie łagodnie- wysłanie tylu statków na taką odległość co najmniej jedno pokazało na pewno: że stosowanie przyrządów pomiarowych to jedynie strata czasu, czy tak? Jeśli wiceadmirał wie aż tak dokładnie, który zapis jest dobry, a który nie (nawet kiedy przyrządy zostały wybrane przez cały sztab ekspertów) to dlaczego nie pozwolić wiceadmirałom, a może nawet młodszym odźwiernym i jeszcze ich pomocnikom siedzieć w domach i przepowiadać, co który przyrząd pokaże?

Oficer zadrżał z gniewu. - Sir! Odwołuję się do oceny jakiegokolwiek kompetentnego sędziego!

Bulvenorg opanował się, pochylił nad biurkiem, burknął:

- Pan już siebie samego ustanowił sędzią. Ale wracając do sprawy... Czy przyrząd właściwie zarejestrował drogę i rozmiary pańskich własnych statków?

- Tak. Ale...

- Zapisał dokładnie wszystkie parametry?

- Tak, sir. Jednakże...

- Czy podczas patroli wokół planety pracował bez zarzutu?

Oficer poruszył się na krześle, jak gdyby siłą starał się na nim usiedzieć.

- To racja, sir. Jeśli jednak wolno mi coś powiedzieć...

Bulvenorg rozłożył dłonie w geście przeproszenia.

- Pan wybaczy - mruknął - jeśli sprawiłem wrażenie, że nie pozwalam panu mówić. Ja naprawdę od ponad pół shega usiłuję z pana wydusić choć jedno sensowne słowo.

Teraz oficer naprawdę warknął, co w sumie odpowiadało Bulvenorgowi, bo wściekłość jest zawsze prawdziwą i czasem najwłaściwszą odpowiedzią.

- Pierwszy Zastępco! Statki o takich rozmiarach nie mogą istnieć ze względu na ograniczenie wytrzymałością materiałów! Dla mnie było jasne i jest jasne, że przyrząd zarejestrował błędnie, częściowo podwajając, drogę mojego statku. I przy tej opinii pozostanę!

- Rozumiem. A więc pańskim zdaniem to radioaktywność spowodowała wadliwe funkcjonowanie

jeśli nie, to może mógłbyś zajść do kontroli lotu Luny i wydać rozkazy?

Lange złapał go za ramiona, poderwał z koi, warknął:

- Do diabła, John! To ty jesteś tutaj komandorem! A tym bardziej teraz, po ostatniej bitwie. Ludzie patrzą na ciebie jak na jakiegoś półboga. Nie możesz pozwolić, żeby zobaczyli mięczaka bez kręgosłupa.

John westchnął ponownie. - Powiem ci, Bart, że nie chcę być ani ćwiartką boga... Ale chyba masz rację - schylił się po żakiet munduru ciśnięty przedtem niedbale na podłogę. - Hipersferuj jak tylko znajdziesz się na pokładzie swojego statku.

Tak, to rzeczywiście jest niepokojące, że Bizh potrafili dokładnie przewidzieć, gdzie uderzycie za czwartym razem - Vez Do Han skierował wnętrze swoich dłoni w dół na znak przeczuwania czegoś niedobrego. - To świadczy o ich bystrości. I przykro mi, że straciłeś tamtą załogę. Wziąwszy pod uwagę twoje zdolności, których jeszcze raz dowiodłeś, to był po prostu pech. Sądzę, Johnie Braysen, że nie powinniśmy cię prosić o ponawianie ataków w tym rejonie. Myślę, że mądrzejsze będą ze dwa uderzenia na jakieś bazy gdzie indziej. Powiedzmy, daleko na ramieniu spirali poza ośrodkiem ich imperium. W dodatku uderzenie tam nie będzie zrozumiane jako ostrzeżenie dla Bizh przed powzięciem przez nich jakichś działań przeciw naszym sojusznikom. A właśnie! Sojusznicy donoszą o bardzo zachęcających efektach waszej pracy. - Vez podrapał owłosiony policzek. - Głównym celem jest w końcu nie niszczenie baz, ale sprowokowanie nieporozumienia między Bizh a Vul, o ile nam się to uda. Zaproponowane przeze mnie uderzenie na odległe bazy bardziej temu celowi odpowiada.

- Kampania prowadzona tak daleko - mruknął John - będzie wymagała uprzedniego zbadania terenu...

- Słusznie. Trzeba się będzie trochę rozejrzeć. Myślałem, czy moglibyście zorganizować swoje spotkanie gdzieś w pobliżu krańców imperium Vulmoti? Wybór czasu i miejsc waszego pojawienia się w określonych rejonach powinny zmusić Bizh do skierowania myśli w pożądanym kierunku.

- Musielibyśmy wynurzyć się z pełnym ładunkiem broni, energii i pożywienia. Czy możecie dostarczyć dwóch pierwszych? Żywność dostaniemy na Akielu.

- Oczywiście. Ale to wymaga jeszcze kilkuset godzin. Zbyt gwałtowne gromadzenie i transport tak wielkich zapasów zwróciłby uwagę szpiegów. Dwa statki Bizh są nadal przygotowane dla was na Akielu, gdziekolwiek ta planeta jest. Więc do chwili, w której statki będą gotowe, my zgromadzimy pociski i energię w jakimś mało uczęszczanym miejscu.

Myśli szybko przebiegały Johnowi przez głowę. Jak bardzo przydałby się teraz obiecany przez Omniarcha statek Klee. Pomijając potencjalne korzyści w czasie walki, mógłby stanowić bazę jeszcze lepszą, niż jakakolwiek planeta (o ile rzeczywiście był tak wielki, jak mówiono). Mógłby przyjąć na pokład wszystkich mężczyzn w tym samym czasie. Ale przecież nie można było powiedzieć o tym Vezowi... Ocknął się.

- Aha. Vez! Skoro już mówimy o mało uczęszczanych miejscach. Nasz pobyt na Akielu staje się dla gospodarzy coraz bardziej kłopotliwy i coraz mniej mile widziany. W czasie naszego ostatniego spotkania rozmawialiśmy o jakiejś niezamieszkałej planecie w bezpiecznym zasięgu waszego regionu, którą ewentualnie moglibyśmy zająć. Jeżeli już wybrałeś, to może ona mogłaby posłużyć za tymczasowy magazyn dla gromadzenia broni?

Baczne spojrzenie Vez Do Hana skoncentrowało się na Johnie przez długą chwilę.

- Świetny pomysł, Komandorze. Kiedy chciałbyś zobaczyć wybraną przeze mnie planetę?

- Dopiero za kilka hohdańskich dni, jeśli pozwolisz. Musimy poprawić nie tylko statki, ale i morale załogi. Może po prostu przyślę sygnał do twojej kwatery, kiedy już będę gotowy?

- Oczywiście, przyjacielu. A więc do następnego spotkania, Johnie Braysen!

- Do spotkania, Vezie Do Han!

Po powrocie na Akiel John pospiesznie odszukał Pełnego Samca Chelki.

- Muszę zamienić kilka słów z Omniarchem. Szybko. Polecę, gdziekolwiek będzie chciał się ze mną spotkać.

Chelki popatrzył na niego uważnie, jego twarz nie wyrażała żadnego uczucia, głowa była podniesiona

na wysokość twarzy Johna, wszystkie cztery nogi stały mocno wsparte w ziemię.

– Jak wiesz, Komandorze, miejsce pobytu mojego przodka nie jest mi wiadome. Twoje słowa będą wysłane nie bezpośrednią drogą, dlatego nie mam pojęcia, jak długo to potrwa. Ale wiadomość wyślę natychmiast.

IX

Bulvenorg, Zastępca Pierwszego Starszego Marshala Obwodu Obronnego Wielkiego Imperium Vulmotu siedział, słuchając gadania, dysput i wręcz kłótni pospiesznie zebranego sympozjum. Większość zebranych tu poruczników stanowili jego bezpośredni podwładni, ale jak zwykle pozwalał im na trochę swobody. Słuchał tak, jak mógłby słuchać zaniepokojony, ale nieustraszony kot – rozparty na krześle, z na wpół opuszczonymi powiekami. Jego uszy leciutko drgały od czasu do czasu, kiedy docierało do nich jakieś ważniejsze słowo z tej całej paplaniny. Bulvenorg nie był kotem. Bez wątpienia należał do humanoidów, o czym świadczyły jego silne i zręczne dłonie o czterech grubych palcach z przeciwstawnym kciukiem. Jeśli jego paznokcie były grubsze i mocniej osadzone niż u Hohdańczyków, to jedynie dlatego, że Vulmoti rozwijali się w jeszcze trudniejszym środowisku naturalnym. Bulvenorg mógłby z powodzeniem nosić ludzkie buty (odpowiednio szerokie), mimo iż palce stóp miał bardziej chwytne niż palce stóp człowieka. Jego twarzy nie sposób jednak było wziąć za ludzką – płaszczyzny policzków oddalone od siebie na wysokości uszu zbiegały się w okolicy szczek tak, że jego wielki nos, blisko osadzone oczy, wystająca broda i wysunięte ku przodowi zęby zajmowały bardzo wąską przestrzeń. Jego zęby były zębami bardziej mięsożernego stworzenia niż człowieka, ale też nie do tego stopnie, by Vulmoti nie mógł spożywać innych pokarmów.

W ludzkim pojęciu Bulvenorg byłby krępy – miał nieco ponad sześć stóp przy wadze powyżej trzystu funtów. Trudno byłoby powiedzieć, czy jest gruby, czy też aż tak umięśniony – w każdym razie większość humanoidów nie mogła pojąć, jakim cudem ten ciężki stwór w razie potrzeby stawał się gibki i niemal bez kości. Ale też niewiele humanoidów wiedziało, że ziemskie koty (kiedy jeszcze istniały) umiały w ułamku sekundy zmienić swą leniwą ospałość w zdecydowaną akcję stalowej sprężyny. I właśnie pod tym względem Bulvenorg przypominał kota. Jego spiczaste, ostre uszy od dobrych paru chwil drgały coraz częściej. Podniósł rękę, aby przygładzić krótko ostrzyżone, wijące się włosy, porastające jego pochylone czoło (pochyłość tę równoważyła wypukłość tyłu czaszki). Powoli rumieniec przyciemnił jego śniadą cerę. Bulvenorg nie był zły, ale zaczynał się niecierpliwić – chaotyczne spory przestały być źródłem nowych informacji czy pomysłów.

Wyprostował się na krześle. Oficer przewodniczący zebrania natychmiast zastukał w pulpit czymś, co do złudzenia przypominało ołówek, ale w rzeczywistości było samozasilanym laserem, mogącym co najwyżej lekko zwęglić powierzchnię specjalnego tworzywa. Wzmożone pukanie zwróciło uwagę zebranych.

Przyciskając guzik na klapie marynarki Bulvenorg powiedział dość grubym, ale miękkim głosem: – To jasne, że wielu z was stara się ukryć swoje zaskoczenie... – przerwał, dając im ułamek chwili na niezadowolone szemranie – że Delegat Cywilny dał dowód nieprzychylności sugerując, iż jednostki naszych organizacji militarnych dokonały niczym nie usprawiedliwionych ataków na bazy graniczne imperium Bizh. I to z powodów, jak to wdzięcznie ujął, których żaden zdrowy na umyśle osobnik nie jest w stanie zrozumieć ani wytłumaczyć. Nasz Dyrektor przyłożył do tej dość frywolnej sugestii wagę większą niż cała sprawa na to zasługuje. Z kolei nasz Szef Wywiadu Pozaimperialnego elokwentnie wychwalał trudności szpiegowania w obcym świecie odległym o wieleset lat świetlnych od naszych najdalszych granic, z którym to światem nie utrzymujemy nawet stosunków konsularnych. A w końcu usłyszeliśmy raport mojego własnego adiutanta, ogólnie określającego kroki przedsięwzięte przez nas przeciw możliwym masowym atakom odwetowym ze strony Bizh... – znów przerwał na moment, szukając wzrokiem śladów opozycji. Oczywiście, mógłby ją przełamać bez większego trudu, ale wolał zakończyć sympozjum bez zbytniego rozdrażnienia. Podjął znowu:

– Uderzyło mnie jednak, że nikt nawet przez chwilę nie przypuścił, iż owe tajemnicze ataki (oczywiście, nie możemy i nie powinniśmy zaprzeczać, że nasz wywiad pokonuje w swej pracy olbrzymie trud-

XIII

Praca!

Od zakończenia studiów John nie pracował tak zawzięcie przez niesłychanie wiele czasu. Jeszcze był osłabiony i ospały po dawce promieniowania wchłoniętej na martwej Ziemi, musiał staczać się ze swojej koi po każdej wydzielanej sobie zbyt skąpo porcji snu. Golił się dopiero wtedy, kiedy broda zaczynała mu przeszkadzać w domykaniu hełmu. Większość doby spędzał w radioaktywnych ładowniach ogromnego statku, kierując odkażaniem i zastanawiając się nad ostatecznym rozmieszczeniem broni. Posiłki połykał w pośpiechu i natychmiast powracał do pracy. Pozostawał ciągle na niebezpiecznej krawędzi nadmiernego napromieniowania, przyczyniając zmartwienia lekarzom, mimo to odczuwał powolny powrót dobrej formy. Nie musiał też popędzać ludzi. Raczej zmuszał ich do odpoczynku, zanim padli ze zmęczenia przy pracy. Ich poświęcenie widać było w pełnych zapału twarzach, wymizerowanych i zawziętych oraz po sposobie, w jaki poruszali się nawet w stanie nieważkości (ze względu na ciężar wyrzutni wyłączono w tej części statku sztuczną grawitację). Odkażanie było mozolne, ale praca posuwała się do przodu. Tysiące galonów wody tryskały w przestrzeń. Gdyby ktoś zawędrował kiedyś nawet za kilkaset lat do tego regionu przestrzeni między ramionami spirali zdziwiłby się, skąd tyle radioaktywności w miejscu, w którym nawet zabłąkany odłamek skały z rzadka pojawia się na detektorach masy. Oczywiście szansa wyłonienia się kogoś z hiperprzestrzeni właśnie tu była aż nieprawdopodobnie nikła.

Kiedy każdy element wyposażenia został wyczyszczony do znośnego poziomu „gorąca", holowano go na zewnątrz statku a potem wzdłuż monstrualnego kadłuba aż do pomieszczenia na broń na drugim końcu okrętu. W razie potrzeby używano małych przenośników o napędzie grav, ale najczęściej ludzie jak mrówki holowali dany przedmiot na miejsce przeznaczenia. John uśmiechał się na myśl, że po zakończeniu tej roboty mięśnie wszystkich ludzi będą o dobry cal grubsze.

Było jeszcze inne zadanie nie forsujące mięśni, ale prawie ponad siły, takiej bowiem wymagało precyzji i dokładności. Było to doprowadzenie przewodów do sterowania bronią. Każda wyrzutnia, każdy miotacz, każde działo musiało być ustawione tak, by celowało dokładnie w punkt ustalony przez sensory.

I jeszcze sprawdzanie. Mozolne, doprowadzające do szału sprawdzanie! Lecz w miarę upływu setek męczących godzin ilość gotowych do walki wyrzutni rosła. Nadszedł czas, kiedy statek mógł wystrzelić salwę trzech tuzinów pocisków, buchając jednocześnie trzydziestoma promieniami potężnych laserów i uderzając w niemal wszystkie strony z dwudziestu ośmiu ciężkich miotaczy. Oczywiście nie wszystkie lasery i miotacze mogły być skierowane na jeden cel, były bowiem rozmieszczone dookoła statku. Ponadto statek miał nie nadającą się do użytku rufę (tak nazwano tę część, gdzie pozostały ślady radioaktywności). Gdyby ten koniec został zaatakowany, musiano by go bronić jedynie przy pomocy sterowanych pocisków albo małej grupy Uzbrojonych Zwiadowców.

Ostatecznie okazało się, że można dodać osłony wewnątrz pokryw luków, uczynione z zapasów supermetalu zgromadzonego w magazynie. Z energią również nie było problemu – potężne przewody wybiegające z niedostępnego jądra statku dostarczały takich jej ilości, że można byłoby nią otoczyć cały statek bez przygaszania świateł na pokładach.

Fred Coulter, mianowany oficerem technicznym, zastanawiał się nad tą energią. Na pytania Freda John uśmiechnął się.

– Już obliczyłem wszystko. Przy założeniu, że jedna dziesiąta przestrzeni wewnątrz jądra wypełniona jest paliwem, to około siedemnastu tysięcy kombinowanych operacji mogłoby ten zapas może wyczerpać. Według Omniarcha ten statek miał trwać w pełnej gotowości. Musimy po prostu mieć nadzieję, że „gotowy" znaczy „z pełnym zapasem paliwa". O wiele bardziej prawdopodobne jest, że skończą nam się pociski. Powinniśmy jednak byli pobyć tam dłużej i zabrać ich o wiele więcej. Mamy siedemdziesiąt dwa ciężkie pociski łącznie z sześcioma błędnymi, które można przecież traktować jedynie jako przynętę albo sposób zmylenia przeciwnika. Do tego mniej niż dwieście lżejszych do pomocniczego ognia i obrony. Nie można walczyć tylko uderzeniami energii. Cel trzeba otoczyć pociskami, aby go ostatecznie unieszkodliwić.

Coulter skinął głową. – Ale dla nieruchomych celów będziemy prawdziwą zmorą – powiedział.

oprzeć ją o framugę. W tej samej chwili przypomniał sobie, że te drzwi były mocniej napromieniowane niż wszystko inne, więc tylko wyjrzał na zewnątrz szukając wzrokiem człowieka, którego postawił na warcie. - Cameron? - jego głos był niewyraźny i skrzypiący. - Cameron. Gdzie jesteś?

Po długiej chwili dostrzegł zdeformowaną postać sunącą wzdłuż ściany budynku w odległości co najmniej osiemdziesięciu jardów. Poczuł gwałtowne ukłucie zazdrości. - Cameron powinien był pozostać na posterunku...

John ruszył w jego stronę. Cameron na jego widok podniósł rękę do guzików kontrolnych na lewej piersi skafandra.

- Wyłączony odbiór - wymamrotał John i zastanowił się, czy było to poważne naruszenie rozkazów i reguł.

Jakich rozkazów i reguł? Do diabła z nimi. Usłyszał głos Camerona: - Czy pan mnie potrzebuje, Komandorze?

Przypominanie sobie, o co chciał zapytać, trwało całą minutę. Spytał wreszcie:

- Czy widziałeś...?

Cameron zdawał się trzymać bardzo dobrze, podszedł bliżej.

- Znowu przelecieli gdzieś na południe stąd. Kilka minut temu. A może kilka godzin? Nie wiem. Widziałem ich w świetle słońca. I słyszałem, więc musieli lecieć w atmosferze.

John był zmęczony tak, że nawet westchnienie przyszło mu z trudem. Powiedział: - Zaniepokoiłem się, kiedy cię nie zobaczyłem.

Cameron zachichotał niewyraźnie: - To zabawne, Komandorze. Czy wiesz, po co tam poszedłem? Myślę, że na moment przysnąłem stojąc i zaspany poszedłem szukać.męskiej toalety.

John pomyślał długą chwilę i w końcu zadecydował, że to rzeczywiście musiało być zabawne. Kiedyś w przyszłości, o ile jeszcze była przed nimi jakaś przyszłość, będą się z tego śmiać. Teraz patrzył tylko na ciemniejące niebo. Nie miał zaufania do swoich zdolności umysłowych w tej chwili, ale prawie doszedł do wniosku, że Vul musieli rozsądnie pomyśleć i wysłali oddział do Układu Słonecznego. Potem zmienił tok myśli, powiedział: - Nie widzę żadnego powodu, aby dłużej utrzymywać wartę, Jim. Jeżeli chcesz się gdzieś położyć...

Twarz Camerona była prawie niewidoczna w mroku, kiedy mówił: - Zostanę i tak, Komandorze. Na wypadek, gdyby...

- ... Bart trochę naciągnął rozkazy - dokończył John - i wrócił po nas trochę wcześniej. Też chciałem tu postać. Vul i tak nas nie powinni w tym świetle zobaczyć ani sfotografować. Siądźmy przy ścianie magazynu.

Nie rozmawiali wiele. Raz albo dwa - tego John nie pamiętał dokładnie - wstawał mozolnie i zaglądał do wnętrza magazynu, aby zobaczyć, jak się czuje reszta. Teraz już wszyscy siedzieli albo leżeli, nikt nic nie mówił. Wszyscy trwali w napiętym oczekiwaniu.

Niebo było zbyt ciemne, aby mogli dostrzec swój statek, o ile nie znalazłby się on wystarczająco daleko poza zasięgiem cienia Ziemi. John zerknął na chronometr, ale już nie mógł nawet rozróżnić świecących cyfr. Obawiał się, że zostały im jeszcze co najmniej dwie godziny czekania. A może być i tak, że Bart będzie musiał zejść w pogotowiu bojowym. W walce tak blisko powierzchni planety wiele groźnych rzeczy może się przydarzyć... Johnowi zaczynało być wszystko jedno. Bombę czy uderzenie elektryczne przywitałby jak błogosławieństwo. Mruknął do siebie niewyraźnie: - Albo przetrwasz, albo nie. I to tylko twoja wina. Przestańże wreszcie pić tę wodę, bo to jedynie pogarsza stan twojego pęcherza, a wcale nie zmniejsza pragnienia. Nie dostaniesz tu ani odrobiny dronu.

Spał, kiedy głos Barta nagle zadźwięczał w słuchawkach. Budził się powoli, nie dowierzając jeszcze, nie rozumiejąc słów: - Odlecieli, John! Z powrotem do swoich kryjówek. Chyba stwierdzili, że nie ma tu nic żywego.

John zachichotał krótko: - A może mieli rację?

Usłyszał głosy pozostałych ludzi obudzonych teraz - zdziwionych, narzekających lub śmiejących się histerycznie. Jakimś cudem Johnowi udało się wstać, zebrać dookoła siebie całą pierwszą zmianę i dojść ze wszystkimi aż na pokład statku.

ności) zostały przez kogoś celowo zaplanowane tak, by sprowokować wrogość między nami a Bizh.

Rozległy się pomruki zdziwienia i zmartwienia.

- Taka możliwość - powiedział Bulvenorg - naturalnie była od początku najzupełniej oczywista. Nie wspomniałem o niej, bo miałem nadzieję, że ktoś rozważy ją z innej strony niż ja to czynię i może wniesie jakieś nowe myśli. Teraz proponuję, aby każdy z was zastanowił się nad tą koncepcją i przygotował się do przedyskutowania jej podczas następnego spotkania.

Delegat Cywilny - stary doradca, którego Bulvenorg ze wzajemnością darzył wstrzemięźliwym szacunkiem - chrząknął. Bulvenorg spojrzał na niego, co było równoznaczne z udzieleniem głosu.

- Interesująca myśl - powiedział delegat - szczególnie, że pochodzi od kogoś, kto rzadko bawi się w takie subtelności. Ciekawe, kogo pan miał na myśli mówiąc o bliżej nie sprecyzowanych prowokatorach? Czy myślał pan o Obcych, czy też zastanawiał się pan nad możliwością, iż ktoś z nas uczynił to w strachu przed brakiem stałego dopływu kredytów?

Bulvenorg uśmiechnął się. - Proszę nie sądzić - powiedział - że ta ostatnia możliwość została przeze mnie pominięta. Jednakże, skoro moim zadaniem jest obrona Imperium i jej posiadłości, uczyniłem wszystko, aby upewnić się, że nie jest to działanie nikogo z nas. Chociaż nasze informacje, siłą rzeczy, mogą być jedynie pośrednie, jest zupełnie jasne, że Obcy (i jak się wydaje, niezbyt wielka ich siła) są właśnie owymi prowokatorami. Dziękuję - skłonił się lekko w stronę delegata - za znalezienie właściwego określenia. Przyznaję, że myśląc o nich operowałem o wiele ostrzejszymi sformułowaniami.

Cywil odkłonił się. - Jestem pańskim sojusznikiem w nadziei uniknięcia wojny z Bizh. Czy mogę prosić o wyjawienie, kim są owi szubrawcy?

Bulvenorg przybrał wygląd zawiedzionego i urażonego.

- To właśnie - burknął - wymaga ogromnego wysiłku z naszej strony. A ponieważ do tej pory nie mamy żadnych szczegółowych informacji (choć przychodzi mi na myśl kilka ras, które mogłyby odnieść korzyści z takiej sytuacji) nie widzę podstaw do przedłużania dyskusji.

Cywil roześmiał się chrapliwie, Bulvenorg wstał i jakby nigdy nic zmieszał się z tłumem wychodzących, witając się z niektórymi i wymieniając stosowne grzeczności. Właściwie nigdy nie miał nic przeciw takiemu brataniu się ze swoimi podwładnymi. Ale kiedy - tak jak teraz - przeszkadzało mu to w podjętych przedsięwzięciach, musiał bardzo się starać, aby ukryć zniecierpliwienie. W końcu większość zebranych wyszła.

Bulvenorg ponownie dotknął włącznika mikrofonu i powiedział do oficera przewodniczącego, który nadal cierpliwie stał za swoim pulpitem: - Admirale Gusten. Czy mogę z panem zamienić kilka słów?

Bulvenorg wyjął butelkę z biurka i nie tracąc czasu na zwyczajowe ceremonie napełnił trunkiem dwie szklaneczki. Jedną dla Gustena, drugą dla siebie. Był to zwyczajny, urzędowy napój z dodatkami zapachowymi nadającymi mu lekko dymny, lekko kwaśny zapach i smak.

- Przez chwilę myślałem - rzucił - że ma pan zamiar wezwać tego półgłówka do zamilknięcia.

- Nie - Gusten uśmiechnął się lekko. - Był politykiem tak długo, że teraz lepiej wie, kiedy przewodniczący stuknie, zanim jeszcze przewodniczący zda sobie z tego sprawę. Właściwie myślę, że był niezwykle zgodny, nieprawdaż?

Bulvenorg przytknął palec wskazujący do kciuka na znak, że podziela zdanie rozmówcy.

- Był tutaj, aby nas zmusić do wypowiedzi. A czy pan, Gusten, zorientował się, kto może nam robić te przykre niespodzianki?

Mały palec i kciuk Gustena wyraziły brak własnego zdania.

- Jestem całkowicie zbity z tropu. Nie mam pojęcia, kto byłby zdolny do zdobycia tuzina lub więcej naszych statków, włączywszy w to jeszcze statek ważący czterdzieści tysięcy lohm. Nie sądziłem, że tyle straciliśmy w ciągu pięciu generacji.

Bulvenorg wzruszył ramieniem i wypił mały łyk ze swojej szklanki. - To rzeczywiście zagadka. Być może ktoś zbudował statki według naszych projektów? Jeżeli tak, to była to wręcz niewiarygodnie sumienna robota. Każdy kawałek metalu, każda fotografia, każda sonda magnetometryczna, która wpa-

dła nam w ręce lub której mamy opis, wskazuje na nasze własne statki. Podejrzewam, że czeka nas długie grzebanie w archiwach w poszukiwaniu danych o statkach, które kiedykolwiek straciliśmy. A swoją drogą – siedział patrząc uważnie na podwładnego, nieoczekiwanie użył formy bezpośredniej – czy naprawdę nie przychodzi ci na myśl jeden gatunek, który mozolnie zdobywałby statek po statku, aby potem użyć każdego z nich przeciwko nam?

Gusten zmarszczył brwi. – Naturalnie. Długowieczność naszych zagadkowych i często zadziwiających niewolników Chelki momentalnie przychodzi mi na myśl. Nawet poczyniłem swego czasu pewne badania w tym kierunku. Dwa mało istotne bunty Chelkich zostały stłumione. W ciągu następnych stu naszych lat nie zdarzyło się, aby jakikolwiek statek zdobyty przez buntowników nie został im odebrany.

Bulvenorg uśmiechnął się, ale oczy miał poważne. – Tak – zamruczał. – Ale były również statki zaginione bez wieści.

– Chelki rodzaju technicznego – zaprotestował Gusten – nie są zdolni do takiego wyczynu.

– Rodzaju technicznego nie. Ale skoro do tej pory nie udało nam się rozwiązać zagadki hormonów Chelkich? Skąd możemy mieć pewność, że trzymany gdzieś w celach rozrodczych Pełny Samiec Chelki nie prokreował osobników wyglądających jak wszyscy rodzaju nijakiego, ale z instynktami wojownika?

– Myśli pan – Gusten wyglądał na mocno zaniepokojonego, prawie przerażonego – że to możliwe?

Bulvenorg dopił resztę swego napoju, niecierpliwie machnął dłonią, w której trzymał szklankę. – To po prostu jedna z ewentualności, które przyszły mi na myśl. A ponadto te statki mogły być gromadzone najróżniejszymi okrężnymi drogami. Koalicja naszych rywali, jeżeli spojrzymy na sprawę realistycznie, z powodzeniem mogła zgromadzić taką ilość. Co innego jest tutaj o wiele istotniejsze. Najpilniejszą rzeczą byłoby ustalenie, kto wchodzi w skład załogi? Zawsze istnieje ryzyko, że ktoś zostanie pojmany albo ciała zabitych zostaną zidentyfikowane. Zapewne więc członkami załogi nie są mieszkańcy żadnego z imperiów, z którymi od czasu do czasu gramy sobie w turg albo miant. Czy nie przychodzi ci na myśl pewna niewielka grupa fanatycznie zuchwałych humanoidów nienawidzących nas każdym mikrolohmem swego istnienia? – Obserwował swego podwładnego z lekkim rozczarowaniem – A nawet jeśli dodasz widoczny geniusz w bitwach z obronnymi siłami Bizh?

Mały palec i kciuk Gustena spotkały się.

– Ma pan na myśli Ziemian? I ich kom... (jakie to głupie określenie rangi) komandora Johna Braysena? Zostało ich niewielu, a i to w rozsypce. Poza tym ich tłustym poetą na planecie nazywanej Jessa. A co do Braysena. Myślałem, że już powinien dawno zemrzeć na Drongail.

Bulvenorg pokazał zęby w półuśmiechu.

– Braysen rzeczywiście trafił na Drongail i tam, zgodnie z naszymi raportami, uległ nałogowi dronu. Jeśli chodzi o resztę, sprawdzałem dziś rano. Może ich być przypuszczalnie aż trzystu. I... chyba o trzystu za dużo. Zawsze zastanawiałem się, czy decyzja o pozostawieniu niedobitków jako przykładu dla innych buntowników czy agresorów nie była zbyt nierozważna. A co do Braysena, to powinniśmy byli upewnić się, że on naprawdę nie żyje.

Gusten powoli wysączył resztkę napoju i ostrożnie odstawił szklankę. – Rozumiem tok pańskich myśli – powiedział. – Ale to byłoby chyba zbyt niewiarygodne.

– Niewiarygodne!? A więc pomyśl, Gusten. Byli z Hohd przez tyle czasu. Zauważ teraz, że Bizh ostatnio bardzo łakomie zerkali na dwa lub trzy pomniejsze imperia leżące pomiędzy nimi a Hohd. Hohd nie bardzo chce i nie może angażować się w otwartą wojnę. Z ich punktu widzenia optymalnym rozwiązaniem jest bodaj próba przekonania Bizh, że nie oni, ale właśnie my zainteresowaliśmy się tą ekspansją.

Gusten powoli przytknął kciuk do palca wskazującego.

– Rzeczywiście powinniśmy się tym zainteresować. Jeśli Bizh zajmą dalsze terytoria wzdłuż ramienia spirali i w końcu pokonają Hohd, to zakładając dalszą ich ekspansję przez pusty Region trafią do naszego ramienia. Jednak to jeszcze sprawa dalekiej przyszłości. W dodatku nie mamy dowodów. Domysły to za mało, żeby planować karną ekspedycję przeciwko Hohd.

Bulvenorg ponownie napełnił szklanki, mówiąc z namysłem:

dzimy sobie doskonale z tabletkami koncentratów i wodą, które mamy w skafandrach. Trudno przewidzieć co Vul zrobią. Czy wylądują gdzieś, czy tylko parę razy okrążą Ziemię, dokonają zdjęć oraz odczytu z przyrządów i wrócą do pozostałych. Ale nie możecie przecież sterczeć tam gdzie jesteście. Będzie was widać jak chrząszcza na białym obrusie. Podnieście się do maksymalnej granicy i w każdej chwili bądźcie gotowi do drogi.

– John, zwariowałeś!? Przecież równie dobrze przed odlotem możemy was zabrać na pokład. Ja...

– Wcale nie równie dobrze, do licha! Jesteśmy dopiero w połowie roboty. Wyjdźcie z zasięgu detektorów i obserwujcie ich. W najgorszym wypadku zawsze możesz dokonać skoku zerowego wprost nad to miejsce i zabrać nas w ciągu paru chwil. Ruszaj wreszcie! Tracisz czas!

Bart rozzłościł się także. – W porządku, bohaterze! – wrzasnął. – Jak długo mamy się trzymać z daleka?

John zawahał się – podjął tę decyzję niemal odruchowo. Bez zastanowienia. Powinni jeszcze śmiało wytrzymać dodatkowe dziesięć godzin w skafandrach. Napromieniowanie wewnątrz magazynu nie było aż tak wielkie, jak początkowo sądzili.

– Do dziesięciu godzin – rzucił. – Zależnie od tego, co zrobią Vul. Jeśli będziecie musieli zejść gotowi do walki, to pamiętaj, że możesz w nich uderzyć z dziesięciu statków, zanim Vul połapią się w sytuacji. Ale nie róbcie tego, o ile nie będziecie zmuszeni. A teraz ruszaj!

Bart nie odpowiadał. Ale w ciągu kilku sekund przewody zostały odłączone, olbrzymie luki zatrzaśnięte i statek zaczął unosić się do góry. John stojąc w drzwiach magazynu patrzył, jak okręt zmniejszał się stopniowo, znikając między chmurami na niebie.

Z trudem przełknął ślinę. Teraz, kiedy już statku nie było, poczuł się maleńki i bardzo samotny. I – głupi. Przecież Lange mógł mieć rację...

Minęło około dziesięciu minut. Potem od głośnego huku zadygotał skafander Johna. To statek znikł z górnych części atmosfery. John obrócił się, spojrzał w mroczne wnętrze magazynu. Cała zmiana słyszała jego rozmowę z Bartem i teraz mężczyźni stali, obserwując komandora w milczeniu. Nie mógł dostrzec ich oczu w cieniu hełmów. Ogarnęło go jeszcze silniejsze poczucie winy i zwątpienia.

– No co? – powiedział ostrzej niż zamierzał. – Wracamy do roboty, póki jeszcze jest widno.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, choć trzech obróciło się, aby spojrzeć na miejsce, w którym poprzednio pracowali. Potem Coulter zapytał: – A skąd weźmiemy zasilanie, skoro statek odleciał?

John zbliżył się do drzwi magazynu. – Znajdziemy źródło energii. Na razie zaciągnę te przewody tam, gdzie nie będzie ich widać. Fred! Sprawdź i przynieś te baterie, które widzieliśmy. Przecież dźwig może pracować na prąd stały.

Potem już nikt się nie odzywał, ale cisza, która zapanowała, była wymowna.

Po trzynastu godzinach w skafandrze przy braku normalnego pożywienia John odczuwał zawroty głowy. Oprócz tego – mimo wilgoci wewnątrz skafandra i wody, którą od czasu do czasu popijał z pojemnika, był coraz bardziej spragniony. Wiedział, że tego pragnienia żadna ilość wody nie ugasi, a to z kolei wcale nie poprawiało jego samopoczucia.

Wstał oddychając nierówno i zaczął chodzić – czuł, że musi zrobić wszystko, aby przeciwdziałać temu okropnemu rozdygotaniu wszystkich mięśni. Zastanawiał się, czy pozostali czują się równie podle – zdawało mu się, że jeden z nich przed chwilą płakał. Sama świadomość siedzenia w pułapce mogła doprowadzić do szaleństwa nawet bez żadnych fizycznych niedomagań. Ale nikt z nich nie cierpiał dodatkowo z powodu okropnego, nie ugaszonego pragnienia dronu. Co najwyżej Fred, który poznał dron jeszcze na Jessie.

John rozejrzał się w popłochu – Fred Coulter siedział oparty o ścianę z nogami wyciągniętymi, z głową odchyloną do tyłu na tyle, na ile pozwalał skafander. Gdyby spał, to byłoby świetnie. John sam pragnąłby zasnąć.

Słońce musiało zejść już dosyć nisko – mrok w magazynie pogłębiał się powoli. Nikt nie pracował, bo i tak skończyli już wszystko, co mogli zrobić, a John na razie nie był w stanie zaplanować niczego więcej. Większość mężczyzn siedziała, kilku leżało.

Obrócił się, chwiejnym krokiem podszedł do wyjścia, wyciągnął rękę w pancernej rękawicy, aby

John z trudem powstrzymywał się od ciągłego zerkania na rejestrator promieniowania, zamontowany w lewym rękawie skafandra. Ze zdenerwowania pocił się obficie, że skafander nie nadążał z absorbcją płynów. Co gorsza, łatwo było sobie wyobrazić, że złe samopoczucie i lepkość pleców są skutkiem przecieku radiacji przez kombinezon ochronny. Mimo to właściwa praca szła im o wiele lepiej niż tego oczekiwał. W ciągu siódmej i ósmej godziny zdołali dostarczyć siedemnaście skończonych wyrzutni pocisków na pokład swego olbrzymiego statku, który na czas dokonywania tych operacji zawisł w powietrzu kilka cali nad powierzchnią placu. Luki z jednego końca były otwarte (wnętrze śluzy opuszczone), wybiegały z nich kable energetyczne.

Typowa wyrzutnia była duża. Przy długości sześćdziesięciu stóp i prawie dziewięciu stopach średnicy, ważyła około pięciu ton. Zastosowano w niej napęd grav. Przy grubszym końcu były płyty osłonowe umocowane solidnie, by zamortyzować wstrząsy przy ładowaniu pocisków, oraz cewki aktywujące zatopione w sprężystym metaloplastyku. Wzdłuż wnętrza każdej rury umieszczono po czterdzieści osiem płyt sterowanych przez zadziwiająco prosty komputer. Dzięki temu pocisk zawsze równo spoczywał wzdłuż osi wyrzutni. Dużą zaletą tego urządzenia było także to, że można było wystrzelić z niej dowolny pocisk o średnicy nawet do siedmiu i pół stopy z prędkością do trzech tysięcy stóp na sekundę. Dzięki odpowiednio sprofilowanym stykom, komputer statku mógł nawet w ostatniej chwili zaprogramować uczulenie pocisku na ciepło, masę, optyczny pościg, zaplanowany szlak albo lot wędrujący, zgodny z teorią gier losowych. Można by wystrzelić pocisk z własnym napędem albo zwykły kawał metalu o kształcie pocisku. Można było również wysyłać w przestrzeń niewielkie kapsuły ratunkowe. Ostatecznie można było nawet wystrzelić człowieka w skafandrze (był to tzw. „lot kadeta"), ale taki sposób podróżowania ze statku do statku nie cieszył się powszechnym uznaniem. W sumie typowa wyrzutnia była bardzo wszechstronną częścią jego wyposażenia.

Przy instalowaniu zbudowanych na Ziemi wyrzutni będzie sporo roboty. Podstawy na stanowiskach bojowych okrętu nie pasowały do biegunów wyrzutni. Wymagało to zmiany nawet gwintów na sworzniach i połączeń elektrycznych. Technicznie nie było to problemem, ale wymagało bardzo wiele ciężkiej i czasochłonnej pracy. John nadal zastanawiał się, co uczynić z olbrzymimi lukami, które wystarczały nie tylko do tego, by po otwarciu przepuścić Uzbrojony Statek Zwiadowczy. Nawet po zatrzaśnięciu pokrywy było to o wiele więcej niż potrzeba, aby przepuścić pociski wroga albo uderzenia elektryczne. Potrzeba było nie 87-miu stóp, lecz co najwyżej dwudziestu, by wyrzutnie mogły mieć średni kąt wystrzału. To jednak był jeszcze jeden szczegół schodzący na dalszy plan wobec szczęścia, że ma już w ładowniach siedemnaście kompletnych wyrzutni.

Lecz wraz z początkiem dziewiątej godziny zaczęły się pierwsze kłopoty.

Ekipa Johna była właśnie wewnątrz drugiego magazynu, zbierając większą ilość wyrzutni, których dźwig na kołach mógł łatwo dosięgnąć, kiedy słuchawki w jego hełmie słabo zadźwięczały.

– Tu Braysen – powiedział, czując lekki niepokój.

Głos Barta był ponury. – John! Kilka statków Vul kieruje się w stronę Ziemi!

John poczuł lekki skurcz żołądka. – Czy widzicie ich na detektorach masy? – zapytał.

– Nie. Bawiliśmy się trochę przyrządami. Znasz te tarcze na tablicy na sprężynach. Identyczny zestaw znajduje się na głównym pulpicie. Przy wyłączeniu kompletu czterech przełączników daje taki sam system wykrywania, jak ten w null. Równocześnie sfera detektora zmienia się tak, że można jak na radarze zobaczyć żółte światełka i wszystko inne. W tej chwili cztery statki zbliżają się ku nam z asteroidów i dalszych planet układu. Ponieważ jesteśmy na dziennej stronie Ziemi, na razie nas nie widzą. Ale to nie potrwa długo, jeżeli zbliżą się bardziej albo staną na orbicie Ziemi. Mówiłeś o konieczności mocnego oświetlenia na drugiej zmianie.

Krew zapulsowała Johnowi w skroniach, nagle poczuł dawno zapomniane pragnienie, którego nie mogło ugasić przełykanie śliny. – Bart! – rzucił. – Będziemy pracować po ciemku. A teraz odłącz przewody, zamknij luki i odlatuj.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że zostajesz tam na dole? – głos Barta był pełen zaskoczenia i niedowierzania.

John rozzłościł się. – Do cholery, Bart! Słuchaj, co mówię! Jesteśmy w połowie przygotowania wszystkiego dla drugiej zmiany. Jeśli teraz uciekniemy, wszystko trzeba będzie zaczynać od początku. Pora-

– To raczej niemożliwe. Oni są zbyt silni, a my na razie zbyt osłabieni. Nawet gdybyśmy mogli wygrać totalną wojnę z Hohd, Bizh stałoby się najpotężniejszym mocarstwem całego sektora galaktyki. – Pociągnął duży łyk ze szklanki. – Oczywiście, konieczne jest zaplanowanie przez nas odpowiedniej kontrakcji. A po pierwsze, musimy upewnić się, że moje przypuszczenia są słuszne. W końcu prezentuję tylko własne logiczne domysły. Najpierw przeprowadzimy wywiad na Jessie. Chociaż ten gruby poeta i jego zwolennicy raczej porzucili myśl o walce, ale przecież mogą wiedzieć, co się święci. Natychmiast należy wysłać statek na Drongail celem sprawdzenia, czy komandor Braysen nadal tam się znajduje. Ponadto zwiększymy wywiad zarówno w Bizh, jak i w Hohd. – Zamyślił się na centisheg. – A może... – mruknął – powinniśmy dodać do tego coś jeszcze? Mam takie przeczucie czy podejrzenie, że może warto byłoby wysłać jakiś niewielki oddział w dół ramienia spirali, aby jeszcze raz przyjrzeć się tej planecie, skąd pochodzą ludzie. Ziemi.

Gusten szybko zamrugał oczyma. – Nie sądzę, żeby jakiś człowiek mógł tam przetrwać.

– Nie. Ale zostały tam maszyny i materiały. Przy szybkiej pracy w kombinezonach i po późniejszym odkażeniu niektórzy z niedobitków mogli odzyskać pewne użyteczne rzeczy. Wkrótce o tym znowu pomówimy – Bulvenorg pochylił się w stronę Gustena. – W międzyczasie proszę organizować poszczególne ekipy. Nawet z pominięciem rang i wszystkich ustalonych zasad doboru. Muszą to być osoby rzeczowe i.. potrafiące milczeć. Rozumie pan? Czuję, że powaga tej sprawy może przekroczyć granice odpowiedzialności.

X

Nieuzbrojony pościgowiec hohdański zbliżył się do zielonej planety. John i Bart siedzieli przed ogromnym ekranem patrząc uważnie. Po chwili John pochylił się, dostroił kamery tak, by otrzymać powiększony obraz łańcucha górskiego, leżącego kilka mil z boku. – Jeśli nawet to nie są sosny – mruknął – to i tak jestem skłonny nie widzieć żadnej różnicy.

– A ja – Bart wzruszył ramionami – zaczekam, aż będę je mógł wąchać. Dopiero wtedy się ucieszę. Czy widzisz już jakieś miejsce do lądowania?

– Nie. Ale myślę, że będzie za krawędzią ekranu w pobliżu tamtego jeziora. Patrz! Jezioro jest otoczone przez wąski pas łąk. A lądowisko znajdziemy opodal tych drzew za łąką. No, jak? Chętnie będziesz tę planetę nazywał swoim domem?

Bart spojrzał na Johna. Obaj bardzo uważali na to, co mówią. Vez Do Han – było to dość prawdopodobne – mógł mieć w pomieszczeniach pościgowca zamontowane aparaty podsłuchowe.

John uśmiechał się – był tak podniecony, że Vez mógł to zauważyć, jeśli potajemnie słuchał ich i obserwował. Nie mógł jednak wiedzieć, że ten atrakcyjny świat poniżej nie był jedyną przyczyną tego podniecenia. John spieszył się już na umówione spotkanie z Omniarchem. Kiedy opuści tę planetę, kiedy potem pożegna Veza...

Interkom zazgrzytał i zaświstał, potem ludzie usłyszeli głos Veza: – Lądowanie za dziesięć dolek. To znaczy za dwadzieścia dwie minuty. John i Bart poszli do swoich pokojów po bagaże. Uzgodniono, że oni dwaj zostaną tutaj i zaczekają na Lunę, która przywiezie zapasy z Akielu. Oczywiście nie dlatego, aby ta planeta nie była urodzajna. Nie będzie tu żadnego przetwórstwa, dopóki nie zbudują sobie elektrowni, więc na razie będę musieli poprzestać na artykułach dowożonych z innych planet.

John nie był pewien, czy Omniarch przyleci z Akielu na Lunie, czy tylko przyśle łącznika z powiadomieniem o miejscu i czasie spotkania. Zresztą wątpił, by tak stary wyga ryzykował pojawieniem się tutaj. Ale ostatecznie nie miało to wielkiego znaczenia, bo wszystko było na jak najlepszej drodze.

W kwaterach Barta i Johna zabrzęczał dzwonek i na chwilę zajaśniały ekrany, pojawiła się na nich twarz Veza.

– Spotkamy się przy luku numer dwa tuż po lądowaniu, zgoda?

– Oczywiście. Doskonale, Vez.

Słońce przygrzewało tu prawie tak samo jak na Ziemi. Drzewa otaczające łąkę nie były podobne do sosen – miały pomarszczone owalne liście i zapach pieprzowców – lecz mimo to puls Johna zaczął bić szybciej. Trawa tutaj na pierwszy rzut oka była taka, jak na Ziemi. Sięgała do kostek w naj-

bujniejszych kępach. I pachniała najzwyklejszą trawą.

Przelatujące w pobliżu ptaki mogły być sójkami, gdyby zamiast purpurowego miały upierzenie niebieskie, tak boleśnie zapamiętane z Ziemi. Ekologiczne miejsce wiewiórek zajmowały niewielkie stworzenia, zadziwiająco podobne do małych, nie owłosionych piesków meksykańskich. Tyle, że skakały tak, jak tego nie robi żaden pies. Ludzie spostrzegli też jakieś stworzenie podobne do szopa, które szło z lasu w stronę jeziora. Zobaczywszy ich zatrzymało się na chwilę, rzuciło zdziwione spojrzenie na statek górujący nad okolicą o sto jardów za plecami ludzi i zakręciwszy się w kółko pobiegło z powrotem, sapiąc przy tym komicznie jak zmęczony człowiek. Johnowi skojarzyło się to zwierzę z szopem ze względu na sposób, w jaki się poruszało. Bo, w rzeczywistości, miało ono dłuższy ryjek (jak opos), krótki ogon i cętkowane, szare futro z jedną białą łatą na szyi.

Kilkanaście jardów za ludźmi stało paru uzbrojonych Hohdańczyków – to na wypadek ataku jakiego niebezpiecznego stworzenia. Vez podszedł do Johna i Barta, uśmiechnął się.

– I jak, przyjaciele? Podoba wam się tutaj?

John musiał przełknąć ślinę zanim wydobył z siebie głos.

– Tu jest... idealnie, Vez. Tak jak na Ziemi w strefie umiarkowanej byłoby późną wiosną.

– Cieszę się. Kazałem moim ekologom dokładnie przestudiować opisy Ziemi, zanim dokonałem wyboru. Zapewniono mnie, choć, siłą rzeczy, badania musiały być pobieżne, że śmiało możecie rozłożyć się obozem w pobliżu tego jeziora, zachowując jedynie zwykłe środki ostrożności wobec tutejszych drapieżników. I czy jesteście pewni, że namiot wam wystarczy? Moglibyśmy szybko postawić jakiś domek...

– Namiot wystarczy – odparł John. – Wygląda bardziej... bardziej niewinnie.

Vez otwartą dłonią wyraził zgodę. – O ile wiem – powiedział – chociaż sam tego nie widziałem, parę mil w dół strumienia jest równina, na której będziecie mogli zbudować osiedle i zmontować wszystkie podstawowe urządzenia produkcyjne, których moglibyście potrzebować. Aha! Zastanawiałem się nad tym, że kiedy zdobędziecie większą ilość statków, będziecie musieli opracować metody kamuflażu. Jeśli chodzi o to tymczasowe lądowisko, to będzie wygodniej przy przebywaniu na nim co najwyżej dwóch do trzech statków równocześnie. I jeszcze coś. Grunt nie jest tu na tyle zwarty, by utrzymać dźwigi mechaniczne, więc do załadunku broni będziecie musieli używać podnośników grawitacyjnych.

Szli w kierunku stosu amunicji, który zajmował dobre siedemdziesiąt jardów pasu lasu, otaczającego łąkę. Ponad wielkimi zbiornikami i pakami rozwieszone były kawałki maskowania (materiał został, wedle zapewnienia Veza, zabarwiony tak, aby nie kontrastował z listowiem bez względu na typ oświetlenia – widzialne, podczerwone czy ultrafioletowe).

Cóż za potęga drzemała pod tą siatką! Johnowi krew zatętniła w żyłach na samą myśl o salwie długich, metalowych cygar pędzących przez kosmos w pogoni za rozpaczliwie umykającymi statkami nieprzyjaciół.

Olbrzymia Luna delikatnie osiadła w dolinie, nie dotykając murawy, aby pozostawić jak najmniej śladów. Coulter jako pierwszy wyłonił się z luku. John wyszedł mu na spotkanie.

– Przywieźliście pasażera?

– Nie. Tylko zestaw danych i czas.

– Gdzie i kiedy?

– Około dwunastu i pół lat światła stąd pomiędzy czterema podwójnymi gwiazdami. Tak że będziemy doskonale zamaskowani przed wszelkimi detektorami masy. Czas – Coulter spojrzał na swój chronometr – kiedykolwiek później, niż jedenaście godzin od teraz.

– Nie daje nam to zbyt wiele czasu na wyładunek i uzbrojenie statku.

– I tak mamy najpierw polecieć na Akiel i stamtąd zabrać się którymś z małych statków. Zresztą mnie także wydaje się, że nasz największy trochę za bardzo rzuca się w oczy. Pełny Samiec na Akielu sugerował, że Vez Do Han mógł nabrać pewnych wątpliwości.

– Chelki prawdopodobnie ma rację – westchnął John. – Cóż, to znaczy tylko dodatkowe dwie godziny. Czy były jeszcze jakieś polecenia?

– Tak. A swoją drogą musi tu zostać ktoś, kto będzie pilnować tego wszystkiego. Będziemy przysyłać

– Za godzinę będę mógł sporządzić pełny raport. Ale już można powiedzieć, że ilość strontu 90 jest śmiertelna. Ponadto jest zadziwiająco dużo kobaltu. Nie sądziłem, by metal tego rodzaju można było rozpylić w cząstki tak małe, by utrzymały się w atmosferze przez tyle lat. Podejrzewam, że to podmuch wiatru poderwał kłąb pyłu wystarczający do wykrycia.

– Kobalt 60? – John mimowiednie zmarszczył brwi. – Jak to się mogło stać?

– Może któraś głowica uderzyła wprost w skład zwykłego kobaltu? Sądzę, że to by wystarczyło.

– Taak – John zastanawiał się przez chwilę. – A jaka jest ogólna sytuacja? Czy myśli pan, że szczątkowa radioaktywność budynków i urządzeń może nam zagrażać mimo ubrań ochronnych?

– Boję się, że tak, szczególnie przy długim pobycie na powierzchni Ziemi. Może dzięki absorbentom...

– Na szczęście trochę ich mamy. A na otwartej przestrzeni? Czy zbyt wiele przedostałoby się przez kombinezon?

– Myślę, że nie. Co najwyżej podczas deszczu. Ale teraz mogę jeszcze tylko zgadywać...

– W porządku – westchnął John. – Dziękuję.

Powoli wstał z krzesła i podszedł do Barta.

– Myślę, że spróbujemy najpierw na Bałkanach. Tam produkowano wiele przed zagładą. I jest tam teraz sucha pora – patrzył na Barta przenikliwie. – Zostawiam ci dowództwo.

Bart mocno zmarszczył brwi, na moment zacisnął wargi.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że schodzisz na dół? To bez sensu! Ciebie nie może zabraknąć.

– Do diabła! Myślisz, że mogę zachować szacunek załogi posyłając ich do tego piekła, a sam bezpiecznie siedząc sobie na statku? Nie, Bart. Tam nie ma tygrysów czy wilków. Nie ma nic zwyczajnego, czemu może przeciwdziałać normalny instynkt. Radioaktywność działa skrycie. Nie widzi się jej ani nie czuje, ale przecież obaj wiemy, jak zabija.Działa na mózg, na wskazania przyrządów... będziemy mieli ze sobą liczniki. W razie czego natychmiast wrócimy na pokład.

Lange wyglądał na przekonanego, ale niezadowolonego. – A co będzie – zapytał – jeśli Vul się pojawią? Myślisz, że popatrzą sobie na was i odlecą?

– Uwzględniłem i to. Nie zapominaj o planach Omniarcha.

– Co to ma do rzeczy?

– Jeżeli zginie nas tutaj zbyt wielu, Omniarch będzie zmuszony strzec załogi jak oka w głowie. Innymi słowy, czy będzie mu się to podobało czy nie, i tak będzie musiał traktować pozostałych jak nie zastąpiony materiał rozrodczy. Nie mogę ot, tak sobie, poświęcić szacunku załogi, jeżeli nadal mamy stanowić zwartą grupę. Ponadto z łącznością może być różnie. Muszę być na Ziemi, aby podejmować decyzje co należy zabrać i jak to uczynić. Ty z kolei jesteś jedynym, na którym mogę polegać, że zna statek dostatecznie i będzie umiał właściwie ocenić sytuację, jeżeli coś zacznie dziać się nie tak jak trzeba.

Lange zamruczał coś cicho, w końcu wzruszył ramionami.

– W porządku. Ty dowodzisz. Jak rozwiążesz problem energii potrzebnej do zasilania dźwigów?

– Najpierw poszukamy źródeł, które dałoby się uruchomić. Dopiero jeżeli nic nie znajdziemy, pociągniemy przewody ze statku. Chyba możemy to zrobić bez większego ryzyka, że radioaktywność dostanie się na pokład.

– Chyba tak. Jak długo na dole pozostanie pierwsza zmiana?

– Dziesięć godzin łącznie z czasem na przebranie się i odkażanie. Dłużej i tak nie będą pracować bez odpoczynku i posiłku. Na początek poleci ze mną około dwudziestu. Jeśli wszystko będzie dobrze, zwiększymy drugą zmianę. I tak wszyscy będą mieli dość roboty i na pokładzie, i tam na dole. A wiadomo, że nie jesteśmy w stanie wszystkiego przewidzieć.

– Kiedy zejdziecie na dół?

– Jak wytypujemy fabryki i choć z grubsza zorientujemy się, jak tam wygląda sytuacja. Zaczniemy się przygotowywać po następnym posiłku.

Skafandry ochronne – choć wykonane z możliwie najlżejszych tworzyw łącznie z plastikiem oraz związku magnesu i aluminium – były przeznaczone do użytku w przestrzeni kosmicznej, nie zaś na planetach. W związku z tym poruszanie się w nich było bardzo utrudnione. Ogólne rozpoznanie terenu, które zajęłoby normalnie najwyżej pół godziny, w skafandrach trwało ponad dwie.

- Jak myślisz, John, co to jest? Co najwyżej jakiś okruch skały w pobliżu. - Bart skrzywił się. - Wiesz, to wcale nie jest takie dobre. Będziemy widzieli każdy śmieć, przez który przelatujemy w null.

- Wręcz przeciwnie. Jeżeli teraz zobaczymy, że moglibyśmy się wyłonić we wnętrzu jakiejś planety, będziemy w stanie tego uniknąć. To praktycznie eliminuje zerowanie!

Bart uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Masz rację, John. O tym nie pomyślałem. Ale czemu wcześniej nie odkryliśmy tej magicznej tablicy? Przecież wchodziliśmy w hiperprzestrzeń na tym statku już ze dwanaście razy. Aha! W tej sytuacji nie polecimy chyba aż tak daleko, jak zamierzaliśmy?

- Nie. Zatrzymamy się poza zasięgiem detektorów masy, co będzie dość daleko, biorąc pod uwagę rozmiary tego kolosa. Potem dokładnie ustalimy sobie położenie i ruch Ziemi, a następnie zejdziemy w hiperprzestrzeni aż do atmosfery. O ile, oczywiście, nie dostrzeżemy żółtego błysku w pobliżu.

- Nie było żadnego. Umiejscowili się w dalszych rejonach systemu. Oczywiście mogli przesunąć się bliżej, ale myślę, że tego nie zrobili.

- Mimo wszystko - John potrząsnął głową - prawdopodobnie przelatują wokół Ziemi co jakiś czas, choćby właśnie dla sprawdzenia, czy ktoś nie przekradł się obok nich - obrócił się i przeszedłszy do swojego fotela włączył interkom na cały statek. - Wszyscy w pogotowiu do wynurzenia! - rzucił. - I pogotowie bojowe na Uzbrojonych Zwiadowcach! Zdaje się, że w Układzie Słonecznym są goście. Spróbujemy ich wykiwać, ale jeżeli zauważą nas i przylecą popatrzeć na tak ogromny statek, wypuścimy was jak rój szerszeni. Jeśli tak się zdarzy, uderzajcie ostro aż do chwili ucieczki w null. Zaraz zaprogramuję plan ewentualnej walki i spotkania w hiperprzestrzeni.

John nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, iż siedzący obok Bart uśmiecha się, kiwa głową i mruczy coś do siebie w osłupieniu.

Wielki statek zawisł nad tym, co kiedyś było wschodnią Sumatrą. Mężczyźni stali, w milczeniu wpatrując się w ekrany. Nawet John, który w przeciwieństwie do reszty widział Ziemię już po Zagładzie, był równie mocno wstrząśnięty jak pozostali. Podświadomie oczekiwał, że teraz zobaczy tylko nagą planetę: skały wyprażone przez Słońce, brunatną ziemię pożłobioną przez deszcze. Kiedy był tutaj wraz z Daalem, liście jeszcze wisiały na drzewach. Były brązowe i pomarszczone. Spodziewał się, że teraz pewnie już to wszystko zniknęło, lecz nie. Większość drzew stała nadal, tylko kilka mil z boku ciemny pas znaczył drogę jakiegoś pożaru. Lecz nawet i tam poczerniałe kikuty gałęzi oskarżycielsko sterczały ku niebu. Nawet niektóre liście jeszcze nie opadły. Była to ponura parodia życia. Było niewiele zniszczeń spowodowanych przez gnicie bo bakterie to też forma życia, a życie na Ziemi zostało raptownie zatrzymane. Martwe korzenie drzew nadal wiązały grudy gleby, chroniąc ją przed zbyt szybką erozją.

Drewniane chaty stanowiły jeszcze bardziej niesamowity wygląd. Smagane deszczami, przemoknięte deski nawet w tym wilgotnym regionie nie pokrywały się pleśnią i nie zbutwiały. Nie było nawet śladu działalności termitów czy szczurów.Czy powinno ocaleć ptasie gniazdo splecione z wiotkich gałązek pod okapem chaty? Jeszcze były w nim ptasie jajeczka jakby ciągle czekające na ciepło puchatej piersi, by mogły się wykluć pisklęta.

To był koszmar. Po ośmiu latach martwe ciała ludzi nadal leżały jak w dzień po zagładzie. Mężczyźni, kobiety i dzieci skuleni obok zwierząt z wyciągniętymi głowami i sztywnymi kończynami. John dostrzegł zdechłego psa obok ciała małego chłopca - który z nich zginął wcześniej? Który z nich ostatkiem sił czołgał się w stronę drugiego?

Z interkomu usłyszał stłumione pomruki gniewu, kiedy nudności i wściekłość przerwały ludziom milczącą obserwację.

Na zachodzie wyłoniły się góry. Najwyższe szczyty nagie i skaliste. Potem u stóp wzniesienia ukazała się błyszcząca powierzchnia martwego jeziora, kiedy statek wzniósł się nieco omijając szczyty. Dziwnie było teraz patrzeć na wodę, John zawsze miał uczucie, że jezioro to coś żywego. A morze, do którego właśnie się zbliżyli? Jak po śmierci Ziemi fale nadal mogły czołgać się po brzegach, piętrzyć się i tętnić swoim własnym, martwym życiem? Pochylił się, aby wcisnąć taster. - Doktorze? - rzucił.

- Tak, sir.

- Kiedy będzie pan miał dane o atmosferze?

tutaj Uzbrojone Zwiadowce po pociski i paliwo. No, dobrze. Zabierajmy się do rozładunku. Myślę, że na razie wystarczy złożyć zapasy tutaj pod drzewami.

XI

Z niepokojem, którego starał się nie okazywać, John obserwował Omniracha programującego hipersferowanie. Mieli wykonać skok na kilka lat świetlnych wprost w okolice planety docelowej bez skoku korekcyjnego. Taka podróż, jeżeli nie miało się dokładnych danych, nazywana była hipersferyczną ruletką. Ale Omnirach najlepiej wiedział, co robi.

Na detektorze masy małego statku widniały dwa spore punkty świetlne - to była jedna para podwójnych gwiazd. Dwa mniejsze, a więc nieco dalej, oznaczały drugą parę. Rzeczywiście, było to doskonałe miejsce jak na tajne spotkanie.

Wielki Chelki obrócił głowę, aby spojrzeć na Johna.

- Dziesięć sekund, komandorze.

John spiął wszystkie mięśnie, potem rozluźnił.

Hipersfera!

Około półtorej minuty obiektywnego czasu, to było sporo. A statek wynurzający się z hipersfery mógł odepchnąć odłamek skalny wielkości pięści, ale nic masywniejszego. John z trudem przełykał ślinę marząc o muzhee dronu albo przynajmniej o sporej szklance whisky. Ściskał i rozchylał spocone dłonie. Wskazówka chronometru dotarła w pobliże zaznaczonego punktu, John próbował nie kulić się z niepewności i strachu...

Wyjście!

Nadal byli żywi. I rzeczywiście, znaleźli się na orbicie planety, która mogłaby być Marsem, gdyby miała trochę więcej widocznych kraterów. Atmosfera z ciśnieniem nie wyższym niż dziesięć funtów na inch kwadratowy, trochę tlenu... Słońce układu było bladym, białym karłem, który swego czasu spalił życie na tej planecie w chwili najwyższego natężenia promieniowania. Bo planeta rzeczywiście była jałowa, choć jakimś cudem zostały na niej dwa niewielkie morza.

Potajemnie zakradli się do regionu Hohdan i podniecenie, które ogarniało Johna na myśl o statku Klee, wcale nie zmniejszało jego niezadowolenia. Nie podobała mu się taka akcja za plecami Vez Do Hana. Lecz byli już na miejscu...

Wielkie, owłosione dłonie Omniarcha swobodnie przesunęły się po pulpicie. Statek zniżył lot, powietrze zaczęło gwizdać wokół luku. Szli bokiem nad skrajem owalnego płaskowyżu, zatrzymali się nad jego krańcem. Omniarch znowu obrócił głowę. - Musimy dokonać pewnego mniejszego wydobycia - powiedział - zanim przejdziemy do najważniejszego, Johnie Braysen. Proponuję delikatne uderzenie z wyrzutni, aby zmielić grunt na pył, a potem wydmuchać wszystko sprężonym powietrzem. John wzruszył ramionami: - Ty jesteś szefem. Gdzie trzeba kopać?

- W miejscu pod nami, mniej więcej dwadzieścia stóp pod powierzchnią płaskowyżu znajduje się metalowy przedmiot o dwóch stopach średnicy i stopie grubości. Jego położenie możemy dokładnie określić przy pomocy magnetometru.

- W porządku - mruknął John. - Co to jest? Wieża statku Klee?

- Nie, Johnie Braysen. To nie jest część samego statku. Pod nami leży przyrząd do zdalnej kontroli, dzięki któremu sprowadzimy do nas cały statek. Dla każdego, kto by go znalazł, a nie zna bodaj fragmentów technologii Klee, ten drobiazg byłby zagadką nie do rozwiązania. Cóż, lądujemy i po lokalizacji obiektu bierzemy się szybko do roboty.

Stworzony przez Klee przyrząd do zdalnej kontroli wyglądał jak ogromne, metalowe pudło na kapelusze, bez widocznego śladu jakiegokolwiek spojenia. Opukiwany ze wszystkich stron dźwięczał głucho, niczym jednolita bryła metalu, ale chyba musiał być pusty w środku. Chyba że Klee stworzyli jakiś niewiarygodnie lekki metal.

Szczególny był sposób otwierania przyrządu. Omniarch w magazynie statku odnalazł długi kabel z drutu magnetycznego i zaczął zwijać prostą, choć nietypową cewkę. Owinął rurę bardzo długą spiralą,

zawinął tę spiralę potrójnie, na kawałku pierścienia zamontował starożytny przyrząd kontrolny. Całość wielokrotnie owinął mocną taśmą.

– Teraz – powiedział do Johna – potrzebny nam pulsujący prąd stały, którego częstotliwość będziemy mogli zmieniać od pięciuset do tysiąca pięciuset megacykli. Czy statek ma jakieś urządzenia o podobnych parametrach?

John z osłupieniem patrzył na cztery nogi Chelki, na jego dłonie trzymające urządzenie. Przebyć całą tę drogę... Dopiero potem zauważył coś w rodzaju uśmiechu na twarzy Omniarcha i nieoczekiwanie zaczerwienił się.

– Oczywiście – mruknął. – Po prostu odłączymy przewody od wyrzutni, jeżeli nie potrzebujesz więcej niż kilka amperów i kilkaset watów.

Omniarch uśmiechnął się wyraźnie. – Czy nie uważasz, że montowanie i przywożenie tu specjalnych urządzeń mogłoby się okazać dość nieroztropne? I – przerwał na moment, leciutko przebierając stopami – proszę mi wybaczyć, jeżeli wydaję się cokolwiek podniecony. Widziałem jedynie filmy o statku, który tu wydobędziemy. Oczywiście, o ile wszystko się uda. Oprócz tego, że statek jest jeszcze jedną zdobyczą technologii Klee, jest on także istotnym elementem moich planów.

John znowu patrzył na niego ze zdziwieniem. – Czy chcesz powiedzieć, że jeszcze nigdy nie używałeś tego przyrządu do zdalnej kontroli?

– Przyrządu używałem, i to z bardzo interesującymi wynikami. W istocie to ja go tu zakopałem kilka okresów waszego życia temu. Ale sam statek... No cóż, sam zobaczysz... Kilka minut później prąd biegł już przez przezroczystą cewkę. Omniarch stał na szeroko rozstawionych nogach nad przyrządem, z przekrzywioną w bok szyją, aby móc patrzeć w dół. Trzymał w dłoniach mały przyrządzik – odłączony od wyrzutni selektor częstotliwości. Wolno obracał gałkę. Zdawało się jednak, że nic się nie dzieje.

I nagle starożytny przyrząd zadrżał, zatrząsł się, podskoczył kilka centymetrów, odrzucił swoją górną pokrywę jak wieko pudła na kapelusze. Tylko zwoje taśmy trzymały całą ściankę.

Omniarch drżącymi rękami zaczął usuwać taśmę i drut cewki. Po chwili John ujrzał skomplikowaną masę części, tarcz i znaczników. Rozpoznał pismo Klee, choć wiedział zarazem, że nikt i nigdy w galaktyce nie dokonał rozszyfrowania tego zapisu. Dłonie Wielkiego Chelki drżały jeszcze mocniej, kiedy ukląkł – zginając powoli najpierw jedną, potem drugą nogę – na ziemi obok przyrządu. Sięgnął ku gałkom, głęboko wciągnął powietrze, spojrzał na Johna.

– Jeśli właściwie zrozumiałem filmy i wszystko to, co udało mi się rozszyfrować z różnych wskazówek, jeśli technologia Klee istotnie jest tak niezawodna, jak sądzę, to statek wyłoni się z ziemi o niecałą milę stąd. Chyba najlepiej będzie, jeżeli schronimy się na naszym stateczku. Wprawdzie wulkaniczna aktywność tej planety dawno już zamarła, ale siła, którą zastosuję, będzie ogromna i może, mimo wszystko, dojść do jakiegoś niewielkiego wybuchu.

Czując krew, gwałtownie pulsującą mu w skroniach, oszołomiony John podążył do statku za Omniarchem, niosącym przyrząd. Z wysokości pięciu tysięcy stóp i dziesięciu mil z boku John obserwował i słuchał, jak Chelki najpierw zamocował, a po niemal nieuchwytnym wahaniu uruchomił przyrząd.

Przez kilka minut nic się nie działo – John drżał z napięcia, złości i rozczarowania – potem... Ledwie zdołał opanować odruch paniki, który mógł go zmusić do rozpaczliwego wciśnięcia startera i natychmiastowej ucieczki z przyspieszeniem siedemnastu „g". Najpierw powierzchnia planety – rudawa i naga pustynia o milę poniżej krańca płaskowyżu – pękła wzdłuż linii. Pęknięcie wybrzuszyło się, rozeszło na boki, stało się ogromnym kotłowiskiem pyłu i skał (a po minucie także i mułu), podnoszących się i rozrzucanych jakby jakiś gigantyczny statek podwodny wynurzał się z twardej ziemi. Dopiero teraz do uszu Johna dotarł głuchy ryk pękających skał. Coś, co wychodziło z ziemi, musiało wychodzić z bardzo głęboka. Kaskady pyłu, tryskające na wszystkie strony, zasłaniały teren, tak że z początku John nie widział nawet, co tam się wyłania. A potem położony poziomo, powoli, spokojnie i majestatycznie – jakby te miliony ton skał były jedynie drobinkami kurzu – statek Klee wyszedł na powierzchnię.

Długą chwilę John siedział sparaliżowany własnym niedowierzaniem, które nie pozwalało mu patrzeć na ekrany mogące przekonać go, że jego oczy wcale go nie okłamały.

Statek miał co najmniej cztery tysiące stóp długości i sześćset albo siedemset stóp średnicy. Był cylind-

prowadzić skrycie jakieś prace w kopalniach nawet przy istniejącej radioaktywności, ale dlaczego potężne mocarstwo miałoby tym sobie zawracać głowę? I na dobrą sprawę wszystko, co można byłoby eksploatować na Ziemi czy w jej okolicach, można było z takim samym powodzeniem znaleźć na innych planetach pozbawionych radioaktywności. Co zaś do ziemskich składów ukończonej czy na wpół ukończonej broni, to również nie powinno interesować Vul. Bo łatwiej wyprodukować takie same przedmioty gdzie indziej niż zabierać i odkażać coś pochodzącego z Ziemi. Jedyną przyczyną decyzji Johna był brak możliwości zdobycia broni w jakikolwiek inny sposób. John był zdenerwowany – w końcu dał przecież Vulmotowi powody do przypomnienia sobie o Ziemi. Jeśli Vul będą tak bystrzy, żeby domyślić się udziału Ziemian w atakach na wysunięte posterunki Bizh, to mogą również przyjąć ten sam tok myślenia co on.

Według chronometru zostało mniej niż kwadrans do zaplanowanego wynurzenia się na powierzchnię świata nie dalej od Słońca niż orbita Plutona. Nie za blisko jednak jego powierzchni ekliptyki, żeby ominąć planetoidy. Jeżeli Vul zdecydowali się na obserwację Układu Słonecznego, będą bezpiecznie ukryci właśnie na powierzchni planet lub planetoid. I będą w każdej chwili gotowi do skoku zerowego, podczas gdy jego wielki statek będzie musiał czekać cztery minuty. Prawie cztery minuty, bo jak wespół z Bartem zdołali ustalić, statek Klee osiągał gotowość do hipersferowania w ciągu trzech minut i dwudziestu sekund. Nadal było jednak to zbyt wiele, jak na warunki bitwy powietrznej. Nigdy nie ma pewności, czy kadłub choćby i z tak wytrzymałego metalu odeprze salwę wystrzeloną z ciężkich krążowników.

John zatrzymał się przed kulą detektora masy przy końcu tablicy rozdzielczej. Bart stanął obok niego.

– Chciałbym – mruknął półgłosem – żeby to było dokładniej wyskalowane. Kiedy się teraz wyłonimy, pokaże się mnóstwo błysków. Słońce i planety. Ale wcale nie wiem, czy zobaczymy także planetoidy. A jeżeli zdarzy się, że będziemy musieli uciekać, wolałbym dobrze wiedzieć, gdzie się znajdujemy.

John skinął głową. Wszystkie jasne punkty powinny leżeć w płaszczyźnie o cztery czy pięć cali niżej od środka kuli, który, oczywiście, odpowiadał aktualnemu położeniu statku w normalnej przestrzeni. Słońce będzie wyglądało jak niebieskozielone światełko, ale obraz reszty systemu może być nieco zamazany. Wcale niedobrze, że po tych ośmiu latach nie mógł znać dokładnego położenia planet na orbitach. Nagle coś przyszło mu do głowy. Zatrzymał się, popatrzył na boczną tablicę rozdzielczą z owym zagadkowym napisem „hipersfera". Podszedł szybko i zdecydowanie przerzucił przełącznik pod największą tarczą. Optyczne złudzenie sfery pojawiło się natychmiast, lecz tym razem pokryte było wielokolorowymi, błyszczącymi punkcikami.

– Bart! Chodź tutaj! – Bart ruszył powoli, ale ostatnie kroki prawie przebiegł. Zatrzymał się, patrzył w osłupieniu.

– Co jest, do licha? Przecież jesteśmy w null!

John uśmiechał się na pozór spokojnie, ale cały aż drżał z emocji. – Tak. Jesteśmy. Ale to widzi w hiperprzestrzeni! Patrz! To na pewno Słońce, a tam planety. Zielone. Ciekawe, co? Zielony oznacza planety. Niebieskozielony – gwiazdy. Ale co znaczą te żółte punkty w takiej samej odległości od tamtego zielonego światełka? Każdy ma pięć albo sześć milimetrów średnicy.

Nagle spojrzał na Barta. – Czy wiesz – zapytał – co mogą znaczyć te żółte?

Lange patrzył przez chwilę, potem wydał krótki okrzyk, równie krótko i mocno wciągnął powietrze. – Myślę, że wiem, John. To są statki. Statki z załogą i zapasami energii. Oddział do zadań specjalnych. Trzydzieści albo więcej statków i wszystkie na powierzchni jakiejś planety albo dużego asteroidu. Nie pytaj mnie, w jaki sposób ten czarodziejski statek może z takiej odległości wykryć obcą flotę, sam będąc w hiperprzestrzeni. Nawet nie będę słuchał takiego pytania. – Nagle uśmiechnął się. – Idę o zakład, że ta nasza zabawka zna jeszcze inne ciekawe sztuczki. Gdyby tak... – pochylił się do przodu, wybrał dłonią gałkę, przekręcił – trochę popróbować?

Układ światełek na niematerialnej kuli zmniejszył się nie zmieniając pozycji. Gałka nie dała się dalej obrócić.

– A więc – zachichotał Bart – to było położenie w największej skali – obrócił gałkę w przeciwnym kierunku. Zasięg wzrósł, skrajne światełka wypłynęły na powierzchnię kuli. Kiedy Bart przekręcił gałkę do drugiego oporu, cały system słoneczny znikł. Bart wskazał niewielkie białe światełko.

- Mieliśmy okazję - powiedział - zdobyć statki Bizh zdatne do odnowienia, kiedy rozpoczynaliśmy naloty. Teraz jest to już niemożliwe. Są zbyt czujni. Nie możemy też prosić Hohd o dalsze dostawy, bo niczym tak wielkich potrzeb nie uzasadnimy. Nie możemy broni po prostu kupić, bo nie mamy czym płacić.

Bart kiwnął głową potakująco i czekał na dalsze słowa.

- Przyszło mi do głowy, że Vul nigdy chyba nie starali się odzyskać czegokolwiek ze zniszczonej Ziemi. Przecież cała ogromna produkcja szła do ostatniej chwili, kiedy raptownie została zatrzymana w czasie Zagłady. Było i na pewno jest bardzo wiele rzeczy, których moglibyśmy użyć. Ale z drugiej strony to naprawdę duże przedsięwzięcie. Zejść na powierzchnię...

Bart wyprostował się gwałtownie.

- Nie sądzisz chyba, że samo leżenie przez osiem lat mogło urządzenie oczyścić do takiego stopnia?

- Rzecz jasna, że trzeba byłoby na zmiany pracować w odpowiednich kombinezonach, a rzeczy odzyskane starannie odkazić. Deszcze na pewno wymyły wiele najgorszego świństwa z atmosfery. A amunicja leżąca w magazynach i fabrykach (sam wiesz, jak o nią dbano) na pewno nie jest zbyt zanieczyszczona. A potem, już w przestrzeni, moglibyśmy odkazić za jednym zamachem i sprzęt, i ludzi w ochronnych ubraniach. - Przez chwilę obserwował twarz Barta. - Dajmy na to, że zbierzemy sto wyrzutni pocisków, do tego z pięćdziesiąt laserów i pięćdziesiąt ciężkich dział...

Bart otworzył usta. - Obawiam się - powiedział - że lasery zostały od razu zniszczone.

- Być może. Ale należy to sprawdzić. Po zaholowaniu tego wszystkiego w miejsce bez atmosfery i spłukaniu wodą zawierającą sole baru...

- A niby w czym byśmy to zabrali? - Bart uśmiechnął się sceptycznie. - Sam mówisz o dużym ładunku i o dużej radioaktywności.

- Racja. Ale mamy również duży statek. Śmiało możemy poświęcić nawet tysiąc stóp jego długości, jeżeli zajdzie taka potrzeba. - Uśmiechnął się na widok twarzy Barta. - Oczywiście, wcale nie mam na myśli odcięcia kawałka (nie podjąłbym się cięcia ani spawania tego metalu), ale moglibyśmy wszystko złożyć w jednym końcu, odciąć tam dopływ powietrza i wchodzić w kombinezonach. Potem dałoby się przecież odkazić i tamto pomieszczenie. A jeśli nawet nie, to co z tego? Wszystkich razem i tak nie ma dosyć wielu, by zająć jedną tysięczną część tego statku.

Bart poderwał się. - Do diabła! - wykrzyknął. - Warto spróbować! I założę się, że jest na świecie wiele odczynników mogących ułatwić odkażanie, o których nawet nie słyszeliśmy.

- Zamierzam - spokojnie powiedział John - zmusić Omniarcha, nawet drogą szantażu, żeby on sam albo jego potomkowie rodzaju technicznego przekazali nam swą wiedzę na ten temat. A nawet w najgorszym wypadku, to co niby z tego, że jakaś wyrzutnia dodatkowo wypromieniuje kilka rentgenów? Przecież, kiedy już zostanie zainstalowana, możemy trzymać się od niej z daleka.

- Rzeczywiście możemy - przytaknął Bart. Widać było na jego twarzy podniecenie. - Ile załogi bierzemy? - zapytał.

- Nawet więcej niż możemy mieć ubrań ochronnych. Będziemy mieli cholernie dużo roboty. Miałem zamiar zabrać prawie wszystkich, za wyjątkiem załogi potrzebnej na Lunie oraz kilku małych statkach. Morale załogi ostatnio spadło, więc może poprawiłoby się po zobaczeniu Ziemi? Większość z nich nie widziała naszego układu po...

Bart zastanawiał się przez chwilę, potem powoli skinął głową i powiedział:- Myślę, że masz rację. Jeżeli o mnie chodzi, to chyba nie umiałbym się oprzeć teraz pokusie. Może to koszmarne, ale... Ale, mimo wszystko, chcę zobaczyć jak Ona wygląda po byciu nieżywą przez tych osiem lat.

XII

Ogromny stary statek był w hipersferze od prawie czterech godzin. To prawie wystarczało na podróż do Słońca. John niespokojnie chodził po sali Centralnego Sterowania. Dręczyło go jakieś dziwne, złe przeczucie. Logicznie biorąc, to po ośmiu latach nie było żadnej przyczyny, dla której Vul mieliby utrzymywać Układ Słoneczny pod stałą obserwacją. To prawda, że może można by było

ryczny, z zaokrąglonymi końcami nie półkolistymi, ale raczej parabolicznymi, tak jak węższy koniec kurzego jaja. Nie było żadnych widocznych z tego oddalenia wież czy wypukłości. John dostrzegł wokół statku jakieś obręcze czy znaki przypominające łańcuch, lecz po chwili upewnił się, że są to rzędy nie stykających się okręgów. Jeden taki ciąg tworzył obręcz. Obręczy było - John szybko policzył spojrzeniem - osiemnaście, przy czym każda musiała się składać z czterdziestu lub pięćdziesięciu okręgów, o ile obejmowała cały statek. Potem John zdał sobie sprawę, że najprawdopodobniej owe koła na powierzchni statku są pokrywami luków wykonanymi z ciemniejszego metalu i dlatego kontrastującymi z matowo-srebrnym kadłubem. Setki luków. A przez każdy z nich z powodzeniem mógłby przejść statek taki jak ten, w którym John się właśnie znajdował. Nagle spostrzegł, że owe monstrum podnosi się bez przerwy i znajduje się już prawie na równi z nimi. Obrócił się do Omniarcha:

- Hej, czy nie możesz...?

Chelki już obracał gałki w przyrządzie zdalnej kontroli. John ponownie rzucił okiem na ekran: nierealny, niewiarygodny statek został zatrzymany, unosił się teraz nieruchomo na ich poziomie. Jeden z luków otworzył się gwałtownie.

Chelki uśmiechał się wąskimi wargami, ale jego oczy zdradzały szalone podniecenie, głos drżał leciutko:

- Czy wejdziemy na pokład twego nowego statku, komandorze Braysen?

Potrzeba dysponowania dwunastoosobową załogą nie wynikała z konieczności manualnej obsługi napędu grav czy hipersferycznego, ani też z żadnych mechanizmów wewnętrznych - wszystkie przyrządy sterownicze znajdowały się na jednym pulpicie w olbrzymiej sali Centralnego Sterowania. Ludzie byli przede wszystkim potrzebni do dokładniejszego poznania gigantycznego kosmolotu.

Znajdowali się już ponownie w miejscu spotkania z Omniarchem między parami podwójnych gwiazd.

Ostrożnie badając wszystkie przełączniki, przyciski i tablice rozdzielcze, odnaleźli system komunikacyjny wewnątrz ogromnego statku. Dzięki temu ludzie z poszczególnych poziomów i pomieszczeń mogli przekazywać informacje do sali Centralnego Sterowania. Niesłychanie wiele działo się przy naciskaniu tastrów lub przy manipulowaniu włącznikami na pulpicie głównym, albo w pomieszczeniach pomocniczych umieszczonych na obu krańcach statku. Masywne podstawy w pomieszczeniach na broń obracały się bezszelestnie - ale nie można było domyślić się, jakie rodzaje wyrzutni były na nich kiedy umieszczone. Liczne, różnokolorowe światełka mrugały w pomieszczeniach, rozbrzmiewały klaksony sygnalizujące nie zewnętrzne zagrożenie, a jedynie fakt przyciśnięcia odpowiedniego tastra na tablicy rozdzielczej, wielopiętrowe kolumny brzęczały z nadmiaru zgromadzonej energii dochodzącej do milionów kilowatów - i to bez żadnego oczywistego powodu!

John i Omniarch oczywiście nie wałęsali się po pokoju i nie wciskali na oślep najrozmaitszych guzików, zanim odważyli się po raz pierwszy włączyć oświetlenie, parę godzin minęło im na upewnianiu się, że statek został zaopatrzony w tak doskonałe automaty zabezpieczające, aby poczynania nawet najbardziej nierozważnego głupca nie mogły spowodować żadnego uszkodzenia. Nauczyli się również odróżniać znaki ostrzegawcze, zapisane starożytnym pismem - przynajmniej do tego stopnia udało się Omniarchowi rozszyfrowanie języka Klee.

Było też coś, co Johnowi wydało się zastanawiające.

- To jest - powiedział marszcząc czoło przy którymś z kolei znaku ostrzegawczym - cholerny zbieg okoliczności. W moim świecie właśnie czerwieni używano na oznaczenie niebezpieczeństwa. Tak samo w Hohdanie i Vulmocie. Teraz widzę, że w Klee też.

- To nie zbieg okoliczności, Johnie Braysen - Omniarch uśmiechnął się lekko. - Mój własny gatunek też używał tego koloru, kiedy jeszcze mieliśmy własną cywilizację. Skoro wszyscy mamy czerwoną krew, to czy symbol nie jest oczywisty?

John zerknął na niego, zarumienił się lekko, uśmiechnął:

- Masz rację. Mielibyśmy problem, gdybyśmy znaleźli wytwory istot o krwi zielonej, czy tak?

- Sądzę - poważnie odpowiedział Omniarch - że nauczylibyśmy się szybko. Z konieczności.

W trakcie badań okazało się, że Klee już dawno temu stosowali wszystkie technologie uznawane teraz

za najnowsze. A w dodatku jeszcze kilka innych zupełnie ludziom ani Chelkim nie znanych. Na przykład, w pokoju Centralnego Sterowania, obok głównego pulpitu znajdowała się tablica rozdzielcza oparta na czymś, co wyglądało jak sprężyny. Tyle że były to sprężyny zrobione z jakiegoś plastyku czy ceramiki i tak twarde, że John nie mógł ścisnąć dwóch przyległych zwojów nawet odrobinkę, mimo iż użył całej siły palców. Tarcz instrumentów na tablicy było sześćdziesiąt siedem – przeważnie w rzędach po trzy. Było także kilka pojedynczych tarcz i kilka zestawów podwójnych. Oprócz tego znajdowała się tam niezliczona ilość włączników, przełączników i gałek. Omniarch wychodząc z pomieszczenia przystanął obok Johna, uśmiechnął się i powiedział zagadkowym tonem:

– Możesz trochę poeksperymentować. Nic, co możesz zrobić z tą tablicą, nie jest niebezpieczne.

I wyszedł. Nieco urażony John patrzył za nim chwilę, potem obrócił się, aby ponownie spojrzeć na tablicę.

Miała ona około sześciu stóp wysokości i dziesięciu stóp szerokości, odstawała na osiem czy dziesięć cali od urządzenia sterowniczego, lecz jej wywinięte boki prawie dotykały obudowy głównego pulpitu, tak że przestrzeń za tablicą była niewidoczna – bez wątpienia właśnie tam znajdowały się przewody i wszystkie przyrządy.

John wybrał przełącznik poniżej największej tarczy, mającej około trzech stóp średnicy, przerzucił go w krańcowe położenie i... odskoczył do tyłu, kiedy zmaterializowała się przed nim przejrzysta kula o średnicy takiej, jak rozpiętość tarczy. Zbliżył się ostrożnie – światło z pokoju przenikało kulę, ciemna tarcza zniknęła. Z tablicy na półtorej stopy wybrzuszała się połowa kuli. Więc druga połowa powinna być za tablicą, ale gdzie, skoro było tam zaledwie parę cali wolnej przestrzeni? John wyciągnął dłoń, aby dotknąć przejrzystej powierzchni. Nie poczuł nic – jego palce po prostu przeszły przez to coś, co z pozoru wyglądało na plastyk czy szkło. Cofnął rękę – na kuli nie było najmniejszego śladu. Wyłączył prąd i kula zniknęła, znów pojawiła się ciemna tarcza. Włączył – tarczę znowu zastąpiła kula. Wpatrywał się w nią przez chwilę, potem nagle podbiegł do detektora masy – tak! Przezroczysta kula na ekranie z punktami światła oznaczającymi gwiazdy podwójne i maleńkimi światełkami oznaczającymi Lunę oraz statek zwiadowczy, była tych samych rozmiarów. Bardzo ostrożnie wyciągnął rękę poza osłonę detektora, dotknął powierzchni kuli. Ta była taka, na jaką wyglądała – pełna, chłodna w dotyku. Powrócił do umieszczonej na sprężynach tablicy rozdzielczej.

Żaden z pozostałych przycisków ani przełączników nie spowodował pojawienia się na tablicy jakichkolwiek zmian, nie wywołał najsłabszego światełka wewnątrz iluzorycznej kuli. Patrząc na napisy John zmarszczył brwi w skupieniu – rozpoznał tylko jedną kombinację znaków, zajmującą cały jeden brzeg tablicy. Słowo to oznaczało „hipersfera". Tak w każdym razie tłumaczył je Omniarch. Zapewne był to jakiś specjalny rodzaj detektora masy dający się uruchomić tylko wtedy, kiedy komputery były zaprogramowane na podróż w hipersferze. Może był to wykrywacz stanu gotowości do hipersferowania statków znajdujących się w pobliżu? John ze zniechęceniem wyłączył przyrząd, kula zniknęła.

Równie zagadkowy był układ czterech chronometrów nad małą tablicą komputera pomocniczego. Po włączeniu zasilania do tej tablicy cztery zegary natychmiast zaczęły chodzić – wskazówki szybko wykonywały kilka obrotów wibrując z różnymi prędkościami, po czym zwalniały tak, że wszystkie cztery zegary pokazywały – jak się zdawało – cztery różne czasy. Trzy z nich pokazywały daty i czasy, których John nie rozumiał. Wskazówki czwartego poruszały się z taką samą prędkością jak wskazówki ręcznego zegarka, choć oczywiście wszystkie cyfry i podziałka były zupełnie inne. O wiele bardziej tajemnicze były wnętrza przyrządów. Na przykład, główna część statku – gigantyczny mechanizm długi na ponad tysiąc stóp i mający prawie dwieście stóp średnicy. Nie tylko nie było do jego wnętrza dostępu, ale wydawało się, że nigdy nie istniał żaden sposób dostania się do środka. Był zbyt masywny i gruby dla ultradźwiękowego i magnetycznego sondowania. Tak mocno osadzony, że Omniarch i John uznali, iż musiał on być odlany w jakiejś przepotężnej formie, a następnie cały statek zbudowano dookoła niego. Możliwe, że wykonano go z rozmaitych części, lecz potem nałożono nań obudowę z litego metalu. Z tego samego, wytrzymalszego niż jakakolwiek odmiana stali metalu wykonano również kadłub całego okrętu.

Ściany głównego mechanizmu musiały mieć co najmniej dwadzieścia stóp grubości, ukrywały przetwornice energii o niesłychanej mocy. Wiodące z wnętrza przewody niosły prąd mogący spalić wszystkie urządzenia w największym statku, jaki John znał do tej pory. Myślał o tym przez kilkadziesiąt godzin zanim porozmawiał z Omniarchem.

– Tam musi być diabelnie duża ilość paliwa! I co gorsza, nie znamy żadnego sposobu uzupełniania go, jeśli kiedyś się skończy. Trudno przypuszczać, że Klee budowali statki do jednorazowego użytku.

– Jak zauważyłeś – Omniarch uśmiechnął się – może tu być duży zapas paliwa.

John patrzył na niego przez chwilę – ten Chelki stanowczo był, jak dla niego, zbyt tajemniczy. Mruknął:

– À propos, nigdy nie wspominałeś, jak udało ci się zdobyć ten przyrząd do zdalnej kontroli. Ani gdzie widziałeś filmy mówiące o miejscu ukrycia statku i trochę o jego obsłudze. Wydaje mi się, że mogły tam być i inne wskazówki, gdzie szukać pozostałych dzieł Klee. Mam na myśli takie, które mogłyby przydać się w walkach.

Omniarch potakująco mrugnął dwa razy oczyma.

– Czy myślisz, że nie szukałem, Johnie Braysen? Inne przedmioty mogły zostać zniszczone w katastrofach naturalnych albo do tej pory czekają na odkrycie. Zrozum, że nie mogę wszędzie poruszać się tak swobodnie, jak tego pragnę. Vulmoti mają szpiegów w bardzo wielu miejscach.

John nie odpowiedział. Ale pomyślał, że jednak zdobył informację, albo ślad informacji. Miejsce, w którym Omniarch zdobył przyrząd zdalnej kontroli i obejrzał film (Bóg jeden wie, na czym ten film został utrwalony, by wytrzymać tyle stuleci) prawdopodobnie znajdowało się gdzieś na terytorium Vulmotu. Słowa „miejsce" Omniarch używał tylko w specyficznym znaczeniu i zazwyczaj wtedy, kiedy chciał uniknąć udzielenia komuś zbyt wielu wskazówek. Powiedział również o kobietach, że ukryte są w pewnym „miejscu".

Po stu godzinach (przez ostatnie osiemdziesiąt Bart Lange również był na pokładzie) John był pewny, że potrafi obsługiwać ogromny statek bez pomocy Omniarcha – napęd grav i aparatura hipersferyczna były wystarczająco proste. Wystarczająca ilość angielskich ekwiwalentów terminologii Klee została wprowadzona do pamięci komputerów, a resztę można było stopniowo doprogramować później. W końcu komputerom było wszystko jedno, czy stosują cyfry arabskie i system dziesiętny zamiast dwudziestkowego systemu Klee. Z początku zamierzał przeskalować wszystkie tarcze instrumentów malując na nich zrozumiałe dla ludzi symbole, wkrótce pojął, że o wiele łatwiej będzie interpretować wskazania takie, jakie są na oryginalnych przyrządach.

W międzyczasie Omniarch odjechał, zabierając ze sobą przyrząd zdalnej kontroli. Wcale się to Johnowi nie podobało, ale nie protestował. Większość jego ludzi już przybyła partiami – za każdym razem tylu, ilu mógł zabrać jeden statek. Wszystkie Uzbrojone Zwiadowce zostały potem zabrane na pokład, kwatery, korytarze i sale rekreacyjne zostały przygotowane. Teraz John zajął się uzbrojeniem, pozostawiając Langowi dalsze badanie poszczególnych urządzeń i instrumentów. Sam fakt istnienia kadłuba był niezaprzeczalnym dowodem ogromnej wytrzymałości metalu. W magazynach statku mieściły się potężne zapasy tego tworzywa, więc Bart chciał kilka kawałków odpiłować, aby następnie poddać je fizycznym i chemicznym badaniom. Zastanawiające było także to, że pokrywy luków były ze stali. O wiele przecież słabszej, podatniejszej na korozję i na mechaniczne uszkodzenia niż metal kadłuba i innych konstrukcji wewnętrznych. Oczywiście, należałoby to jeszcze sprawdzić podczas walki. Frapowało go przede wszystkim to, iż mimo starości stal jeszcze nie zardzewiała. Może w swoim podziemnym pomieszczeniu była jakoś zabezpieczona przez bezwzględną suchość powietrza (i czy powietrza?) albo jakimiś chemicznymi sposobami.

To, że pokrywy luków uczyniono z podatniejszego metalu, dało w efekcie korzyść – aby zainstalować wyrzutnie pocisków i lasery ludzie palnikami wycięli otwory w wielkich pokrywach. W sumie wszystko było w porządku.

John dość długo zastanawiał się nad rozmieszczeniem broni. Oczywiście, wśród załogi byli inżynierowie i oficer artylerii, którzy mogli planować transport, zainstalowanie i podłączenie wyrzutni. Była to jednak praca ogromna. Czy Omniarch pozwoli uczynić to na Akielu? Z pewnością nie. Wszystko musi być zrobione w przestrzeni ludzkimi rękami. No cóż, praca to tylko praca. Pozostawało tylko jeszcze jedno – skąd wziąć brakującą broń? Postanowił przedyskutować pewien swój pomysł z Bartem Langem.

Bernard Goorden

SF W LITERATURZE IBEROAMERYKAŃSKIEJ

Aczkolwiek proza iberoamerykańska nie obfituje w wypowiedzi o tematyce fantastyczno-naukowej, które ponadto przybierają postać krótkich form narracyjnych (co jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną dla literatury tego obszaru językowego), południowoamerykańską science fiction cechuje niepowtarzalny klimat i spójność artystycznej wizji.
Z pewnością nie popełnimy błędu zaliczając do grona prekursorów „argentyńskiej szkoły SF" kilku czołowych przedstawicieli literatury narodowej, choć trzeba przyznać, że konwencją fantastyczno-naukową posługiwali się na ogół nieświadomie. Powieść E.L.Holmberga – *„Viaje maravilloso del señor Nic-Nac"* (1875) jest zaledwie pierwszym krokiem postawionym na terenie gatunku, a już rozwija typowe dla SF wątki spirytualistyczne i „kontaktowe". W roku 1879, jeszcze przed narodzinami cybernetyki, ten sam autor podjął temat „robotyki" w krótkim opowiadaniu *„Horacio Kalibang o los autómatas".* Motyw fantastyczno-naukowy pojawił się ponownie na kartach literatury iberoamerykańskiej w roku 1906, kiedy Leopoldo Lugones wydał swą fantastyczną powieść *„Las fuerzas extrañas".* Książka była efektem przeobrażeń lokalnego nurtu impresyjnego, który zaowocował później m.in. w utworach Jorgego Luisa Borgesa. Urugwajczyk Horacio Quiroga, uznawany powszechnie za przedstawiciela „szkoły argentyńskiej", dał się poznać jako autor historii *„El hombre artifical",* rozwijającej wątek Frankensteina, ogłoszonej pod pseudonimem w roku 1910. Quiroga opublikował później wiele następnych opowiadań: tworzył je aż do roku 1935. Jego ostatnią wypowiedzią była historia „El màs allà".
Lata 1918–1939, a więc okres między wojnami, wypełniła niemal bez reszty twórczość Roberta Arlta, pisarza równie płodnego jak Quiroga, posługującego się elementami science fiction, fantastyki i konwencji psychologicznej w formach prozatorskich i dramaturgicznych. Do jego najsłynniejszych opowiadań zaliczano *„Viaje Terrible"* wydane w roku 1941.
Jedną z nielicznych południowoamerykańskich książek o tematyce SF, które podbiły rynki zagraniczne była powieść Adolfa Bioya Casaresa *„La invencion de Morel"* (1940)*. W odróżnieniu od swojego wielkiego przyjaciela Borgesa, autor *„Plan de evasión"* (1945)** kilkakrotnie nawiązywał do motywów o charakterze fantastyczno-naukowym. Fabuła *„La invención de Morel"* została osnuta na kanwie wątku romansowego. Uciekinier znajdujący schronienie na bezludnej wyspie odkrywa z przerażeniem istnienie innych widmowych postaci, z którymi nie może się porozumieć: walcząc z narastającym uczuciem miłości, próbuje ustalić i zrozumieć prawa obcego świata. Jak się okazuje, ów człowiek jest mimowolnym obserwatorem projekcji fantomatycznych odtwarzanych przez maszynę profesora Morela poruszaną energią przypływów i odpływów mórz. Oryginalna wizja Casaresa nawiązująca, w motywie „sterowanej nieśmiertelności", do odwiecznych problemów filozoficznych i moralnych, staje się kamieniem milowym na drodze rozwoju latynoamerykańskiej science fiction, przygotowując nadejście „złotego wieku" lat 60-tych.
Podobną funkcję pełniło w latach 1953–1957 argentyńskie czasopismo *„Más Allá",* które udostępniło swe łamy autorom fantastyki naukowej. W ciągu 48-miesięcznej działalności czasopismo opublikowało wiele powieści i opowiadań, m.in. tak utalentowanych postaci jak Hector Oesterheld i Pablo Capanna. Ich zamilknięcie u progu lat 60-tych było oznaką narastania kolejnej fali przemian.
Na prawach dygresji należałoby wspomnieć jeszcze o twórczości Juan-Jacoba Bajarlia, a zwłaszcza o jego dramacie *„Los robots"* (1955), który zapewnił wejście SF na sceny teatru latynoamerykańskiego. Warto również podkreślić znaczenie studium *„Fantasias eternas a la luz del psicoanálisis"* (1957) pióra argentyńskiego naukowca Marii Langer: literatura stała się tu domeną rozważań psychoanalitycznych. Dzięki wspomnianemu studium gatunek SF otrzymał prawo obywatelstwa w wykazie zajęć uniwersyteckich Ameryki Południowej.
Pierwszym, bezpośrednim współtwórcą „wieku złotego" (1959–1973) był Chilijczyk – Hugo Correa, autor historii *„Alguien mora en el viento"* i powieści *„Los altisimos"* (1959). Akcja opowiadania toczy się na planecie omiatanej gwałtownymi wichrami, sprawiającymi, że powierzchnia niegościnnego globu nie nadaje się do kolonizacji. Ocalała z katastrofy pierwszej ekspedycji kobieta podejmuje rozbitków drugiego statku na pokładzie pojazdu zrodzonego z tajemniczej, gąbczastej substancji powietrznej... Fabuła kolejnych powieści Hugona Correi – *„El que merodea en la lluvia"* (1961) posłużyła za kanwę filmu pełnometrażowego i fakt ten – a być może także nieukrywana przyjaźń z Rayem Bradburym – sprawił, że twórczość znakomitego Chilijczyka stała się znana również w Stanach Zjednoczonych.
W połowie lat 60-tych zaszczyt formowania szeregów „nowej fali" przypadł w udziale pisarzom brazylijskim. Prawdziwym objawieniem była tu postać Jeronima Monteiro, autora debiutującego zbiorami: *„3 meses no século 81"* (1947) i *„A cidade perdida* (1950). Monteiro okazał się przede wszystkim znakomitym satyrykiem: jego historie *„Fuga para parte alguma"* (1961), *„Os visitantes do espaço"* (1963) i *„Tangentes da realidade"* (1966) były parodią anglosaskiej konwencji gatunku. Brazylijski boom stanowił erupcję potężną, lecz krótkotrwałą: teksty większości autorów weszły w skład zbiorów: *„Antologia brasileña de ficcâo cientifica", „Históriаs acontecerá"* (1961) i *„Além do tempo e do espaço"* (1965). Tylko jeden z pisarzy – André Carneiro, został dostrzeżony przez ówczesną krytykę, a i to wyłącznie dzięki subtelnemu, dyskretnemu humorowi zabarwionemu gorzką ironią i nostalgią: *„Diario da nave perdida"* (1963), *„O homem que adivinhava"* (1966). Jego opowiadanie *„Ao escuridâo"* zostało zamieszczone w światowej antologii tekstów SF roku 1962 i zainspirowało amerykańskiego fantastę Leo Barrowa do napisania interesującego scenariusza filmowego („Darkness", 1969).
Od Brazylijczyków pałeczkę w literackiej sztafecie SF przejęli ponownie Chilijczycy (Antoine Montagne – *„Los superhomos",* 1963), a następnie Meksykanie, gdzie w połowie lat 60-tych błysnął talent Alexandra Jodorowskiego (*„Cuentos pánicos",* 1963) współpracownika Arrabala i Topora, ekranizatora znanej powieści Franka Herberta *„Dune".* W trzy lata później południowoamerykańska fala SF dotarła nareszcie do Argentyny i zaczęła wydawać owoce w postaci kolejnych antologii fantastyczno-naukowych. Do najbardziej znanych należały: *„Ecuación fantástica"* (1966); (edytorzy udzielili tu głosu psychoanalitykom, którzy próbowali przekładać swoje teorie na język poetycki.) *„Memorias del futuro"* (1966), *„Adiós al mañana"* (1967) – efekt współpracy Alberta Vanasco i Eduarda Goligorskiego (ten ostatni był również autorem SF – jego opowiadanie *„La cicatriz de Venus"* przyniosło nowatorskie rozwiązanie motywu „obcych światów"). W roku 1967 ukazała się także antyrasistowska powieść Angeliki Gorodischer *„Opus dos"* (należąca do odmiany „political fiction"), zbiór nowel Emilia Rodrigéza – *„Plenipotencja"* oraz opowiadania Alfredo Julio Grassiego *„Y las estrellas caerán".* Ponadto wydano opowiadania Jacoba Bajarlia *„Fórmula al antimundo"* (1970) i *„El dia cero"* (1972), a wreszcie eseje Pablo Capanna *„El sendito de la ciencia-ficción"* (1966) oraz Eduarda Goligorskiego i Marii Langer *„Ciencia-ficción, realidad y psicoanalisis"* (1969) oceniające literaturę SF jako zjawisko z pogranicza socjologii i psychologii.
W najbardziej intensywnym okresie rozwoju SF do miana ośrodka konkurującego z programami Buenos Aires, awansowało inne argentyńskie miasto – Rosario. Działa tu m.in. przedsiębiorcza rodzina Gandolfów (pisarzy, edytorów, krytyków), która powołała do życia czasopismo *„El lagrimal trifurca".* Również wydawcy hiszpańskiego periodyku SF *„Nueva Dimensión"* odkryli kilku utalentowanych autorów, m.in. wspomnianą już Angélikę Gorodischer (*„Bajo las jubeas en flor",* 1973; *„Casta luna electronica",* 1978). Jedną z przyczyn zainteresowania prozą iberoamerykańską były wyraźne podobieństwa tematyczne i periodyzacyjne obu literatur narodowych.
Sukcesy argentyńskiej science fiction pozwoliły uwierzyć całej wspólnocie latynoamerykańskiej w ogromne możliwości konwencji gatunkowej. Nowele chilijskiego autora Hugona Correi – *„Los titeres"* (1969) i *„Cuando Pilato se opuso"* (1971), skutecznie konkurują odtąd z twórczością Antonina Montagne'a: *„Acá del tiempo"* (1968), *„No morir"* (1971). W Kolumbii działa René Rebetez (*„La nueva prehistoria y otros cuentos",* 1968). Kubańczyk Angel Arango wydaje zbiory opowiadań: *„A dónde van los cefalomos?"* (1964); *„El planeta negro"* (1966), *„Robotomaquia"* (1968); a jedna z antologii tego kraju *„Cuentos cubanos de lo fantástico y lo exstraordinario",* zamieszcza utwory ponad dwudziestu pisarzy SF. Również Meksyk odkrywa kilku bardziej znaczących autorów w osobach Marii Elviry Bermúdez, Augustina Cortésa Gaviño i ALvara Menena Desleala. Peruwiańczyk Jose B.Adolph jest monopolistą w swoim kraju, twórcą wielu zbiorów SF opublikowanych w latach 1968–1975 oraz znakomitej powieści *„Mañana, las ratas"* (1978) opisującej dzieje Limy A.D. 2034. W Urugwaju dochodzi do głosu cała generacja pisarzy SF, takich jak: Carlos Maria Federici, Felix Obes Flerquin, Carlos Casacuberta i – przede wszystkim – Mario Levrero wyraziciel lokalnego nurtu satyry w literaturze science fiction. Swoimi zdumiewającymi wizjami (*„La maquina de pensar en Gladys"* (1966); *„Aguas salobres"* (1973) Lev-

Bernard Goorden jest szefem Międzynarodowego Centrum Dokumentacji Literatury Fantastycznej z siedzibą w Brukseli, które wydaje rocznie kilka tomów esejów, szkiców i krytyk poświęconych najszerzej rozumianej literaturze SF. Jest również autorem obszernej monografii poświęconej światowej SF pt. „SF, fantastique et ateliers crétifs" wydanej w 1978 r. w Belgii, a przetłumaczonej do tej pory na osiem języków. B. Goorden pracuje w Bibliotece im. Alberta I w Brukseli, przekłada literaturę latynoamerykańską, i reprezentuje wielu autorów SF z tego kontynentu w Europie.

rero wprowadza czytelnika w prawdziwy labirynt ekologiczny. W jednej z nowel *„Capitulo XXX"* opisuje reprodukcję istot pozaziemskich jako symbiozę owadów, roślin i form człekokształtnych. Niewiele ustępują mu obrazy Wenezuelczyków: *„La salamandra"*(1973) i *„Rajatabla"*(1970) – Pedro Berroeta (ta ostatnia uhonorowana w roku 1970 nagrodą *„Casa de las Américas")* oraz *„Abrapalabra"* – Luisa Britta Garcii (zdobywczyni tej samej nagrody w roku 1979). Aluzyjna powieść Garcii wprowadza odwołania do problematyki socjalnej Ameryki Południowej, którą ilustruje w sposób poetycko-humorystyczny.

Dla kompletności niniejszego przeglądu warto również przypomnieć o działalności animatorów latynoamerykańskiej SF. Urugwajczyk Marcial Souto jest edytorem kieszonkowych serii SF i czasopism: *„La revista de ciencia-ficción y fantasia"*, *„Entropia"*, *„Péndulo"*. Argentyńczyk Jorge A. Sánchez wydał antologie: *„El cuento de ciencia-ficción del siglo XIX"*; *„El cuento de ciencia-ficción"* oraz, co istotniejsze, wybór tekstów argentyńskiej SF – *„Los universos vislumbrados"* (1978). Jego rodak – Rudolfo Alonso, opublikował interesujący zbiór: *„Primerá antologia de la ciencia-ficción latinoamericana"* (1970) uwzględniając nazwiska pisarzy Ameryki Środkowej. Podobna antologia ukazała się ostatnio w Meksyku, a planowana jest w Brazylii.

Tak właśnie wygląda, w największym skrócie, historia iberoamerykańskiej SF, która koncentruje swe zainteresowania na człowieku i jego związkach ze światem – fundamentalnym temacie każdej, nie tylko fantastyczno-naukowej, literatury.

*„Wynalazek Morela" przeł. A. Nowak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975

**„Plan ucieczki" przeł. A. Nowak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974.

Przełożył
Andrzej Niewiadowski

MARQUEZ I JEGO FANTASTYKA

Literacka nagroda Nobla 1982

Bernard Goorden w swoim przeglądzie iberoamerykańskiej science fiction nie wspomina ani słowem o twórczości Gabriela Garcii Márqueza, z pochodzenia Kolumbijczyka, ur. w roku 1928, jednego z czołowych pisarzy kontynentu, autora tak znanych powieści, jak *„La hojarasca"* (*„Zwiędłe liście"* – 1955), *„La mala hora"* (*„Zła godzina"* – 1966) czy *„Cien anos de soledad"* (*„Sto lat samotności"* – 1967). Ta ostatnia, przełożona na wiele języków świata, okazała się prawdziwym bestsellerem lat 60-tych, zyskując uznanie zarówno w oczach krytyków, jak i czytelników, co jest zjawiskiem doprawdy rzadko spotykanym. Można postawić pytanie, czy twórczość Marqueza wiąże się w jakiś sposób z konwencją fantastyki naukowej i powątpiewać w słuszność ustaleń Goordena, który (mimo widocznej fascynacji beletrystyką SF) jest najwyraźniej przekonany o drugorzędności tego gatunku literackiego i z zadowoleniem odnajduje korzenie latynoamerykańskiej SF w narodowym, nobilitującym pisarstwie E.L. Holmberga, R. Arlta, H. Quirogi, B. Casaresa. Odpowiedź na tak postawione pytanie wymagałaby jednak uprzedniego zdefiniowania terminu „science fiction", co jest sprawą arcytrudną. Ale nawet bez uruchamiania skomplikowanego aparatu teoretycznego, można stwierdzić, że pisarstwo Garcii Márqueza z potocznie rozumianą fantastyką naukową (a zwłaszcza z elementami prognostycznymi, technicystycznymi, oraz szeroko pojętym kryterium motywacji scjentyficznej) nie ma nic wspólnego. Jest to proza stricte fantastyczna, umieszczona w nurcie iberoamerykańskiego „realizmu magicznego", programowo abstrahująca od tematów, uzasadnień i logicznych wizji SF. Nic dziwnego, że systematyka Bernarda Goordena pomija twórczość wybitnych teoretyków „realizmu magicznego": Carlosa Fuentesa, Alejo Carpentiera, Miquela Angela Asturiasa. Ich fantastyka, wywodząca się z doświadczeń wczesnego baroku, przeżywająca okres niesłychanego rozkwitu w latynoamerykańskiej prozie lat 60-tych, jest rodzajem syntezy, krzyżowania i przenikania elementów rzeczywistości z marzeniem, próbą godzenia przesłanek racjonalnych ze spontaniczną intuicyjnością przeczuć człowieka. Podobnym zabiegiem posługuje się Gabriel Garcia Márquez w *„Stu latach samotności"*, dokonując swobodnych przemieszczeń pomiędzy mitem i rzeczywistością, łącząc „prawdopodobne" z „nieprawdopodobnym", historię i geografię z bezczasowością i uniwersalizmem. Literacke fikcje autora *„Złej godziny"* utożsamiają latynoamerykańską realność społeczno-polityczną, konkretną praktykę dziejową z zasadą paradoksu, komentarzem do kulturowego doświadczenia ludzkości.

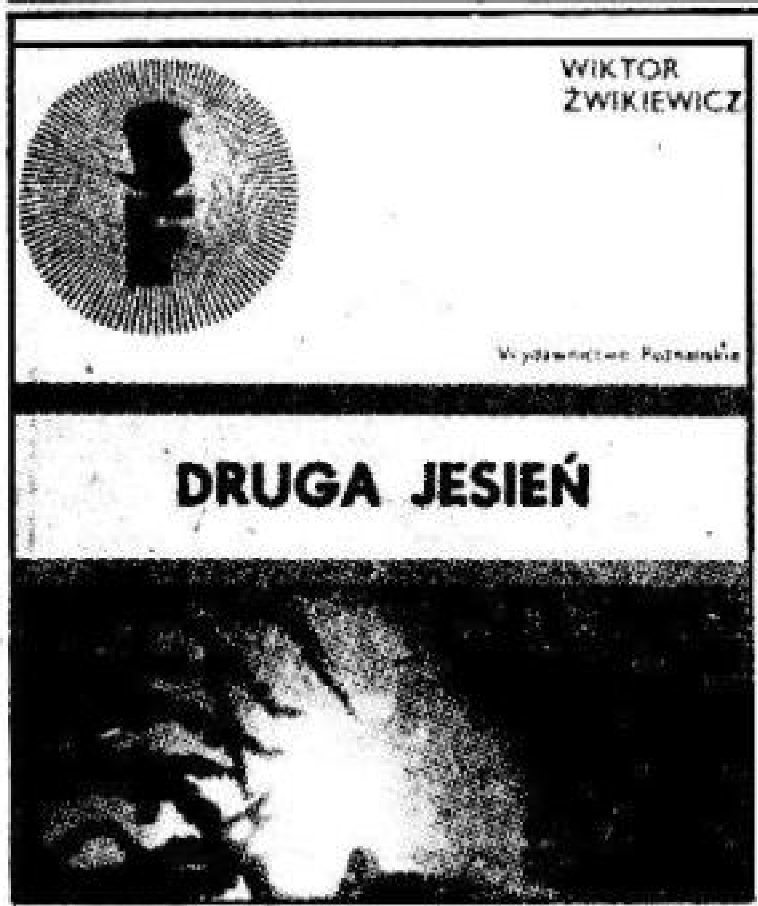


Gabriel Garcia Marquez

Twórczość Gabriela Garcii Márqueza podlegała różnym osądom i weryfikacjom. Doszukiwano się w niej założeń surrealistycznych (E. Volkeing) i mitologii freudowskiej (J. Franco, R. Gullon), wskazywano na kontynuację poetyki Jorge Luis Borgesa i Adolfo Bioy Casaresa (M. Donoso – u nas szkice H. Berezy i J. Jasińskiej). Zwłaszcza to ostatnie spostrzeżenie wydaje się interesujące, ponieważ autor *„Planu ucieczki"*, jak twierdzi Bernard Goorden, nie rezygnował nigdy z empirycznych uzasadnień swych opowieści. Kontynuacja nie oznaczała tu jednak wiernego, dosłownego zapożyczania. Márquez bliższy jest, mimo wszystko, Borgesowi w tworzeniu labiryntów wyobraźniowych, fantastycznych fikcji poznawczych traktowanych na równi z intelektualnymi teoriami artystów i filozofów. Jego obrazy, podobnie jak wizje Borgesa, i... Edgara Allana Poe przyznają ogromne znaczenie intuicji, odsyłają do wewnętrznego świata człowieka, świata skomplikowanego, obfitującego w zjawiska ulotne, nieuchwytne, trudne do nazwania.

Edgar Allan Poe i Jorge Luis Borges. Pierwszy, nie kryjący swej niechęci do literatury SF, jest uznawany przez niektórych krytyków (C. Olney, F.C. Bruce) za prekursora nowożytnej fantastyki naukowej. Luis Borges, twórca „filozofii fantastycznej" znalazł swe miejsce na kartach *„Fantastyki i futurologii"* – Stanisława Lema. Jeśli założyć, że współczesna fantastyka coraz wyraźniej odchodzi od prognozy technicznej, a nawet „odtwarzania fikcjonalnych stanów faktycznych", podążając w kierunku intuicji, mitologii, uniwersalizmu – to czy nie odkrywamy w niej niektórych fascynacji, aluzji, przeczuć obecnych w prozie Márqueza, autora *„Stu lat samotności"*?

Andrzej Niewiadowski





W październiku aż siedem książek! Już dawno nie było tak bogatego miesiąca na rynku polskiej SF. Krajowa Agencja Wydawnicza, która zdecydowanie już stała się największym wydawcą literatury fantastyczno-naukowej zaproponowała tym razem trzy tytuły: „Tak bardzo chciał być człowiekiem" Tadeusza Markowskiego w serii „Fantazja – Rozrywka – Przygoda" (po raz pierwszy na polskim rynku debiut w nakładzie 150.000 egzemplarzy!), „Ocean niespokojny" – druga książka debiutującego przed dwoma laty Michała Markowskiego w zeszytowej mutacji tejże serii, oraz przygotowana przez redakcję literatury dziecięco-młodzieżowej opowieść Gabrieli Górskiej „Kontakt". W „Iskrach", które przez wiele lat dzierżyły palmę pierwszeństwa w ilości wydań SF, dwa kolejne tomy „Fantastyki – Przygody" – „Wszystko dozwolone": nowa powieść Aleksandra i Siergieja Ambramowów znanych polskiemu czytelnikowi z cieszącej się przed kilku laty dużą popularnością powieści „Jeźdźcy znikąd" oraz kolejne wznowienie „Kosmodromu" Konrada Fiałkowskiego. W „Wydawnictwie Literackim" – tradycyjnym już wydawnictwie Lema – wznowienie dwóch jego „kryminalnych" opowieści we wspólnym tomie: „Śledztwo. Katar". W Wydawnictwie Poznańskim dawno już zapowiadana i z dużym zainteresowaniem oczekiwana przez czytelników „Druga jesień" Wiktora Żwikiewicza.

Bogactwo bogactwem, ale refleksje jakie ten miesiąc nasunął są raczej smutne. Poprzednim razem zwróciłem uwagę na bardzo niekorzystną zmianę szaty edytorskiej serii „Fantastyka – Przygoda" i wydawało mi się wówczas, że już nic gorszego polskie edytorstwo wymyślić nie potrafi. Tymczasem palmę pierwszeństwa w zohydzeniu czytelnikowi książki w przeciągu miesiąca przejął KAW i chyba długo ją utrzyma. Rozumiem intencje wydawnictwa, które w dobie horrendalnych cen książek zapowiedziało kilka miesięcy wcześniej wydawanie niektórych utworów w formie zeszytów po to by zapewnić młodemu czytelnikowi masową, tanią książkę. To forma na świecie przyjęta i bardzo popularna. Co więcej zakorzeniona już i u nas wydawanymi przez „Iskry" zeszytowymi cyklami opowieści kryminalnych, fantastycznych i przygodowych, a od przeszło roku także tanimi wydaniami szkolnych lektur. Podły papier, oszczędnościowa forma druku, niezbyt interesująca okładka – to wszystko przy odrobinie dobrej woli i niskiej cenie jest do przyjęcia, bo przecież tekst głównie, a nie edytorska forma liczą się teraz przede wszystkim. Pojęcie „sztuki edytorskiej" od kilku już lat przechodzić zaczęło do lamusa i chyba nieprędko z niego wyjdzie. To jednak co zaprezentował KAW trudno nawet nazwać zeszytem. Niechlujny, często nieczytelny druk w wykonaniu Prasowych Zakładów Graficznych w Koszalinie, fatalna okładka – raczej odpychająca niż przyciągająca czytelnika, jakość publikacji powodująca, iż po jednorazowym czytaniu ma się w ręku szmatę, a nie coś, co udawać miało książkę i to wszystko za 45 złotych! – cenę jaką każe nam wydawnictwo płacić za normalnie, ładnie i starannie wydaną książkę T. Markowskiego. Sprawa jest tym bardziej dziwna, iż 42 złote, a więc o 3 złote mniej, kosztuje bardzo starannie wydany zeszyt Gabrieli Górskiej. Format ten sam, objętość ta sama, pełnokolorowa, kredowana okładka (lakier), w środku grafiki, nakład o 30 000 niższy – zgodnie z wszelkimi zasadami ekonomii (ponoć decydującymi obecnie o cenach książki) coś tu jest nie tak...

Skoro już przy cenach jesteśmy to trzeba KAW-owi coś i na plus zapisać. Jako jedyne wydawnictwo konsekwentnie utrzymuje ceny popularnych książek na poziomie dostępnym dla każdego czytelnika. Żadna z trzech wymienionych książek nie kosztuje drożej niż 50 złotych! Może tu kryje się tajemnica wyżej omówionej niejasności cen? W innych oficynach ceny w błyskawicznym tempie pną się w górę. Wznowienie Lema 160 złotych, wznowienie Fiałkowskiego – 110, powieść Abramowów równe 100 zł. Trochę to chyba na kieszeń przeciętnego „zjadacza" SF zbyt wysoka kalkulacja. Tym bardziej że tylko pierwsza z wymienionych książek warta jest chyba swojej ceny. Zbiór Fiałkowskiego to chyba już piąte wydanie tych samych opowiadań, w dodatku w wysokim nakładzie. Sądzę, że wydawnictwo chciało po prostu zarobić, ale mogło to chyba zrobić również w inny sposób, choćby wydając w większym nakładzie po raz pierwszy prezentowaną książkę popularnej w końcu pary pisarskiej, co niewątpliwie pozwoliłoby i na lepsze spożytkowanie tej samej puli papieru i na obniżenie ceny.

1.	3.	Stanisław Lem **Wizja lokalna** Wydawnictwo Literackie
2.	1.	Stanisław Lem **Solaris** Iskry
3.	–	Wiktor Żwikiewicz **Druga jesień** Wydawnictwo Poznańskie
4.	6.	James G. Ballard **Wyspa** Czytelnik
5.	–	Stanisław Lem **Śledztwo, Katar** Wydawnictwo Literackie
6.	4.	Antologia **Spotkanie w przestwrzach** KAW
7.	2.	Philip K. Dick **Słoneczna loteria** Czytelnik
8.	7.	Andrzej Krzepkowski **Kreks** KAW
9.	–	Peter Zsoldos **Zadanie** Iskry
10.	–	J.S. Abramowowie **Wszystko dozwolone** Iskry
–	9.	Mark Twain **Tajemniczy przybysz** Wydawnictwo Literackie
–	5.	Stanisław Lem **Niezwyciężony** Iskry
–	10.	Maciej Parowski **Twarzą ku ziemi** Czytelnik
–	–	Michał Markowski **Ocean niespokojny** KAW

Braun Jerzy Bronisław (1901 – 1975)

Krytyk, poeta, beletrysta, scenarzysta filmowy.

Urodził się w r. 1901 w Dąbrowie koło Tarnowa. Syn Kornela i Henryki z Millerów. Po ukończeniu gimnazjum w Tarnowie studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od czerwca do sierpnia r. 1927 był redaktorem naczelnym „Gazety Literackiej", dwutygodnika konkurencyjnego wobec „Wiadomości Literackich", w którym publikowała radykalna grupa pisarzy skupiona w Kole Literacko-Artystycznym „Literat". Pismo przejawiało tendencje lewicowe. Zamieszczali tu swoje utwory m.in. M. Jastrun, L. Kruczkowski, H. Moskwianka, J. Pański, C. Jellenta, J. Wiktor. W roku 1932 Jerzy Braun zakłada pismo „Zet" propagujące idee mesjanizmu romantycznego (prowadzi je do r. 1937). Mesjanizm uznaje za oryginalną, najważniejszą w skali europejskiej wartość kulturotwórczą, rdzennie polską. W książce „Metafizyka pracy i życia" (1934) polemizuje z krytyczną analizą świadomości romantycznej, jaką przeprowadził przed laty Stanisław Brzozowski. Polski mesjanizm przeciwstawia zachodniej tradycji romantycznej uwikłanej w antynomię między rozumem spekulatywnym a praktycznym.

W roku 1938 Braun współtworzy redakcję „Merkuriusza Polskiego Ordynaryjnego" i biuletynu „Agencja Antymasońska". W czasie okupacji jest kierownikiem organizacji konspiracyjnej „Unia", prowadzi pismo „Kultura Jutra". W latach 1946–1947 redaguje „Tygodnik Warszawski". Wydaje zbiór wierszy „Poematy" (1948). Po roku 1956 oddaje się działalności naukowej i odczytowej w ZLP. Uprawia publicystykę i esej (drukuje m.in. w czasopiśmie „Znak").

Jest członkiem Warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. W roku 1960 wydaje kolejny zbiór wierszy „Patos przemijania". W roku 1966 wyjeżdża do Włoch i tam umiera 17.X.1975 r.

Motywy fantastyczne, antyutopijne i fantastyczno-naukowe pojawiają się u Jerzego Brauna w powieści „Kiedy księżyc umiera" (1925), parabolicznym utworze „Hotel na plaży" (1927) oraz w I tomie nie zrealizowanego cyklu „Cień Parakleta" – „Wiktor" (1932).

„Kiedy księżyc umiera" – fantastyczna relacja z życia mieszkańców drugiego globu, jest alegorycznym przekładem „Zmierzchu cywilizacji zachodniej" O. Spenglera, rozszerzonym o motywy katastrofizmu technokratycznego oraz wątek o charakterze mesjanistycznym. Przywoływane pojęcia kulturowe, jak również formy opisu środków technicznych, będących własnością mieszkańców Księżyca dowodzą, iż tragedia Srebrnego Globu dotyczy w gruncie rzeczy przyszłych losów naszej planety. W aglomeracjach miejskich, w technizacji życia upatruje Braun nieuchronne zagrożenie integralności wewnętrznej jednostki, degradację wartości humanistycznych, a w rezultacie postępujące „zmaterializowanie" i dekadentyzm. Ekspresjonistyczna kreacja „Miasta Olbrzymów" należy do najciekawszych w polskiej scjentyficznej literaturze międzywojennej, a opisy zmagań militarnych z użyciem przyszłościowych środków technicznych fascynują do dziś precyzją rysunku i bogactwem zastosowanych form stylistycznych. Jeśli chodzi o elementy prognozy fantastyczno-naukowej, autor „Hotelu na plaży" wykorzystuje motywy i schematy konstrukcyjne pojawiające się na kartach „Starej Ziemi" (→) Jerzego Żuławskiego, „Miasta światłości" (→) Mieczysława Smolarskiego i „Wieży ratunku" (→) Tadeusza Konczyńskiego. Te odwołania zbliżają wypowiedzi Brauna do utworów o charakterze antyutopijnym.

Bibliografia
Ogólna: – Nowy Korbut. Bibliografia literatury polskiej, t. 13,
– S. Lichański, Spadkobierca polskiego romantyzmu (w)
– „Tygodnik Warszawski" 1948/36,
– J. Rychlewski, Szkic do portretu Jerzego Brauna (w)
„Więź" 1976/4
Recenzje wybrane: „Kiedy księżyc umiera"
– Esjot (J. Stempowski) (w) „Głos Narodu" 1925/241
– (S. K.) (w) „Kurier Literacko-Naukowy" 1925/48

Broszkiewicz Jerzy (1922 –)

Urodził się we Lwowie 6 czerwca 1922 r. Syn Adama i Ireny z Piotrowskich. W roku 1940, po ukończeniu szkoły średniej i studiów muzycznych, wstąpił do Akademii Muzycznej we Lwowie. Podczas okupacji hitlerowskiej brał udział w konspiracyjnych wieczorach autorskich i koncertach. W roku 1944 przeniósł się do Krakowa.

Po wyzwoleniu pracował jako korektor w tygodniku „Odrodzenie". Podjęte na nowo studia muzyczne zarzucił w r. 1945 i zajął się wyłącznie pracą literacką. W latach 1945–1947 współpracował z redakcją tygodnika „Odrodzenie" i czasopisma „Teatr". Był doradcą literackim Nowohuckiego Teatru Ludowego. W latach 1947–1948 redagował „Ruch Muzyczny", a po przeniesieniu do Warszawy – czasopismo „Muzyka". Prowadził w radiu stały, cotygodniowy felieton na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i społeczne. W roku 1948 ogłosił powieść „Oczekiwanie". W roku 1951 za powieść „Kształt miłości" uzyskał Nagrodę Państwową II stopnia. W roku 1953 został członkiem redakcji „Przeglądu Kulturalnego"

Ponadto opublikował dramat „Imiona władzy" (znany raczej jako „Skandal w Hellbergu) – 1957 r. oraz powieści: „Długo i szczęśliwie" (1970), „Dziesięć rozdziałów" (1971–1974), „Dr Twardowski" (1977). W roku 1982 otrzymał Nagrodę Państwową I stopnia za całokształt twórczości literackiej.

Najważniejsze powieści fantastyczno-naukowe Jerzego Broszkiewicza to: „Wielka, większa i największa" (Nasza Księgarnia, 1960), „Ci z dziesiątego tysiąca" (Nasza Księgarnia, 1967), „Oko Centaura" (Nasza Księgarnia, 1964), „Mój księżycowy pech" (Nasza Księgarnia, 1970), „Mister Di" (Nasza Księgarnia, 1972).

Twórczość Jerzego Broszkiewicza jest adresowana do najmłodszych czytelników literatury science fiction. Autor operuje swobodnie motywem „cudownego wynalazku" i „defektu maszyn" („Ci z dziesiątego tysiąca", „Mister Di"), w klasycznym schemacie przygód (Mój księżycowy pech") podejmuje temat „kontaktu", w którym młody bohater z powodzeniem zastępuje dorosłych, chroniąc społeczność ziemską przed zagładą („Wielka...", „Oko Centaura"). „Gdy w roku 1960 została opublikowana „Wielka, większa i największa" – pisze K. Kuliczkowska – historia, w której typowe warszawskie dzieci zawarły przyjaźń z samochodem-weteranem, było to dla krytyków zaskoczeniem, bo w ciągu kilkunastu lat od czasu „Porwania w Tiutiurlistanie" W. Żukrowskiego, zdołano już zapomnieć, że fantastyka to nie tylko adaptacja bajek ludowych."

„Dzisiejsza młodzież – twierdzi Broszkiewicz – wyrasta w specyficznym klimacie kulturowym. (...) Wielu pisarzy w swoich książkach z dziedziny fantastyki naukowej pokazuje wręcz katastroficzną przyszłość dominanty maszyny nad człowiekiem, przyszłość, w której człowiek stanie się bezwolnym narzędziem stworzonych przez siebie robotów. Ja natomiast jestem optymistą i chciałbym ten optymizm przelać w młodego czytelnika. Staram się w niego wmówić, że maszyna, nawet w dobie pełnej mechanizacji i automatyzacji, winna człowiekowi służyć, winna być uzupełnieniem jego talentu, ale nie może i nie powinna zastępować ludzkiego myślenia, sumienia i poczucia humoru".

W „Wielkiej, większej i największej", będącej najgłośniejszą powieścią Broszkiewicza, pojawia się nie tylko unowocześniony katalog cech pozytywnych, widoczny w działaniu młodego bohatera, ale zarazem ostrzeżenie przed możliwym, zgubnym kierunkiem ewolucji etycznej i światopoglądowej. Jest to utwór pisany raczej dla... rodziców, ku przestrodze i pokrzepieniu serc.

Mieszkańcy planety Wega odkrywają w jednym z peryferyjnych układów Galaktyki, nową, niszczycielsko nastawioną cywilizację Ziemian. Wegowie zetknęli się już z podobną rasą, ale przyjacielska wizyta przybrała charakter konfliktu militarnego. Czy wszyscy ludzie są okrutni, źli, przebiegli, żądni zysku i sławy? „Jeśli znajdziemy choć dwie istoty szlachetne, odstąpimy od planu inwazji" – twierdzą Wegowie. „Ambasadorów Ziemi" – Ikę i Groszka – poddaje się specjalnym próbom etycznym i sprawnościowym. Zadania testów rozwiązują na piątkę z plusem. Chyba po raz pierwszy na kartach polskiej SF człowiek nie wyraża gestu zdziwienia, panicznego odwrotu wobec „kontaktu", który rozbija dotychczasowy ład świata, zawdzięczając swe ocalenie otwartości, szczerości, dumie z planetarnego pochodzenia.

Bibliografia
Ogólna: – Autor o sobie (w) „Nowa Kultura" 1954/9,
– Słownik współczesnych pisarzy polskich, oprac. E. Korzeniewska, t. I, Warszawa 1963,
– W. Natanson, Słuszność i siła (Słownik autorów współczesnych) (w) Życie Literackie 1963/40,
– K. Kuliczkowska, W świecie fantazji, marzeń i iluzji (w) „Miesięcznik Literacki" 1967/12,
W szklanej kuli, oprac. K. Kuliczkowska, Warszawa 1970,
– K. Pysiak, Poczet pisarzy XXX-lecia (w) „Literatura" 1975/25,
– Sześcian pamięci: z Jerzym Broszkiewiczem rozmawia T. Krzemień (w) „Kultura" 1979/24.
Recenzje wybrane: „Wielka, większa i największa"
– Bem, Nareszcie współczesna bajka (w) „Świat" 1960/36,
– M. Bazarewska, „Wielka, większa i największa" (w) „Nowa Kultura" 1960/41,
– K. Kuliczkowska, Planeta nadziei (w) „Nowe Książki" 1960/18, „Ci z dziesiątego tysiąca"
– B. Tylicka, Mamo kup mi Robika (w) „Kultura" 1964/32

Kiedy księżyc umiera

Jerzy Braun

Nabu wiedział o tym dobrze, że na północ od miasta Asar rozpościerały się na ogromnej przestrzeni zakłady techniczne, drugie potężne miasto, którego rozmiary przewyższały jeszcze wielkością czteromilionową stolicę.

Wiedział o tym tak dobrze, jak i wszyscy, widział nawet z bliska niektóre z obiektów wojskowych, nie interesował się jednak, jako wódz i żołnierz, szczegółami technicznymi tych niezliczonych warsztatów. On czuwał nad armią, a przede wszystkim nad jej sprawnością bojową, nad resztą czuwać miał rząd i Nabu nie pytał się nigdy, kto i jak gospodarzy w tym królestwie sił kolosalnych i dziwów.

Teraz dopiero, gdy wraz z doświadczonym swoim przewodnikiem inżynierem Amar-At zagłębił się w tę krainę elektrycznych cudów, oczy jego i mózg olśnił i przytłoczył ogrom tej pracującej ze straszliwą dokładnością machiny.

Cała tajemnicza, prastara cywilizacja ludu Asaras rozwarła tu przed nim karty swojej arcymądrej księgi. Skoro minęli łańcuch broniących dostępu do tego terytorium fortyfikacji, wzniesionych na kształt ruchomych stożków pancernych o ścianach z najtwardszego aljażu metali – a stanęli na dwudziestym czwartym piętrze baszty strażniczej, gdzie uniosła ich winda, oczom Nabu przedstawił się widok niesłychany i pełen posępnej grozy, że wzdrygnął się dreszczem podziwu i hołdowniczego lęku.

– Miasto Olbrzymów – szepnął.

– Istotnie – potwierdził inżynier. – Trudno określić trafniejszym mianem.

Całe półkole horyzontu, od zachodu po najdalszy wschód, było jednym wielkim morzem gmachów, niebotycznych budowli, wieżyc, walcowatych zbiorników, słupów i kominów. W morzu tym coś drgało, dygotało, trzęsło się, jakby ustawiczne trzęsienie ziemi targało skorupą globu. Jakieś rytmy potworne biły w nim z przeraźliwą regularnością, jakieś grzmoty podziemne, gwizdy i rozdzierające jęki trących o siebie metali. Syk pary, hałas maszyn, łoskot kół rozpędowych i huk ustawicznych uderzeń dudniły w uszach wprost ogłuszająco... Jakieś młoty i dźwignie podnosiły się i opadały na tle nieba. Czarne kłęby sadzy buchały strugami w górę, nagle wytryskające słupy ognia przerzynały to mroczne tło purpurą, łuny olbrzymich pieców trwały tu i ówdzie nad horyzontem. Łyskały raz po raz błyskawice spięć na elektrycznych drutach, swąd i czad nieznośnie drażniły nozdrza ciężką, odurzającą wonią...

– Ależ tu oszaleć można – jęknął Nabu.

– Ale można się też i przyzwyczaić – odkrzyknął Amar-At do ucha towarzysza, aby być słyszanym przez hałas i turkot machin.

Ruszyli w głąb tego piekła po długim, stalowym moście, na wysokość kilkudziesięciu długości ludzkich nad ziemią. Most drgał od huku i zdawało się, że lada chwila załamie się i runie pod nimi (...)

Daleko wszerz i wzdłuż rozpościerały się budowle o imponujących rozmiarach. Wytwórnie katapult, których używały wojska Asaras, czyli wielkich proc elektrycznych, wyrzucających pociski na odległość 30–50 kernt, wytwórnie tychże pocisków i broni ręcznej, krótkiej i długiej. Wyrabiano tu straszliwe lufy na stożkach obrotowych, ciskające płomienie i gazy i wrzącą wodę, wyrabiano owe nieszczęsne machiny wojenne wyrzucające naraz 1000 strzał stalowych, zakończonych cienko, jak igły, które spadając siały śmierć i zniszczenie (...)

Inżynier wskazał wodzowi mały, dwuosobowy wózek elektryczny, który podwiózł ich z błyskawiczną szybkością w kierunku zachodnim:

– Wytwórnie chemiczne najrozmaitszego rodzaju – wyliczał po kolei Amar-At, prosząc Nabu, by zapisywał sobie szybko podawane cyfry i szczegóły. – Chemiczne wytwarzanie pokarmów skondensowanych. Zwierciadła przenoszące obrazy na wielkich przestrzeniach. Teleskopy. Maski przeciwmroźne. Sztuczne oziębiacze powietrza.

Wóz pędził z chyżością najwyższą.

– Patrz pan! Oto filtry wody słonej, pompowanej z morza i sprowadzanej siecią rurociągów aż tutaj. Stąd czerpie kraj Asaras większą część zużywanej przez siebie wody słodkiej. Szarosrebrzyste walce sterczały tutaj w długich szeregach, jak uszykowane wojsko, sięgając 8–10 pięter wysokości.

– Magazyn soli morskiej. Stacje radioaktywne. Spójrz Pan uważnie Nabu, bo to niezmiernie ciekawy widok.

Istotnie wóz mijał co moment niebotyczne słupy stalowe, od których szczytów biegły promieniście ku ziemi druty. Robiło to wrażenie jakiegoś potwornego, niezwykłego lasu...

Minęli kopalnie żelaza i kopalnie węgla, z których szufle wielkości domów piętrowych przenosiły bryły i stosy całe węgla, wrzucając je po przeciwnej stronie ogromnego placu wprost w czeluście buchających żarem pieców.

– Oto największe piece do ogrzewania atmosfery, jakie sobie wyobraźnia ludzka stworzyć mogła (...) A tu dalej pola rurociągów gazowych. Znajdziesz Pan tu tak straszliwe ciśnienie, że z jednego takiego zbiornika otworzywszy klapę można by zdmuchnąć cały pułk nieprzyjacielski (...)

Wjechali teraz na puste równiny. Na wysokich słupach stały tutaj rzędami wklęsłe zwierciadła.

– Tu Panie wkraczamy w najwspanialszy dział zakładów technicznych królestwa, w krainę elektryczności (...) Oto pole słoneczne, na którym zwierciadła wklęsłe chwytają w południe zabójcze dla nas promienie słońca, by je tam, pod ziemią, w specjalnie skonstruowanych przetwórniach zamienić na życiodajny prąd (...).

– A tam na horyzoncie, w oddali? – zapytał (Nabu).

– To już zbyt skomplikowane rzeczy, byś ty je Panie potrzebował zgłębiać i słyszeć. Tam znajduje się (...) czerpak energii z wulkanu Abra oraz przyrządy spożytkowujące wstrząśnienia skorupy globu, zdarzające się u nas tak często (...) Powiem ci jeszcze, że tam daleko, na tych stepach ciągnących się aż do podnóża Gór Lodowych, znajdują się wielkie baterie elektryczne i niezliczona ilość zbiorników ze zgęszczonym powietrzem, tzw. rezerwuary atmosferyczne, w których przodkowie nasi, będąc świadkami tragicznego ulatniania się atmosfery, zamykali potrzebne do oddychania połączenia tlenu i azotu, kradnąc je z powietrza na zapas (...) Od tego miejsca, aż po Góry Lodowe i dalej (...) cała przestrzeń przewiercona jest i pokryta labiryntem tuneli i jaskiń podziemnych. Są to tzw. hale schroniskowe z cylindrami zgęszczonego powietrza, zbudowane na wypadek zupełnego zaniku atmosfery na naszym globie.

Elektryczny wóz niósł ich z szaloną szybkością z powrotem. Słońce prażyło już straszliwie, gdy koło południa wylądowali w Asar...

Kraków 1925, fragmenty (s. 26–33)

przygotował
Andrzej Niewiadowski

■

JA JESTEM TĄ WYSPĄ

„Wyspa" jest pochodzącą z połowy lat siedemdziesiątych powieścią J.G.Ballarda, jednego z najciekawszych pisarzy „Nowej Fali" literatury science fiction, jaka ujawniła się pod koniec lat sześćdziesiątych, twórcy terminu „inner space", określającego główny teren poszukiwań tejże fantastyki. „Wyspa" należy do utworów, które stwarzają rozliczne możliwości odczytania, podsuwają czytelnikowi swoją wieloraką symbolikę i w zasadzie nigdy nie można być pewnym czy odczytało się wszystko właściwie i czy w ogóle możliwe jest jakiekolwiek jedno ostatecznie uprawnione odczytanie.

Powieść Ballarda można odebrać jako w pełni realistyczną historię o człowieku, który wracając z pracy samochodem, wyleciał z autostrady, został ranny i rozpoczął życie na słabo dostępnym skrawku ziemi u zbiegu trzech dróg, stanowiącym tytułową wyspę. Za taką interpretacją przemawia ścisłe topograficzne usytuowanie miejsca akcji i dokładne określenie jej czasu (22 kwietnia 1973, „parę minut po trzeciej"). Otrzymujemy wtedy utwór niosący wyraźne i w pełni uzasadnione przesłanie, znane zresztą z wielu innych powieści: człowiek nie jest przystosowany biologicznie i psychicznie do życia w warunkach wysoko rozwiniętej cywilizacji – ten motyw symbolizuje nieprzerwany sznur samochodów przesuwających się w zasięgu wzroku bohatera po niedostępnych mu drogach.

Człowiek czuje podświadomą chęć ucieczki od tej cywilizacji i bohater „Wyspy" korzysta z nadarzającej się okazji, korzysta na wpół świadomie niby chce się wydostać z wyspy, ale nie podejmuje energiczniejszych kroków, nęci go jej bujna trawa, fascynują opuszczone zabudowania. Wyspa oferuje bowiem możliwość innego, nieznanego mu dotąd życia: życia kontemplacyjnego, spokojnego, w oddaleniu od precyzyjnie zaprogramowanej codzienności, w jakiej się dotąd znajdował. I w finale powieści trzydziestopięcioletni, przedsiębiorczy architekt odmawia powrotu do cywilizacji, mimo iż ma już taką możliwość. Stwierdza, że odejdzie wtedy, kiedy uzna to za stosowne. „Po posiłku będzie czas, żeby ułożyć się do snu i planować sposoby wydostania się z wyspy" – to ostatnie zdanie powieści.

Maitland, bohater powieści Ballarda, boi się swojej decyzji, ale chce pozostać na wyspie, która stanowi azyl, daje poczucie izolacji, oddalenia od doczesności. Sytuacja ta – jak wspomniałem – jest wykorzystywana przez współczesną literaturę, czego przykładem może być wydana u nas kilka lat temu powieść Michela Tourniera „Piętaszek, czyli Piekło Pacyfiku", symboliczna parafraza z Daniela Defoe, w której Robinson zniechęcony cywilizacją nie zamierza opuszczać swojej wyspy.

G.Maitland wybiera alternatywny model życia obok cywilizacji, żywiąc się jej odpadkami. Wiedzie życie przypominające pod wieloma względami losy współczesnych bohaterów dystopii, żyjących na ruinach naszej cywilizacji zniszczonej przez wojnę czy inwazję Innych. Ruiny cywilizacji stają się Naturą, którą w miarę możliwości przystosowują do swoich potrzeb. Bohater „Wyspy" postępuje dokładnie tak samo, ale nie „po" cywilizacji, lecz „obok" niej. Nadaje to powieści jeszcze bardziej dramatyczną wymowę, bo jest pełnym ekspresji ujawnieniem niewiary w możliwość rozwoju ludzkości, a także – przez to, że samo nazwisko autora powieści lokuje ją w pobliżu literatury SF – jest jakby rodzajem wyroku śmierci dla cywilizacji, udziału w której odmawia bohater, a którą ma w zasięgu wzroku.

Ballard być może z premedytacją wyszedł poza ramy literatury fantastyczno-naukowej, by nawiązać kontakt z czytelnikami spoza kręgu jej miłośników, by ze swoimi przestrogami trafić do wszystkich, by to, co jest dorobkiem myślowym SF, przenieść na szerszę forum.

Ale jest to dopiero jeden z możliwych sposobów odczytania „Wyspy", sposób najprostszy, w dużym stopniu „spłaszczający" wymowę powieści. Sytuację bohatera możemy potraktować jako zapis swego rodzaju „życia po życiu", fantazję obumierającego umysłu, który swoją sytuację przetwarza w swoistą wizję enklawy spokoju w sercu wielkomiejskiego węzła komunikacyjnego.

Przy takiej interpretacji obrazy składające się na powieść Ballarda nabierają nieodparcie symbolicznych znaczeń. Bohater po wypadku drogowym odzyskuje samoświadomość, ale dzięki nieznacznym przesunięciom akcentów, użyciu takich, a nie innych słów, jest w tym powrocie coś z reanimacji, z ożywienia martwego organizmu: uświadamia sobie" nienaturalną pozycję nóg (...) jakby je tam umieściła tajemnicza grupa specjalistów zajmujących się inscenizacją wypadków". I dalej: „Maitland rozmasował twarz, żeby przywrócić życie pobladłej skórze i mięśniom. Jego mocna szczęka i napięte policzki były zupełnie pozbawione krwi. Z lusterka wpatrywały się w niego oczy puste i nieruchome, jakby patrzył na chorego umysłowo brata bliźniaka".

Jeśli więc przyjąć, że wszystko to, co Ballard umieścił w swojej powieści ma być odtworzeniem wizji umierającego umysłu, możemy sobie pozwolić na wstępną deszyfrację tego założenia: trójkątna wyspa porośnięta bujną, falującą trawą jest aluzją „powrotu do łona", metaforą ucieczki przed światem w chwili śmiertelnego zagrożenia, ucieczki do najbezpieczniejszego miejsca, jakie zna ludzka istota. Z podobnych względów wyobraźnia umieściła na wyspie schrony przeciwlotnicze, bo dla kogoś, kto przeżył jako dziecko wojnę w bombardowanym Londynie (Maitland musiał się urodzić w 1938 roku) są one ucieleśnieniem wyjątkowo bezpiecznego miejsca.

Pojawiająca się w „Wyspie" postać kobiety, Jane, jest symbolem wszystkich cech kobiecych, jakich Maitland poszukiwał: raz jest dziwką, raz otacza go matczyną opieką, jest zmienna, niemożliwa do jednoznacznego określenia, godzi w sobie

---

SEN O DZIESIĘCIORNICY

Lubię tę książkę. Polubiłem ją dawno (moja lektura maszynopisu – że się zabawię w Berezę – jesień 79) za wartką fabułę, błyskotliwość i werwę, za intensywność wykonania, przy której większość literackich dokonań (nie tylko naszych i nie tylko SF) wygląda jak blada grafika przy nasyconym oleju. Już wówczas uważałem, że książka będzie czytana, wznawiana i tłumaczona. Jeszcze parę lat i zobaczymy czy miałem rację.

Przestrzenie kosmiczne przemierza w kierunku Ziemi olbrzymi statek „Dziesięciornica" znajdujący się w przestworzach już od paru pokoleń. Punkt wyjścia jest typowy, motywu wędrującej arki nie wymyślono wczoraj. Autor wie o tym i dlatego tej wyjściowej sytuacji nie poświęca wiele uwagi. Ważne jest to co dzieje się na statku, a dzieją się rzeczy przedziwne, okrutne i pasjonujące. Wybuchają bunty i rewolty, walczą ze sobą zwaśnione poziomy Dziesięciornicy, strzelają do siebie ludzie, donoszą agenci, dokonują się eksperymenty genetyczne, a wśród zamkniętej społeczności panoszy się w dodatku dziwna rasa obdarzonych ponadnormalnymi zdolnościami nadludzi, zwanych Dwukolorowymi. Trwa walka Dwukolorowych o zhołdowanie i upokorzenie wszystkich osobowości, lecz jest to walka z publicznością, a więc rozgrywa się ją w myśl nieubłaganych reguł widowiska (show).

Nie wszyscy na Dziesięciornicy znają cel i zasady tej gry, wszyscy w niej uczestniczą – niektórzy męcząc się niepomiernie. Na czoło postaci powieści, wśród których są twardzi mężczyźni i awanturnicy, pijacy i hibernaci, mówiące windy i gadające piwo, kobiety piękne i rozpustne – wybija się młody Deogracias. Jest to bohater jak z baśni; będąc garbusem i człowiekiem wewnętrznie przełamanym kompleksami, potrafi zarazem więcej niż inni. Może przeciwstawić się złu i pomieszać jego szyki.

Powieść napisana jest potoczyście. Oramus ze swobodą, używając technicznych montażowych sztuczek, pokazuje nam splatające się ze sobą losy kilkudziesięciu postaci, ani razu nie tracąc kontroli nad skomplikowaną powieściową maszynerią. A oglądamy tu nie tylko przygody i zmagania ludzi lecz również ich swobodnie lewitujących i zwalczających się jaźni. Świat opisany przez Oramusa jest zły, posępny, ludzie w nim częstokroć czynią sobie wyrozumowane łajdactwa, rządzi tym światem intryga i manipulacja, lecz mimo to, nawet w tej klatce na szczury spotykamy co jakiś czas arystokratów ducha zdolnych do miłości, wielkoduszności, wreszcie – do wstydu.

Już przed trzema laty spodobała mi się odwaga i pasja autora do ładowania na grzbiet debiutanckiej powieści takiej ilości zamplifikowanych lęków, obsesji i przeczuć młodego studenckiego dziennikarza, który pisząc ją w latach 76–78 musiał spostrzegać, że idzie nam wszystkim ku gorszemu.

Podobało mi się, iż w książce w istocie rozpaczliwej i posępnej, zamieścił Oramus tyle wisielczego humoru rodem z Chandlera i... z warszawskiego klubu „Remont".

Zaimponowało mi wreszcie, że ówczesny 26-latek nie markuje umiejętności pisarskich lecz je ma, że spłodził dzieło solidne, żadne tam awangardowe bazgroły i strzelanie po obrzeżach tarczy; przeciwnie – rasową powieść z galerią zindywidualizowanych postaci, z pięknym dialogiem, czytelnym antymanipulacyjnym przesłaniem-protestem, z nieustającym suspensem, po mistrzowsku wygraną zaktualizowaną rekwizytornią SF... z wciągającą nieubłaganie piwną obsesją. Jechałem, pamiętam, na dziennikarską delegację przegranym wagonem expressu, z opasłą teczką „Zwycięzców" w dłoniach i czytając marzyłem o piwie, którego gadającą odmianą raczy Oramus bez opamiętnia swych bohaterów.

Zajrzałem do książki po trzech latach. Dziś widzę tam także autorski popis gatunkowej sprawności, porozumiewawcze mrugnięcie ówczesnego 26-latka do rówieśników, do fanzinowskiej braci, do podobnie myślących i jest to mrugnięcie bardzo wdzięczne, tyle że w oku pojawiła się łezka. Dalej imponuje pisarska sprawność autora, a także

sprzeczne pierwiastki kobiecej natury, likwiduje rozdarcie bohatera powieści pomiędzy dwie kobiety, co było jego doświadczeniem z realnego życia. Płacenie Jane w trakcie fizycznego zbliżenia daje mu poczucie wolności, jakiego zawsze pragnął, uwalnia go od obowiązku wdzięczności, nie nadaje ich transakcji zabarwienia uczuciowego, bo płaci „naturalną walutą". Jest to więc marzenie kompensacyjne. Zaś postać umysłowo ociężałego i fizycznie zniedołężniałego akrobaty cyrkowego jest projekcją sytuacji rannego bohatera, poruszającego się z trudem, w którymś momencie nawet noszonego przez tegoż Proctora. Kiedy Proctor ginie, fizyczność Maitlanda ulega dalszej degeneracji. Po odejściu Jane bohatera opanowuje „nastrój spokojnej egzaltacji" – to zbliża się śmierć. Starzec popychający po autostradzie motorower, swoista wizja Boga, już go nie przeraża. „Za kilka godzin nastąpi zmierzch" – brzmi jedno z ostatnich zdań powieści, w której zakończeniu odnajdujemy liczne aluzje do śmierci i obrządków pogrzebowych, pierwotnych w swoim kolorycie, ale wykorzystujących będące pod ręką przedmioty: drobne elementy karoserii samochodu wkładane do grobu wraz z właścicielem, jedzenie zostawione na mogile itd.

„Wyspa" Ballarda nie jest utworem stricte fantastyczno-naukowym, ale sztafaż przyszłościowy nie jest najistotniejszy w powieści penetrującej wąski „inner space". Jego powieść jest fantazją snutą w oparciu o konsekwencje wyciągnięte z sytuacji człowieka w wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej, jest ekstrapolacją wewnętrznych dążeń człowieka udręczonego techniką i „wielkomiejskością", a więc jest bliska temu, co dzisiaj realizuje ambitny nurt SF. Dlaczego Ballard akurat taką powieść (obok jeszcze kilku podobnych) napisał, spróbowałem już wyjaśnić. Jego pozycję literacką i zasadność rozgłosu, jaki zdobył potwierdza „Wyspa", powieść bez wątpienia interesująca i intrygująca.

Leszek Bugajski

J.G.Ballard: *„Wyspa"* Przełożył Lech Jęczmyk. Czytelnik, Warszawa 1982, str. 144. Cena zł.

umiejętność czerpania pełnymi garściami z tego co najlepsze w zbiorowym dorobku konwencji SF. Tak więc, jak przed trzema laty, sądzę że będziemy przy okazji tej książki mówić o debiucie od czasów Snergowego „Robota" najbardziej znaczącym.

Nie wydaje mi się natomiast, by byli *„Senni zwycięzcy"*, jak to sygnalizują wydawnicze notki, „powieścią-studium o sposobie życia i frustracjach wyizolowanej z normalnych warunków społeczności ludzkiej". Nie sądzę byśmy oddawali Oramusowi dobrą przysługę traktując go jako „realistę" i „badacza". To nie jest powieść-badanie: teraz przy drugim czytaniu, z perspektywy czasu widzę w tym wszystkim metaforę. Niektóre ze scen przy konsekwentnej próbie realistycznego odbioru tracą wyraz i część sensu. Natomiast czytane w poetyce upiornego snu zyskują na intelektualnym ładunku i przestają drażnić nadto czasem wymyślną ekspresją. Oramus zbiera do kupy okruchy rzeczywistości, niektóre z nich (jak film Berkovitza np.) dają się zidentyfikować, ale w sumie dodaje tu tyle od siebie, że tworzy rzeczywistość nową, rządzącą się swoimi dość egzotycznymi prawami.

Pisane jest to wszystko bardzo wartko, na wielkim gwizdku, z gazem, młodzieńczo przyciśniętym do dechy i może dlatego zakończenie książki nie ma tej intensywności co początek i środek. Zagadka ciekawsza jest od rozwiązania, opowieść od pointy. Tak jest – wyjście z transu pociąga za sobą niemiłe sensacje. Budzimy się z piaskiem w oczach i w ustach – coś się nie zgadza.

Podobnego efektu doświadczamy przy najdoskonalszych nawet książkach Dicka. One także są snem. Oramus, podobnie jak Dick, jest spod znaku Smoka.

Oczywiście nie są „Senni zwycięzcy" powieścią doskonałą, bardzo mało, nawiasem mówiąc, jest takich powieści. Jej błędy to chwilami nadto młodzieńcze wstawki filozoficzne; nie wszystkie rzeczy jakie Oramus ma nam do powiedzenia na temat miłości, walki, hierarchii, posłuszeństwa i technik manipulacyjnych – są pierwszej młodości. Ale są to błędy jakie mógłby popełnić każdy i w istocie popełnia je każdy debiutant.

To co w książce dobre i bardzo dobre, jest już przede wszystkim własnością autora, trudną do podrobienia. Własnością, to nie znaczy, że zaraz i w każdym wypadku również wymysłem. Jeśli bowiem idzie o pomysły, o niektóre szczegóły wykonania, to jest Oramus dłużnikiem i Dicka i Aldissa, i Chandlera i (jako były aktywny klubowicz) – całej kultury SF, która kwitnie u nas już od dawna i zaczyna wydawać pierwsze owoce. Ale jest Oramus dłużnikiem, który wypłacił się co do grosza i bardzo wiele zostało mu jeszcze dla siebie. W ten wspólny kapitał przemyśleń, dyskusji, lektur, wymienionych materiałów włożył bowiem wielki talent, pasję, niewyrównane a wyśpiewane porachunki z bliźnimi i światem oraz imponujące umiejętności pisarskie.

Maciej Parowski

Marek Oramus: *„Senni zwycięzcy"*. Czytelnik, Warszawa 1982 (seria z kosmonautą). Cena zł. 80

Andrzej Niewiadowski

NIEWIDZIALNOŚĆ I CO DALEJ?

Motyw niewidzialności pojawił się w utworze uważanym za protoplastę współczesnej „historii o cudownym wynalazku". Nowela „Niewidzialny" pisarza i podróżnika Sygurda Wiśniowskiego (1841–1892), drukowana w 1880 roku w „Kurierze Warszawskim", wyprzedziła o przeszło 16 lat publikację „Niewidzialnego człowieka" Herberta Wellsa – „wypowiedzi na ten sam temat i na tej samej zasadzie opartej". Przypomnijmy: akcja tajemniczej historii toczy się w Wiedniu, w latach 80-tych XIX wieku. Hrabia Opaliński, właściciel ogromnego majątku na Podolu, ojciec pięknej Prozerpiny, przyjeżdża do stolicy Austro-Węgier, gdzie oczekuje na swego bratanka Zbigniewa, który, zakochany w Prozerpinie, przed dwoma laty poprosił go o rękę córki. Opaliński postawił wtedy warunek: kandydat na męża musi wyrzec się pracy naukowej, zaprzestać badań i eksperymentów chemicznych. Te doświadczenia, prowadzone przez freiburczyka Discoloris, pochłonęły niemal całą fortunę Zbigniewa. Młody hrabia obiecał dotrzymać słowa i stawić się za dwa lata u Opalińskiego. Fatalny zbieg okoliczności krzyżuje jednak zamiary dyletanta-naukowca. Discoloris, eksperymentując na swym uczniu, pozbawia go barwy, czyniąc niewidzialnym dla otoczenia, a na dzień przed publicznym wyjawieniem tajemnicy umiera rażony apopleksją, nie pozostawiając informacji, w jaki sposób przywrócić Zbigniewowi pierwotną postać. Zrozpaczony hrabia przyjeżdża do Wiednia, spotyka Prozerpinę, lecz kiedy opowiada jej o swoim nieszczęściu i proponuje małżeństwo, kobieta z szyderstwem odtrąca jego rękę...

Błędem byłoby twierdzić, że nowela Sygurda Wiśniowskiego była dla czytelników epoki tylko utopią, klechdą fantastyczną. Już wówczas dyskutowano bowiem nad problemami poruszanymi w utworze, prowadzono intensywne badania nad barwą materii w przyrodzie, zastanawiano się jak można wpływać na zmianę ubarwienia roślin. I tak na przykład w jednym z numerów czasopisma „Kłosy" z roku 1881 informowano, że „przyrodnik szwajcarski, profesor Schnetzler wykrył ciekawe szczegóły tyczące się barw roślinnych (...) Okazało się, że tkanki roślinne przechodzą z jednych barw w drugie pod wpływem pierwiastków kwaśnych i alkalicznych. Kwiaty białe nie mają właściwie żadnej barwy (...) śnieżne lilie umieszczone pod dzwonem pneumatycznym tracą matową swą białość, stają się nikłymi i przezroczystymi".

Na podobnej zasadzie opierają się badania profesora Discoloris. Uważa on, że „włókna ciała ludzkiego są pierwotnie przejrzyste na kształt wody, a stają się widzialnymi i zabarwionymi skutkiem domieszki pigmentów rozmaitych". Profesor eksperymentuje jednak już nie na kwiatach, lecz na człowieku: „mieszając z pokarmem pewne dozy chemiczne jest w stanie zrobić bruneta blondynem i odwrotnie..." Przekraczamy w tym miejscu granicę wiedzy, przenosząc się w dziedzinę fantazji naukowej. Uczony z Freiburga, wprowadzając w układ krwionośny człowieka preparaty chemiczne, czyni go niewidzialnym, neutralizując neutralne barwniki jego ciała.

Hrabia Zbigniew, asystent niemieckiego naukowca, to tragiczna sylwetka młodego zapaleńca wiedzy, rozczytującego się w Millu, Darwinie i Spencerze, zafascynowanego możliwościami twórczego przekształcania świata. Pogardliwym stosunkiem do zasług swego starego, majętnego rodu, przyjaźnią ze sławnymi twórcami chemii organicznej zyskuje opinię „głupca" i „wariata" trwoniącego pieniądze na bezmyślne eksperymenty naukowe. Sam Zbigniew dumny jest ze swoich zainteresowań, a o profesorze Discoloris wyraża się słowami pełnymi szacunku. „Prawie cała moja fortuna poszła na kosztowną pracę ćwierćwieczną odbywającą się pod jego mądrym kierunkiem. Pokładałem ślepą wiarę w geniusz tego wielkiego myśliciela". Zbigniew jest jednak dyletantem – imponuje wiedzą ogólną, teoretyczną, lecz jednocześnie nie ma zamiaru wnikać w gąszcz wzorów chemicznych, odczynników i preparatów, które zażywa. Śmierć profesora staje się zatem nie tylko tragedią osobistą bohatera. Brak możliwości odtworzenia materialnej postaci hrabiego czyni szaleńczą i nierealną hipotezę praktycznego zastosowania „cudownego odkrycia".

Ze zdumiewającą przenikliwością ukazuje Wiśniowski działanie przypadku, nieoczekiwanego zbiegu okoliczności, który potrafi zmienić całe życie człowieka. Na ironię zakrawa fakt, że bohater, ufny w potęgę racjonalnych rozstrzygnięć Przyrody, ponosi klęskę wskutek przypadkowego zdarzenia, kiedy śmierć eksperymentatora przecina pasmo długoletnich, owocnych doświadczeń.

Naukowcy i osoby z nimi współpracujące, wybitne indywidualności gotowe zmienić losy świata, napotykają w „Niewidzialnym" na barierę obojętności, niezrozumienia ze strony środowiska, z którego się wywodzą. Prozerpina poucza niefortunnego eksperymentatora: „jeślibyś trafem szczęśliwym odkrył tajemnicę mądrego wynalazcy, to przez uszanowanie dla stryja i pamięć o mnie obiecaj, że występować będziesz tylko pod pseudonimem. Pomyśl tylko, jak by sąsiedztwo

ciąg dalszy na stronie 52

ciąg dalszy ze strony 51

wiadomość przyjęło, iż jeden z Opalińskich, czarownik jakiś pokazuje się po Paryżach za pieniądze na podobieństwo skoczków i magików".
Konfrontacja społeczeństwo – samotny naukowiec nabierze nieco innej wymowy dopiero w „Niewidzialnym człowieku" (1896) H. Wellsa. Genialny eksperymentator skorzysta z poszerzonego pola działania: realizacja celu otworzy przed nim możliwość zemsty, „odpłaty" za dotychczasowe niepowodzenia i lekceważenie wyników badań. Gryffin, młody, wyjątkowo zdolny uczony, wyklęty przez środowisko naukowe, rozszyfrowujący z uporem tajemnice sił materialnych, zrealizuje długoletnie marzenia na krok przed licytacją majątku. Stanie się niewidzialnym z konieczności, uciekając przed wierzycielami. Kiedy przepadną notatki zawierające szczegóły niezwykłego odkrycia, korzystając ze swej bezosobowej postaci, zemści się w okrutny sposób, sprawiając nieopisane zamieszanie i popłoch. „Widzisz Kemp – wyzna swemu dawnemu koledze uniwersyteckiemu – ludzie tacy jak ty nie rozumieją co to jest pasja. Pracować całe lata, szukać i wynajdywać, a potem widzieć, jak jakiś głupi drab, który nie ma o niczym pojęcia, pomiesza wszystkie twoje plany". Wstąpiwszy raz na drogę przestępstwa i zbrodni, bohater już jej nie opuści. Motyw ukrytej obserwacji przerodzi się powoli w próbę zdobycia władzy. „Snułem plany przeróżnych dziwacznych rzeczy, które mogłem teraz robić bezkarnie" – powie zwolennik nieograniczonych praw dla wtajemniczonych. Griffin jest młodszym bratem hrabiego Zbigniewa. Jednoczą ich wspólne losy: obaj znajdują się poza nawiasem społeczeństwa, poszukując tożsamych sposobów zaspokojenia swoich ambicji i dążeń. Drogi życiowe bohaterów szybko się jednak rozchodzą. Pierwszy zachowuje postawę biernego świadka i obserwatora: niepoprawny idealista przerażony niewdzięcznością ludzką, przeklinający własny los, rozpaczą w czterech ścianach apartamentu wiedeńskiego, a gdy traci ostatnią szansę porozumienia z najbliższymi ginie śmiercią samobójczą. Griffin sam ustala granice swojego świata, jest władczy i niezaspokojony w żądaniach: ścigany jak pies, kąsa i miota się jak pies (...) chce zaprowadzić panowanie terroryzmu, (...) zawładnąć jakimś miastem, panować nad nim, wydawać rozkazy i zabijać nieposłusznych". Wells przejaskrawia rysy psychologiczne swojego bohatera, ukazując straszliwą broń w ręku szaleńca, który bierze odwet na społeczeństwie, pracując nie dla niego, lecz przeciwko niemu. „To obłąkany – twierdzi Kemp – nie ma w nim nic ludzkiego. Myśli tylko o swojej korzyści".
Leitmotivem konstrukcji fabularnej „Niewidzialnego" staje się zasada przełamywania ustalonego porządku. Cudowność wynalazku przejmuje funkcje ingerencji pierwiastka demonicznego w sytuacji, kiedy tradycyjna motywacja strachu jest już wpisana w pożądaną odpowiedź bohaterów. „Drżę o życie papy – mówi Prozerpina – krzyż jest cięższy od mego, bo ja się w części domyślam powodu naszego nieszczęścia, ale on nic a nic się nie dorozumiewa i byłoby mu bardzo trudno pojąć i uwierzyć, iżby się coś podobnego dziać mogło drogą naturalną". Nawet narrator, zamiłowany w „kolekcjonowaniu najnowszych hipotez naukowych", przyznaje iż „są cuda na niebie i ziemi, o których się filozofom nie śniło". Strach, zdziwienie, obawa relacjonującego mijają jednak szybko z powrotem empirycznej motywacji zjawiska. „Stałem niemy, straciwszy zwykły spokój mój i niedowiarczą filozofię" – wspomina narrator, opisując przebieg spotkania z bratankiem hrabiego Opalińskiego. Ale już za chwilę dodaje: „Wszystko co działo się wokół mnie dałoby się zapewne naturalnymi przyczynami wytłumaczyć, gdyby można było posiąść klucz lub pierwszą wskazówkę do zagadki". Cudowność okazuje się grą złudzeń, a fantastyka użycza jej schronienia tylko na chwilę, wypędzając poza warowny obóz empirii i chemii doświadczalnej.

Andrzej Niewiadowski

■

REFLEKSJA I TERAPIA

Różni teoretycy różnie wypowiadają się na temat zadań naukowej fantastyki. „Stara szkoła" pisarzy science fiction opowiada się za teorią, którą reprezentował ongiś John W. Campbell. Według tego poglądu literatura fantastyczno-naukowa nie jest literaturą bohaterów, nie jest literaturą fabuły, nie bawi się w rozważania[1]. Jest to rodzaj literatury będący pewną „pracą myśli" – szukaniem coraz to nowych konceptów naukowych, mogących być przydatnymi w pracy naukowej i technicznej. Jest to pewien eksperyment myślowy, z którego nikt nie wie co może wyniknąć. Robert J. Barthell, rzecznik tego poglądu, przywołuje tu przykład projektu Manhattan, w którym pracowali uczeni nie zdając sobie często sprawy do czego służą ich badania. Zbliżone do tego poglądu stanowisko reprezentuje polski pisarz, a jednocześnie naukowiec, Konrad Fiałkowski.

Na III Kongresie Europejskim Science Fiction w Poznaniu w roku 1976 powiedział on: „Nie ulega wątpliwości, że bez współczesnej nauki nie byłoby współczesnej fantastyki i to nie tylko dlatego, że nauka działa stymulująco na twórców fantastyki naukowej. Warunkiem koniecznym, by literatura SF mogła znaleźć odbiorców we współczesnym społeczeństwie, jest stworzenie pewnego specyficznego klimatu zaufania do możliwości nauki. (...) Tylko świat rzeczywisty, w którym to co dziś pomyślano może stać się jutro bytem naukowym czy technicznym, stanowi podatne środowisko dla literatury fantastyczno-naukowej".[2]

Pogląd tu zaprezentowany pozwala nam lepiej zrozumieć dlaczego fantastyką naukową dosyć często zajmują się naukowcy z różnych dziedzin. Nie brak wśród nich takich sław jak: Leo Szilard, Albert Einstein, Fred Hoyle, Bertrand Russell, w Polsce wspomniany Konrad Fiałkowski i wielu innych. Fantastyka w tym ujęciu staje się specyficznym eksperymentem myślowym wychodzącym poza kanony myślenia naukowego, ale pozwalającym nauce podjąć odważniej pewne problemy.

Jest to oczywiście program dość szeroki, szczególnie w porównaniu ze stanowiskiem mówiącym, iż fantastyka naukowa pełni funkcję popularyzacji osiągnięć nauki w środowiskach inteligenckich lub zaspokajania szczególnych intelektualnych potrzeb czytelników. Taki pogląd reprezentuje na przykład Marek Wydmuch, który pisze: „Fantastyka wywiera zwykle na ludzi piszących pewien specyficzny wpływ, fantastyka zaś naukowa jest, jak sądzę, szczególną jej odmianą, stworzoną jakby dla zaspokojenia szczególnych intelektualnych potrzeb, wypełnienia rodzaju psychicznego vacuum współczesnej inteligencji".[3] Pogląd łączący obie te funkcje: popularyzatorska i eksperymentalno-naukową wypowiada słynny kosmonauta, a zarazem miłośnik science fiction – Aleksiej Leonow: „Literatura fantastyczno-naukowa, film, plastyka spełniają bardzo pozytywną rolę. Popularyzując dorobek nauki i techniki, stanowią również pomost między wyobraźnią twórców a rzeczywistością".[4]

Jednakże obie te funkcje nie ukazują jeszcze w pełni roli, jaką spełnia fantastyka naukowa we współczesnym świecie. Polemizując ze zdaniem Roberta J. Barthella, Mark Mumper stwierdza, że pogląd reprezentowany przez Barthella i Campbella jest przestarzały. W dzisiejszych czasach science fiction nie należy bowiem traktować jako eksperymentu myślowego lecz jako literaturę humanizmu. Funkcją fantastyczno-naukowej literatury powinien być wciąż na nowo ponawiany wysiłek, aby zdefiniować człowieka w zmieniających się warunkach techniki, aby wpajać humanistyczne wartości w ludzką wiedzę i technologię, aby dostarczać „niezliczonych obrazów człowieka jako spokrewnionego z Wszechświatem".[5]

W takim ujęciu literatura fantastyczno-naukowa jawi się nam jako rodzaj filozoficznej refleksji nad człowiekiem i światem. Ta filozoficzna refleksja często dotyczy problemów, którymi filozofia się nie zajmuje, np. problemem życia ludzkiego w skali astronomicznej, problemem możliwych kontaktów z innymi istotami rozumnymi (o ile takie istnieją). J.S. Szkłowski trafnie zauważa: „niestety prognoza najogólniejszych aspektów rozwoju społeczeństwa istot rozumnych, trwającego w astronomicznej lub – ściślej – prawie astronomicznej skali czasu, nie może opierać się na rozważaniach filozoficznych. Przyczyną tego jest pewne opóźnienie się filozofii nie zawsze dającej sobie radę z zagadnieniami o większym znaczeniu praktycznym niż problemy tu omawiane".[6]

Nie tylko jednak problemy filozoficzne, których filozofia nie podejmuje, są domeną fantastyki naukowej. Ma ona ukazywać również problemy człowieka uwikłanego w doświadczenia nauki i techniki. I nie tylko ukazywać lecz także oddziaływać na rzeczywistość, zmieniać ją. Tak właśnie pojmuje funkcje literatury fantastyczno-naukowej Jeremij Parnow – pisarz i teoretyk tego gatunku. Pisze on: „fantastyka wnosi w problematykę naukową brakujący jej ludzki element. Powinna stać się swoistym estetycznym lustrem nauki.(...) Ale „powieść prognoza" wtedy osiąga swój cel, jeśli nie tylko po prostu pokazuje zło, lecz także wykrywa jego społeczne korzenie, aktywnie z nim walczy".[7]

Tak pojmując zadania literatury fantastyczno-naukowej oraz pamiętając o olbrzymim jej zasięgu, musimy przyznać science fiction ważną funkcję w tworzeniu współczesnej kultury. Dostrzegają to pisarze i teoretycy gatunku. Thomas L. Wymer stwierdza na przykład, że „SF pokazuje, iż popularna literatura nie musi być gorsza, że może ona pełnić znaczącą funkcję w kulturze, krytycznie eksplorując i tworząc własne wartości i świadomość".[8]

Aby spełnić takie zadanie literatura ta musi wciąż poszukiwać nowych form oddziaływania. I rzeczywiście science fiction jest literaturą, w której ciągle poszukuje się nowych form. Stwierdzają to pisarze i teoretycy SF.

Vladimir Colin twierdzi: „SF staje się w coraz większym stopniu literaturą refleksji filozoficznej, oscylującą w kierunku przypowieści, adaptującą różne techniki, by wpływ na umysł człowieka uczynić potężniejszym".[9] A Gerard Klein zauważa: „SF jest jedyną formą literatury naprawdę nowoczesnej, jest ona dzisiaj jedyną żywą literaturą".[10]

To ostatnie stwierdzenie grzeszy chyba zbytnią wiarą w wartości science fiction. Nie sposób jednak odmówić racji teoretykom twierdzącym, że literatura ta spełnia we współczesnej kulturze ważne funkcje. Jedną z tych funkcji jest funkcja wychowawcza. Podkreśla to wielu teoretyków. Fantastyka naukowa, czytana przez młodzież, spełnia wyjątkowe zadanie. Zasadniczą jej wartością jest kształtowanie postaw potrzebnych w świecie, którego jeszcze nie ma, który będzie dopiero urzeczywistniony. Science fiction ukazując mnogość problemów, które stoją przed ludzkością, spełnia ważną rolę: budzi ciekawość świata, chęć nauki i wolę tworzenia coraz lepszej przyszłości. Uodparnia też młodzież na

szybkość zmian współczesnego świata. Chroni więc przed „szokiem przyszłości". Twierdzi tak twórca tego terminu Alvin Toffler, który pisze: „nie mamy literatury przyszłości... ale mamy literaturę o przyszłości, składającą się nie tylko ze słynnych utopii, lecz także ze współczesnej literatury fantastyczno-naukowej. Może słusznie nie przypisuje się jej wysokiej rangi literackiej, ale jeśli potraktujemy ją jako pewien rodzaj socjologii przyszłości, musimy przyznać, że ten rodzaj literacki ma dużą wartość, ponieważ rozbudza fantazję i wyobraźnię czytelnika i pomaga mu w wyrobieniu sobie nawyku przewidywania. Nasze dzieci powinny czytać takich pisarzy jak Arthur C. Clarke, William Tenn, Robert Heinlein, Ray Bradbury czy Robert Sheckley, nie dlatego że pisarze ci opowiadają im o okrętach rakietowych i wehikułach czasu, ale przede wszystkim dlatego, że mogą oni porwać młode umysły, rozbudować fantazję i ukazać te wszystkie zagadnienia polityczne, społeczne, psychologiczne i etyczne, z którymi będą miały nasze dzieci do czynienia kiedy dorosną".[11] Podobnie pojmuje funkcje tej literatury radziecki pisarz i naukowiec Aleksander Szalimow, który powiedział na III Kongresie Europejskim Science Fiction w Poznaniu: „Literatura fantastyczno-naukowa modelując sytuacje, stosunki i procesy, które mogą nastąpić w bardziej czy też mniej oddalonej przyszłości, ekstrapolując w przyszłość problemy dnia codziennego, w tej liczbie i problem środowiska naturalnego, może i powinna postawić sobie jako jedno z zadań walkę o ochronę przyrody i pomnożenie naturalnego bogactwa planety – ojczyzny ludzkości. Jedną z ważniejszych funkcji literatury SF, jak zresztą i całej literatury, jest funkcja wychowawcza".[12]

A szwajcarski pisarz Pierre Versins stwierdza: „Rola powieści naukowo-fantastycznej? Pobudzać wyobraźnię, zmuszać do refleksji, ale przede wszystkim udowodnić i przekonać, że to co nowe, to co przed nami, będzie inne i musi nadejść".[13] Tak więc są to podobne stwierdzenia do tych, które wygłasza Toffler.

Na tym przeglądzie można by wyczerpać ważniejsze funkcje przypisywane literaturze fantastyczno-naukowej. Niektórzy teoretycy znajdują jeszcze inne funkcje, które science fiction spełnia. Tak na przykład Andrew J. Burgess stwierdza, iż wiele dzieł SF można wykorzystywać jako instrument nauczania religii, gdyż literatura ta, pokazując uwikłanie człowieka w problemy Wszechświata, nieuchronnie odwołuje się w niektórych dziełach do transcendencji. Burgess sięga do książek fantastyczno-naukowych poruszających religijną problematykę. Przywołuje nazwiska C.S. Lewisa („Perelandra", „Out of the Silent Planete"), Jamesa Blisha („A Case of Conscience"), Waltera Millera jr. („A Canticle for Leibowitz").[14]

Inny teoretyk Louis A. Rongione przypisuje fantastyce naukowej funkcje terapeutyczne. Sądzi on, iż SF ma właściwości likwidowania frustracji, ponieważ rozwiązuje wszelkie problemy. Autor ten, stojąc na stanowisku światopoglądu chrześcijańskiego, stwierdza jednak, że nie należy przeceniać tej literatury, gdyż w chwili obecnej tylko teologia i filozofia może przeprowadzić człowieka „przez morze totalnej destrukcji".[15]

Rekapitulując należałoby stwierdzić, iż fantastyka naukowa pełni we współczesnym świecie następujące funkcje:

- popularyzatorską – SF przybliża problemy nauki i techniki humanistycznej inteligencji oraz uwrażliwia techników na problematykę humanistyczną;
- eksperymentu myślowego – SF staje się płaszczyzną, na której nauka wypróbowuje pewne ryzykowne hipotezy i stawia hipotezy, które na gruncie nauki byłyby bezpodstawne;
- refleksji filozoficznej – SF w coraz większym stopniu staje się „filozofią ludową", filozofią najszerszego grona czytelników; podejmuje w sposób naiwny być może, wiele problemów filozoficznych przyswajanych przez wielu czytelników, którzy nigdy w inny sposób nie zapoznaliby się z filozoficzną problematyką;
- wychowawczą – SF jest literaturą szczególnie chętnie czytaną przez młodych ludzi, co jest zjawiskiem korzystnym, bowiem uwrażliwia czytelników na problemy, z którymi w przyszłości będą się musieli zmierzyć; ma to także reperkusje negatywne, gdyż w wielu krajach zaczęto ten gatunek literacki uważać za odłam literatury młodzieżowej, co często powoduje rezygnację z wydawania pozycji poważniejszych, istotnych z punktu widzenia rzetelnego, niebanalnego ujmowania problematyki filozoficznej;
- rozrywkową – SF stała się odłamem popularnej literatury rozrywkowej; zdarza się, iż ta funkcja przesłania wszystkie inne, a wtedy nie można literaturze fantastyczno-naukowej przypisać żadnych głębszych wartości.

Funkcję terapeutyczną science fiction może pełnić i pełni ją, ale problem ten nie jest jeszcze zbadany i być może dobrze byłoby się nim w przyszłości zająć. Byłaby to jednak domena psychologów i lekarzy. Wśród wielu pisarzy i teoretyków panuje przekonanie, iż nie należy wyodrębniać science fiction jako specyficznego działu literatury. Brian Aldiss pisze: „Fantastyka naukowa powinna być przede wszystkim literaturą, a nie ulubioną zabawką zbzikowanego naukowca" i dodaje: „za swojego nauczyciela uważałbym przede wszystkim Herberta Wellsa – jednego z wielkich twórców współczesnej literatury fantastyczno-naukowej. Inni to: Aldous Huxley, George Orwell, Sinclair Lewis i wreszcie autor najlepszych książek w całej fantastyce światowej – Lewis Caroll, twórca dwóch bajek o Alicji. I jeśli ci wszyscy ludzie „robili" fantastykę naukową, to robili przede wszystkim wielką literaturę – a literatura jako taka jest znacznie ważniejsza, niż sama fantastyka. Każdy z tych pisarzy ma swoje porachunki z postępem. Co do mnie to bardzo bym pragnął, aby na początku ludzkość nauczyła się żyć i właściwie działać na Ziemi, zanim pośpieszy profanować inne planety".[16]

Można się zgodzić z Aldissem, że science fiction powinna być przede wszystkim literaturą. Nie sposób jednak nie zauważać, że motywy tej literatury są w szczególny sposób ograniczone. Motywami są i pozostaną problemy związane z rozwojem nauki i techniki, z eksploracją Kosmosu, z problemem bliższej i dalszej przyszłości człowieka. Izaak Majzel twierdzi, iż uwzględniając rzeczywiste bogactwo współczesnej fantastyki naukowej, jako osobnej dziedziny sztuki, można dokonać następującego uogólnienia: „Fantastyka naukowa jest artystycznym modelowaniem świata działań i stosunków ludzkich w hipotetycznych sytuacjach związanych z nauką i jej wpływem na życie społeczne".[17]

Stwierdzić jednak należy jasno: nauka, technika, Kosmos – to motywy, którymi karmi się fantastyka naukowa. Jednakże, jeśli literatura ta ma być rzeczywiście pełnoprawną **literaturą** – to musi mówić przede wszystkim o problemach człowieka uwikłanego w doświadczenie współczesnego świata. I dlatego też podstawowych problemów literatury fantastyczno-naukowej należy szukać w filozoficznych aspektach rewolucji naukowo-technicznej.

Zdzisław LEKIEWICZ urodził się w 1946 r. w Świebodzinie Wielkopolskim. W latach 1965 – 1970 studiował na Wydziale Psychologii i Pedagogiki, a następnie na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. W roku 1978 obronił pracę doktorską „Filozofia science fiction" pisaną pod kierunkiem prof. Bogdana Suchodolskiego. Opublikował ponad 40 artykułów, szkiców i recenzji dotyczących zagadnień współczesnej filozofii, socjologii i psychologii. Swoje wypowiedzi ogłaszał m.in. na łamach „Studiów Filozoficznych", „Warsztatu", „Argumentów", „itd", „Politechnika", „Na Przełaj". Uczestniczył w sympozjach i seminariach naukowych poświęconych problematyce filozoficznej i literackiej (m.in. w Międzynarodowym Seminarium Orbity Przyjaźni, 1980). Obecnie pracuje w Międzyuczelnianym Instytucie Nauk Społeczno-Politycznych Szkolnictwa Artystycznego i przygotowuje pierwszą publikację książkową omawiającą relacje pomiędzy filozofią a literaturą science fiction.
Artykuł „Refleksja i terapia" jest fragmentem jego pracy doktorskiej.

1. Zob. Robert J. Barthell – „SF: A Literature of Ideas" w: „Extrapolation" Vol 13, Nr 1, Dec. 1971, s. 59–61.
2. K. Fiałkowski – „Model rzeczywistości pomyślanej" w: „Nurt" 1976/8.
3. M. Wydmuch – „Lem, czyli Kopernik w podejrzanym Kosmosie" w: „Literatura na świecie" 1974/7, s. 254.
4. Cyt. za: C. Chruszczewski – „Konstruktywna rola fantastyki naukowej" w: „Nowe Drogi" 1976/10, s. 173.
5. Mark Mumper – „SF: A Literature of Humanity" w: „Extrapolation" Vol 14, 1972/1.
6. J.S. Szkłowski – „Wszechświat, Życie, Myśl", Warszawa 1965, s. 259.
7. J. Parnow – „W god Baszni Sołnca" w: „Sbornik Naucznoj Fantastyki" nr 13, Moskwa 1974, s. 192–193.
8. Thomas L. Wymer – „Perception and Value in Science Fiction" w: „Extrapolation" Vol 16, 1975/2, s. 111.
9. Cyt. za: C. Chruszczewski – „Konstruktywna rola...", cyt, wyd., s. 172,
10. Tamże, s. 172.
11. Alvin Toffler – „Szok przyszłości", Warszawa 1974, s. 469–470,
12. C. Chruszczewski, ibid., s. 174.
13. Tamże, s. 172.
14. Bliżej na ten temat zob. Andrew J. Burgess – „Teaching Religion Through Science Fiction" w: „Extrapolation" Vol 13, 1972/12, s. 112–115.
15. Zob. Louis A. Rongione – „The Psychological Aspects of Science Fiction Can Contribute Much to Bibliotherapy" w: „Catolic Library World", 1964/136, s. 96–99.
16. Brian Aldiss – „Fantastyka, czyli obrachunki z postępem" w: „Problemy" 1976/8, s. 55.
17. Izaak Majzel – „Nauka w społeczeństwie", Warszawa 1975, s. 364.



Ryszard Wojtyński

Komputeryzacja i informatyzacja a skutki ekonomiczne i społeczno-polityczne szerokiego zastosowania tych technik – to standardowy wątek literatury SF. Obecnie jednak coraz częściej „naukowa fikcja" staje się codziennym doświadczeniem milionów ludzi. Mówi o tym tekst znakomitego amerykańskiego autora, Alvina Tofflera „Szok przyszłości" i „Ekospazm". Tekst ten pochodzi z jego najnowszej książki zatytułowanej „Trzecia Fala" (Pierwszą było rolnictwo, Drugą – industrializacja, a Trzecia to rewolucja informacyjna). Autor interesująco przedstawia pewne koncepcje dotyczące wpływu zmian w gromadzeniu i przekazywaniu informacji na całość życia społecznego. (Red.)

WIOSKA ELEKTRONICZNA

W postępie technicznym, który nadaje dziś kierunek rozwoju nowego systemu produkcji przemysłowej, kryje się potencjalna rewolucja społeczna o takich rozmiarach, że niewielu ludzi zdobywa się na odwagę, próbując ocenić jej znaczenie. Miejscem tej rewolucji będzie bowiem m.in. nasz własny dom.(...)

Widząc całe rzesze kosiarzy na polach, tylko wariat mógłby 300 lat temu marzyć o tym, że wkrótce nadejdą czasy, kiedy pola opustoszeją, a ludzie stłoczeni w miejskich fabrykach będą w ten sposób zarabiać na chleb. I tylko wariat miałby rację. I dziś trzeba odwagi, aby powiedzieć, że największe fabryki i biurowce mogą – jeszcze za naszego życia – wyludnić się i zmienić w jakieś upiorne składy czy magazyny, albo zacząć służyć komuś za mieszkanie. Tymczasem, dzięki nowym technikom staje się możliwy powrót do odbywającej się we własnym domu produkcji, opartej na nowej zasadzie wysoko rozwiniętej elektroniki; przy czym dom nabiera jednocześnie nowego znaczenia, stając się najważniejszą instytucją w społeczeństwie.

Powiedzieć komuś, że miliony ludzi będą wkrótce przebywać głównie w domu zamiast w biurze czy w fabryce, to tak jakby otworzyć tamę tysiącom protestów i sprzeciwów. Trzeba przyznać, że nie brak powodów do sceptycyzmu. „Ludzie nie chcą pracować w domu, nawet gdyby mogli. Spójrzcie na te wszystkie kobiety, które walczą o to, aby wyjść z domu i pójść do pracy!" „Przy dzieciach nie można w ogóle w domu nic zrobić!" „Ludzie nie będą mieli motywacji, jeżeli nikt ich nie będzie pilnował". „Ludziom potrzebny jest bezpośredni kontakt do wytworzenia wzajemnego zaufania, niezbędnego we wspólnej pracy". „Mieszkania nie są przystosowane do pracy zawodowej". „Praca w domu? To znaczy na przykład mały piec hutniczy w każdej piwnicy?" „A co z przepisami o strefach wydzielonych i co z protestami właścicieli osiedli?" „Idea upadnie z powodu związków zawodowych". „A co z podatkami? Sekwestratorzy coraz surowiej traktują potrącenia z tytułu pracy w domu". No i na koniec argument koronny: „Co? Mam spędzać w domu cały dzień z żoną (lub mężem)?!"
Stary Marks też zmarszczyłby brwi. Był zdania, że praca w domu jest wsteczną formą produkcji, ponieważ „zbieranie się ludzi w miejscu pracy" stanowi „konieczny warunek będący podstawą podziału pracy w społeczeństwie". Słowem, nie brakowało i wciąż nie brakuje prawdziwych (i nieprawdziwych) powodów, które wystarczają, aby całą tę ideę uważać za głupią.

Praca domowa

Ale przecież 300 lat temu było równie wiele, jeżeli nie więcej powodów, aby przypuszczać, że ludzie nigdy nie wyjdą z domu i z pola i pójdą pracować w fabrykach. Harowali oni na swoich gospodarstwach ostatecznie przez 10 tysięcy lat, a nie przez trzysta. Tysiącem niewidocznych łańcuchów związana była z ogniskiem domowym i ziemią cała struktura życia rodzinnego, proces wychowywania dzieci i formowania się osobowości ludzkiej, cały system własności majątkowej i władzy, kultura i powszednia walka o byt. Łańcuchy te jednak zostały dość gładko zerwane, jak tylko pojawił się nowy system produkcji.

Znowu to samo dzieje się teraz, kiedy różne siły koncentrują się na tym, aby przenieść dotychczasowe miejsce pracy gdzie indziej.

Przede wszystkim przejście ze sposobu produkcji Drugiej Fali na nowy, bardziej nowoczesny sposób Trzeciej Fali, powoduje redukcję – o czym była już mowa – liczby robotników zajmujących się faktyczną obróbką lub obsługą rzeczy materialnych. Oznacza to, że nawet w sektorze produkcji artykułów przemysłowych – przy odpowiednich urządzeniach telekomunikacyjnych i innych – coraz większą część pracy można by było wykonywać gdziekolwiek, nawet we własnym domu. I nie jest to bynajmniej fantastyczno-naukowa fikcja. Kiedy kompania Western Electric zaniechała produkcji urządzeń elektromechanicznych przeznaczonych dla telefonii i rozpoczęła produkcję układów elektronicznych, w nowoczesnych zakładach na północy stanu Illinois zmieniła się duża część załogi. Przedtem robotnicy fizyczni przeważali nad personelem technicznym w stosunku 3:1. Po podjęciu nowej produkcji odpowiedni stosunek wynosi 1:1. Oznacza to, że co najmniej połowa dwutysięcznej załogi Western Electric zajmuje się obecnie informatyką, a nie przedmiotami w fizycznym sensie. Większość pracy można zatem wykonywać nie w zakładzie, a w domu. Dyrektor techniczny zakładów w Płn. Illinois, Dom Cuomo twierdzi kategorycznie: „Jeżeli uwzględnimy również obowiązki kadry inżynierskiej, to od 10 do 25 procent wszystkich zadań produkcyjnych można by było wykonywać w domu już teraz, przy istniejącej technologii".(...)

Wspomniane dane szacunkowe nie dotyczą wyłącznie gałęzi związanych z przemysłem elektronicznym ani tylko wielkich kombinatów. Jak powiada wiceprezydent kanadyjskiej firmy Ortho Pharmaceutical, Peter Tattle, nie chodzi o to „ilu pracownikom można zezwolić na pracę w domu", tylko raczej o to „ilu musi pracować w biurze czy fabryce". Na 300 osób zatrudnionych w jego zakładzie – jak twierdzi Tattle – „co najmniej 75 procent mogłoby pracować w domu po założeniu niezbędnej instalacji łączności elektronicznej". Zdaje się zresztą, że to co da się zastosować do elektroniki i farmaceutyków, można zastosować również do innych nowoczesnych gałęzi przemysłu.(...)

Dokładnie nie wiadomo ile, ale na pewno sporo, pracują w domu tacy ludzie jak np. komiwojażerzy i agenci handlowi, którzy załatwiają klientów telefonicznie lub osobiście w kantorku domowym i tylko z rzadka zaglądają do firmy; w domu pracują też architekci i projektanci; mnożący się gwałtownie konsultanci o najróżniejszych specjalnościach technicznych; ogromna grupa specjalistów świadczących usługi z zakresu psychiatrii, neurologii i psychologii; w domu udzielają lekcji nauczyciele muzyki i języków obcych; w domu mają swe galerie antykwariusze i marchandzi sztuki współczesnej; w domu przyjmują klientów pośrednicy handlu nieruchomościami, agenci ubezpieczeniowi, adwokaci i w domu pracują także akademiccy pracownicy naukowi oraz przedstawiciele wielu wolnych zawodów, różnych dziedzin usługowych i specjalności technicznych.

Specjalności te należą ponadto do najszybciej rozszerzającej się kategorii zawodów; każdy kolejny krok na drodze postępu technicznego, dzięki któremu można w każdym domu urządzić niewielkim kosztem „stanowisko pracy" wyposażone na przykład w najnowszy typ maszyny do pisania, kopiarkę lub konsolę komputerową oraz zainstalować urządzenie „telekonferencyjne" (zapewniające obustronną łączność tele-video-foniczną) – radykalnie zwiększa możliwości wykonywania pracy zawodowej w domu.(...)

Zgadza się z tym w zupełności Nathaniel Samuels, jeden z dyrektorów banku inwestycyjnego Lehman Kuhn Loeb. Samuels, który pracuje w domu przez 50 do 75 dni w roku, jest zdania, że „postęp techniczny zwiększy ilość pracy w domu". W wielu kompaniach już teraz przestano się upierać, aby pracownicy koniecznie pracowali w biurze. Kiedy niedawno wielka kompania przemysłu drzewnego Weyerhaeuser miała przygotować nową broszurę na temat praw i obowiązków pracowniczych, jej wiceprezydent R.L. Siegel spędził wraz z trzema współpracownikami prawie tydzień w swoim domu, gdzie wspólnie opracowali projekt broszury. „Woleliśmy uciec (z biura), żeby nic nas nie rozpraszało" – wyjaśnia Siegel. I dodaje: „Praca w domu nie kłóci się zresztą z przecho-

dzeniem naszej kompanii na indywidualny czas pracy. Najważniejsze jest to, aby praca była wykonana, natomiast gdzie to nastąpi, nie ma znaczenia".(...)

„Czy biuro jako takie jest w ogóle potrzebne?" – pyta Harvey Poppel z firmy Booz Allen and Hamilton. Prywatnie Poppel przewiduje, że „do lat 90-tych możliwości komunikacji dwukierunkowej będą musiały osiągnąć taki stopień rozwoju, że stanie się możliwe przenoszenie pracy do domu na masową skalę". Jego pogląd podziela wielu naukowców, m.in. Robert F. Latham, pracownik działu prognoz długoterminowych w kanadyjskim oddziale kompanii Bell w Montrealu. „W miarę jak będą przybywać coraz to nowe specjalizacje oparte na informatyce, wzrośnie liczba ludzi pracujących w domu bądź w sąsiedzkim centrum elektronicznym".

Podobnie twierdzi konsultant ds. organizacji pracy amerykańskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, Hollis Vail, zapewniając, że do połowy lat 80-tych „przyszłościowe ośrodki informatyki z łatwością można będzie instalować w domach pracowników"; jest on autorem scenariusza, w którym opisuje w jaki sposób sekretarka „Jane Adams" zatrudniona przez kompanię „Afgar" mogłaby pracować w domu, widując się ze swoim szefem jedynie co pewien czas, w celu „omówienia aktualnych problemów, no i oczywiście w celu brania udziału w biurowych przyjęciach".

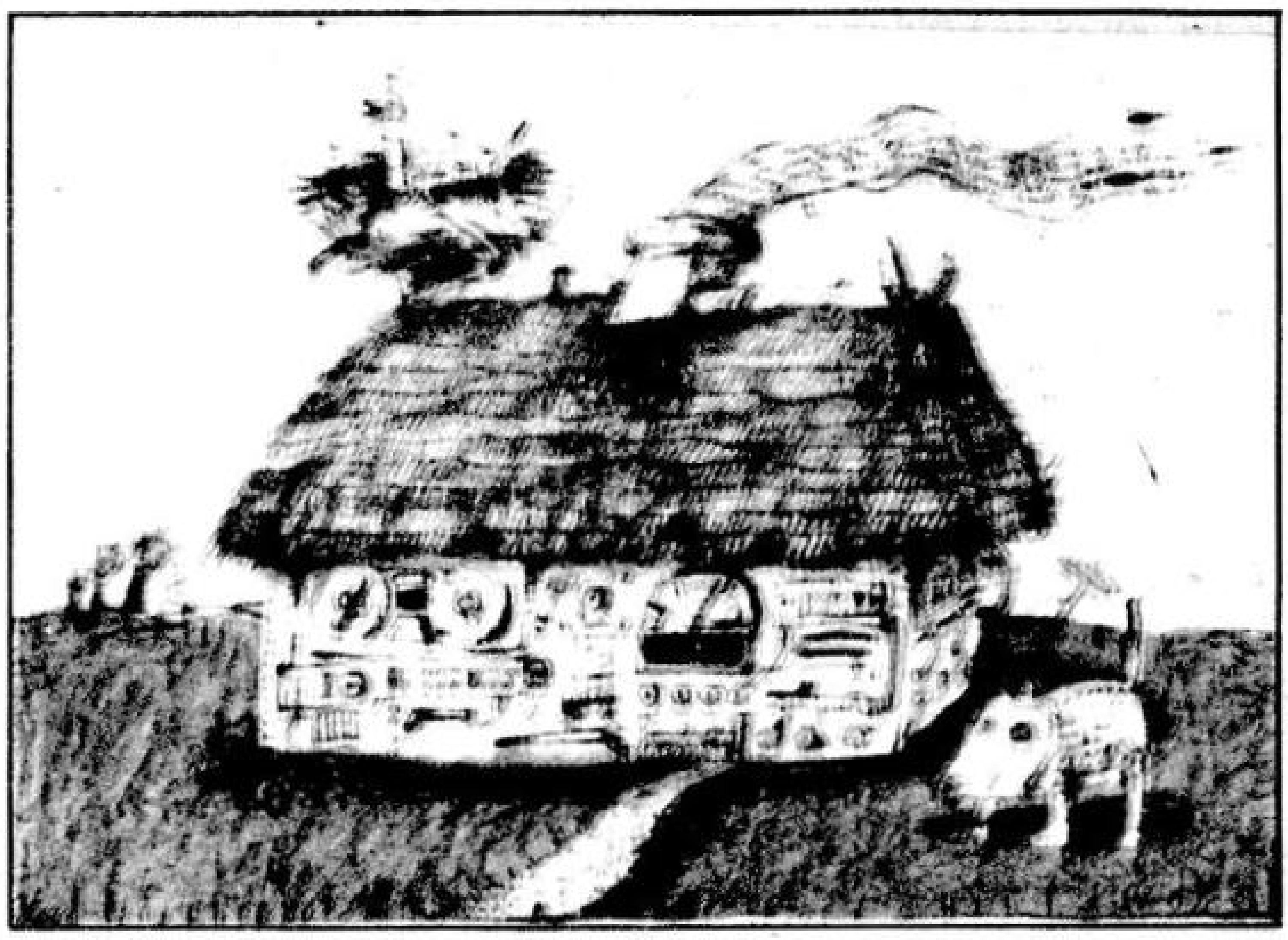
Pogląd ten podziela również instytut ds. przyszłości, który już w 1971 roku przeprowadził ankietę wśród 150 ekspertów w najbardziej nowoczesnych pod względem technologicznym kompaniach opartych na informatyce; rezultaty ankiety pozwoliły wyodrębnić 5 różnych kategorii zajęć, nadających się do wykonywania w domu.(...)

Instytut uważa, że „sekretarki, inżynierowie, kreślarze i inne „białe kołnierzyki" mogliby szereg swoich zajęć wykonywać w domu z taką samą lub jeszcze większą łatwością jak w biurze". Jedno „ziarno przyszłości" już kiełkuje także w Wielkiej Brytanii, gdzie kompania pod nazwą F. International Ltd. (F. – jak „freelance" czyli „wolny", „niezależny") zatrudnia 400 nieetatowych programistów komputerów, z których tylko garstka wykonuje swą pracę nie w domu. Kompania ta organizuje zespoły programistów dla przemysłu i znalazła już klientów m.in. w Holandii i w krajach skandynawskich; należą do jej klienteli także takie giganty jak British Steel, Shell i Unilever. „Domowe programowanie komputerów – pisze „Guardian" – to przemysł wioski elektronicznej lat 80-tych".

Słowem, w miarę jak społeczeństwo ogarnia Trzecia Fala, spotykamy coraz więcej przedsiębiorstw, które można określić słowami jednego z naukowców, a mianowicie, że są to „gromady ludzi stłoczonych wokół komputera". Wprowadźmy komputery do mieszkań, a ludzie nie będą już musieli wokół nich się tłoczyć. (...)

Telekomunikacja zamiast transportu

Tymczasem jednak na awans wioski elektronicznej składa się wiele poważnych czynników. Wyróżnia się wśród nich ekonomiczna dysproporcja pomiędzy transportem i telekomunikacją, coraz wyraźniej przechylająca się na korzyść ostatniej. Większość krajów wysoko rozwiniętych ogarnia ostatnio kryzys transportu i motoryzacji w ogóle, polegający na przeciążeniu do granicy wytrzymałości systemu transportu masowego, na ustawicznych korkach na drogach i autostradach, na braku miejsc do parkowania, na skażeniu atmosfery spalinami. A nadto, niemal bez przerwy są gdzieś jakieś strajki pracowników transportu i wiecznie się coś psuje, przy czym koszty wciąż zawrotnie idą w górę.



Zygmunt Januszewski

Rosnące koszty dojazdów do pracy ponoszą indywidualni pracownicy. Ale naturalnie koszty te pośrednio spadają na pracodawców w postaci wyższego funduszu płac oraz na klientów – w postaci wyższych cen. Jack Nilles wraz z zespołem specjalistów przeprowadził w tej sprawie badania pod auspicjami Krajowej Fundacji Naukowej. Wykazały one, jakie można by było uzyskać oszczędności – zarówno finansowe jak i energetyczne – gdyby pewna, względnie spora grupa pracowników umysłowych przestała dojeżdżać do biur w śródmieściu. Zespół Nillesa nie upiera się zresztą przy pracy w domach; ludzie mogliby pracować w zakładach rozmieszczonych w bliskim sąsiedztwie ich miejsc zamieszkania; byłby to półśrodek w rodzaju „na wpółdomowego" modelu pracy.

Zespół Nillesa stwierdził, że na 2.048 pracowników kompanii ubezpieczeniowej w Los Angeles, każda osoba przebywa średnio 21,4 mili dziennie w drodze do pracy i z powrotem (w porównaniu ze średnią krajową wynoszącą 18,8 mili dla pracowników miejskich w USA). Im wyższy szczebel drabiny stanowisk i funkcji, tym dłuższy dojazd, osiągający średnią wartość 33,2 mili w przypadku posad dyrektorskich. W sumie pracownicy ci swoimi samochodami odbywali do pracy i z pracy drogę długości 12,4 miliona mil co roku, zużywając na to blisko tyle godzin ile składa się na połowę stulecia. (...)

Teraz tylko pytanie, kiedy koszt instalacji i działania oprzyrządowania telekomunikacyjnego spadnie poniżej kosztu dojazdów do pracy? W miarę jak wszędzie horrendalnie drożeje benzyna i inne koszty transportu (łącznie z kosztami transportu masowego, będącego formą zastępczą własnego samochodu) – cena telekomunikacji wyraźnie się zmniejsza. W którymś momencie krzywe na tym wykresie będą musiały się przeciąć.

Ale nawet nie te czynniki popychają nas niepostrzeżenie w kierunku geograficznego rozproszenia produkcji, a w ostateczności do przyszłej wioski elektronicznej. Badania Nillesa ujawniły, że pracujący w mieście obywatel amerykański zużywa na dojazdy do pracy i do domu średnio 64,6 kilowata energii dziennie (ekwiwalent zużytego paliwa); (pracownicy kompanii ubezpieczeniowej w Los Angeles spalali w czasie dojazdów 37,4 miliona kilowatów każdego roku). W przeciwieństwie do tego, do przesyłania informacji potrzeba o wiele mniej energii. (...)

Typowy terminal komputerowy zużywa w czasie eksploatacji tylko od 100 do 125 watów, a linia telefoniczna pod obciążeniem – zaledwie jeden wat. Nilles obliczył, że „stosunek względnego zużycia energii przy zastosowaniu telekomunikacji do zużycia energii potrzebnej na dojazdy do pracy wynosi co najmniej 29:1 – gdy dojazdy odbywają się prywatnymi samochodami; 11:1 – gdy pracownicy dojeżdżają środkami transportu masowego, nie w pełni wykorzystując ich ładowność; oraz 2:1 – przy 100-procentowym wykorzystaniu miejsc w masowych środkach transportu".

Wniosek z tych kalkulacji jest taki, że w 1975 roku, gdyby bodaj 12–14 procent dojazdów w zurbanizowanych obszarach USA można było zastąpić telekomunikacją, to Stany Zjednoczone zaoszczędziłyby blisko 75 milionów baryłek benzyny i tym samym mogłyby zupełnie zrezygnować z konieczności wszelkiego importu ropy z zagranicy. Implikacje tego jednego faktu dla bilansu płatniczego Stanów Zjednoczonych oraz dla bliskowschodniej polityki mogłyby również okazać się zaiste brzemienne w skutki.

Skoro w ciągu najbliższych dziesięcioleci ceny benzyny i energii będą generalnie rosnąć, zarówno koszty finansowe jak i kwoty zaoszczędzone z tytułu niewydat-

kowanych zasobów energii w związku z eksploatacją supernowoczesnych maszyn do pisania, telekopiarek, łącz audio i video oraz terminali domowych, będą relatywnie coraz mniejsze, zwiększając w dalszym ciągu korzyści płynące z przerzucenia przynajmniej części produkcji z wielkich centralnych zakładów, przeważających w epoce Drugiej Fali. (...)

Powrót do pracy w domu i zredukowanie dojazdów zmniejszy również zanieczyszczenie środowiska, a więc i koszty likwidowania ich skutków. Im skuteczniej enwironmentaliści skłonią przemysł do płacenia za skutki własnych zanieczyszczeń, tym więcej powodów będą miały poszczególne kompanie, aby jak najszybciej przejść na działalność mniej zagrażającą środowisku, a więc odejść od modelu gigantycznych scentralizowanych zakładów i zdecydować się na otwieranie mniejszych albo jeszcze lepiej – na organizowanie swoim załogom pracy w domu. (...)

Wreszcie w tym samym kierunku zmierzają głębokie zmiany w sferze wartości. Z jednej strony rozpowszechnia się dziś swoisty prywatyzm oraz pokusa życia w miasteczku czy na wsi, ale z drugiej strony obserwujemy zasadniczą zmianę w stosunku do komórki rodzinnej. Rodzina nuklearna, ta standardowa, społecznie akceptowana przez cały okres Drugiej Fali forma rodziny, przechodzi obecnie wyraźny kryzys. Tymczasem odnotujmy tylko, że w USA i w większości krajów Europy – wszędzie, gdzie odchodzenie od rodziny nuklearnej poszło najdalej – narasta obecnie potrzeba zbliżenia ludzi na nowo w ramach komórki rodzinnej. Warto zauważyć, że jedną z tych rzeczy które najbardziej zbliżały do siebie ludzi, była zawsze w dziejach wspólna praca.

Przypuszczalnie i dziś mniej jest rozwodów wśród małżeństw pracujących razem. Wioska elektroniczna może więc stworzyć taką możliwość, że mąż będzie wraz z żoną, a może i z dziećmi, znowu pracować razem jako zgodny zespół. Kiedy zwolennicy życia rodzinnego zobaczą jakie możliwości kryją się w wprowadzeniu pracy zawodowej do domu, odezwą się na pewno żądania podjęcia specjalnych decyzji i środków ustawowych w celu przyspieszenia tego procesu – a więc m.in. wprowadzenia ulg podatkowych oraz nowych koncepcji w zakresie prawa pracy.

We wczesnym okresie epoki Drugiej Fali robotnicy żądali „10-godzinnego dnia pracy"; żądanie to przechodziłoby ludzkie pojęcie w epoce Pierwszej Fali. Zaś my doczekamy się może wkrótce kampanii domagającej się, aby cała praca, którą można wykonywać w domu, była tam wykonywana. Taka możliwość zostanie przez wielu ludzi uznana za ich prawo. A uznając, że przeniesienie pracy do domu może umocnić życie rodzinne, dołączą się do tej kampanii liczni działacze polityczni, religijni i kulturalni.

Walka na rzecz wioski elektronicznej stanowi część superwalki rozgrywającej się pomiędzy minioną erą Drugiej Fali i nadchodzącą epoką Trzeciej Fali; w walce tej zjednoczą się prawdopodobnie nie tylko technologowie i korporacje przemysłowe, które zachłannie rzucają się na nowe możliwości techniczne, ale dołączy się do nich wielu innych rzeczników postępu: enwironmentaliści, reformatorzy pracy oraz ogromna koalicja organizacji – od konserwatywnych kościołów począwszy, a na radykalnych feministkach i czołowych ugrupowaniach politycznych skończywszy; wszyscy oni będą wspólnie walczyć o nową, bardziej satysfakcjonującą przyszłość rodziny. Wioska elektroniczna może więc stać się punktem, ku któremu będą dążyć wszystkie najpoważniejsze siły nadchodzącej Trzeciej Fali.

Wokół domu

Rozpowszechnienie się wioski elektronicznej wywołałoby w społeczeństwie wiele doniosłych konsekwencji, ku zadowoleniu najzagorzalszych bojowników o ochronę środowiska naturalnego i przeciwników nadmiernego postępu technicznego; otwierające się nowe możliwości zostałyby również podchwycone przez przedsiębiorców działających w różnych gałęziach gospodarki.

Efekt społeczny: Praca w domu wykonywana przez statystycznie liczącą się część ludności oznaczałaby większą trwałość stosunków w ramach wspólnot osiedlowych czy sąsiedzkich; obecnie nie jest to osiągalne przy tak licznych regionach o wysokiej ruchliwości społecznej. Jeżeli ludzie będą mogli pracować zawodowo w domu, nie będą musieli tak często jak dziś przenosić się z miejsca na miejsce, za każdym razem kiedy zmieniają pracodawcę. Będą oni mogli po prostu podłączać swój terminal do innego komputera. Wyniknie z tego mniejsza ruchliwość spowodowana czynnikami zewnętrznymi, nastąpi złagodzenie stresów przeżywanych przez ludzi podczas adaptacji do coraz to nowych warunków oraz zmniejszy się liczba przelotnych i nietrwałych znajomości; generalnie – większy będzie stopień uczestnictwa w życiu lokalnej społeczności. (...)

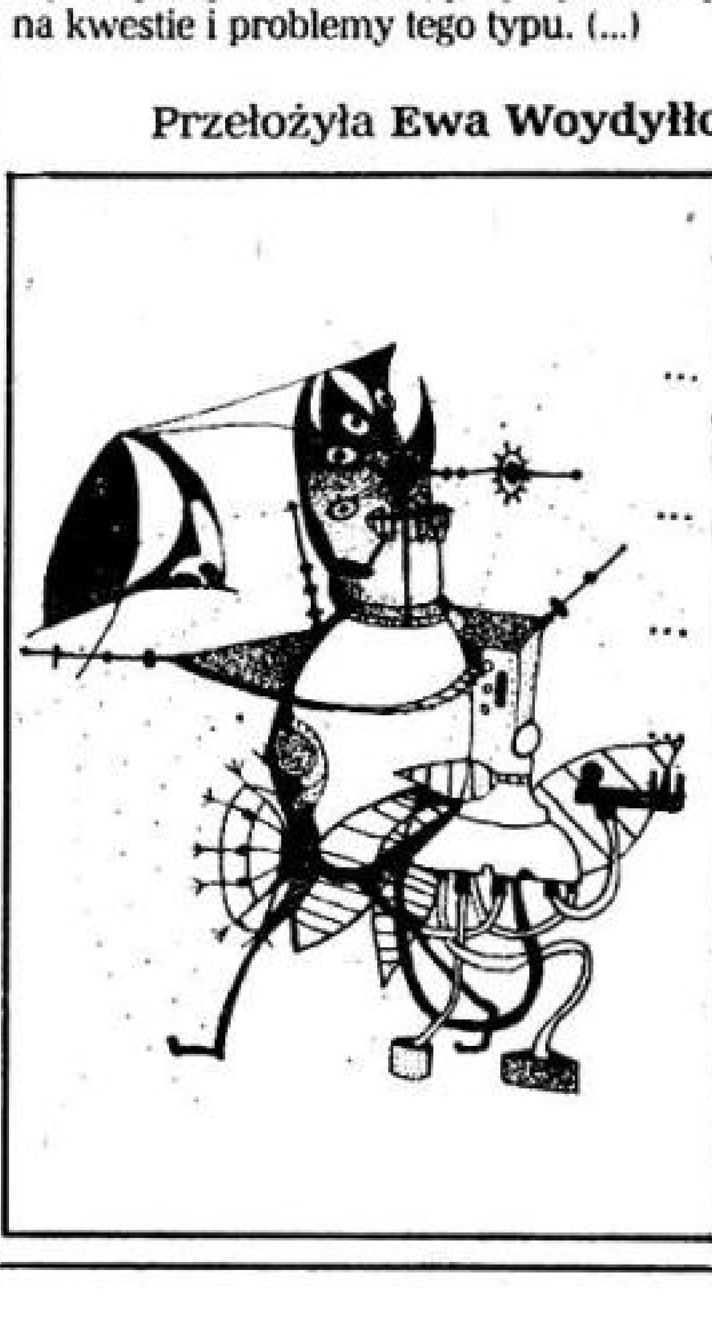
Efekt środowiskowy: Przeniesienie pracy lub bodaj jakiejś jej części do domu, nie tylko zmniejszyłoby zapotrzebowanie na energię, co już wiadomo z wcześniejszych rozważań, ale prowadziłoby prawdopodobnie do decentralizacji produkcji energii. Zamiast zużywać olbrzymie ilości energii w kilku wielopiętrowych biurowcach lub nadmiernie rozbudowanych kombinatach fabrycznych – do czego konieczny jest wysoce scentralizowany system wytwarzania energii – dzięki wiosce elektronicznej zapotrzebowanie na energię rozłożyłoby się na większe obszary, gdzie łatwiej byłoby wykorzystywać inne technologie, oparte np. na energii słonecznej, energii czerpanej z siły wiatru i na innych źródłach nowego typu. Niewielkie generatory w każdym domu wytwarzałyby energię, która przynajmniej częściowo odciążałaby centralne elektrownie czy ciepłownie. To pociągnęłoby za sobą również zmniejszenie zanieczyszczeń i to z dwóch powodów: po pierwsze, przejście na odnawialne źródła energii funkcjonujące na niewielką skalę wyeliminowałoby stosowanie zabójczych dla środowiska paliw; po drugie oznaczałoby to zmniejszenie odpadów zanieczyszczających środowisko w istniejących nadal obszarach „krytycznych".

Efekt ekonomiczny: W tym systemie niektóre gałęzie gospodarki zaczęłyby zanikać, natomiast inne rozwinęłyby się i osiągnęły niebywały rozkwit. Spotkałoby to z pewnością przemysł elektroniczny, informatykę i telekomunikację. Natomiast ucierpiałyby kompanie naftowe, przemysł motoryzacyjny i kompanie zajmujące się komercjalnie nieruchomościami i gospodarką ziemską. Pojawiłaby się cała masa małych sklepów z komputerami i usługowych punktów informatycznych, natomiast zmalałoby zapotrzebowanie na usługi pocztowe. Trochę straciłby chyba przemysł papierniczy, ale skorzystałyby wszelkie gałęzie usługowe oraz dziedziny techniczne będące domeną tzw. „białych kołnierzyków". (...)

Efekt psychologiczny: Taki obraz świata, w którym praca polega w coraz większym stopniu na operowaniu symbolami abstrakcyjnymi nasuwa obawę, że ludzie znajdą się w środowisku pracy przesadnie zależnym od pracy umysłowej, które jest nam obce i – w pewnym sensie – jeszcze bardziej bezosobowe niż środowisko obecne. Ale w innym sensie – praca w domu sugeruje pogłębienie osobistych i emocjonalnych związków zarówno we własnym domu, jak i w najbliższym otoczeniu mieszkalnym. Można przypuszczać, że wcale nie musi to być świat klinicznie wypreparowany z jakichkolwiek związków uczuciowych między ludźmi, gdzie każdego człowieka oddzielałby od reszty ludzkości ekran monitora – jak to przedstawiały nie raz opowieści science fiction; może to być świat, w którym stosunki człowieka dzieliłyby się na dwie kategorie: realne i pośrednie – i w każdej z tych kategorii obowiązywałyby inne reguły oraz inny podział ról. (...)

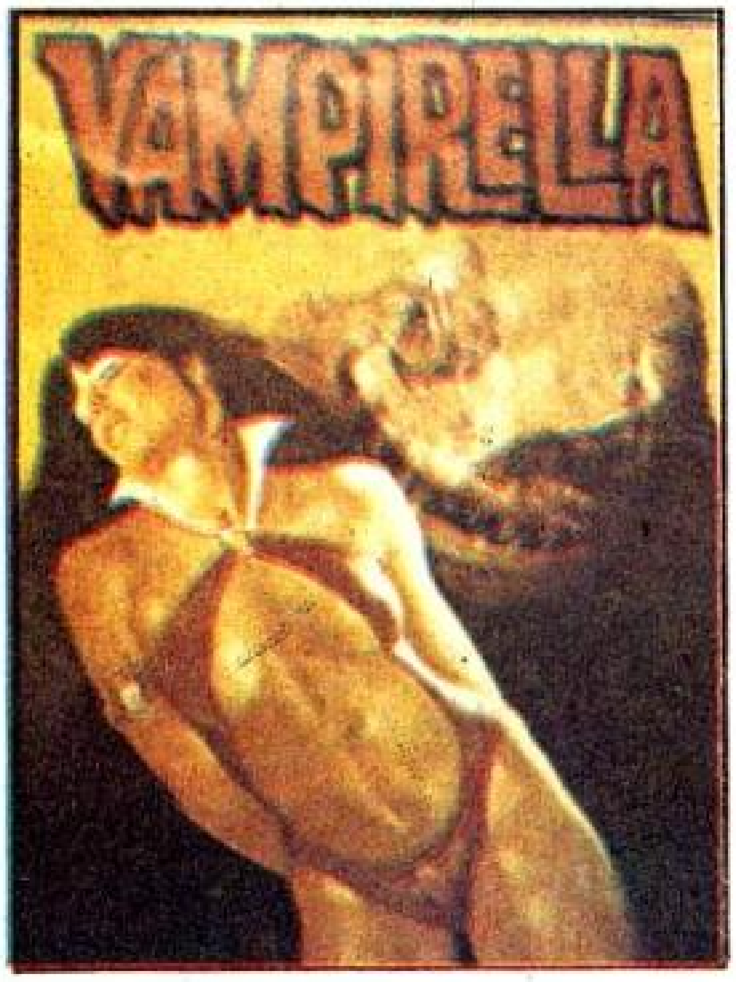
Oczywiście nie każdy będzie mógł (lub będzie chciał) pracować w domu. Oczywiście zjawią się problemy w dziedzinie uposażeń i przyznawania rozmaitych dodatków i premii. Jakie będzie społeczeństwo, w którym coraz większa jego część będzie w pracy zdana na wzajemne porozumiewanie się tylko za pośrednictwem aparatury, natomiast w domu – na stosunki oparte na głębszych związkach emocjonalnych? Co się stanie z miastami? Jaka będzie statystyka dotycząca bezrobocia? Co w tym systemie będzie się właściwie kryło pod pojęciami „zatrudniony" i „bezrobotny"? Byłoby naiwnością przymykać oczy na kwestie i problemy tego typu. (...)

Przełożyła Ewa Woydyłło

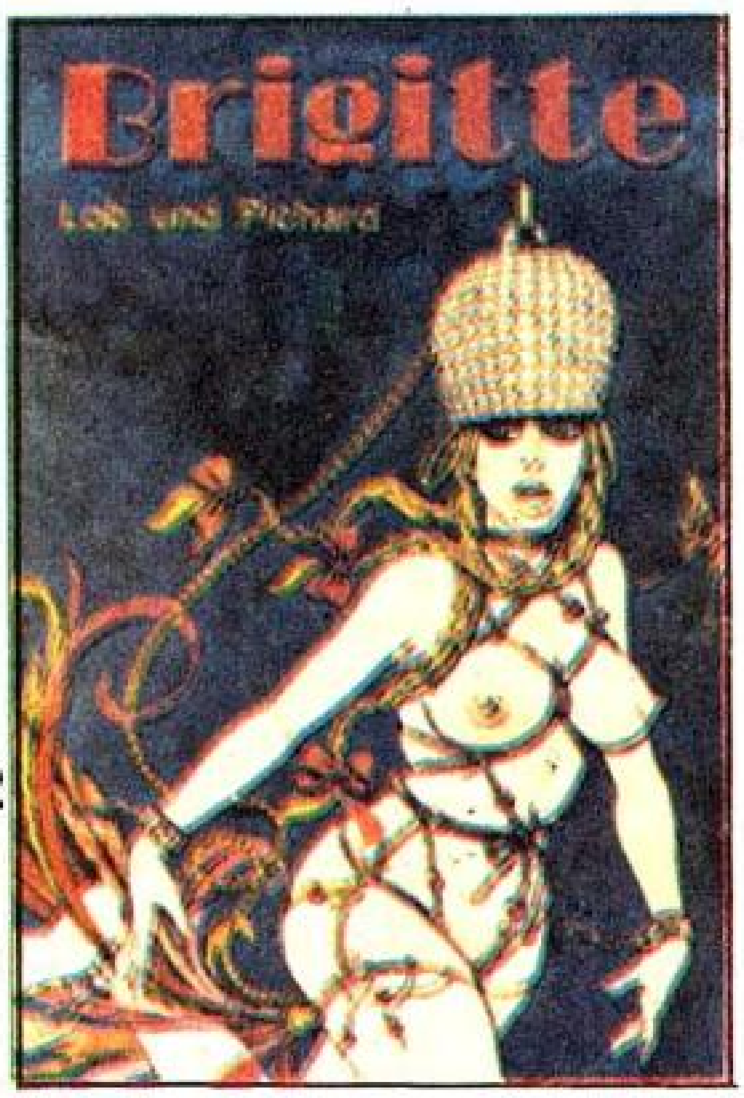


Katarzyna Raczkowska

KOMIKS W „DOROSŁYM" WYDANIU



1



2

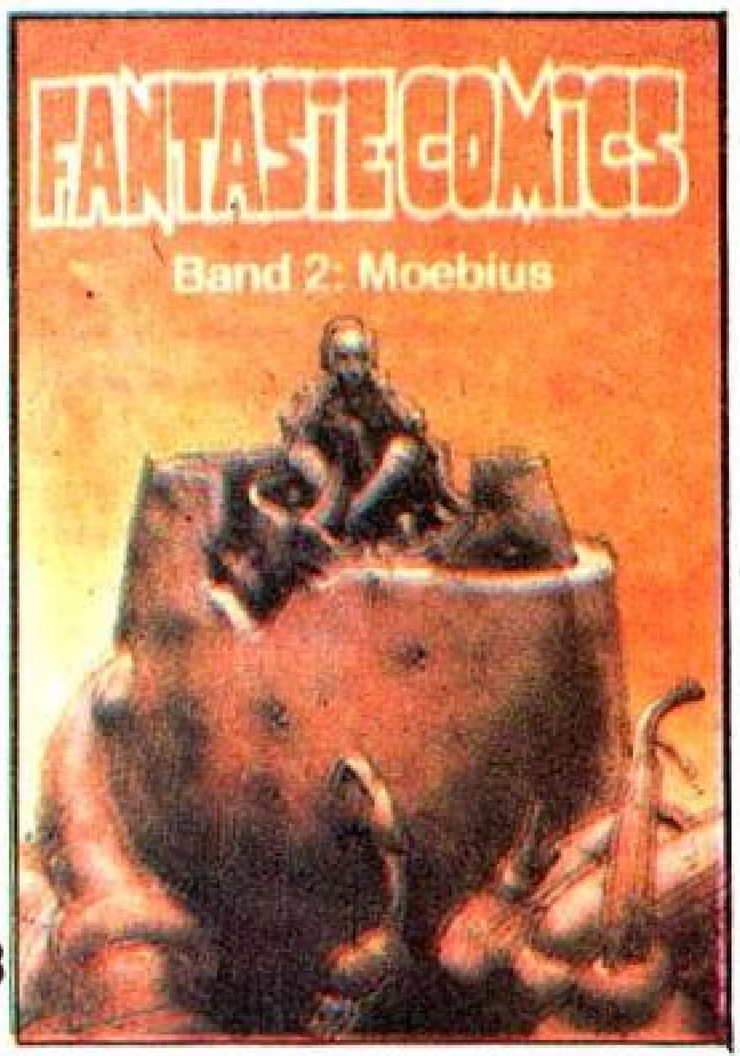
Pojęcie komiksu, jako pouczającej historyjki obrazkowej – także i komiksu science-fiction – zrosło się u nas od dawna z jego przeznaczeniem – tylko dla dzieci i młodzieży. Cokolwiek sądziłoby się o wartości komiksowych historyjek – czy podziwiało ich bezpośredniość jako środka komunikacji, czy odsądzało od czci i wiary z powodu prymitywizowania treści literackich, jedno jest pewne: komiks rozszerza na świecie granice swego oddziaływania. Powstała i rozwija się cała bogata dziedzina fantastyki komiksowej dla dorosłych. I znowu można się sprzeczać i dyskutować o mniej lub bardziej komercyjnych celach takich komiksów, pełnych niezwykłych przygód, horroru, erotyzmu (także i pornografii). Można je potępiać, krytykować, ale one istnieją. W dodatku istnieje już dziś cała międzynarodowa kadra specjalistów – producentów i twórców komiksowych.

Obowiązują bardzo surowe kryteria jakości obrazków. Na każdym kroku podróżując dziś po świecie człowiek kuszony bywa ich mnogością i kolorystyką. A rysownicy na nich dokonywać się starają fantastycznych wyczynów. Oto wybrana z jednego tylko wydawnictwa zagranicznego fragmentaryczna seria komiksów dla dorosłych – prezentujemy kilka okładek. Rysownicy mają nazwiska światowe. Czy efekty są równe ich sławie? Rzućmy okiem.

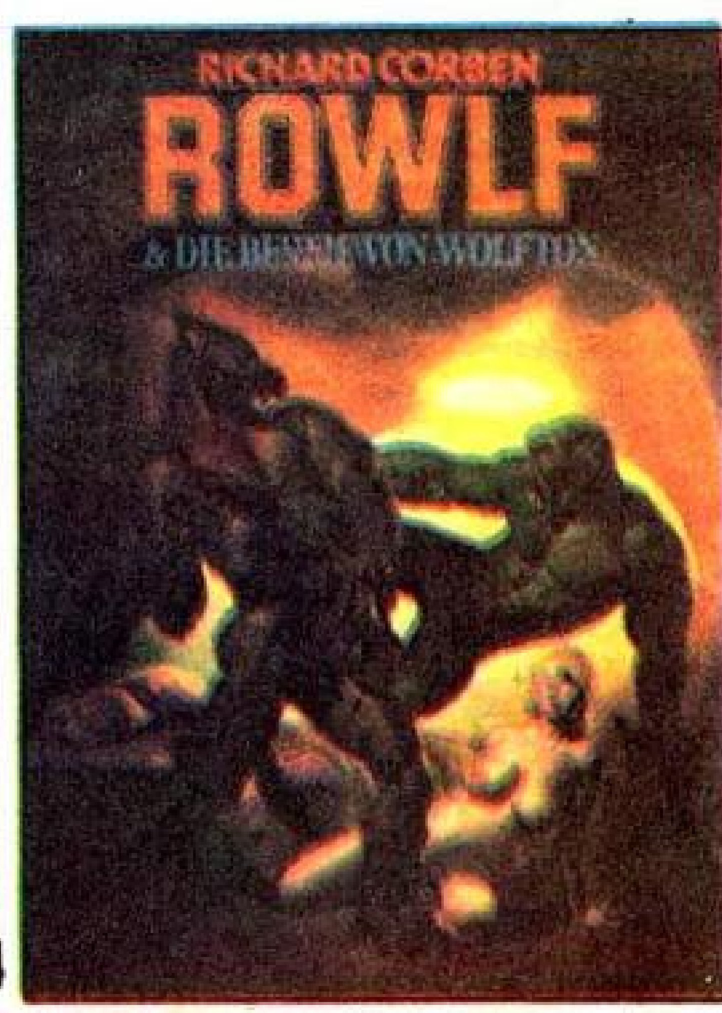
1. Okładka magazynu komiksowego SF „Vampirella". Rysunki wykonali mistrzowie gatunku Richard Corben, Jett Jones, Pepe Gonzales i inni. Historyjki pojawiają się niemal jednocześnie w kilku językach.

2. „Brigitte" to serial o przygodach fantastycznych blondyny, której rysy przypominają idola lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – Bardotkę. Dziewczyna podróżując po świecie przeżywa straszliwe historie, z których ratuje się w ostatnim dopiero momencie. Rysuje to wszystko z wdziękiem i przewrotnością Francuz, George Pichard.

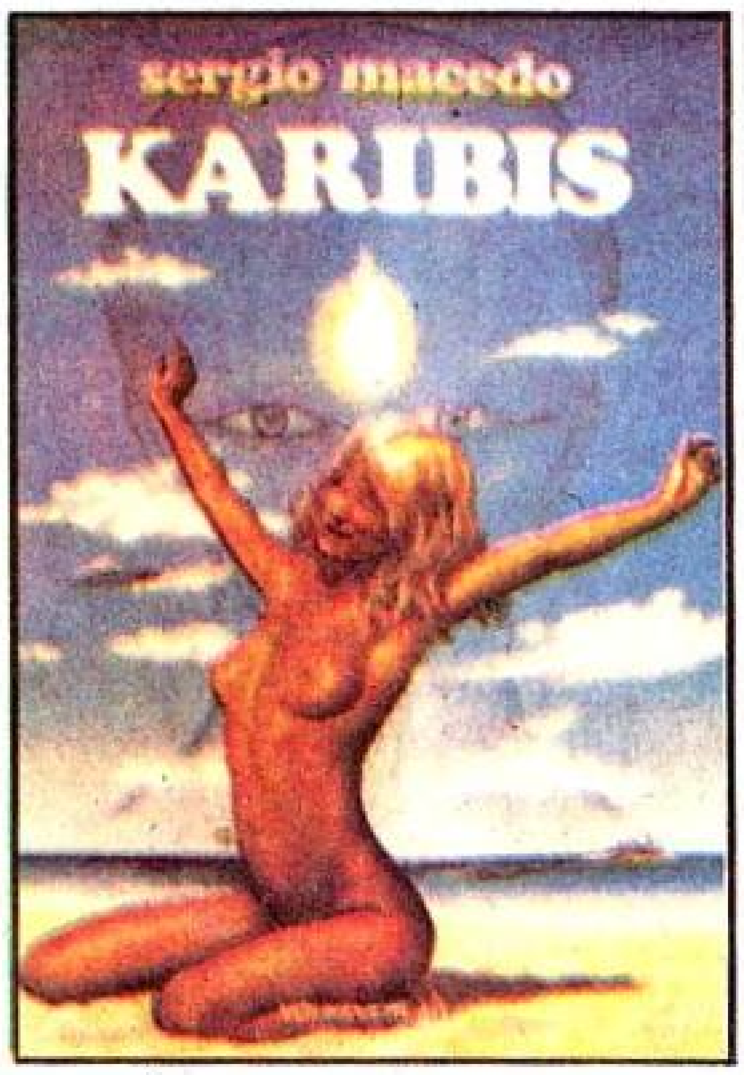
3. Autorem licznych fantazji z krajobrazem i rekwizytami typowymi dla współczesnej światowej science-fiction jest Moebius,



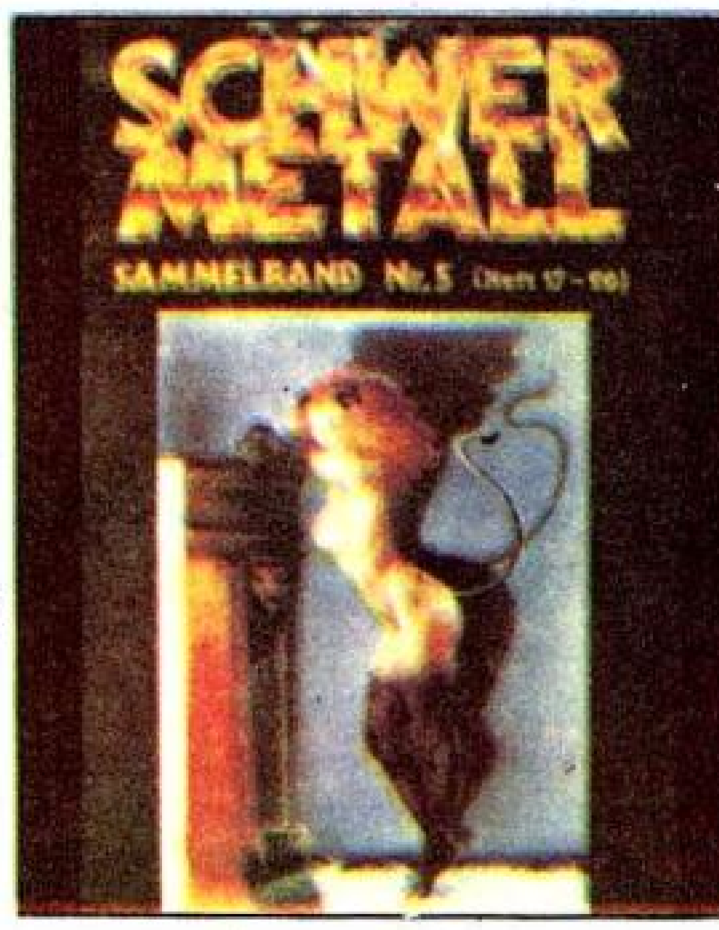
3



4



5



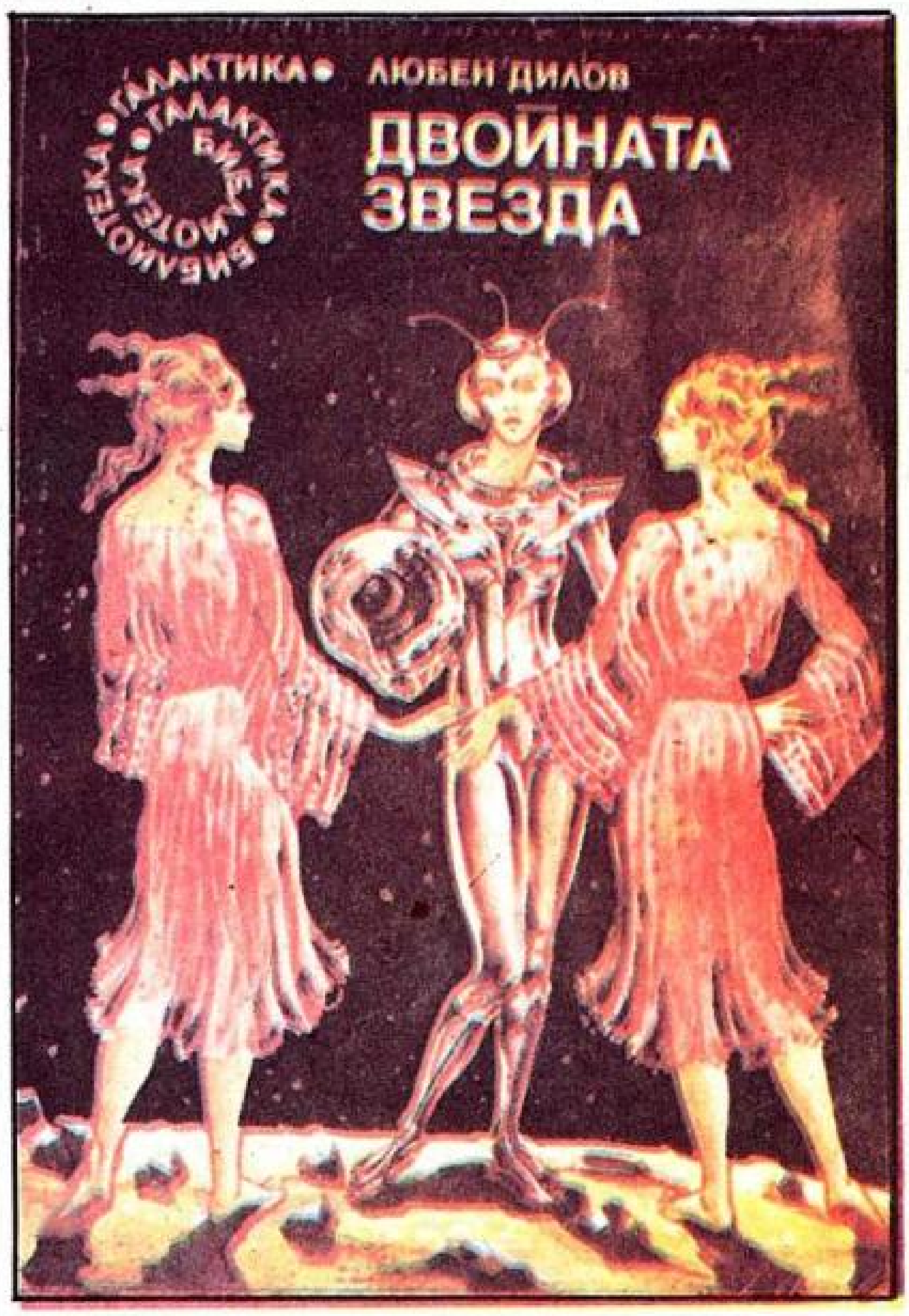
6

również rysownik Francuz. Książka, której okładkę prezentujemy zawiera niejako „dzieła zebrane" tego twórcy. Proszę zwrócić uwagę jak na zamieszczonym rysunku wyglądają formy „żywego – nieżywego" tak bardzo charakterystyczne jako sztafaż w niektórych dziedzinach fantastyki.

4. „Bestia z Wolfton". Potwory walczą o porwaną dziewczynę. Historie przypominają sagi z okresu końca ubiegłego wieku i początku wieku XX. Są romantyczne i okrutne. Niektórzy dopatrują się podobieństw między obecną a tamtą epoką, mówiąc że to okresy dekadentyzmu, wynaturzeń, dziwactw.

5. „Karibis" to komiksowy tom, który ostatnio pojawił się zarówno w języku francuskim jak i niemieckim. Rysował typowy przedstawiciel szkoły francuskiej ilustrator SF – Maced. Myślę, że dawka tych okładek na dłużej nam wystarczy.

Hak





„GEORGI BAKAŁOW" W WARNIE

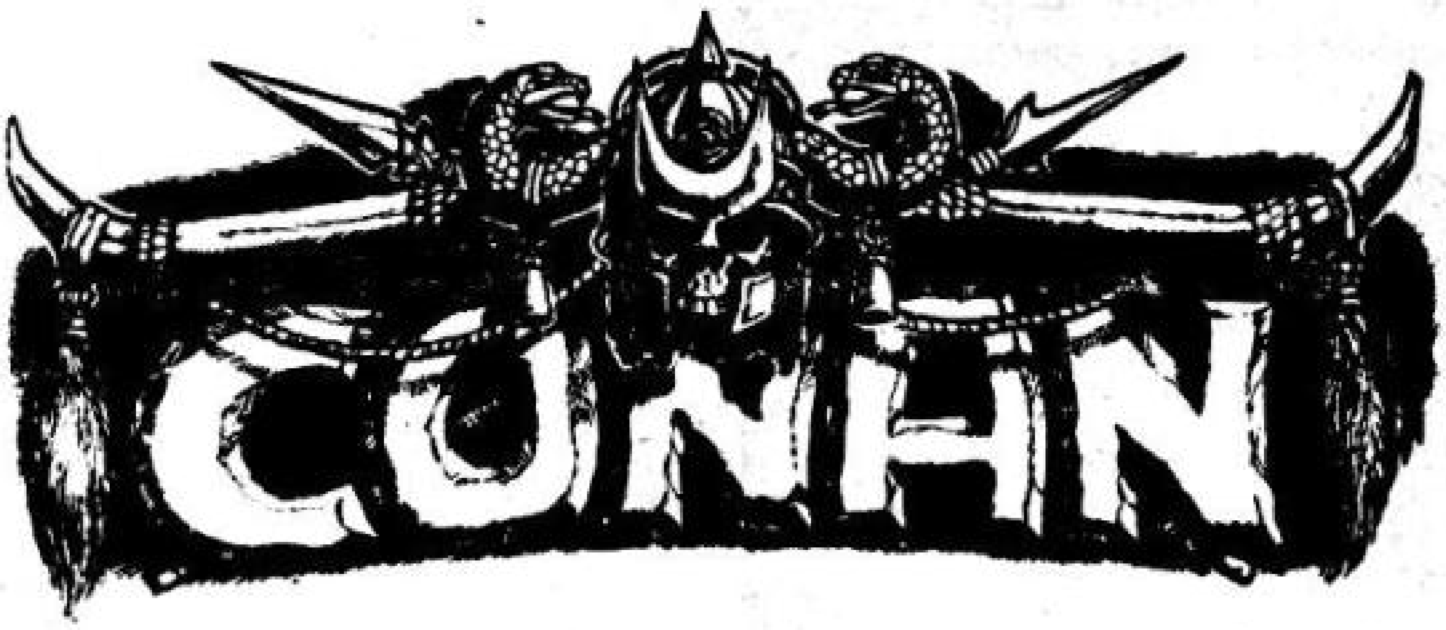
Aczkolwiek fantastyka naukowa wychodząca spod piór pisarzy bułgarskich nie może pochwalić się jeszcze takim uznaniem jak na przykład twórczość pisarzy polskich czy radzieckich, to jednak zainteresowanie tą gałęzią literatury jest w Bułgarii stosunkowo duże. Twórczością fantastyczną zajmuje się aktualnie ponad dwudziestu pisarzy, spośród których dwaj – Paweł Weżinow i Ljuben Diłow zaliczają się do europejskiej czołówki koryfeuszy gatunku. Pomimo to przez wiele lat wydania książek ze znakiem SF były inicjatywami sporadycznymi, od przypadku do przypadku podejmowanymi przez szereg wydawnictw – głównie tych o młodzieżowym profilu edytorskim. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przewodziły w tej dziedzinie wydawnictwa „Narodna Mładież" i „Profizdat", w których planach wydawniczych, począwszy od 1962 roku systematycznie pojawiać się zaczęły książki rodzimych i zagranicznych fantastów. Nigdy nie były to jednak ukierunkowane, zorganizowane działania edytorskie. Toteż z wielkim zainteresowaniem i zadowoleniem przyjęli bułgarscy miłośnicy literatury SF powołanie w 1978 roku specjalistycznej serii „Biblioteka Galaktyki" przygotowanej przez warneńskie wydawnictwo „Georgi Bakałow".

Zamysł, który zrodził się w tym niewielkim, prowincjonalnym bądź co bądź wydawnictwie, będącym odpowiednikiem naszego „Wydawnictwa Morskiego", godny jest ze wszech miar uwagi i... być może upowszechnienia. Kierownictwo oficyny zaprosiło bowiem do współpracy siedmiu najwybitniejszych bułgarskich znawców współczesnej fantastyki – pisarzy, naukowców i krytyków: Ljubena Diłowa, Swietozara Złatarowa, Elkę Konstantinową, Agona Melkonjana, Dymitra Piejewa, Ogniana Sapariewa i Swietosława Sławczewa i zaproponowało im przygotowanie biblioteczki prezentującej najwybitniejsze dokonania rodzimej i zagranicznej literatury fantastycznej i fantastyczno-naukowej.

Założono, że ukazywać się będzie dziesięć tomików rocznie (każdy pod fachową opieką jednego z członków zespołu) zawierających nie tylko tekst literacki, ale i obszerny wstęp prezentujący sylwetkę i twórczość autora, jego literacki dorobek i jego miejsce w literaturze danego kraju. Ponieważ seria ma być przeglądem utworów najwybitniejszych, najbardziej dla danego pisarza czy dla fantastyki danego kraju reprezentatywnych, z założenia zrezygnowano w niej z pierwodruków. Aby trafić do „Biblioteki Galaktyki" trzeba sobie wpierw wyrobić odpowiednią literacką rangę, trzeba napisać znaczące dzieło lub wyrobić międzynarodową sławę. Ograniczyło to znacznie krąg brany pod uwagę przy planowaniu autorów, zapewniło jednak tej niezbyt licznej tytułowo serii należytą dla tak ambitnego przedsięwzięcia rangę.

Założenia powyższe realizowane są z rzadką wśród wydawców i raczej nie spotykaną w innych (szczególnie polskich) oficynach wydawniczych konsekwencją. Począwszy od 1979 roku barwne tomiki z ciekawymi okładkami projektowanymi przez Teklę Aleksiejewną ukazują się regularnie co pięć tygodni w niebagatelnym jak na Bułgarię nakładzie 50–100 tysięcy egzemplarzy, szybko znajdujących swoich nabywców. W pierwszym okresie działalności wydawniczej obok książek uznanych pisarzy bułgarskich – Ljubena Diłowa i Dymitra Piejewa, ukazały się powieści i zbiory opowiadań Artura Clarka, Clifforda Simaka, Artura Hoyka, Ursuli Le Guin i innych znanych twórców współczesnej światowej SF. Towarzyszyły im również starannie przygotowane opracowania utworów klasycznych pióra Herberta George Wellsa, Roberta Inga, Edgara Allana Poe. Wśród wybranych nie zabrakło i polskich autorów. Z numerem trzecim w „Bibliotece Galaktyki" ukazał się „Powrót z gwiazd" Stanisława Lema, z numerem dziewiętnastym „Zerowe rozwiązanie" Konrada Fiałkowskiego, zaś w przygotowaniu znajdują się kolejne tomiki prezentujące naszą naukową fantastykę.

Knigoizdatielstwo „Georgi Bakałow" utrzymuje szereg kontaktów zagranicznych, w tym również z wydawnictwami polskimi, na bieżąco śledząc produkcję literacką „fantastów" różnych krajów. Wróży to długi żywot i sporą aktualność pierwszej bułgarskiej serii SF z prawdziwego zdarzenia. ■



W sierpniu ubiegłego roku na ekrany europejskich kin triumfalnie wkroczył „Conan" – fantastyczny film o starożytnym herosie rodem z najpopularniejszej obok „Władcy pierścieni" J. R. R. Tolkiena opowieści z gatunku fantasy, zapoczątkowanej w 1932 roku przez amerykańskiego pisarza Roberta E. Howarda i kontynuowanej do dziś przez Lina Cartera, Lyona Sprague du Campa i Björna Nyberga.

Ten żyjący przed dwunastu tysiącami lat nieustraszony syn kowala, niewolnik, pirat, zaciężny żołnierz, złodziej, a w końcu mądry i potężny władca praeuropejskiego państwa Aquilionii, wymyślony przez dwudziestosześcioletniego pisarza stał się w ciągu pięćdziesięciu lat poważnym konkurentem Supermana, Bilbo Bagginsa i jego przyjaciół. Od prezentacji na łamach „Werid Tales", poprzez dziesiątki innych pism, setki komiksów, po liczącą ponad sześćdziesiąt tomików biblioteczkę i ekranową superprodukcję Conan towarzyszy kolejnemu już pokoleniu miłośników fantastyki, przygody i historycznych spekulacji. Stał się nierozerwalną, nieodłączną cząstką subkultury SF wciąż pretendując do zajęcia w jej historii miejsca jednego z najbardziej znanych, lubianych i ... liczących się bohaterów.

To powodzenie, objawiające się między innymi milionowymi nakładami opowieści o jego dziejach, klubami fanów, poczytnością gazet drukujących komiksy o Conanie, wzrośnie jeszcze zapewne w efekcie popularności filmu – superprodukcji zaplanowanej i wykonanej przez zespół nie lada fachowców. Wystarczy tu wspomnieć tylko, iż autorem scenariusza jest Oliver Stone (autor scenariusza między innymi do „Midnight Express" Alana Parkera), scenarzystą Ron Cobb (współtwórca „Gwiezdnych wojen", „Bliskich spotkań trzeciego stopnia", „Obcego" i „Ciemnej gwiazdy"), współtwórcami koncepcji Edward Pressman i George Lucas (twórca „Gwiezdnych wojen" i „Imperium kontratakuje"), zaś reżyserem autor scenariusza i współtwórca „Czasu Apokalipsy" F. Coppoli – John Milius.

Ponieważ na obejrzenie filmu przez polskich miłośników gatunku, przynajmniej na razie, liczyć nie możemy, a i żadne z wydawnictw konkurencyjną wobec bijącego i u nas rekordy popularności Tolkiena opowieścią też się dotąd nie zainteresowało, postanowiliśmy przybliżyć naszym czytelnikom postać Conana, prezentując zdjęcia z filmu i wybór setek grafik, jakimi w ciągu dziesięciolecia obrosła postać mitycznego herosa. Przy okazji następnych spotkań postaramy się również zapoznać Was i przedyskutować z Wami o fenomen, jakim w fantastyce ostatnich lat staje się na świecie fantasy jako coraz bardziej dominujący kierunek w twórczości opanowanej przez wiele lat przez technikę, wynalazki, gwiezdne podróże i cywilizacyjne pułapki.

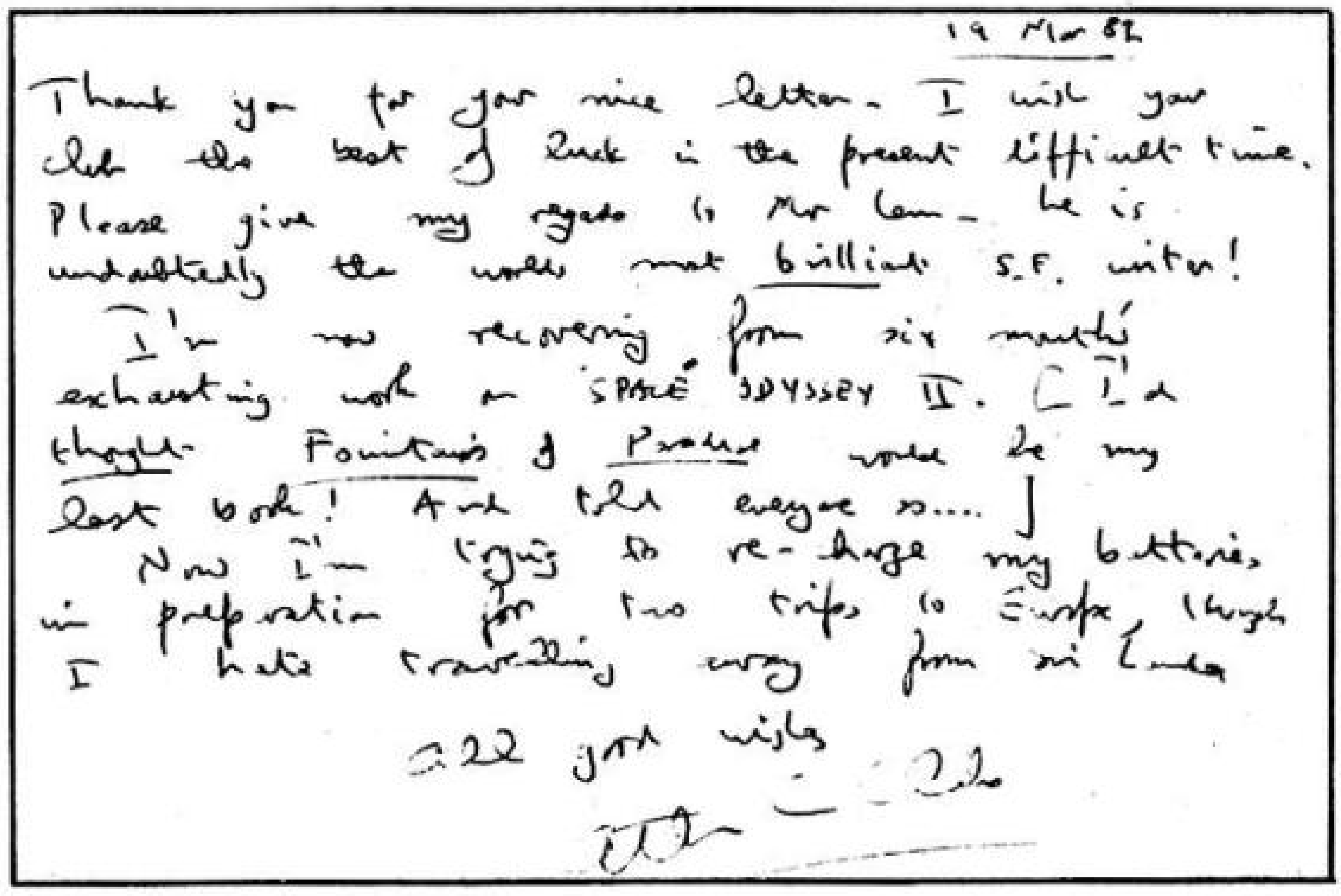
A. W.



Od Arthura C. Clarke'a

Nasza redakcja jest dopiero w trakcie nawiązywania oficjalnej korespondencji z redakcjami, pisarzami i klubami SF z całego świata. Wciąż czekamy na listy i informacje z zagranicy i nie możemy sobie darować, że w pierwszych kilku numerach będzie tych pozycji tak mało. Z tym większą radością powitaliśmy inicjatywę naszego współpracownika z Bydgoszczy, kolegi Mariusza Piotrowskiego, który na początku 1982 roku postanowił sam spróbować szczęścia i napisał do kilku autorów zachodnich. Jego uprzejmości zawdzięczamy fakt, że poniższy list jednego z najpopularniejszych na świecie autorów SF dotrze dziś do miłośników jego pisarstwa w naszym kraju. Redakcja z radością wykorzystuje swoje łamy do przekazania pozdrowień od Arthura Clarka dla Stanisława Lema i przy okazji dołącza swoje własne.

Nie mogę odpowiedzieć wam wszystkim osobiście, ponieważ rocznie otrzymuję kilka tysięcy przesyłek pocztowych. Co więcej, niektóre listy docierają do mnie po kilku miesiącach. Niniejszy zawiera więc odpowiedzi na około 90% pytań, które najczęściej mi zadajecie. Mam nadzieję, że zrozumiecie dlaczego musiałem to sformalizować i dziękuję wam za zainteresowanie moją pracą. A oto co znajduje się m.in. w owym „sformalizowanym" tekście listu A. C. Clarka: Biografia: Szczegóły mojego życiorysu znajdują się w standardowych pozycjach biograficznych jak: „Who's Who", „Współcześni Autorzy", „Współcześni Pisarze", „Słownik Międzynarodowych Biografii", „Rejestr Znakomitości", „Britanica 3". Odnośnie mojej działalności na Cejlonie, patrz opisy moich badań podwodnych, a zwłaszcza „Skarby Wielkiej Rafy", „Widok z Serendibu" oraz dzieło Jeremy Bernsteina pt. „Nauka doświadczalna".
Bibliografia: Obecnie obejmuje około 60 pozycji wyszczególnionych w powyższych źródłach lub w dowolnej z ostatnio wydanych książek. Patrz również: Bibliografia D. Samuelsona.
Wykłady: Nie zajmuję się tym nawet na terytorium Sri Lanki. Kosmos: Oczywiście nie jestem w stanie odpowiedzieć na pytanie dotyczące tego olbrzymiego tematu, na który napisano wiele książek. Odnośnie szczegółowych informacji o Kosmosie proszę pisać do:
Fotografie: Przepraszam, ale nie mogę wysyłać swoich fotografii ani autografów. W szczególności nie jestem w stanie pisać dedykacji na książkach i odsyłać je pocztą. Wszelkie książki przysyłane do mnie oddane zostają do miejscowych księgarń. Rękopisy: W żadnym przypadku nie będę oceniał rękopisów. Z różnych powodów radzę wszystkim przeczytać rozdział zatytułowany „Szanowny Panie..." z mojej książki „Voices from the Sky". Nie jestem również zainteresowany nowymi pomysłami na opowiadania, jako że mam ich już o wiele więcej niż jestem w stanie wykorzystać.
Rady dla autorów: Jedyna rada, jaką mogę służyć przyszłym autorom jest następująca: Czytać przynajmniej jedną książkę dziennie i pisać ile się da. Czytajcie również pamiętniki pisarzy, których cenicie. (Książka Somerseta Maughama pt. „Dzienniki pisarza" jest dobrym przykładem takiego pamiętnika).
Kursy korespondencyjne, szkoła dla pisarzy etc. są prawdopodobnie bardzo pożyteczne, ale wszyscy autorzy, których znam byli samoukami. Pisarstwo nie stanowi lekarstwa na życie, bo jak to zauważył Hemingway: „pisanie nie jest pracą pełnoetatową".
2001: Odpowiedź na wszystkie pytania dotyczące tego tematu znaleźć można w książce pt. „2001, odyseją kosmiczna" (wydana przez wydawnictwo NAL w USA lub przez wydawnictwo Corgi w Anglii) oraz w książce pt. „Stracone światy 2001" (NAL w USA oraz Sidgwick and Jackson w Anglii). Warto również zajrzeć do dwóch esejów na ten temat z „Raportu o Trzeciej Planecie" (Harper and Harper w USA oraz Gollancz w Anglii). Pożyteczną referencję stanowi także książka Jeroma Angelsa pt. „Tworzenie Odysei Kubricka" (The Making of Kubrick's s 2001")
Reklama: Tak wielu wydawców i pisarzy zwracało się do mnie o napisanie przedmowy czy komentarza do ich książek, że obecnie zmuszony jestem odrzucać wszelkie prośby tego typu bez względu na wzniosłość celu.
Wywiady: Zawsze z przyjemnością przyjmuję dziennikarzy, gości, łowców autografów etc. Proszę jednak o wcześniejsze uzgadnianie tych wizyt telefonicznie w celu uniknięcia rozczarowania. Nie udzielam jednakże już wywiadów, ponieważ po prawie tysiącu wypowiedzi udzielonych w ciągu ostatnich czterdziestu lat, nie mam już nic nowego do powiedzenia i jestem wykończony ciągłym powtarzaniem.


19 Mar 82

Thank you for your nice letter. I wish your club the best of luck in the present difficult time. Please give my regards to Mr Lem — he is undoubtedly the world's most brilliant S.F. writer!
I'm now recovering from six months exhausting work on SPACE ODYSSEY II. (I'd thought Fountains of Paradise would be my last book! And told everyone so....)
Now I'm trying to re-charge my batteries in preparation for two trips to Europe, though I hate travelling away from Sri Lanka
All good wishes

Ponadto tekst uzupełniony został pismem odręcznym.
19 marca 1982 r.

Dziękuję Panu za miły list. Życzę Pana Klubowi mnóstwo szczęścia w tych ciężkich czasach.
Proszę przekazać moje pozdrowienia Panu Lemowi – jest on bez wątpienia najświetniejszym pisarzem SF na świecie. Obecnie dochodzę do siebie po wyczerpującej, sześciomiesięcznej pracy nad Odyseją Kosmiczną II (Sądziłem, że książka pt. „Fountains of Paradise" będzie moją ostatnią pracą! Nawet tak wszystkim mówiłem...) Teraz staram się ponownie naładować moje baterie przygotowując się do dwóch podróży do Europy, choć nie cierpię ruszać się ze Sri Lanki.
Wszystkiego najlepszego

Arthur C. Clarke

KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

Oprócz teorii względności...

...Albert Einstein pozostawił swój mózg do dyspozycji uczonych. Zainteresowanie było olbrzymie, ale... cenny spadek na wiele lat zaginął. Dopiero po śledztwie przeprowadzonym przez jedno z pism amerykańskich mózg został odnaleziony w laboratorium biologicznym w Wichita (USA), gdzie spoczywał w probówce z formaliną. Aby nic się cennemu depozytowi nie stało, zapakowano go w karton po winie, a następnie umieszczono w... chłodziarce na piwo. W roku 1955 mózg Einsteina zabrał patologista z Princeton, dr T. Harvey, który rozdzielił jego próbki między zainteresowanych badaczy. Następnie dr Harvey został mianowany dyrektorem laboratorium w Wichita, dokąd przetransportował resztki preparatu. Jego zdaniem: „Mózg wydaje się być w granicach normy dla człowieka w wieku Einsteina". Nas również cieszy fakt, że Albert Einstein był normalny.

Do kolekcji potworów...

...doszedł kolejny, żyjący w jeziorze Champlain obok Loch Ness. Jego zdjęcie już w roku 1977 wykonała pani S. Mansi. Na publikację zdecydowała się niedawno, po sprawdzeniu i potwierdzeniu autentyczności fotografii przez amerykański ośrodek komputerowej analizy zdjęć (m.in. satelitarnych). Zdjęcie jest niewątpliwym autentykiem, lecz Amerykanie nie wypowiedzieli się, co ono przedstawia. Według nie sprawdzonych danych redakcyjnych między Loch Ness a Champlain istnieje podziemne połączenie. Dzięki temu część turystów fotografuje głowę potwora w jeziorze Loch Ness, natomiast pani Mansi sfotografowała jego ogon.

Sny działkowiczów...

...powoli zaczynają się spełniać. Nawet te najbardziej zwariowane. Uczonym z Uniwersytetu Wisconsin (USA) udało się wyhodować skrzyżowanie słonecznika z fasolą. Hybrydę utworzono poprzez wyodrębnienie z fasoli genu produkującego proteiny. Następnie przy pomocy bakterii gen przeniesiono do komórek słonecznika. Eksperyment zakończył się sukcesem, ale z degustacją owego cuda trzeba będzie poczekać do chwili wyhodowania całej rośliny z już uzyskanych komórek. Być może stąd już całkiem niedaleko do tryfidów wymyślonych przez Johna Wyndhama?

Burzenie miast...

...nie jest jedynym sposobem wykorzystania bomb atomowych. Tym razem atomowy straszak wypalił we względnie właściwym kierunku. W Tajlandii podjęto decyzję o budowie kanału, który połączy Ocean Indyjski z Zatoką Syjamską. Przy kosztach ok. 5,5 mld dolarów budowa trwać będzie zaledwie 9 lat. Projektem zainteresowani są Amerykanie (kanał skróci drogę między bazą Diego Garcia na Oceanie Indyjskim a Filipinami o 900 mil morskich). Również Japończycy zadeklarowali swój udział w budowie, bowiem przebicie kanału obniży koszt transportu ropy z szybów w Birmie do Japonii o 50%. Ponadto przemysłowi giganci zaplanowali budowę wielu zakładów przemysłowych w tym rejonie. Kanał o długości 102 km będzie przebiegać między portem Songkla a miejscowością Satun, przecinając pasmo gór o szerokości 23 km. W efekcie wszyscy są zadowoleni. Może tylko niezbyt szczęśliwi okażą się miejscowi rolnicy, którzy zostaną wysiedleni z całego rejonu, bowiem utrzymanie wybuchów o mocy 105 megaton pod stałą kontrolą oraz zabezpieczenie przed radioaktywnością nadal są problematyczne.



Czaszka olbrzyma

Skorupa Ziemi składa się z kilkunastu wielkich płyt oceanicznych i kontynentalnych, które bez przerwy ulegają przemieszczeniom. Do tej pory brakowało wytłumaczenia mechanizmu ruchu tych płyt i źródła energii. Uczonym udało się wreszcie stworzyć matematyczny model przemian wnętrza naszej planety. Ustalono, że jądro Ziemi jest żelazną kulą o średnicy 2600 km, otoczoną płynną warstwą metaliczną o grubości około 2000 km. Ciśnienie na powierzchni metalicznego jądra wynosi aż... 33 000 000 atmosfer! W tych warunkach płynne żelazo krystalizuje i osiada na twardej powierzchni jądra, powiększając jego średnicę w ciągu każdego roku o 1 cm. Rośnie nie tylko jądro Ziemi, lecz także cała nasza „czaszka olbrzyma" systematycznie puchnie. Przyczyną tego zjawiska są potężne góry, które powstają na dnie oceanów i powoli rozpychają kontynenty. Może kiedyś i nasza stara Ziemia dorobi się takiej obrączki, jaką ma Saturn, Jowisz czy Neptun.

Najstarszy list gończy

Japoński archeolog i historyk Komatsu Kitamura w kronikach obejmujących okres od 9 do 11 stulecia naszej ery, znalazł opis istot nazywanych Kappas (co znaczyło: „Żyjący w trzcinie"). Miały one płetwopodobne ręce z trzema palcami posiadającymi szponiaste przedłużenia. Wąskie głowy miały dziwne trójkątne oczy i wielkie uszy oraz trąbiaste nosy przedłużone aż do skrzynki na plecach. Istoty miały na głowach coś w rodzaju kapeluszy z czterema ostrymi zakończeniami.

Młot z jasnego nieba...

...czyli odkrycie nowych złóż złomu. Tym razem w Kosmosie. Specjaliści z North American Aerospace Defence Command (NORAD) położonego w Colorado Springs (USA) prowadzą stałą obserwację przestrzeni dookoła Ziemi. Dysponują przy tym urządzeniami zdolnymi zmierzyć każde ciałbo niebieskie z dokładnością do części milimetra. A mowa tu o ciałach wirujących po najrozmaitszych orbitach z przeciętną prędkością 8 km/sek. na wysokości od 600 do 800 km nad Ziemią. Do 13 września 1982 obserwatorzy z NORAD nadali numery identyfikacyjne 4631 obiektom, z czego 2672 to złomowane części produkcji USA, 1974 to wyroby radzieckie, 43 zostały wyprodukowane w Japonii, 39 zrobiono we Francji. Cała reszta, w ilości 83 sztuk, pochodzi z Indii, Indonezji, Włoch, Kanady i Australii. Najbardziej znanym obiektem tego typu jest kamera zostawiona na orbicie w lipcu 1966 przez Michaela Collinsa, astronautę z Gemini 10.

Być może już niedługo największym zagrożeniem dla mieszkańców Ziemi staną się na przykład małe młotki pneumatyczne, zostawione w niebie przez roztargnionych kosmonautów. Niby śmieszne, ale... 24 stycznia 1978 na puszczę w terytorium północnej Kanady runął złomowany satelita „Kosmos 954" wraz ze swoim radioaktywnym sercem. Ponad rok później – 11 lipca 1979 o godzinie 17,20 czasu miejscowego do Oceanu Indyjskiego na południowy zachód od Australii spadła największa część Skylaba. Przez cały tydzień przed tym faktem każdemu z nas, mieszkańców Ziemi, mógł spaść na głowę ten kawał złomu, ważący 84,5 tony. Może już teraz warto byłoby pomyśleć nad nieco ciekawszym sposobem pozbywania się niepotrzebnych części rakiet. Póki co, nasza redakcja kolektywnie przystąpiła do kopania Wybitnie Głębokiego Schronu. O postępach w budowie WGS będziemy systematycznie informować czytelników. ■

ZODIAKALNA AFERA




NA KOSMODROMIE...
WEŹ I TY PASTYLKE, FUNKY. CHOLERA, TERAZ NIE ROZSTAJE SIE Z NIMI.
DZIĘKUJE SZEFIE, UPRAWIAM ASSARI.
FUNKY WYSTARTOWAŁ...
DWIE DOBY PÓŹNIEJ...
! WYGLĄDA TO NIEWINNIE ? ?
OHO! JUŻ JEST DROLL!
NIE MAMY ŻADNYCH TAJEMNIC! OCZEKIWALIŚMY KOGOŚ Z ZIEMII. ZAPRASZAM CIĘ!
WITAJ DROLLU!
WITAJ, TO ZWYKŁE MANEWRY RADIOLOGICZNO-GRAWITACYJNE...
SPACE-BAR
ENTRANCE
...MIKROSATELITY, EKRANY GRAWITACYJNE, PROMIENNIKI X... ZWYKŁA APARATURA BADAWCZA. NASZE TRAKTATY TEGO NIE ZABRANIAJĄ. WPADNIEMY DO BARU, FUNKY?
...TO NASZA CENTRALA. NIC GROŹNEGO, SAM WIDZISZ...
ZOBACZYMY.
ZGODA, ALE JA STAWIAM.

ZODIAKANA AFERA




...NIE ZDĄŻYSZ FUNKY! A NA ZIEMIE PÓJDZIE USPOKAJAJĄCY KOMUNIKACIK!
UGH!
!
BANG
?
DRANIU! JAK NA TO WPADŁEŚ?!
ZA BARDZO BYWACIE PRZYMILNI, DROLLE.
!
WYGRAŁEŚ... OSZCZĘDŹ JEGO ŚWIETLISTOŚĆ - NASZEGO WODZA...
EKSPLODUJECIE CENTRALĘ DOWODZENIA - A WTEDY GO WYPUSZCZĘ!
DWIE DOBY PÓŹNIEJ...
...AUFGEKLÄRTES - GLÜCKSENDE!...
...A PEACE AT LAST!...
...ZIEMIA LECZY RANY!...
...FIN DE LA DRÔLE DE GUERRE ZODIACALE!...
...ВСЕ ОКОНЧИЛОСЬ СЧАСТЛИВО!...
GRATULACJE FUNKY! WIESZ? ODSTAWIŁEM PASTYLKI!
NIE MA SPRAWY, SZEFIE. SCHODZĘ DO LĄDOWANIA. - OVER!
NA KOSMODROMIE...
SPOD JAKIEGO ZNAKU JESTEŚ FUNKY, ŻE NA TO WPADŁEŚ?!
DIEGO SOL
BRAWO KOVAL!
SPOD BARANA, SZEFIE. TWARDEGO, TRZEŹWEGO, RZECZOWEGO BARANA.
NO, TO KONIEC PROBLEMÓW.
NIEZUPEŁNIE, FUNKY. TO PRZEJŚCIOWE USPOKOJENIE. DROLLE I GWIAZDY NIE WYCZERPUJĄ NASZYCH KŁOPOTÓW.
FUNKY KOVAL
© by M. PAROWSKI & J. RODEK B. POLCH '88


fantastyka
C. C. MacAPP
ZAPOMNIJ
O ZIEMI